

MIECZYSLAW
GORZKA

MARTWY
SAD

BUKOWY LAS



Jest pochmurno, szaro i chłodno. Z każdym oddechem z ust wydobywa się biała mgiełka pary wodnej. Zatrzymują się pod zardzewiałym ogrodzeniem cmentarza i zostawiają rowery w krzakach. Rysiek podchodzi do zdezelowanej furtki.

– Masz cykora? – pyta z drwiącym uśmiechem. W oczach ma dziwny zły blask, którego Marcin jeszcze nigdy nie widział.

– Nie – rzuca, choć strach paraliżuje mu nogi. Rysiek nie wierzy.

– Maminsynek się nie boi? – drwi. – To może pójdziesz pierwszy?

Marcin spogląda na cmentarz, przez który wiatr przegania białe tumany mgły. Sadu po drugiej stronie nie widać, tylko gdzieś pod białym całunem można dojrzeć poprzekrzywiane kształty starych krzyży. Wygląda to nierzeczywiście, przerażająco groteskowo.

– Pójdę.

Rusza. Rozgląda się na boki, bo we mgle wydaje mu się, że groby się ruszają. Dochodzą do drugiej furtki, tej prowadzącej do sadu.

Marcin ją otwiera i czeka, aż Rysiek przejdzie.

– Nie zamykaj jej, frajerze – szepce brat.

– Dlaczego?

– W razie czego łatwiej będzie zwać.

Wczuj się w klimat powieści



**MIECZYŚLAW
GORZKA**

**MARTWY
SAD**

BUKOWY  LAS

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XIII

Rozdział XIV

Rozdział XV

Rozdział XVI

Rozdział XVII

Rozdział XVIII

Rozdział XIX

Rozdział XX

Rozdział XXI

Rozdział XXII

Rozdział XXIII

Rozdział XXIV

Rozdział XXV

Rozdział XXVI

Rozdział XXVII

Rozdział XXVIII

Rozdział XXIX

Rozdział XXX

Rozdział XXXI

Rozdział XXXII

Rozdział XXXIII

Rozdział XXXIV

Rozdział XXXV

Rozdział XXXVI

Okładka

Copyright © by Mieczysław Tomasz Gorzka, 2019

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o., 2019

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone

ISBN 978-83-8074-228-4

PROJEKT OKŁADKI: © Paweł Cesarz

FOTOGRAFIE NA OKŁADCE: Simon Matzinger / Unsplash

REDAKCJA: Olga Gitkiewicz

KOREKTA: Bogusława Otfinowska

REDAKCJA TECHNICZNA: Adam Kolenda

WYDAWCA:

Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o.

ul. Sokolnicza 5/76, 53-676 Wrocław

www.bukowylas.pl, e-mail: biuro@bukowylas.pl



WYŁĄCZNY DYSTRYBUTOR:

Firma Księgarska Olesiejuk

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki

tel. 22 721 30 11, fax 22 721 30 01

www.olesiejuk.pl, e-mail: fk@olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej: pan@drewnianyrower.com

Inspiracją do powstania książki był utwór *W chorym sadzie*. Piotr Rogucki i zespół Coma odkryli w sadzie diabła chodzącego na palcach. Ja chciałem się dowiedzieć, kto jest tym diabłem i dlaczego sad jest martwy.

Autor

I

– Kto to jest? – Kaśka zdjęła z lodówki oprawione w ramkę czarno-białe zdjęcie. Marcin zastygł w bezruchu, nalewając kawę z dzbanka do dwóch wielkich kubków. Nie pamiętał już, że ta fotografia wciąż stoi na lodówce.

- Ja i mój brat – odpowiedział.
- Masz brata bliźniaka? – zdziwiła się.
- Miałem.
- Jak to?
- Nie żyje.
- Nigdy mi nie mówiłeś!
- To było trzydzieści lat temu. Prawie już o tym zapomniałem.

Chodź na kawę.

Kaśka usiadła przy kuchennym stole i wpatrzyła się w zdjęcie. Dwóch jasnowłosych chłopców, w wieku około dwunastu lat, obejmowało się ramionami.

- Jak miał na imię? – zapytała.
- Marcin popatrzył na fotografię.
- Rysiek.
 - Który jest który?
 - Ja stoję po lewej.
 - Nigdy bym was nie odróżniła.

– Nauczyciele w szkole też mieli z tym kłopoty. – Uśmiechnął się na wspomnienie dawnych czasów. – Niekiedy zamienialiśmy się rolami. To zawsze Rysiek miał takie pomysły. Był moim przeciwieństwem. Ja byłem grzeczny i cichy, a on... – zawiesił głos – bardziej żywy.

Umilkł nagle, zdziwiony, że wspomnienie brata tak boli. Sięgnął po kubek i upił łyk gorącej kawy. Przyjemne ciepło popłynęło do żołądka.

Poprzedniego dnia, w sobotę, umówili się w rynku na kawę, a skończyło się na dyskotecę w klubie Jazzda i paru drinkach za dużo. Kaśka straciła kontakt z rzeczywistością. Marcin musiał ją zanieść do taksówki, zawieźć do siebie do mieszkania i położyć w łóżku. Sam spał na sofie w drugim pokoju.

Teraz dochodziło południe.

– Strasznie się dzisiaj czuję – powiedziała, wzdychając. – Nie powinnam pić tych drinków na koniec.

Stary przelewowy ekspres do kawy ostatni raz prychnął, zasyczał i zamilkł.

– Marcin?

Spojrzeli sobie w oczy.

– Słucham?

– Obiecaj, że nie powiesz Tymonowi, że nocowałam dzisiaj u ciebie.

– Byłby zazdrosny?

– A jak myślisz? O ciebie zawsze jest zazdrosny.

– Widocznie ma powód.

– Przestań, przecież tyle razy o tym rozmawialiśmy.

Podniósł dwa palce w górę.

– Obiecuję, że nic nie powiem.

Znali się od ponad pięciu lat. Spotkali się u znajomych i zaiskrzyło, ale Kaśka miała wtedy męża, mówiła, że zdrada nie jest w jej stylu. Raz tylko, kiedy wracali z zakrapianej imprezy, całowali się w taksówce i przed bramą bloku Kaśki.

Dwa lata później się rozwiodła, ale wtedy Marcin był już z dawną koleżanką ze studiów i miał wielkie plany na przyszłość. Nic z nich nie wyszło. Teraz, kiedy znowu był sam, Kaśka spotykała się z ich wspólnym kolegą Tymonem i nie miała siły tego zmieniać. Jednak cały czas się przyjaźnili. Gadali przy piwie

o rzeczach, o których nie mówili swoim partnerom. Marcin uważał, że są dla siebie stworzeni, ale ustalili kiedyś, że zostaną tylko przyjaciółmi.

– Wzięłaś ibuprom?

Przytaknęła.

– Dwie tabletki, jak mówiłem?

– Nie, jedną.

– No i dlaczego?

Zrobiła niewinną minę. Z potarganymi ciemnymi włosami wyglądała prześlicznie.

– Jak zmarł? – zmieniła temat.

– Kto?

– Twój brat.

Zastanowił się. Pytała o sprawy, o których nie myślał od bardzo dawna.

– Właściwie nie umarł – odrzekł.

– Nie rozumiem.

– Zaginął. – Wzruszył ramionami. – Któregoś dnia wyszedł z domu i nigdy nie wrócił.

Kaśka chyba nie wiedziała, co powiedzieć.

– To był dzień jak każdy inny. Wracaliśmy od dziadka do domu – kontynuował Marcin. – Rysiek wsiadł na rower i pojechał. Pamiętam jeszcze, jak zniknął za zakrętem. Mieszkaliśmy wtedy na wsi, w Szczepanowie koło Środy Śląskiej. Nikt więcej Ryśka nie widział. Jakby zapadł się pod ziemię. Ciało nigdy nie odnaleziono, więc po pewnym czasie uznano go za zmarłego. Nawet jest jego grób na cmentarzu w Szczepanowie, tylko pusty.

– To straszne... Musiałeś bardzo przeżyć jego zaginięcie.

Wziął do ręki fotografię i długo się jej przyglądał.

– Dziwne, ale tamte chwile pamiętam jak przez mgłę. Zatarte obrazy, szczątki zdań... i nic więcej.

– To naturalne zachowanie obronne, twój umysł wykasował

wspomnienia przeżytej w dzieciństwie traumy.

– Wiesz, co jest najdziwniejsze?

– Co?

– U nas w rodzinie nie wspomina się Ryśka. Nikt o nim nie mówi, jakby nikt go nie pamiętał. Wszyscy udajemy, że nigdy nie istniał. Tylko pierwszego listopada z przyzwyczajenia zapalamy mu lampki. Postawiłem to zdjęcie na lodówce, żeby o nim pamiętać. – Znowu uśmiechnął się smutno. – I co się stało? Zapomniałem o nim.

– Nie rób sobie wyrzutów. – Pogłaskała go po wierzchu dłoni. – Przeżyliście koszmar.

– Ale nie powinienem zapomnieć.

– Sam mówiłeś, że minęło trzydzieści lat. Szmata czasu, prehistoria.

– Może racja.

Podniosła kubek do ust, ale zaraz go odstawiła, jakby kawa przestała jej smakować.

– Raz na jakiś czas Rysiek mi się śni – powiedział i zawahał się. – Właściwie to śni mi się coś, co wydarzyło się naprawdę.

– To ciekawe. Opowiedz.

– Wiesz, w Szczepanowie jest taki bardzo stary kościół z szesnastego wieku, obok stoi plebania i kilka zabudowań. Do kościoła należy też sad, który przylega do cmentarza. Nic wielkiego, kilka grusz rosnących w trzech rzędach, no wiesz. Kiedyś się mówiło „sad u księdza”. Gruszki były przepyszne, słodkie, miały wspaniały aromat. Dzieciaki często się tam zakradały, żeby ukraść parę sztuk. Rysiek i ja też tam chodziliśmy. Ale to była wyprawa dla osób o mocnych nerwach, bo jedyne wejście do sadu prowadziło przez ten przykościelny cmentarz. Nawiedza mnie taki sen: idziemy z Ryśkiem do tego sadu, jest wieczór, mglisto i wtedy ktoś...

Urwał, bo rozdzwonił się telefon Kaśki. Popatrzyła na wyświetlacz.

– Tymon – powiedziała.

Skinął głową. Odebrała.

– Słucham? No, jeszcze sobie plotkujemy... Nie, nie musisz po mnie przyjeżdżać, poradzę sobie. – Roześmiała się. – Pozdrowię ją. Nie, nie będę jej od ciebie całować. – Popatrzyła na Marcina z błyskiem w oku. – Sam możesz ją pocałować, pozwalam ci łaskawie. No to buźka. Niedługo będę. Pa!

Marcin odwrócił krzesło i usiadł na nim okrakiem, zakładając ręce na oparciu.

– Kaśka, przecież wiesz, że powinniśmy być razem. Od dawna. Zacisnęła usta, nie patrząc na niego.

– Myślałam, że już omówiliśmy tę sprawę. To niemożliwe.

– Dlaczego?

– Nie mogę tego zrobić Tymonowi. I tak czuję się, jakbym go zdradzała.

– Przesadzasz.

– Czasem nie wiem, co gorsze, zdrada fizyczna czy psychiczna.

– Spojrzała na niego przeciągle. – Muszę już iść.

Wstali, by się pożegnać. Ona wspięła się na palce i cmoknęła go w policzek.

– Dziękuję za superwieczór. – Uśmiechnęła się.

– Mam tylko nadzieję, że pozostaniemy przyjaciółmi. – Przytulił ją.

Milczeli, każde pogrążone we własnych myślach. Przeszli do przedpokoju. Kaśka zdjęła z wieszaka lekką kurtkę i zaczęła się ubierać.

– Z Ryśkiem musiałeś mieć doskonały kontakt – stwierdziła raczej, niż zapytała. – Nie próbowałeś go nigdy odszukać? Dowiedzieć się, co tak naprawdę się z nim stało?

– Jak niby miałbym to zrobić? – Rozłożył ręce. – Szukała go milicja w całym kraju.

– Nie wtedy. Teraz. Przecież pracujesz w policji kryminalnej. Macie swoje archiwum X z nierozwiązanymi sprawami sprzed

lat. Teraz są nowe możliwości. Trzeba spróbować, przynajmniej poznasz prawdę.

– Myślisz, że chciałbym ją poznać?

– Ja bym chciała. Sam mówiłeś, że minęło trzydzieści lat. Może kiedyś prawda byłaby bolesna, ale teraz, po tylu latach? Na pewno mniej.

Patrzył na nią, jakby widział ją po raz pierwszy.

– Że sam na to nie wpadłem – powiedział. – Dziwne, prawda? Znam kogoś w naszym dolnośląskim archiwum X, na pewno mi pomoże. Tylko dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem?

Uśmiechnęła się na do widzenia, zarzuciła na ramię torebkę, ścisnęła mu rękę i już jej nie było.

Zamknął drzwi na zamek i powlókł się do salonu, gdzie zwałił się na fotel. Miał kaca, czuł się ociężały i zmęczony.

– Gówno! – mruknął do siebie, wstał i poszedł do lodówki po piwo.

Tego dnia nigdzie się nie wybierał i uznał, że może poprawić sobie samopoczucie kilkoma butelkami piwa. Zabrał z kuchennego stołu zdjęcie z Ryśkiem i długo się w nie wpatrywał. Później wyciągnął jeszcze stary album z fotografiami, który dała mu mama. Oglądając zdjęcia, czuł ucisk w gardle i pieczenie w oczach. Fotografie były ułożone chronologicznie. Na pierwszej roześmiani młodzi rodzice pchali dwa identyczne wózki z niemowlakami, na następnych dwa ledwo siedzące brzdące płakały na kraciastym kocu rozłożonym na trawie u dziadka w ogrodzie, potem jeden leżał na drugim i się śmiał, a drugi płakał niezadowolony. Dwaj chłopcy w takich samych rajtuzach, stawiający pierwsze kroki po dywanie. Marcin nie potrafił stwierdzić, który to on, a który jego brat. Następne zdjęcia przedstawiały ich ubranych w kraciaste kurtki ze szpiczastymi kapturami, jadących na jednych sankach w zimie, potem były zdjęcia na emzecie wujka. Na końcu brakowało jednej fotografii. Właśnie tej, którą Marcin oprawił w ramkę

i postawił na lodówce. Kiedyś ojciec zdradził mu, że to ostatnie zdjęcie Ryśka. Zaginął niecałe dwa tygodnie później. Zdjęcie wywołano już po jego zniknięciu.

Długo siedział z albumem na kolanach. Myślał o Kaśce, swoim pogmatwanym życiu uczuciowym i o Ryśku. Czy zaginięcie brata miało jakiś wpływ na to, że nie potrafił się z nikim związać? Czy brakowało mu połowy siebie?

Na pewno Kaśka miała rację. Powinien chociaż spróbować wrócić do sprawy tego zaginięcia. Nieważne, czy znajdą się akta ze śledztwa, czy uda mu się coś ustalić. Musi spróbować.

II

W nocy z niedzieli na poniedziałek znowu nawiedził go sen o Ryśku, sadzie i gruszkach. Tym razem w zaskakującej formie.

Jest pochmurno, szaro i chłodno. Z każdym oddechem z ust wydobywa się blada mgiełka pary wodnej. Zatrzymują się pod zardzewiałym ogrodzeniem cmentarza i zostawiają rowery w krzakach. Rysiek podchodzi do zdezelowanej furtki.

– Masz cykora? – pyta z drwiącym uśmiechem. W oczach ma dziwny zły blask, którego Marcin jeszcze nigdy nie widział.

– Nie – rzuca, choć strach paraliżuje mu nogi.

Rysiek nie wierzy.

– Maminsynek się nie boi? – drwi. – To może pójdziesz pierwszy?

Marcin spogląda na cmentarz, przez który wiatr przegania białe tumany mgły. Sadu po drugiej stronie nie widać, tylko gdzieś pod białym całunem można dojrzeć poprzekrzywiane kształty starych krzyży. Wygląda to nierzeczywiście, przerażająco groteskowo.

– Pójdę.

Rusza. Rozgląda się na boki, bo we mgle wydaje mu się, że groby się ruszają. Dochodzą do drugiej furtki, tej prowadzącej do sadu. Marcin ją otwiera i czeka, aż Rysiek przejdzie.

– Nie zamykaj jej, frajerze – szepce brat.

– Dlaczego?

– W razie czego łatwiej będzie zwiać.

Razem wchodzi do sadu. Stare powyginane przez czas grusze rosą równo, posadzone w trzech rzędach po trzy, na łące

porośniętej nieskoszoną na jesień trawą. Najpierw łąka opada w dół, trzeba przejść ze dwadzieścia metrów, żeby dojść do płaskiego terenu, i jeszcze raz tyle do pierwszych drzew. Teraz sadek widać dokładnie, pogrążony jedynie w lekkiej mgiełce. Za łąką, za zniszczonym ogrodzeniem z kamiennymi słupkami, majaczy gęsto porośnięty krzakami park, który należał przed wojną do majątku tutejszego właściciela ziemskiego, a po wojnie do miejscowego pegeeru.

Najlepsze gruszki leżą w trawie. Pomędzy tymi robaczywymi i częściowo zgniłymi trafiają się prawdziwe perełki, owoce o fantastycznym aromacie, nienagannie złotej skórce, pod którą czai się słodki i soczysty miąższ. Muszą szybko znaleźć te najlepsze. Rysiek zbiera gruszki nieco dalej, przy parku, a Marcin klęczy w rzędzie bliżej cmentarnej furtki.

Nagle czuje, że na łące dzieje się coś niedobrego. Podnosi głowę i zamiera. Ogarnia go przerażenie, jakiego nigdy dotąd nie doświadczył. Od strony parku przesuwa się w ich kierunku ciemna jak sadza, gigantyczna postać bez twarzy. Sunie płynnie, jakby w ogóle nie dotykała stopami ziemi; postrzępione szaty falują na wietrze. Rysiek nie widzi zbliżającego się niebezpieczeństwa, a postać wyciąga już groteskowo długie ręce w jego kierunku. Marcin myśli, że oto widzi diabła.

Chce krzyknąć, lecz nie może wydobyć głosu z gardła. Chce się zerwać, żeby uciec, ale jest tak sparaliżowany strachem, że nawet nie ma siły podnieść się z klęczek. Spogląda do tyłu w kierunku uchylonej furtki cmentarnej, jakby w poszukiwaniu ratunku. Ledwo ją widać pośród mgły. Patrzy znów w kierunku brata i drętwieje.

Diabeł stoi niedaleko, a Rysiek tańczy w trawie. Z wyrazem dzikiego szaleństwa na twarzy podskakuje i kręci piruety z rozłożonymi ramionami. Naraz zatrzymuje się, podbiega do Marcina i spogląda na niego oczami czarnymi i szklistymi jak diamenty.

– Widziałem, jak diabeł chodzi tu na palcach – szepce chrapliwie.

Odwraca się i zaczyna się oddalać.

– Widziałem, jak diabeł chodzi tu na palcach! – rzuca już głośniej.

I nagle znowu zaczyna swój szalony płas.

Sygnal telefonu komórkowego wyrwał Marcina ze snu.

Była pierwsza szesnaście, poniedziałek, 26 września 2011 roku.

III

Usiadł spocony na łóżku, odruchowo sięgnął po aparat leżący na stoliku nocnym, odebrał, nie patrząc, kto dzwoni, i zaspianym głosem powiedział:

– Zakrzewski, słucham?

W słuchawce usłyszał znajomy głos.

– Sroka z tej strony.

– O tej porze?

– Ja tej godziny nie wybierałem. Mamy morderstwo na Marszowicach. Wszystko jeszcze świeże. Nasza ekipa dopiero się zjeżdża, potrzebuję cię tutaj jak najszybciej.

Marcin obudził się w sekundę.

– Już się zbieram. Jaki adres?

Sroka podał nazwę ulicy i numer domu.

– Wiesz, gdzie to jest? – zapytał na koniec.

– Mam GPS, trafię.

Marcin zerwał się z łóżka, zapominając o śnie. Ubierał się prawie po ciemku, tylko przy świetle nocnej lampki. Wpadł na moment do łazienki, zaczesał włosy i pobieżnie umył zęby. W drzwiach zatrzymał się, wrócił do kuchni, gdzie w szafce nad zlewem trzymał cukierki eukaliptusowe na odświeżenie oddechu. Jednego włożył do ust, drugiego do kieszeni.

Trzy minuty później wyjechał na Mińską. Skręcił w prawo. Chciał jechać przez Pilczycką, ale przejazd kolejowy był zamknięty, więc pojechał prosto i skręcił w Szczecińską. Na Lotniczą w kierunku Leśnicy wyjechał w okolicach Stadionu Miejskiego. Ruch był niewielki, włączył koguta i pruć ponad sto

kilometrów na godzinę.

Dojechał w dziesięć minut. Co prawda GPS zawiesił się zaraz za Leśnicą, ale Marcin znał osiedle Wiosenne, nie miał kłopotu ze znalezieniem właściwego domu. Na podjeździe stały już dwa radiowozy, samochód Sroki, karetka pogotowia i furgonetka ekipy z Zakładu Techniki Kryminalistycznej. Zatrzymał się po drugiej stronie ulicy i wysiadł z auta. Mundurowy policjant rozciągał akurat taśmę zabezpieczającą.

Marcin rozejrzył się. To była spokojna ulica. Po obu stronach stały nowo wybudowane domy wolnostojące, przedzielone pustymi działkami i żywopłotami. Jak na standardy, jakimi kierowali się obecnie deweloperzy budujący podobne osiedla, wokół każdego z budynków było wyjątkowo dużo wolnego terenu. W drzwiach i przy płotach okolicznych domów pojawiali się obudzeni zamieszkaniem mieszkańcy i patrzyli zdziwieni na coraz to nowe policyjne samochody zatrzymujące się na ich ulicy.

Marcin wypatrzył nadkomisarza i zbliżył się do niego szybkim krokiem. Uścisnęli sobie dłonie.

– Co się stało, Stefan?

– Mamy morderstwo. Kobieta, trzydzieści pięć lat, właścicielka domu – odrzekł Sroka.

Niedawno skończył pięćdziesiątkę, miał lekką nadwagę, krótko ścięte siwe włosy i zazwyczaj kamienną twarz. Marcinowi zawsze przypominał zawodowego żołnierza z amerykańskich filmów: niezbyt rozmowny, konkretny do bólu, na jego twarzy rzadko gościł uśmiech. Dopiero parę głębszych sprawiało, że stawał się bardziej podobny do człowieka.

– Kto ją znalazł?

– Mąż.

– O cholera, co z nim?

– Siedzi w kuchni, lekarz z pogotowia próbuje go uspokoić, a Ruciński ma zamiar wydobyć z niego zeznanie.

– Coś już z niego wyciągnął?

– Jeszcze nie wiem.

Przeszli przez furtkę i wyłożoną płytkami ścieżkę przecinającą równo wykoszony trawnik. Lampy ogrodowe były zapalone, więc zanim doszli do drzwi wejściowych, Marcin zdążył się przyjrzeć podjazdowi. Przystrzyżone starannie żywopłoty, wysprzątane liście, wypielęgnowane i przygotowane na zimę klomby z kwiatami świadczyły o tym, że albo mieli ogrodnika, albo niedawno wynajęli firmę zajmującą się pielęgnacją zieleni. Widać pieniędzy im nie brakowało.

Dom był duży, miał dwa piętra, poddasze i dwa garaże. Kątem oka Marcin zauważył ścieżkę biegnącą wzdłuż ściany w lewo, do wyjścia na tyły. Pomyślał, że musi się tam później przejść.

Weszli do budynku i zatrzymali się. Paliły się wszystkie światła. Korytarz był szeroki. Na wprost był salon z kominkiem połączony z dużą kuchnią, z lewej strony schody prowadzące na piętro. Po salonie kręcił się jeden z techników i szukał odcisków palców na ramach okien, drugi zajmował się poręczą schodów. Przy kuchennym stole siedział podkomisarz Michał Ruciński, naprzeciw niego roztrzęsiony właściciel domu, wyglądający na nie więcej niż czterdzieści pięć lat. Sanitariusz pogotowia ratunkowego akurat wychodził.

– Doszedł do siebie? – zagadnął go cicho Sroka.

– Dałem mu coś na uspokojenie, jest w fatalnym stanie.

Marcin dokładnie rozejrzał się po pomieszczeniach na dole i wrócił do kolegi.

– Bez śladów włamania? – zapytał.

– Chyba tak, jeszcze to sprawdzamy.

– Co dokładnie zaszło?

– Facet wyszedł na brydża do kolegi około dziewiętnastej trzydzieści. Już to sprawdzamy. Mówi, że wrócił chwilę po północy, pokręcił się trochę na dole.

– Sypialnię mają na górze? – domyślił się Marcin.

– Tak. Kiedy chciał się położyć, znalazł okaleczone zwłoki małżonki w łóżku. Jeszcze ciepłe. Morderca musiał być tu bardzo niedawno.

– Przyjedzie ktoś z psem?

– Już powinien tu być, jedzie z drugiego końca miasta.

– Co jej zrobił?

Sroka skrzywił się, co było dosyć niecodzienne.

– Sam zobaczysz – odpowiedział, po czym zwrócił się do technika przy schodach: – Można już na górę?

– Dajcie mi jeszcze parę minut.

– W porządku – odrzekł Marcin. – Co jest za domem?

– Taras, na który można wyjść z pokoju obok, mały basen, kawałek trawnika i budynek gospodarczy, z tego, co zdążyłem zobaczyć – odpowiedział Sroka. – Dalej jest ogrodzenie i las.

– Wysokie?

– Zwykła siatka.

– Chyba nie cierpią na brak gotówki, nie sądzisz?

– Na dom wydali fortunę.

– Trzeba sprawdzić, czy coś nie zginęło.

Poszli do kuchni, stanęli przy stole. Właściciel spojrzał na nich zaczerwienionymi oczami.

– Komisarz Marcin Zakrzewski – przedstawił się Marcin. – Proszę przyjąć moje wyrazy współczucia.

– Złapcie skurwysyna, który zrobił to mojej Marysi – odrzekł mężczyzna słabym głosem. – Złapcie go...

– Złapiemy, ale musi nam pan trochę pomóc.

– Powiedziałem już wszystko.

Ruciński spojrzał w swoje notatki.

– Pan Janus powiedział, że wydawało mu się, że słyszy kroki na górze zaraz po tym, jak wrócił do domu o północy. Myślał, że żona jeszcze nie śpi.

Marcin spojrzał na zegarek.

– Teraz jest druga, czyli dwie godziny temu morderca mógł tu

jeszcze być – stwierdził. – Gdzie, do cholery, jest ten pies?

Sroka wyciągnął komórkę, wybrał numer i wyszedł na korytarz. Słysząc było, jak rozmawia z kimś nerwowo.

– Panie Janus, proszę się teraz przejść po domu z podkomisarzem Rucińskim i sprawdzić, czy nic nie zginęło – zwrócił się do gospodarza Marcin. – Proszę zajrzeć we wszystkie miejsca, w których trzymali państwo cenne przedmioty.

Janus skinął głową, wstał i skierował się do pokoju obok. Michał poszedł za nim. Wrócił Sroka.

– Pies będzie za kwadrans – powiedział.

– Ktoś był na tyłach domu?

– Tak, ja. Morderca mógł dostać się na posesję od strony lasu. Przeskoczyć zwykłą siatkę to nie problem. Uciec mógł w ten sam sposób.

– Cholera, ludzie nie mają wyobraźni – mruknął Marcin. – Mieszkają w miejscu, gdzie psy dupami szczekają, i nawet porządnego ogrodzenia nie zrobią.

Wyszli z kuchni i stanęli przy schodach.

– Już możecie – powiedział technik.

Wolno wchodzili na górę. Pierwszy Marcin, dwa stopnie za nim Sroka. Schody skrzypiały pod ich stopami.

– Kiedy przyjedzie prokurator? – zapytał Marcin.

– A czy oni się kiedyś spieszyli? – Sroka wzruszył ramionami.

Sypialnia znajdowała się po prawej stronie w głębi korytarza. Gdy tylko weszli na górę, Marcin poczuł wiszący w powietrzu słodkawymy odór krwi. Nienawidził tego zapachu. Kojarzył mu się tylko ze śmiercią. Poczł gwałtownie wzbierającą falę mdłości.

Wolno zbliżył się do sypialni i zatrzymał na progu. Widział już różne morderstwa, lecz tym razem wzdrygnął się mimowolnie.

Kobieta leżała na wznak na łóżku, naga i cała we krwi. Twarz miała pociętą nożem, podobnie jak piersi, podbrzusze i uda. Krew ściekała po ścianach, znajdowała się na nocnym stoliku i lampce, na dywanie, na oknie, a nawet na suficie i żyrandolu.

Pokój wyglądał tak, jakby sprawca wpadł w morderczy szal i zadawał kolejne ciosy ostrym narzędziem z wielkim rozmachem, nie bacząc na bryzgającą wszędzie krew.

– Nie wchodźcie dalej – powiedział technik zabezpieczający ślady. Miał plastikowe ochraniacze na buty, niebieski lekarski fartuch i gumowe rękawiczki. Walizkę z narzędziami postawił w najdalszym kącie, bo tylko tam nie było krwi. Nad zwłokami pochyłał się podobnie ubrany lekarz sądowy.

Marcin z trudem przełknął ślinę.

– Macie coś? – zapytał.

– Ślady mordercy i jego buty – odrzekł technik.

– Jak to buty? – zdziwił się Marcin.

– Po wyjściu z sypialni zdjął obuwie – wyjaśnił technik.

– Po co?

– Było zakrwawione, nie chciał zostawiać śladów.

– Dobrze, że coś mamy. – Marcin spojrzał z ukosa na Srokę. – Spotkałeś się kiedyś z czymś takim?

Inspektor był od niego starszy i dużo bardziej doświadczony.

– Nigdy.

Podszedł do nich lekarz.

– Jak zginęła? – zapytał Sroka.

– Ma co najmniej kilkadziesiąt ran kłutych i ciętych zadanych ostrym narzędziem – odpowiedział zmęczonym głosem i zdjął gumowe rękawiczki. – Najprawdopodobniej był to nóż. Ma kilka ran na szyi, na twarzy i jedną w skroni. Moim zdaniem każda z tych ran mogła być śmiertelna. Mogła również zostać uduszona, mogła zostać zgwałcona. Nie mogę powiedzieć nic wiążącego, zanim nie zostanie zrobiona sekcja zwłok. Na pierwszy rzut oka niczego nie można wykluczyć, ale też nie można znaleźć innych śladów niż te po nożu z uwagi na ilość krwi. Aha, i odrąbał denatce prawą dłoń.

Marcin drgnął.

– Słucham?

– Pozbawił ofiarę prawej dłoni.

Teraz dopiero to dostrzegł. Biały kikut kości przedramienia wyglądał jeszcze bardziej przerażająco. Marcin musiał odchrząknąć, zanim udało mu się wydobyć głos z gardła.

– Jak to możliwe?

Doktor popatrzył na niego znad okularów.

– Musiał mieć ze sobą coś w rodzaju bardzo ostrej siekiery lub ciężką maczetę.

– Położył całą rękę na nocnej szafce – wtrącił się technik. – Po śladach na politurze wnioskuję, że były dwa potężne uderzenia. To wystarczyło.

– Jest gdzieś ta dłoń?

– Nie znaleźliśmy.

– Czy ofiara jeszcze wtedy żyła?

– Nie potrafię tego ustalić – odrzekł lekarz.

– Dziękuję, doktorze – powiedział Marcin.

– Mamy też ślady jego dłoni na ścianie – odezwał się technik.

– W którym miejscu? – zapytał Marcin.

– Tu, zaraz za wezgłowieм łóżka.

– Nic stąd nie widzę – powiedział Marcin. – Mogę jednak wejść?

– Dobrze, ale włóż ochraniacze na stopy, gumowe rękawiczki i niczego nie dotykaj.

Podał mu worki, takie, jakie zakłada się w szpitalach, i rękawiczki, po czym przeprowadził Marcina bokiem do miejsca, gdzie morderca zostawił ślady na ścianie. Obaj spojrzeli z bliska. Marcin starał się nie zwracać uwagi na leżące obok zmasakrowane ciało. Trudno było mu się oswoić z myślą, że pewnie jeszcze kilka godzin temu była to zadbana kobieta, szykująca się do snu lub nawet już śpiąca spokojnie, z planami na jutrzejszy dzień i na przyszłość. Przypomniał mu się dowcip. Jak skutecznie rozśmieszyć Pana Boga? Opowiedzieć mu o swoich planach na przyszłość. Do bólu prawdziwe.

Około półtora metra nad podłogą morderca musiał dotykać ściany zakrwawionymi rękami. Pierwsze skojarzenie było takie, jakby próbował je wytrzeć.

– Chciał coś napisać? – zapytał Marcin.

– Jeśli nawet, to nie napisał – odpowiedział technik obojętnie.

– Tu jest jakby litera „d”, a potem „i” lub „l”?

– Może i „d”, ale dalej to raczej przypadek...

– Może chciał coś napisać i spłoszył go mąż, wchodząc do domu – odezwał się Sroka.

– Może, może... jak się tu dostał? – zapytał Marcin.

– Chyba przez piętro – stwierdził technik. – Obok w pokoju uchylone jest okno balkonowe. Na poręczy znalazłem ślady krwi.

– Zabezpieczyłeś już balkon?

– Tak, możecie zobaczyć.

Marcin z ulgą wyszedł z sypialni, ostrożnie ściągnął ochraniacze z butów i rzucił je z obrzydzeniem w kąt, głośno przełykając ślinę. Sroka patrzył na niego uważnie i niespodziewanie przez jego twarz przemknęło coś na kształt uśmiechu.

– Po tylu latach jeszcze odruch wymiotny? – zapytał.

Marcin się skrzywił.

– To chyba dobrze? – odpowiedział pytaniem. – To znaczy, że jeszcze nie straciłem ludzkich cech w tym popieprzonym świecie. Ty nie masz?

Sroka tylko wzruszył ramionami. Marcin pomyślał, że milczy, by nie musieć odpowiadać twierdząco.

Poszli do drugiego pokoju, gdzie przy otwartych drzwiach balkonowych falowała firanka poplamiona krwią. Marcin przesunął ją, trzymając dłoń z daleka od plamy, i wyszedł na przestronny balkon. Wszystkie światła były włączone, więc cały teren aż po ogrodzenie był dokładnie widoczny. Tak jak mówił Sroka, po lewej stronie znajdował się kilkumetrowy basen przykryty folią na zimę, obok mały trawnik z drewnianym

gazebo, gdzie można było usiąść w cieniu w upalne dni, dalej przy samym ogrodzeniu mały budynek gospodarczy. Za ogrodzeniem szumiał las. Jeśli morderca przyszedł stamtąd, a potem wrócił tą samą drogą, nie było wielkich szans, żeby go tam znaleźć. Obejrzeliby dokładnie poręcze balkonów, lecz nie dostrzegliby śladów krwi, o których mówił technik. Na wszelki wypadek niczego nie dotykali.

Po prawej stronie balkonu, na ścianie, zamontowany był drewniany stelaż, po którym pisał się bluszcz aż po sam dach – ułatwienie dla przestępców. Po takim stelażu na balkon mogło wspiąć się nawet dziecko. Sroka westchnął i sięgnął po papierosa. Zakrzewski stał zamyślony, patrząc na las, potem spojrział w górę, gdzie wiatr gonił po rozgwieżdżonym niebie pojedyncze obłoki. Teraz dopiero poczuł, że jest mu zimno. Była kośćcówka września i noce robiły się coraz chłodniejsze.

– Zapalisz? – zapytał Sroka.

Marcin nigdy nie palił nałogowo, ale w takich chwilach lubił zaciągnąć się dymem.

Palili, nic nie mówiąc. Wreszcie odezwał się starszy policjant:

– To będzie główniana sprawa, Marcin.

– Tak myślisz?

– Jeśli motyw nie był rabunkowy, na co mi wygląda... Jeżeli nie była to zemsta niezrównoważonego kochanka albo jakieś porachunki półświatka, mamy do czynienia ze świrem, jakich mało chodzi po tym świecie.

– Trzeba sprawdzić, czy w ostatnich latach nie było czegoś podobnego gdzieś w kraju – odrzekł Marcin.

– Słusznie. – Sroka pokiwał głową i skrzywił się. – Boję się, że on to lubi.

– No tak, bo po co miałyby zabrać dłoń ofiary?

– Kolekcjoner?

– Boję się potwierdzić.

– To będzie trudna sprawa – powtórzył Sroka.

Prowadzili razem niejedno śledztwo. Sroka był starszy stopniem i bardziej doświadczony, ale na ogół pozostawał na drugim planie, pozwalając Zakrzewskiemu działać. Wtrącał się tylko wtedy, kiedy miał jakiś pomysł lub kompletnie się z Marcinem nie zgadzał. Taka sytuacja zdarzyła się zresztą tylko raz, kiedy prowadzili śledztwo w sprawie pobicia właściciela kantoru ze skutkiem śmiertelnym. Wtedy Sroka miał rację.

Wyrzucili niedopałki na trawnik i weszli do domu.

– Rozejrzę się w pobliżu ogrodzenia – powiedział Marcin.

– Już tam sprawdzałem – odrzekł Sroka.

– I co?

– Nic.

– Jednak popatrzę.

Po drodze przystanęli jeszcze na progu sypialni. Blady jak ściana fotograf robił zdjęcia, a technik z lekarzem pokazywali mu, gdzie ma skierować obiektyw. Zeszli wolno na dół.

– Cholera, napiłbym się kawy – powiedział Marcin.

– Ja też – przyznał Sroka.

Nie zauważyli męża zamordowanej, który wyszedł wraz z Rucińskim z pokoju po lewej stronie.

– To może ja panom zrobię – powiedział słabym głosem.

Widać było, że chce się zająć czymkolwiek, żeby tylko choć przez chwilę nie myśleć o tragedii. Sroka popatrzył na niego z wahaniem.

– Jeśli byłby pan tak miły...

– Tak, tak, już nastawiam ekspres!

Janus zniknął w kuchni. Marcin popatrzył na Michała.

– Zginęło coś? – zapytał.

– Nic. Wszystko jest na swoim miejscu – odrzekł Ruciński. – W meblach mają poupychane dolary, euro i co najmniej kilogram złota.

– Czym zajmuje się ten Janus? – zainteresował się Sroka.

– Jest prezesem dużej zagranicznej firmy. Pewnie zarabia kupę

kasy.

– Gdzie są duże pieniądze, są też niezdrowe emocje – rzucił filozoficznie Sroka. – Sprawdzisz rano interesy pana Janusa.

– Jasne.

– Teraz idź za nim do kuchni, żeby nie przyszło mu do głowy jakieś głupstwo.

Czekając na kawę, wyszli przed dom. Mimo bardzo późnej pory przy taśmach zabezpieczających teren było jeszcze więcej gapiów. Pewnie wieści o morderstwie dotarły już do sąsiadów. Plotki zawsze rozchodziły się w sposób zaprzeczający zdrowemu rozsądkowi. Mundurowi policjanci stali na straży, nie wpuszczając na posesję nikogo niepowołanego. Marcin pomyślał, że lada chwila pojawią się reporterzy z wrocławskich gazet, a zaraz za nimi ekipa telewizyjna. Podjechały kolejne dwa oznakowane radiowozy. Wsiedli z nich policjanci, którzy mieli ochraniać teren. Nadal nie było prokuratora i policjanta z psem.

– Mówiłeś, że morderca może to lubić – powiedział Marcin. – Zakładając, że tak jest... jak myślisz, co teraz robi?

– Coś brzydkiego w domowym zaciszu? Wiesza pamiątkę z dzisiejszej nocy na ścianie w sypialni?

Przez wyobraźnię Marcina przemknęła taka wizja. Z trudem skupił się na czymś innym.

– Nie o tym myślałem – powiedział, kręcąc głową. – Może ma wielką satysfakcję, obserwując zamieszanie które wywołał?

– Jest dumny z tego, co zrobił?

– Do tego ma nas za głupków i czuje się bezkarny.

– Nie uciekł?

– Jest gdzieś blisko, gdzie spokojnie, nie rzucając się w oczy, obserwuje nasze działania.

Sroka zmierzył Zakrzewskiego poważnym spojrzeniem.

– Naoglądałeś się amerykańskich filmów o psychopatach – powiedział.

– Uważasz, że fantazjuję?

– Widziałeś, ile krwi było w sypialni? Musiałby wziąć prysznic i się przebrać.

– Może tak zrobił.

Sroka wzruszył ramionami.

– Idę na kawę.

– Też zaraz przyjdę, tylko rzucę okiem na gapiów.

Marcin wolnym krokiem podszedł do bramy i stanął obok jednego ze znajomych policjantów. Przywitał się i zaczął obserwować stojących, starając się nie robić tego zbyt nachalnie. Na chodniku naprzeciw domu dwaj mężczyźni palili papierosy i patrzyli na oświetlony dom Janusów. Co chwilę wymieniali między sobą jakieś uwagi. Obaj wyglądali, jakby niedawno wstali z łóżka. Trochę dalej przystanął mężczyzna około trzydziestki w kurtce zarzuconej na szlafrok. Po lewej stronie, w pobliżu bramy sąsiedniego domu, kilka osób cicho rozmawiało. Kobiety sprawiały wrażenie przerażonych, mężczyźni za ich plecami również mieli posępne miny. Inni ludzie, stojący w różnych miejscach na ulicy, pojedynczo i grupami, też wyglądali na mieszkańców i nie wzbudzili podejrzeń Marcina.

Wrócił do kuchni, skąd rozchodził się wspaniały aromat kawy. Okazało się, że amatorów jest więcej i cała ekipa śledcza trzymała filiżanki w dłoniach, pijąc łapczywie. Właściciel znowu nastawił ekspres.

Ruciński wskazał filiżankę stojącą na stole i powiedział do Marcina:

– Ta jest twoja.

– Dzięki.

Kawa była wyśmienita. Marcin poczuł, jak przyjemne ciepło rozlewa mu się po brzuchu i na chwilę zapomniał o dokuczającym mu coraz bardziej chłodzie nocy. Wypił szybko i zwrócił się do gospodarza.

– Przepraszam, może mi pan powiedzieć, co jest w budynku gospodarczym na tyłach posesji?

– Mamy tam składzik na narzędzia do ogrodu, rowery i różne inne rzeczy – padła odpowiedź. – Wie pan, tyle się tego gromadzi. Żona...

Urwał nagle i przymknął oczy, zaciskając usta.

– Mogę tam zajrzeć? – zapytał Marcin.

– Oczywiście. Tylko...

– Tak?

– W sobotę rano zepsuła się instalacja elektryczna i jeszcze nie usunąłem awarii.

– Rozumiem, a ma pan może latarkę?

– Chwileczkę.

Janus przejrzał zawartość szuflad w szafce przy oknie, wreszcie podał Marciniowi małą latarkę ledową na korbkę.

– Tylko taką – powiedział przepaszająco. – Trzeba pokręcić...

– Rozumiem. Pójdę tam na chwilę. Tylko zostawcie mi trochę kawy.

– Postaramy się – odrzekł Sroka.

Marcin ruszył na tyły ścieżką wzdłuż domu. Światła na tarasie były włączone, podobnie jak światła we wszystkich pokojach w domu, więc było bardzo jasno. Dobra widoczność kończyła się równo z ogrodzeniem, za którym szumiał cicho las.

Marcin obszedł basen, zajrzał do altany, przeszedł wzdłuż ogrodzenia, szukając śladów. Nie był jednak w stanie określić, w którym miejscu morderca sforsował ogrodzenie. Wreszcie stanął przed wejściem do budynku gospodarczego. Janusom musiało żyć się naprawdę dostatnio, wiele domów miało mniejsze garaże. Kręcił korbką latarki przez jakąś minutę, po czym wszedł do środka, nie domykając drzwi, żeby mieć więcej światła.

Stanął dwa metry od wejścia i uważnie rozglądał się po pomieszczeniu, świecąc sobie latarką. Tak jak powiedział właściciel, budynek był graciarnią. Z zewnątrz pięknie odmalowany i zadbane, w środku wyglądał zgoła inaczej –

bałagan, kurz, pajęczyny, sprzęty domowe ułożone bez żadnego ładu. Z lewej strony rowery, potem trzy różne kosiarki do trawy, stare meble, części do samochodu, zwinięta niedbale siatka do tenisa ziemnego, piłki do koszykówki i kosz z porwaną siatką. Bałagan kontrastował z idealnym porządkiem w domu. Pewnie dom był królestwem niepracującej żony właściciela, a on rządził tutaj. Innego wytłumaczenia nie było.

Nagle jakiś cień zasłonił światło wpadające przez otwarte drzwi. W pierwszej chwili Marcin pomyślał, że drzwi się same przymknęły, lecz kiedy w nozdrza uderzył go słodkawy odór krwi, taki sam jak w sypialni na pierwszym piętrze, zrozumiał swój błąd. Odwrócił się gwałtownie i wyłącznie dlatego ukrywający się tu przez cały czas morderca odrobinę chybił. Cios metalową rurką miał trafić Marcina w głowę, lecz przeciął tylko skórę nad skronią i padł na ramię. Przed oczami eksplodowały mu tysiące kolorowych iskier, na moment nogi się pod nim ugięły i upadł na kolana. Nie minęły jednak dwie sekundy, jak doszedł do siebie i zerwał się z powrotem na nogi, wyszarpując pistolet z kabury pod pachą.

– On tu jest!! – wrzasnął na całe gardło. – Stefan, morderca tu jest!!

Był pewien, że jego wrzask w ciszy nocy słyszało co najmniej pół osiedla Marszowice. Napastnika już nie było. Marcin wybiegł na zewnątrz i kątem oka zobaczył, jak przeskakuje przez ogrodzenie i znika w lesie. Nie zdążył nawet podnieść broni. Nie zastanawiając się, rzucił się za nim w pogoń. Wdrapał się na siatkę i przeskoczył na drugą stronę w wysoką trawę i pędy jeżyn. Wydawało mu się, że widzi plecy mordercy znikające za najbliższymi drzewami. Ruszył biegiem, w jednej ręce trzymając pistolet, w drugiej latarkę. Po kilku krokach musiał otrzeć lepką ciecz kapiącą mu z czoła na policzek i oko. Jego krew! Nie czuł nawet bólu rozbitej głowy, tylko uczucie pulsującego gorąca. Miał nadzieję, że ktoś z ekipy widział, w którym miejscu

przeskoczył przez ogrodzenie, i że ruszyli za nim do lasu.

Przedzierał się przez krzaki i gałęzie. Latarka dawała niewiele światła i właśnie zaczynała przygasać. Nigdzie nie widział śladu napastnika. Jeśli znał dokładnie ten las, mógł być już daleko stąd. Gdzie, do jasnej cholery, jest pies?! Teraz przydałby się najbardziej.

Marcin zatrzymał się, nie widząc sensu dalszego pościgu w ciemnościach. Tym bardziej że głowa zaczęła go boleć i w nogach coraz wyraźniej czuł dziwną słabość.

Nagle jakaś ciemna postać skoczyła na niego z boku i powaliła na ziemię. Pistolet wypadł mu z ręki, a latarka upadła metr dalej i cały czas przygasała. Morderca bardzo sprawnie przycisnął go kolanami i unieruchomił w stalowym uchwycie. Marcin nie miał siły się bronić. Nawet nie zdążył się przestraszyć. Był przekonany, że za chwilę pojawi się któryś z policjantów i zastrzeli bydlaka.

Leżał twarzą do ziemi i nie widział napastnika. On tymczasem pochylił się nad nim nisko i szepnął mu do ucha:

– Wiesz, że widziałem, jak diabeł chodzi tam na palcach?

Marcin Zakrzewski poczuł lodowaty dreszcz przerażenia na plecach.

IV

Napastnik zniknął tak szybko i bezszelestnie, jak się pojawił.

Marcin leżał na ziemi, nie wierząc w to, co przed chwilą usłyszał. Tak znalazł go pościg.

Trzech policjantów z latarkami i z psem nawet się nie zatrzymało. Pobiegli dalej przez las, a przy Marcinie klęknął Sroka.

– Co ci zrobił? – zapytał zaniepokojony.

Marcin podniósł się z ziemi i klęcząc, wytarł sobie krew z czoła rękawem kurtki.

– Jasna cholera! – wykrzyknął Sroka, widząc, że krwawi.

– Nic mi nie jest – powiedział szybko Marcin. – Uderzył mnie czymś w tym składziku, gdzie się ukrywałem, ale na szczęście nie trafił mocno.

– Uciekł?

– Tak, potknąłem się o coś... – skłamał Zakrzewski.

Kolega pomógł mu się podnieść na nogi.

– Musi cię obejrzeć lekarz.

Na ulicy przed domem Janusów panował kompletny chaos. Mundurowi policjanci kazali wszystkim gapiom rozejść się do domów i pozamykać szczelnie okna i drzwi, zjeżdżały się nowe radiowozy z miasta, przyjechał już prokurator Jarosław Plich, który wyjątkowo nie lubił się ze Stefanem Sroką, i teraz objął dowodzenie akcją. Stał przy najbliższym radiowozie i organizował przybycie jednostki specjalnej do przeszukania lasu i okolic oraz koordynował zarządzoną właśnie blokadę dróg w okolicy.

Sroka włączył się do akcji, a Marcinem zajął się sanitariusz w karetce. Dokładnie wytarł mu głowę z krwi, zdezynfekował ranę i obmacał dokładnie czaszkę. Na koniec nakleił plaster i poklepał Marcina po ramieniu.

– To na szczęście niewielkie skaleczenie – powiedział. – Nie trzeba zakładać szwów, będzie za to spory guz. Chętnie zawiózłbym pana do szpitala na obserwację, ale pewnie taka opcja nie wchodzi w grę...

– Absolutnie!

– Tak myślałem. – Pokiwał głową. – Rana niewielka, ale uderzenie mogło być mocne. Nie wykluczam wystąpienia lekkiego wstrząśnienia mózgu. Gdyby pan w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin odczuwał mdłości lub zawroty głowy, proszę od razu jechać do szpitala na izbę przyjęć.

– W porządku. – Marcin skinął głową. – Dziękuję panu.

Wyszedł z karetki.

– Przepraszam pana! – usłyszał za sobą wołanie sanitariusza.

Odwrócił się i spojrzał na niego pytająco. Ten wskazał na jego spodnie.

– Ma pan brudne nogawki z tyłu.

Marcin odruchowo sięgnął i pomacał się ręką po udzie. Poczul wilgoć. Spojrzał na swoje palce i zobaczył czerwone ślady. Zrobiło mu się niedobrze.

Morderca musiał być cały umazany krwią ofiary. Gdy przygniótł go do ziemi, zostawił mu na ubraniu czerwone plamy. Zakrzewski z trudem zapanował nad twarzą. Była noc, sztuczne oświetlenie na ulicy, więc miał nadzieję, że sanitariusz nie dostrzeże koloru zabrudzeń.

– To błoto – powiedział i odszedł szybko.

Policjanta stojącego z dala od latarni poprosił o papierosa, po czym poszedł do swojego samochodu i palił w zamyśleniu oparty o maskę, tak żeby nie było widać plam na spodniach i kurtce.

Czuł się zupełnie nierealnie, jakby straszny sen sprzed kilku

godzin jeszcze trwał. A najgorsze było to, że koszmar senny spotkał się z realnym życiem. Jak to możliwe, że morderca szepnął mu akurat takie słowa do ucha? Dlaczego nie uciekł z miejsca zbrodni, tylko schował się w budynku na tyłach domu, ryzykując? Przecież gdyby policjant z psem przyjechał szybciej, natychmiast zostałby odkryty. Na kogo czekał? Na Marcina? Nie ujawnił się przecież, kiedy kilkanaście minut wcześniej Sroka zaglądał do składziku.

Marcin gubił się w domysłach. Przestało go interesować, co dzieje się dookoła. Na plecach czuł jeszcze zimne dreszcze, a na wspomnienie mordercy szepczącego mu do ucha nachodziły go mdłości. Gdzieś w środku narastała wściekłość.

Wreszcie wyraźnie przemknęło mu przez myśl pytanie, które bał się wypowiedzieć.

Czy morderca go znał?

Nie wiedział, ile czasu tak spędził. Ocknął się na widok samochodu. Wskoczyło z niego kilku ludzi z oddziału specjalnego, w pełnym rynsztunku bojowym. Dowódca rozmawiał przez chwilę ze Sroką, po czym oddział zniknął za domem, z wyjątkiem dwóch policjantów, którzy ruszyli wzdłuż ulicy, jeden po prawej, drugi po lewej stronie. Zaglądali na każde podwórze i pukali do domów. Zaraz pojawiło się też dwóch policjantów z psem wracających z pościgu. Sroka machnął do niego ręką.

Marcin podszedł do radiowozu, obok którego stali jeszcze Plich, policjanci z psem i Ruciński. Stał nieco z boku, żeby nie dostrzegli plam na spodniach.

Prokurator uściśnął Marcinowi dłoń i popatrzył na plaster z boku głowy.

– Coś poważnego? – zapytał.

– Na szczęście nie – odrzekł Marcin.

Plicha jednak nie interesowała odpowiedź, bo już odwrócił się do kogoś innego. Sroka spojrzał na Marcina i uśmiechnął się

pogardliwie. Gdyby mógł, pewnie splunąłby prokuratorowi pod nogi.

– Pies zgubił ślad około pięciuset metrów dalej – relacjonował pościg policjant z psem. – Tam jest taka polna droga. Najprawdopodobniej odjechał samochodem albo motorem.

– Panie Marcinie, słyszał pan odgłos silnika? – zapytał prokurator.

– Raczej nie, byłem oszołomiony po uderzeniu w głowę i nie słyszałem nic prócz dzwonienia w uszach. Może to zresztą był właśnie silnik?

– Ja dokładnie słyszałem odjeżdżające auto – odezwał się Ruciński.

– W którym momencie? – zapytał Sroka.

– Zaraz po tym, jak przeskoczyłem ogrodzenie.

– Czyli miał nad nami dużą przewagę.

– Ale nie mógł odjechać daleko – powiedział Plich, wyciągając komórkę i wybierając numer.

Odszedł na bok i słyszeli tylko, jak pyta kogoś o blokadę dróg.

Sroka patrzył na niego z tym samym wyrazem pogardy na twarzy.

– Możesz sobie dzwonić – szepnął przez zaciśnięte szczęki. – Zanim ktoś w środku nocy ruszy dupę i ustawi blokadę, morderca będzie już w Poznaniu.

– Dlaczego akurat w Poznaniu? – zainteresował się Ruciński.

– Za Poznaniem też nie przepadam.

– A dlaczego nie lubisz Plicha? – zapytał.

– Nie lubię dupków, którzy bardzo chętnie, dla własnej kariery, przypisują sobie cudze zasługi.

– To ma sens. – Ruciński pokiwał głową.

Prokurator wrócił do nich, chowając komórkę do kieszeni płaszcza.

– Gdzie się dało, ustawiono już blokady – powiedział.

– Pies znalazł ubranie – relacjonował dalej policjant.

– Jakie ubranie? – zainteresował się Marcin.

– Ciemnozielone spodnie ogrodniczki i bluzę, wszystko poplamione krwią. Morderca przebrał się, zanim wszedł do samochodu.

– Technik już ogląda porzucone rzeczy – wtrącił Ruciński. – Nie liczylibym jednak na wiele. Taki kombinezon roboczy można kupić w każdym markecie budowlanym.

– Dobrze – powiedział Plich. – Panie Michale, proszę pokazać mi ciało.

Razem poszli do domu.

Sroka odciągnął Marcina na bok. Wyciągnął papierosy. Zakrzewski wziął kolejnego, chociaż rozsądek podpowiadał, że nie powinien. Sroka wyglądał na zmieszanego.

– Przepraszam, Marcin – odezwał się. – Dałem dupy.

– O czym ty mówisz?

– Zaglądałem do tego składziku i niczego nie dostrzegłem. Pokpiłem sprawę.

– Obaj pokpiliśmy.

– Miałeś rację, kiedy mówiłeś, że może jest gdzieś w pobliżu i podnieca się zamieszaniem, które zrobił.

– Nie obwiniaj się, ja też poszedłem tam jak na spacer. Nie zachowałem należytej ostrożności.

– Oberwiemy za to.

Marcin tylko wzruszył ramionami. Przy kolejnym papierosie zrobiło mu się niedobrze. Wyrzucił niedopałek z obrzydzeniem.

– Jesteś błąd jak papier – powiedział jego partner.

– Boli mnie głowa i ogólnie nie czuję się najlepiej.

– Jedź do domu i odpocznij. Weź sobie dzisiaj wolne.

– Chyba żartujesz.

– Nie. Po tym występie dzisiejszej nocy będą go ścigali wszyscy gliniarze z województwa. Jakoś sobie bez ciebie poradzimy.

– Nie o to chodziło...

– Wolę cię mieć w pełni sprawnego.

Marcin rozejrzał się po ulicy. Pewnie nigdy wcześniej nie było tu tylu radiowozów. Niektóre koguty nadal mrugały kolorowymi światłami. Marzył o tym, by odjechać stąd jak najprędzej.

– Może masz rację – powiedział. – Prześpię się i jutro będę do twojej dyspozycji.

– Cześć! Nie widzę cię tu już.

– Cześć!

Odchodząc, Marcin słyszał, jak Sroka mówi do siebie:

– Dlaczego ten sukinsyn siedział tak długo w komórce?

Zatrzymał się i odwrócił.

– Stefan...

– Co?

Nie zdecydował się jednak powiedzieć prawdy.

– Nie, już nic.

Wrócił do domu przed świtem. Rozebrał się szybko, poplamione krwią ubranie wrzucił do pralki i włączył najdłuższy cykl, skórzaną kurtkę wypłukał pod prysznicem i powiesił na balkonie, żeby wyschła. Potem długo szorował wannę cifem, zanim wziął prysznic.

Była piąta czterdzieści jeden, kiedy zasiadał w fotelu z kubkiem kawy. Ręka trzęsła mu się nieznośnie ze zdenerwowania. Musiał przytrzymać naczynie drugą.

Nic nie układało się w jedną logiczną całość. Miał pustkę pod czaszką. Zaczął się zastanawiać, czy szept mordercy nie był wytworem jego wyobraźni, zaraz jednak odrzucił wątpliwości. To się na pewno wydarzyło.

Spojrzał na zdjęcie stojące nadal na stoliku obok fotela i wygrzebał z mroków pamięci wydarzenie, które wyrzucił z głowy na trzy dziesięciolecia.

Był koniec sierpnia 1981 roku. Na pewno koniec sierpnia, ponieważ tego dnia mama kupiła im na kiermaszu szkolnym we Wrocławiu zeszyty i nowe tornistry. Dokładnie miesiąc przed zaginięciem Ryśka. Marcin został po południu w domu

i przygotowywał się do szkoły. Okładał zeszyty i książki w szary papier, opisywał je starannie, oglądał nowiutkie flamastry, temperował kredki i ołówki. Cieszył się, że za kilka dni rozpocznie się nowy rok szkolny. Ryśka nie było. Gdy tylko mama z ojcem wrócili z pracy z Wrocławia pociągiem o szesnastej dwadzieścia i weszli do mieszkania, wsiadł na rower i gdzieś pojechał. Rysiek nie przepadał za szkołą i wcale nie czekał na rozpoczęcie roku. Nie lubił się uczyć, miał słabe oceny i dużo uwag z zachowania.

Wrócił do domu o zmierzchu, tuż przed kolacją, niewiele zjadł, był zamyślony, jakby nieobecny. Nie reagował na zaczepki, przed snem nie przeglądał komiksów w miesięczniku „Relax”, jak to mieli w zwyczaju. Położył się szybciej.

Mieszkali wtedy w przedwojennym domu, w którym oprócz nich żyło jeszcze sześć innych rodzin. Zajmowali trzydziestodwumetrowe mieszkanie, składające się z kuchni i dwóch pokoi, przechodnich. Żeby się dostać do pokoju bliźniaków, najpierw trzeba było przejść przez kuchnię i pokój. Mieli piętrowe łóżko, Rysiek spał na dole, a Marcin na górze. Na początku było odwrotnie, ale Rysiek dwa razy spadł z góry na podłogę podczas snu, dlatego ostatecznie rodzice umieścili go na dole.

Marcin pamiętał, że w nocy obudziło go światło. Wychylił się przez poręcz i spojrzał w dół. Rysiek leżał na wznak z otwartymi oczami, miał włączoną nocną lampkę, której używał do czytania. Wyglądał dziwnie.

– Czemu nie śpisz? – zapytał Marcin.

Rysiek nie odpowiedział.

– Jesteś chory?

Znowu brak odpowiedzi. Dopiero któreś kolejne pytanie wyrwało jego brata z rozmyślań. Popatrzył do góry i powiedział coś bardzo dziwnego, czego Marcin wtedy nie zrozumiał.

– Widziałem, jak diabeł chodzi tam na palcach.

– Gdzie?

– U księdza, w sadzie.

Wspomnienie otworzyło się w głowie żywe i kolorowe, ze wszystkimi najdrobniejszymi szczegółami. Wstał z fotela i zaczął krążyć po pokoju, gryząc palce. Wreszcie usiadł. W głowie huczało mu od nadmiaru myśli.

Nie dopuszczał do siebie tej jednej. Brzmiała zbyt nieprawdopodobnie, ale w końcu wybiła się ponad inne. Siedział, analizując argumenty za i przeciw. Właściwie nie było żadnych za, prócz jakiegoś wewnętrznego przeświadczenia.

„Widziałem, jak diabeł chodzi tam na palcach”. Słowa wypowiedziane przez Ryśka i przez mordercę z Marszowic. Odległe od siebie w czasie o trzydzieści lat. Niemożliwe, żeby padły przypadkiem. Tylko jaki z tego płynie wniosek? Ryszard Zakrzewski – brat bliźniak Marcina, zaginął, lecz nie umarł. Żyje i teraz jest mordercą. Siedział schowany w składziku na narzędzia do ostatniej możliwej chwili, czekając właśnie na Marcina. Tylko po co? Ma satysfakcję z tego, że się ujawnił? Nie chce już być anonimowy? Dlatego wybrał takie specyficzne zdanie? Skąd mógł mieć pewność, że Marcin je zapamiętał? Skąd w ogóle wiedział, że Marcin zostanie wezwany do tego morderstwa?

Bzdura! Niemożliwe! Najprostsze, najbardziej narzucające się rozwiązanie, bywają czasem strasznie złudne i... kompletnie nieprawdziwe. Marcin wiedział coś na ten temat. Musiało istnieć inne wytłumaczenie. Nic mu jednak nie przychodziło do głowy. Przypadek! Może tamto zdanie sprzed wielu lat wcale tak nie brzmiało, było tylko podobne. Czas zatarł je w pamięci i teraz oszukuje Marcina, udając inne. Musi tak być, nie ma innego rozsądnego wytłumaczenia.

Okolo siódmej trzydzieści spróbował zatelefonować do Kaśki, ale po kilku sygnałach włączyła się poczta. Pracowała od siódmej, więc na pewno już nie spała. Pewnie później oddzwoni. Co z tego,

kiedy potrzebował jej porady teraz? Długo zastanawiał się, do kogo jeszcze może zatelefonować, lecz lista jego bliskich przyjaciół nie była zbyt długa. Może Kaśka miała rację? Może po stracie brata podświadomie czuł się niepełny i dlatego nie mógł sobie ułożyć życia osobistego?

Odłożył telefon i położył się na sofie. Nawet nie wiedział, kiedy zapadł w niespokojną drzemkę. Śnił mu się koszmar najgorszy z możliwych. Uciekał przed zamaskowanym napastnikiem i nie mógł mu uciec. Nogi miał ciężkie jak z ołowiu.

Ocknął się dwie godziny później, tuż po dziesiątej. Długo nie rozumiał, co się dzieje, wreszcie uświadomił sobie, że dzwoni telefon.

– Zakrzewski, słucham? – powiedział niezupełnie jeszcze przytomny.

– Cześć! – usłyszał w słuchawce głos Kaśki.

– No cześć! – Ucieszył się.

– Byłam na spotkaniu i nie mogłam odebrać – wytłumaczyła się.

– Nie przejmuj się, to nic ważnego, chciałem po prostu zapytać, jak leci. – Z trudem stłumił ziewnięcie.

– Ostatnio mam jakoś pod górkę – odrzekła. – Wiesz, że ktoś włamał mi się do mieszkania?

W jednej chwili otrzeźwiało.

– Jak to się włamał?

– Normalnie, otworzył zamek w drzwiach. Policjant mówił, że takie zamki, jakie mam zamontowane w drzwiach, nie stanowią dla złodziei żadnej przeszkody.

– Kiedy to się stało?

– Tej nocy, gdy byliśmy na mieście, czyli w sobotę.

– Kaśka, dlaczego do mnie od razu nie zadzwoniłaś? – zapytał z wyrzutem.

– A po co miałam dzwonić? Zjawił się bardzo rozsądny policjant, który wszystkim się zajął, nie było potrzeby cię

angażować – odpowiedziała. – Poza tym nic nie zginęło.

– Jesteś pewna, że nic? – zdziwił się.

– Nie trzymam w domu nic cennego. Policjant mówił, że są szajki włamywaczy nastawione wyłącznie na gotówkę albo złoto. Nie robią bałaganu, tylko kradną kosztowne rzeczy. Podobno od razu wiedzą, gdzie ludzie najczęściej je chowają. Ja żadnych skarbów nie miałam. Jedyne cenny pierścionek, taki po mojej babci, leżał na półce przy płytach CD. Wyobraź sobie, nie znaleźli go. Nie wpadli na to, żeby szukać w takim miejscu.

Marcin poczuł dreszcz niepokoju.

– Nic nie zabrali, mówisz...

– Nic. Najgorsza jest jednak świadomość, że ktoś obcy grzebał w twoich rzeczach i był w twoim mieszkaniu – ciągnęła. – To mnie najbardziej denerwuje. Czuję się teraz jak brudna, jakbym straciła dziewictwo z najbardziej obleśnym typem z osiedla.

– Normalna reakcja na taką ingerencję w prywatność – mruknął.

– Piorę teraz pościele i bieliznę. Może to coś pomoże.

– Dobrze, że nic nie zginęło. Teraz mam wyrzuty sumienia, że wyciągnąłem cię w sobotę na miasto.

– Powinnam ci raczej podziękować. Co by było, gdybym wtedy była w domu? Skóra mi cierpnie, kiedy o tym pomyślę! – Zrobiła pauzę i zmieniła temat. – Na szczęście już po wszystkim, Tymon zmienił mi zamki na inne, podobno trudniejsze do otwarcia. Ale co u ciebie, przeziębilesz się? Masz głos, jakbyś całą noc pił.

– Praktycznie nie spałem – odrzekł. – Trafiło mi się morderstwo w nocy.

– O rany! Możesz powiedzieć coś więcej?

– Nie bardzo. – Westchnął. – Do tego jestem w dziwnie kiepskiej formie. Dręczy mnie niepokój, czuję się, jakbym jutro miał mieć klasówkę z matmy. Cały wewnętrznie się telepię.

– Spałeś trochę?

– Dwie godziny.

– Prześpij się, to ci dobrze zrobi.

– Chciałem usłyszeć twój głos.

Westchnęła.

– Marcin, ja cię nie mogę pocieszyć – powiedziała poważnie. – Musisz sobie znaleźć kogoś, kto będzie umiał to skutecznie zrobić.

– To nie takie proste. – Uśmiechnął się.

– Bzdury gadasz. Jesteś kawał ciacha, niejedna laska na ciebie poleci.

– Tak myślisz?

– Tak. Słuchaj, jestem w pracy, zadzwonimy się później – zaproponowała.

– OK. Zadzwoń, co z tym włamaniem. Jakby nic się nie działo, mogę popchnąć sprawę. Mam kilku kolegów w tym wydziale.

– Na pewno zadzwonię. Pa!

Poszedł do łazienki, odkleił plaster ze szczytu czoła po prawej stronie i popatrzył do lustra. Odpowiednio ułożona grzywka zakrywała ranę. Prawa strona głowy bez przerwy pulsowała tęnym bólem od guza. Dobrze, że tylko tak się to skończyło.

Po wyjściu z łazienki zatelefonował do swojego przyjaciela, Marka Grabskiego. Odebrał po dwóch sygnałach.

V

- Cześć, nie przeszkadzam? – zapytał Marcin trochę niepewnie.
- Nie, spokojnie. Jadę do pracy, ale Agnieszka prowadzi.
- Pozdrów żonę.
- Również ciebie pozdrawia. Pyta, kiedy wpadniesz do nas na obiad.

Marcin uśmiechnął się pod nosem. Był ojcem chrzestnym jednego z trzech synów państwa Grabskich.

- Kiedy tylko będziecie mieli ochotę – odpowiedział.
- Dobrze, umówimy się. Z czym dzwonisz?
- To nie jest na telefon. Poświęcisz mi dzisiaj kwadransik? Marek przez chwilę się zastanawiał.
- Mam naradę w wydziale na dwunastą i muszę się do niej trochę przygotować. Jeśli mamy się spotkać, to za pół godziny u mnie w biurze.

– Super! Wolałbym jednak poza twoim biurem. Zejdiesz do mnie na parking?

Grabski był zdziwiony.

- Skoro sprawa jest aż tak delikatna...
- Dla mnie tak.
- W takim razie OK.

Dwadzieścia minut później Marcin zaparkował na płatnym parkingu na Podwalu. Kupił w automacie bilet parkingowy na trzydzieści minut i włożył go za przednią szybę. Już miał wykręcać numer do Grabskiego, kiedy otworzyły się drzwi po stronie pasażera i Marek wszedł do jego auta.

- Paskudna pogoda się robi – powiedział. Uścisnęli sobie dłonie

na powitanie.

Od rana na niebie gęstniały chmury. Przed kwadransem powiał zimny wiatr i przyniósł ze sobą krople pierwszego tego roku jesiennego deszczu. Po paru minutach rozpadało się na dobre.

– Co się dziwisz? – Marcin się uśmiechnął. – Mamy koniec września.

Grabski popatrzył uważnie na jego czoło.

– Słyszałem, że miałeś przygodę w nocy – powiedział.

– To nie była dobra noc – odrzekł Marcin.

– Słyszałem o tym morderstwie. Jest duży szum po napadzie na ciebie. Komendant kazał swoim ludziom sprawdzić, czy za bardzo nie pokpiliście sprawy.

– Nikt nie miał prawa się spodziewać, że ten sukinsyn jeszcze jest na posesji.

– Ale są procedury.

– Sroka z mundurowymi przeszukali cały teren, gdy tylko się tam pojawili.

Marek jeszcze raz popatrzył na jego czoło.

– Mocno oberwałeś?

– Na szczęście nie.

– Mógł cię zabić.

– Miał mnie jak na tacy – przyznał Marcin.

Nie wspomniał, że w ciągu dwóch minut zdarzyło się tak dwa razy. Morderca mógł z nim zrobić wszystko.

– No dobrze, ale chyba nie po to mnie wyciągnąłeś na deszcz? – zapytał Marek.

Grabski miał czterdzieści pięć lat, od dwudziestu lat uprawiał biegi długodystansowe. Przebiegł dotąd trzydzieści dwa maratony, pewnie dlatego był taki szczupły. Nosił długie włosy związane z tyłu, zawsze chodził w skórzanej kurtce i uwielbiał heavy metal. Na pierwszy rzut oka trudno było uwierzyć, że jest prokuratorem śledczym w Prokuraturze Okręgowej we

Wrocławiu.

– Wspominałem wam kiedyś, że miałem brata? – zapytał Marcin.

– Tak, pamiętam, jak o nim opowiadałeś. Bliźniak.

– Właśnie mija trzydzieści lat od dnia, w którym zaginął. Możesz się z tego śmiać, ale mam nieodparte wrażenie, że jestem mu coś winny. Marek, czy któryś z policjantów, z którymi współpracujesz, mógłby sprawdzić w archiwum, czy są jakieś akta ze śledztwa w jego sprawie? Może nie zostały zniszczone? Chciałbym do nich zajrzeć i dowiedzieć się, czy ówcześni śledczy doszli do jakichś wniosków, czy mieli jakieś poszlaki, zebrali ślady. Proszę cię nieoficjalnie.

Marek wyciągnął notes i okulary z drugiej kieszeni.

– Dobrze – zgodził się. – Jeśli dokumenty nie zostały zniszczone, odnajdziemy je i dostaniesz skany. Oczywiście nieoficjalnie.

– Jasne. Nie będę ich publikował w prasie.

– Mam nadzieję. Podaj mi tylko parę szczegółów.

Marcin mówił, a Grabski notował.

– Mieszkaliśmy w Szczepanowie, gmina Środa Śląska, na ulicy Polnej 12. Ryszard Zakrzewski, syn Wiesława i Zofii, z domu Radecka, urodzony 15 lipca 1969 roku w Środzie Śląskiej. Zaginął 20 września 1981 roku w Szczepanowie.

Marek spojrzał na niego uważnie znad okularów.

– Na pewno był koniec września? – zapytał z dziwną miną.

– Oczywiście. Coś się stało?

– Nie, nie. Tak pytam. Jak zaginął?

– Byliśmy u dziadka na ulicy Lipnickiej. Razem z rodzicami mieliśmy wracać rowerami do domu, oddalonego o około półtora kilometra. Rysiek powiedział, że pojedzie pierwszy. No i pojechał. Wtedy widzieliśmy go ostatni raz. Ja ruszyłem z rodzicami kwadrans później.

– Rozumiem.

– Z tego, co pamiętam z tamtych czasów, sąsiedzi mówili, że nas widzieli jadących rowerami. Ryśka nikt nie widział i nikt nic nie pamięta. Jakby zapadł się pod ziemię.

– Ciekawe.

Marek zastygł zamyślony nad otwartym notesem, wreszcie schował go szybkim ruchem i otworzył drzwi samochodu. Miał dziwny wyraz twarzy.

– Stało się coś? – powtórzył Marcin.

– Chyba nie – odrzekł Grabski. – Muszę już lecieć. Odezwę się do ciebie, jak tylko coś uda mi się znaleźć.

– Z góry dziękuję!

– Podziękujesz, jak będzie za co. Cześć!

Marek zatrzasnął drzwi. Marcin widział przez szyby zalane deszczem, jak biegnie w kierunku wejścia do budynku komendy wojewódzkiej.

VI

Zaraz po rozmowie z Markiem Grabskim Marcin zatelefonował do Sroki. Powiedział, że nie wytrzyma całego dnia w domu i wraca do pracy.

Najpierw pojechał do biura, żeby napisać raport. Wydział był już po naradzie i śledczy rozjechali się po terenie. Po załatwieniu papierkowej roboty Zakrzewski jeszcze raz pojechał na miejsce zbrodni. Razem ze Sroką dokładnie sprawdzili cały teren. Od rana pracowali tu kolejni technicy zabezpieczający ślady. Na leśnej drodze, w miejscu, z którego prawdopodobnie odjechał morderca, zrobiono sześć odlewów różnych śladów opon i dziewięć odlewów odcisków obuwia. Poplamione krwią ubranie i buty odesłano do analizy do laboratorium, podobnie jak włosy zebrane na miejscu zbrodni, strzępki ubrania i nitki. Na razie nie ustalono żadnych okoliczności, które mogłyby jednoznacznie wskazać kierunek dalszego śledztwa.

We wtorek, 27 września Michał Ruciński zajął się przeświadczeniem działalności biznesowej Janusa, inni śledczy przesłuchiwali sąsiadów, uruchomione zostały też wydziały śledcze poza Wrocławiem, które miały za zadanie zrobić sondę wśród rodziny i przyjaciół Janusów. Zwracano uwagę na każdą ewentualność: zawiść, rodzinne niesnaski, nierozwiązane sprawy majątkowe, konflikty, chociaż charakter morderstwa sugerował coś zgoła innego. Raporty i zeznania spływały do ich wydziału i tu były poddawane dokładnej analizie. Cały czas ekipa pracowała też na miejscu zbrodni. Odtwarzano przebieg zdarzeń, zarówno samego morderstwa, jak i wydarzeń po. Biegły

sądowy zbierał materiały do portretu psychologicznego sprawcy.

W środę, 28 września zaczęły spływać pierwsze dane z laboratoriów. Były bardzo obiecujące. Na butach znaleziono krew nienależącą do ofiary. Sprawca musiał się skaleczyć podczas zadawania kilkadziesiątu pchnięć nożem. Obok butów znaleziono też włos, nienależący do nikogo z rodziny Janusów. Istniało duże prawdopodobieństwo, że był to włos sprawcy.

Po południu na biurko Sroki trafił raport lekarza sądowego z przeprowadzonej sekcji zwłok, ilustrowany kilkunastoma fotografiami. W wydziale zabójstw pracowali policjanci z wieloletnim doświadczeniem, którzy niejedno już widzieli i na pewne okropieństwa się uodpornili. Jednak tego raportu nikt nie był w stanie czytać na chłodno. Rzeźnik z Marszowic, ktoś nazwał tak mordercę w prasie i nazwa przyjęła się zupełnie naturalnie.

Maria Janus została najprawdopodobniej zaatakowana podczas snu. Morderca zadał jej sześćdziesiąt jeden ciosów ostrym narzędziem – prawdopodobnie nożem z ząbkami – w twarz, szyję, klatkę piersiową, ramiona, brzuch i uda, jakby wpadł w amok i długo kaleczył ciało, zanim ochłonął. Lekarz zauważył jeszcze cztery nacięcia na brzuchu, szyi, skroni i prawym udzie. Według niego były to ostatnie rany, jakie sprawca zadał swojej ofierze. Bardzo prawdopodobne, że ten morderczy amok został nagle przerwany przez wracającego do domu męża.

Środa zakończyła się naradą w wydziale i podsumowaniem dotychczasowych ustaleń.

Marcin wrócił do domu około dziewiętnastej, kompletnie wycieńczony. Odgrzał sobie w mikrofalówce kupioną po drodze pizzerkę i zjadł ją bez apetytu, popijając piwem. Od poniedziałku niewiele jadł. Pod powiekami wciąż miał obrazy z sypialni Janusów. Ale nie to było najgorsze. Ciągłe słyszał szept mordercy, wyraźnie, każde słowo, i czuł obrzydzenie. Po kolacji wziął

prysznic, położył się na sofie i próbował czytać książkę. Tydzień wcześniej pożyczył od mamy historyczną powieść kryminalną Imprimatur, ale za każdym razem czytał kilka stron i znudzony, odkładał ją na półkę. Podobnie było tym razem, poszedł więc do lodówki po drugie piwo i pólżąc na sofie, oglądał telewizję. Przełączał kanały, nie koncentrując się na niczym konkretnym. To go odprężyło.

Przypomniał sobie, że w poniedziałek telefonował do Kaśki, obiecała, że zadzwoni i powie, czy jest coś nowego w sprawie włamania. Nie oddzwoniła. Przyszło mu do głowy, że może ma do niego żal po ich ostatnim spotkaniu, ale doszedł do wniosku, że nie może sobie nic zarzucić. Wprost przeciwnie – zachował się aż za porządnie. Może powinien skorzystać z okazji? Przecież wiedział – powiedziała mu to niejednokrotnie wprost – że nie jest jej obojętny. Po chwili odsunął tę myśl. Za późno i nie w jego stylu.

Dalej patrzył w ekran telewizora i nagle przestał cokolwiek widzieć. Pomyślał o Ryśku i zaraz zalały go wspomnienia. Jakby w pamięci otworzyły się nagle drzwi, których wcześniej nie mógł otworzyć. A może nie chciał ich otwierać?

Kiedyś, na ulicy Lipnickiej, naprzeciw domu ich dziadka Władysława, ktoś postanowił wybudować trzy budynki fermy kur. Na łąkę zwieziono kilka ciężarówek pustaków, które długo leżały, zarastając trawą i krzakami. To były czasy głębokiej komuny, kiedy budowy ciągnęły się latami. Dzieci z ulicy lubiły bawić się na tych pustakach, chociaż naprzeciw łąki mieszkał też sołtys, który je stamtąd przeganiał. Trzeba było zakradać się tam tak, żeby sołtys nie zauważył.

Któregoś dnia Rysiek z chłopakiem z domu obok, Arkiem, namówili Marcina na zabawę za pustakami. Dostali się tam i ukryli za jedną ze stert, a wtedy Rysiek z dziwnym grymasem na twarzy wyciągnął z kieszeni kurtki drewniany piórnik z odsuwającym wieczkiem. W środku miał kilkanaście

niedopałków papierosów. Musiał je przez jakiś czas zbierać z chodników. Za tymi pustakami pierwszy raz zapalili prawdziwe papierosy. Marcin nie pamiętał dokładnie, ale wydawało mu się, że mieli nie więcej niż dziesięć lat. Potem przegonił ich stamtąd sołtys.

Przypomniał sobie jeszcze jedno zdarzenie, też związane z papierosami. To był już wrzesień feralnego roku, zaraz po rozpoczęciu szkoły. Rysiek zdobył nie wiadomo skąd całe papierosy – sporty – i namówił Marcina do zapalenia ich na długiej przerwie. Jeden z budynków szkolnych sąsiadował z ziemią leżącą nieopodal drugiego kościoła w Szczepanowie wybudowanego w XIX wieku. Wystarczyło przeskoczyć płot i przebiec kilkadziesiąt metrów do małego przykościelnego parku porośniętego krzakami. Doskonałe miejsce, żeby ukryć się przed światem. Kiedyś stał tam budynek plebanii, ale zostały z niego tylko fundamenty. Tam wypalili papierosy i wrócili do szkoły na lekcje. Nagle okazało się, że o ich wyczynie wiedzą wszyscy uczniowie. Patrzyli na nich z podziwem i Marcin pomyślał, że Rysiek się wcześniej komuś pochwalił.

Nagle przyszło mu do głowy, że to dziwne. Wszystkie jego wspomnienia związane z bratem miały negatywny wydźwięk. Zawsze Rysiek nakłaniał go do czegoś, z czym Marcin się nie zgadzał lub czego sam nigdy by nie zrobił. Zawsze był grzecznym i ułożonym chłopcem. Rysiek był inny.

W połowie września tego samego roku na zajęciach praktyczno-technicznych ich klasa sprzątała teren wokół szkoły z pierwszych liści. Układali je w kupki przy ogrodzeniu, skąd miał je usunąć woźny. Rysiek wpadł na kolejny szalony pomysł. Przysypał liśćmi wielki kamień, a potem zapoczątkował wśród chłopców zabawę polegającą na podbieganiu do kupek i rozwalaniu ich mocnym kopnięciem. Jeden z kolegów kopnął z całej siły w ukryty pod liśćmi kamień i złamał nogę. Zanim przyjechała karetka ze Środy Śląskiej, przez prawie godzinę

cierpiał, leżąc na ziemi. Zrobiło się zbiegowisko, wszyscy biedakowi współczuli. Jedynym, który się z niego śmiał, był Rysiek. Uważał, że wymyślił świetny dowcip.

Innym razem, również na zajęciach praktyczno-technicznych, chłopcy mieli skopać szpadlami przyszkolny ogródek i przygotować go na zimę. Tego dnia Rysiek przyniósł do szkoły piłkę i zamiast pracować w ogrodzie, namówił kilku chłopców, żeby zagrali na boisku. Na koniec lekcji wszyscy solidarnie dostali oceny niedostateczne.

Nagle z ekranu wylał się jazgot natrętnych reklam pasty do zębów, proszków do prania i tabletek nie wiadomo na co. To przywróciło Marcina do rzeczywistości. Poczuł, że zmarł. Wyłączył telewizor, przykrył się kocem i zasnął na sofie.

*

Następnego dnia około ósmej poranne mycie zębów przerwał mu sygnał telefonu. Dzwonił prokurator Marek Grabski. Marcin trochę się zdziwił telefonem od niego o tej porze. Właściwie zapomniał o swojej prośbie, zresztą nie przypuszczał, że Marek spełni ją tak szybko.

– Cześć, Marcin, muszę się z tobą jak najszybciej zobaczyć – powiedział Grabski bez żadnych wstępów. – Bądź zaraz w sali konferencyjnej w komendzie wojewódzkiej.

– Co się stało? – zaciekawiał się Marcin.

– Musimy porozmawiać o sprawie twojego brata.

Marcin poczuł dreszcz niepokoju na plecach.

– O co chodzi?

– To nie jest rozmowa na telefon – odrzekł twardo Marek. – Muszę się z tobą pilnie spotkać. Zresztą przyjdzie też jeden z moich ludzi.

– Rozumiem – powiedział ostrożnie Zakrzewski. – Muszę tylko

zatelefonować do Stefana Sroki, mieliśmy jechać w teren...

– Już z nim rozmawiałem – przerwał mu Grabski. – Wszystko załatwione.

Marcin zaniepokoił się jeszcze bardziej.

– Dobrze, zaraz wyjeżdżam.

Nie zdążył nawet zrobić sobie kawy, wziął tylko do samochodu pęto kabanosów drobiowych. Niestety, utknął w porannym korku i zrozumiał, że nie ma szans na szybkie dotarcie do centrum. Potem szukał jeszcze miejsca do parkowania, ponieważ nawet na parkingu policji nie było gdzie stanąć. Zaparkował daleko od Podwala i musiał przejść kilkaset metrów. Było pochmurnie i zimno, na dodatek w twarz wiał mu silny wiatr, niosąc ze sobą drobinki deszczu.

*

Prokurator Grabski czekał przed wejściem do salki konferencyjnej. Miał w rękach dwie kawy kupione w automacie.

– Nie wiem, czy już piłeś – powiedział.

– Nie zdążyłem – przyznał się Marcin. – Wyciągnąłeś mnie z łazienki.

– Wybacz, sprawa jest dość nietypowa.

– Słucham?

Usiedli naprzeciw siebie. Marek popatrzył Marcinowi w oczy i powiedział:

– Prokuratura wznowiła śledztwo w sprawie zaginięcia twojego brata jako jeden z pobocznych wątków w śledztwie, którym zajmuje się teraz mój najlepszy człowiek w wydziale kryminalnym.

Marcin poczuł suchość w ustach. Podniósł kubek z kawą i wypił łyk. Nawet nie poczuł, że kawa smakuje okropnie.

– W związku z tym że nie mam ludzi, wystąpiłem do

komendanta o przesunięcie do tego śledztwa ciebie – kontynuował Grabski. – Zgodził się i dzisiaj rano załatwiłem wszystko z twoim wydziałem. Rozmawiałem z komisarzem Sroką. Jeśli tylko wyrazisz zgodę, od tej chwili pracujesz dla mnie.

Marcin chrząknął, bo nie do końca rozumiał, co się dzieje.

– Wiesz, jestem trochę zaskoczony – odezwał się wreszcie niepewnie.

– Szczerze mówiąc, bardzo liczę na twoją zgodę – powiedział Marek i wyciągnął z teczki czarny segregator z dokumentami. – Mam nadzieję, że pozbędziesz się wątpliwości. Takie śledztwo po wielu latach wymaga szczególnej znajomości okolicy, w której zdarzyło się przestępstwo. W Szczepanowie spędziłeś dzieciństwo i lata młodości, znasz ludzi stamtąd. Nikt nie zrobi tego lepiej od ciebie. Poza tym masz dodatkową motywację. Przecież chodzi o twojego brata.

Marcin wciąż nie mógł otrząsnąć się z szoku. Wręcz przeciwnie, był coraz bardziej zdenerwowany. Z trudem maskował drżenie rąk, kiedy sięgał po kubek z kawą.

– Kiedy muszę podjąć decyzję? – zapytał, grając na zwłokę.

– Najpierw powinieneś się zapoznać z dokumentami, które zgromadziliśmy w tym segregatorze. To skany archiwalnych akt spraw wydziału kryminalnego w Środzie Śląskiej, poukładane chronologicznie. Ja teraz mam odprawę, a ty możesz tu zostać i przejrzeć akta. Wróć za jakąś godzinę. Nie ma tego wiele, powinieneś zdążyć.

– Może zdążę. – Marcin próbował się uśmiechnąć, chyba mu jednak nie wyszło.

Grabski wstał od stołu i skierował się do drzwi.

– Mogę jeszcze o coś zapytać?

Marek spojrzał na niego przez ramię.

– Mówiłeś, że sprawa mojego brata jest częścią większej całości...

– Tak – potwierdził Grabski. – Sprawa jest niespodziewanie bardzo rozwojowa i coraz bardziej nas zaskakuje. Prawdę mówiąc, gdybyś nie przyszedł do mnie w poniedziałek, moglibyśmy nigdy nie trafić na ten wątek. Resztę opowie ci mój człowiek, jeśli zgodzisz się dla nas pracować.

– Dobrze.

– Masz godzinę – przypomniał i wyszedł, zostawiając Marcina samego.

VII

Zakrzewski sięgnął po segregator i spojrzał na pierwszą stronę w foliowej koszulce. Był to skan dokumentu pisanego ręcznie, z czasów tuż po drugiej wojnie światowej. W miarę, jak przeglądał akta, robiło mu się coraz bardziej gorąco. Zdjął sweter i zapominając o kawie, przeglądał dokumenty. Powoli odsłaniał się przed nim przerażający ciąg zaginięć nastoletnich chłopców w Szczepanowie i okolicznych miejscowościach. Domyślał się już, że gdzieś na końcu będzie sprawa jego brata.

Pierwsze zgłoszenie zaginięcia datowane było na 29 września 1949 roku. Leokadia Rutkowska zamieszkała w Szczepanowie zgłosiła się na posterunek milicji w Środzie Śląskiej i zeznała, że już trzy dni wcześniej, czyli około 26 września, zaginął jej najmłodszy syn, jedenastoletni Zenon. Początek jesieni tego roku był bardzo pogodny i ciepły, trawa na dzikich łąkach wokół wsi była jeszcze zielona. Zenek, jak co rano, poszedł paść trzy krowy. Tym razem wybrał się na łąki położone na północ od wioski, pod lasem, na terenie zwanym przez mieszkańców foglem. Gdy nie wrócił do wieczora, bracia poszli go szukać. Znaleźli tylko bydło, ich brat zniknął bez śladu. Czasy były jeszcze takie, że nie od razu zawiadamiano milicję. Najpierw rodzina myślała, że poszedł na łąki z kolegami i zapomniał o krowach, co nieraz mu się już zdarzało. Następnego dnia z sąsiadami przeszukali okoliczne lasy, ale nie znaleźli niczego. Dopiero po dwóch dniach matka zdecydowała się zawiadomić władzę. Na miejsce przyjechał oficer milicji, przesłuchał wszystkich, rzetelnie spisał zeznania, porozmawiał z sąsiadami i niczego nie ustalił. Marcin

czytał teraz te zeznania, zastanawiając się, jaki w ogóle miały cel. Zamiast zacząć od miejsca, gdzie widziano chłopca ostatni raz, milicjant przesłuchiwał sąsiadów w wiosce oddalonej o dwa kilometry od fogla.

Marcin też znał to określenie. Przez fogel prowadziła prosta droga przez las do sąsiedniej miejscowości Brodno. Przy drodze wijącej się pośród łąki rosły dzikie śliwy i grusze. Jeszcze przed wojną z prawej strony drogi, zaraz pod lasem, stała leśniczówka, a dalej w prawo jednopiętrowy, biały, długi budynek, w którym mieściła się szkoła Hitlerjugend. Teraz nie było po niej śladu. Po leśniczówce zostały tylko fundamenty i zasypana studnia z czerwonej cegły.

Wielokrotnie chodził tam z kolegami albo przejeżdżał rowerem, gdy chciał się wykąpać w stawie w Brodnie. Teraz, czytając akta sprawy zniknięcia Zenona Rutkowskiego, przed oczami miał każdy szczegół tej drogi.

Dopiero po tygodniu wojsko przeszukało lasy; bezskutecznie. Wreszcie po dwóch miesiącach sprawa została zamknięta. Oficjalna wersja była wyssana z palca. W kraju, gdzie rozkwitał socjalizm, nie było morderców dzieci. Mogły się co najwyżej pojawić niemieckie bandy, które ukrywały się jeszcze w lesie, winni mogli też być przeciwnicy nowego ustroju. Do takich nonsensownych wniosków doszedł śledczy w raporcie zamykającym dochodzenie.

Sięgnął po następne akta datowane na koniec września równe cztery lata później. 30 września 1953 roku zaginął Włodzimierz Wysocki, lat dziesięć, również zamieszkały w Szczepanowie. Ostatni raz widziano go koło cmentarza przy wyjeździe z wioski w kierunku północnym. Nigdy nie ustalono, dlaczego tam był i skąd wracał. Zapadał zmierzch, było pochmurno i siąpił deszcz. Zgłoszenie o zaginięciu zostało przyjęte już następnego dnia, przez innego milicjanta. Po działaniach milicji widać było, że czasy się już mocno zmieniły, nowa władza okrzepła na terenach

odzyskanych po drugiej wojnie światowej. Dochodzenie było przeprowadzone szybko i z rozmachem. Ilość zeznań świadków i protokołów z prób rekonstrukcji zdarzeń oraz przeszukania okolicznych lasów, a nawet zabudowań gospodarczych na ulicy Kopyczyńskiej, sąsiadującej z cmentarzem, była imponująca. Niestety, chłopca nie odnaleziono.

Kolejne akta były już w całości pisane na maszynie. Stanisław Biliński, mieszkaniec pobliskiej wsi Święte, lat dziewięć, zapadł się pod ziemię dokładnie cztery lata po poprzednim zaginięciu. Nie wiadomo, kiedy zniknął. Wielodzietna rodzina Bilińskich dopiero późnym wieczorem 29 września 1957 roku zauważyła, że go nie ma. Później w trakcie czynności ustalono, że chłopca nikt nie widział od wczesnych godzin porannych. Dalej, podobnie jak w poprzednich wypadkach, następował szereg zeznań świadków, informacje o przeszukiwaniu pobliskich lasów, podmokłych łąk i oczek wodnych przez wojsko i mieszkańców. Bez skutku. Kilka osób zeznało, że chyba widziały chłopca tu czy tam, jednak informacje się nie potwierdzały. Niektóre zeznania były ze sobą ewidentnie sprzeczne. Sprawę umorzono.

Wczesnym rankiem 30 września 1961 roku Stefan Rudnicki, dwunastolatek zamieszkały w Brodnie, poszedł nad staw na ryby. Dwóch wędkarzy przypomniało sobie, że widzieli go, jak łowił. Na miejscu zniknięcia nie znaleziono ani kanki, do której wpuszczał złowione płocie i karasie, ani wędki. Została tylko kromka chleba namoczona w wodzie na przynętę. Akta przypominały te z poprzednich lat, chłopiec przepadł. Tym razem skupiono się głównie na wątku nieszczęśliwego wypadku i utonięcia. Wojsko na łodziach przez prawie tydzień przeszukiwało przybrzeżne zarośla. Staw w Brodnie był dawnym korytem Odry i ciągnął się na długości kilkuset metrów. Nie pomogli nawet nurkowie, którzy przyjechali na pomoc z Wrocławia.

Marcin na chwilę przerwał lekturę. Wytarł w spodnie spocone

dłonie. Myślał gorączkowo. Dlaczego nikt wtedy nie połączył tych spraw? Przecież takie rozwiązanie narzucało się samo. Wszyscy chłopcy mieli około dziesięciu lat, znikali co cztery lata, zawsze na koniec września. Dlaczego co cztery, a nie pięć, skąd taka regularność u sprawcy? Przełknął ślinę i sięgnął po kolejne akta: 27 września 1965 – Gracjan Wereszczyński, lat jedenaście, zamieszkały w Szczepanowie. Pojechał rowerem po mleko do ciotki, która mieszkała na końcu tej samej ulicy, na zakręcie. Było już ciemno, wiał silny wiatr i padał deszcz. Nigdy do ciotki nie dojechał. W związku z tym że było blisko, ciotka sama przyniosła mleko i wtedy okazało się, że Gracjan gdzieś przepadł.

Marcin nerwowo poruszył się w fotelu. Znowu bardzo dobrze znał miejsce zdarzenia. Na tej samej ulicy, obecnie noszącej nazwę Lipnickiej, spędził dzieciństwo, bo mieszkał tam jego dziadek. Na tej samej ulicy ostatni raz widział Ryśka znikającego za zakrętem na składaku marki Wigry 3.

Z późniejszej rekonstrukcji zdarzeń z 27 września 1965 roku można było wysnuć jeden wniosek – omal nie złapano wtedy sprawcy porwań chłopców. Te akta były grubsze od poprzednich, a Marcin nie miał za dużo czasu i mimo że sprawa przyprawiła go o dreszcz emocji na plecach, tylko przeleciał wzrokiem kilka kartek. To musiał być gorący wieczór. Szybko zauważono zniknięcie chłopca, sąsiedzi natychmiast się skrzyknęli i ruszyli na poszukiwania. Bardzo możliwe, że ludzie pamiętali o poprzednich porwaniach i dlatego zareagowali tak błyskawicznie.

W krzakach po lewej stronie drogi, jakieś dwieście metrów od domu i niecałe pięćdziesiąt od domu ciotki, do której jechał chłopiec, znaleziono rower i bańkę na mleko. Później na obecnej ulicy Leśnej, na wysokości basenu przeciwpożarowego, ścigano nawet jakiegoś mężczyznę, ale udało mu się zbiec do lasu. Zastanawiające było jednak to, że Gracjana nie odnaleziono, żywego ani martwego. Marcin ze zdumieniem odnalazł w aktach

zeznania swojego dziadka, ale postanowił, że zapozna się z nimi później.

Kolejne cztery lata przerwy i kolejne porwanie, 25 września 1969. Ofiara: Franciszek Kuriata, lat osiem, zamieszkały w Szczepanowie.

Marcin coraz szybciej i z coraz większą niecierpliwością przerzucał kartki, nie mogąc się doczekać aktu ze śledztwa jego brata. Przelatywał wzrokiem wyrywkowe zdania, żeby wiedzieć, co zaszło. Chłopiec zniknął z podwórka swojego domu około szesnastej w bardzo pochmurny i mglisty dzień. Bezczelność i bezkarność sprawcy było zadziwiająca. Jeszcze bardziej ślepotą ludzi i ich niepamięć o podobnych faktach z niedalekiej przeszłości.

Marcin znowu się zamyślił. Właściwie w dzieciństwie ani młodości nie słyszał o zaginięciach dzieci, a przecież o takich sensacjach pamięta się w okolicy przez dziesiątki lat, szczególnie w wiosce, gdzie wszyscy się znają. Dlaczego dziadek nigdy o niczym mu nie wspomniał, choć brał udział w pościgu za sprawcą porwania z 1965 roku? Dlaczego nic nie mówił po tym, jak Rysiek zaginął w takich samych okolicznościach? Czy rodzice też o niczym nie wiedzieli? Niemożliwe! Pamięć musiała istnieć. Z jakich powodów nikt nigdy nie opowiadał o zaginionych chłopcach?

Sprawa z 1969 roku była na swój sposób wyjątkowa. Śledczy prowadzący dochodzenie połączył dotychczasowe zniknięcia w jedną całość i zameldował przełożonym, że w Szczepanowie grasuje morderca dzieci. Pomiął co prawda zniknięcia w Brodnie i Świętym, ale i tak należał mu się szacunek za dociekliwość i spostrzegawczość. Najwidoczniej jednak władze partyjne na terenie powiatu Środa Śląska nie zamierzały ponosić politycznych konsekwencji potencjalnej afery i ukreśliły sprawie łeb. Śledczy, nie wiadomo dlaczego, został odsunięty od sprawy. Przejął ją wyjątkowy półgłówek, sądząc po bzdurach, które

wypisywał w raportach.

30 września 1973 roku ze wsi Komorniki koło Środy Śląskiej porwany został Staś Chorążewski, lat jedenaście.

Marcin czuł narastającą złość. Kolejna wersja tej samej sprawy. Po ciepłym i słonecznym dniu przyszły chmury i zaczęło mżyć. Mama wysłała Stasia do babci mieszkającej dwie ulice dalej, żeby oddał pieniądze, które poprzedniego dnia pożyczyła. Chłopiec bardzo lubił chodzić do babci i często zostawał u niej na kolacji, dlatego matka nie zaniepokoiła się, gdy długo nie wracał. Dopiero kiedy zrobiło się naprawdę późno, ubrała się i poszła po syna. Okazało się, że nigdy do babci nie dotarł. Wujek Stasia był milicjantem i natychmiast zawiadomił o zniknięciu swoich kolegów w Środzie Śląskiej. Milicja zablokowała drogi i sprawdzała wszystkie auta, a nawet pieszych i rowerzystów, spisując ich z imienia i nazwiska. Nie znaleziono niczego podejrzanego. W tej sprawie po raz pierwszy pojawił się podejrzany. Bogdan Chartas, miejscowy drobny pijaczyna i niebieski ptak, został dwa dni później aresztowany pod zarzutem morderstwa. Motywem miały być pieniądze, chłopiec miał je przecież przy sobie. W aktach była wymieniona kwota, ale Marcin nie kojarzył, czy w tamtych czasach była wysoka czy nie.

Chartas został aresztowany na podstawie zeznań trzech osób, które widziały, jak tego wieczoru kręcił się po wsi. Do aresztowania pewnie przyczynił się też wujek zaginionego chłopca, który naciskał na kolegów z milicji. Oczywiście do procesu nie doszło i Chartas został w końcu zwolniony. Nie było żadnych dowodów jego winy. Nie miał przy sobie pieniędzy, nie potrafił wskazać, gdzie ukrył ciało. Wymuszone przez milicję zeznania okazały się nieprawdziwe.

Cztery lata później, 29 września 1977 roku, zaginął Tadeusz Baraniecki ze wsi Lipnica, lat dziesięć. Po szkole pojechał do pobliskiego lasu na grzyby. Nigdy nie wrócił. Tym razem

znaleziono jego rzeczy ukryte w lesie pod gałęziami: rower, koszyk i porwaną kurtkę. Nie odkryto na nich żadnych śladów osób trzecich. Okoliczne lasy zostały przeszukane, bez rezultatu. Tym razem nie było nawet podejrzanego.

Wreszcie dotarł do dokumentów na końcu segregatora. Ryszard Zakrzewski, lat jedenaście, zaginiony 28 września 1981 roku. Przerzucił je i poczuł rozczarowanie. Tylko kilka kartek! Zgłoszenie zaginięcia, jakieś bzdurne przesłuchania, raporty milicjantów wysłanych w teren, wywiady środowiskowe o rodzinie i nic więcej. Żadnych śladów, hipotez, poszlak, jakby w tym czasie w komendzie w Środzie Śląskiej pracowali ludzie pozbawieni wyobraźni i niezdolni do podjęcia działań. Szok! Nie wiedział, co ma o tym sądzić. Napięcie powoli zaczęło z niego schodzić. Może akta były niekompletne? Minęło przecież tyle lat...

W jednej chwili podjął decyzję. Kaśka miała rację – był coś winien swojemu bratu, może również sobie i rodzinie. Nie wiedział, jak rodzice przyjmą jego decyzję, ale nie zastanawiał się nad tym specjalnie.

Otworzyły się drzwi i wszedł Marek Grabski.

– Spóźniłem się trochę – powiedział.

Marcin spojrzał na zegarek i znieruchomiał. Dochodziła jedenasta! Przeglądał akta przez prawie trzy godziny! Wydawało mu się, że minęło kilka kwadransów. Zamknął czarny nieopisany segregator i powiedział:

– Nie zdążyłem do końca przejrzeć...

Marek usiadł na tym samym miejscu.

– Co o nich myślisz? – zapytał.

– Jestem wstrząśnięty. – Marcin nie ukrywał emocji. – Marek, ja tam mieszkałem do osiemnastego roku życia. Czy potrafisz sobie wyobrazić, że nigdy nie słyszałem o zaginięciach dzieci? Nikt o tym głośno nie mówił. Po prostu nie mogę w to uwierzyć. Jakbym czytał o innym Szczepanowie, o innych ludziach, innych

ulicach, a przecież sporo osób składających zeznania znam osobiście lub przynajmniej wiem, gdzie mieszkali i jak wyglądają. Pewnie wielu już nie żyje, ale pamiętam te nazwiska.

– Naprawdę jesteś poruszony.

– Nawet więcej, zszokowany! Seryjny morderca działał w mojej rodzinnej miejscowości przez trzydzieści sześć lat, a ja nic o tym nie wiedziałem. Naprawdę nie wiem, co mam o tym sądzić. Kiedy w poniedziałek przyszedłem z tym do ciebie, nigdy bym się nie spodziewał...

Marek popatrzył mu w oczy.

– Prawda jest taka, że do chwili, kiedy mi powiedziałeś o zaginięciu brata, nic nie wiedzieliśmy o pozostałych. Już w samochodzie, kiedy wspomniałeś, że zniknął w końcu września, zacząłem coś podejrzewać. Koledzy z archiwum szybko odnaleźli odpowiednie akta. Algorytm jest bardzo prosty: zaginięcie, chłopiec, wiek około dziesięciu lat, druga połowa września, co cztery lata. Powinienem ci podziękować.

– Zaraz, zaraz. – Marcin poruszył się w fotelu. – O czym tym mówisz? Jak to nic nie wiedzieliście o pozostałych? W takim razie jak znaleźcie ten algorytm?

Marek nie odpowiedział od razu. Wstał, podszedł do okna, zerknął w dół i wrócił na miejsce.

– Od półtora roku prowadzimy śledztwo w sprawie zaginięć czterech chłopców w latach 1991–2003, według tego samego klucza. Myśleliśmy, że to jedyne zdarzenia. Nikt ze śledczych nie miał tyle wyobraźni, żeby szukać podobnych przypadków w tak odległych latach. Dlatego mówiłem ci na początku, że jest to tylko odłam bardzo rozwojowego śledztwa, w które chciałbym włączyć też ciebie.

Marcin ciągle był w szoku.

– Takie same sprawy? – zapytał.

– Dokładnie. Co cztery lata, koniec września, chłopcy, żadnych śladów, nigdy żadnego nie odnaleziono.

– Zaraz, zaraz, pierwsze zniknięcie datowane jest na 1947 rok, ostatnie na 2002. Chcesz mi powiedzieć, że sprawca działał przez ponad pół wieku?

– Też jesteśmy poruszeni. Nie przypuszczaliśmy, że cofniemy się aż tak daleko.

– Zakładając, że sprawca przy pierwszym porwaniu miał dwadzieścia lat, przy ostatnim musiał mieć siedemdziesiąt pięć. Teraz może mieć osiemdziesiąt sześć lat!

– Ostatnie porwanie miało miejsce w 2002 roku – powiedział Grabski. – Później działalność tego sukinsyna się urywa. Teraz śmiem podejrzewać, że może już nie żyje.

– Jezu Chryste! – wykrzyknął Zakrzewski. – Dlaczego nikt tego wcześniej nie odkrył? Jeśli w ten sposób wywinął się sprawiedliwości, nigdy sobie tego nie wybaczę! Cemu wcześniej nie zająłem się zaginięciem Ryśka?

– Nie rób sobie wyrzutów. Teraz drań smaży się w piekle.

– Jakoś nie czuję wielkiej satysfakcji. W jakim my państwie żyjemy, do cholery?! Facet bezkarnie morduje dzieci przez ponad pół wieku i nie ponosi żadnej kary? Jeszcze pewnie ksiądz wychwalał go na pogrzebie, jakim był wspaniałym katolikiem, rodzicem i dziadkiem. Cholera! Mogłem się o tym nigdy nie dowiedzieć, może byłbym spokojniejszy.

– Niestety. – Prokurator rozłożył ręce. – Może być tak jak mówisz. Nie zmienia to faktu, że powinniśmy się dowiedzieć, kim był ten psychopata.

Marcin milczał, nerwowo zaciskając usta.

– Wracam do swojego pierwszego pytania – odezwał się Marek. – Bierzesz tę sprawę?

W jednej sekundzie przed oczami Marcina przemknęły sceny z ostatnich dni: zakrwawione zwłoki kobiety, cień zasłaniający wejście do składu na narzędzia, szept mordercy tuż przy jego uchu: „Widziałem, jak diabeł chodzi tam na palcach” i na końcu niepokojący obraz ze snu: Rysiek płasający szaleńczo przed

czarną postacią diabła.

Nie miał wyboru.

– Biorę sprawę – powiedział bez wahania.

– Świetnie! Zaraz zatelefonuję do prowadzącej dochodzenie i powiem jej o twojej decyzji.

– Prowadzącej? – zdziwił się Zakrzewski.

– Tak, to mój najlepszy pracownik, komisarz Paulina Czerny.

Podobno się znacie.

Marcin zamilkł na chwilę zaskoczony.

– Co się stało? – zapytał Marek.

– Znamy się – potwierdził krótko Zakrzewski.

– Ale minę masz jakąś dziwną, o co chodzi?

– Jakby ci to powiedzieć? Powiem tak – nie przepadamy za sobą.

– Naprawdę? – Marek uniósł nieco brwi. – To ona nalegała, żebym cię włączył do śledztwa. Mówiła o tobie w samych superlatywach.

– No proszę – mruknął Marcin. – Nie wiem, jak to skomentować. Znamy się jeszcze od szkoły średniej, ona mieszkała w Środzie Śląskiej, a ja w Szczepanowie. Kilka lat temu mieliśmy okazję współpracować, prawie zakończyło się to bijatyką.

Grabski roześmiał się ubawiony.

– Kto kogo chciał bić? – zapytał.

– Teraz to nieważne.

– Nie mówiłem, że będzie łatwo – powiedział Marek. – Jesteście starsi, bardziej doświadczeni, spróbujcie od nowa.

– Zniosę wszystko, byle tylko odnaleźć tego skurwysyna, który zabił mi brata.

Grabski sięgnął po telefon i wykręcił numer wewnętrzny.

VIII

Marcin poznał Paulinę Czerny w szkole średniej. Była przez chwilę dziewczyną jego kumpla z paczki. Później złośliwy los tak pokierował ich życiem, że często na siebie wpadali. Najpierw w 1987 roku przypadkowo znaleźli się na tym samym letnim wyjeździe do Karpacza. Wtedy jeszcze nie było między nimi otwartego konfliktu. Była odrobina tolerancji, chociaż każda wymiana zdań prędzej czy później prowadziła do kłótni. Mieli zupełnie inne charaktery, a jak wiadomo, przeciwieństwa się przyciągają. Teraz, po latach, kiedy Marcin o tym myślał, nagle uświadomił sobie, że Paulina mu się podobała i prawdopodobnie on jej też. Jednak byli tak różni od siebie, że nie potrafili normalnie ze sobą rozmawiać. Z tego powodu stali się nawet przyczyną żartów wśród znajomych.

W Karpaczu z kilkunastoosobowej paczki wyodrębniła się mniejsza grupa. Paulina, Karolina i Piotrek Lewicz po kilku dniach zaczęli chadzać własnymi ścieżkami, nie zwracając uwagi na resztę. Marcina to drażniło, ponieważ Piotrek był jego najlepszym przyjacielem. Przez Paulinę zaczął tracić z nim kontakt. Szczególnie się wkurzył, kiedy Piotrek powiedział, że proponował Paulinie, by włączyć go do ich paczki, a ona zbyła go jakąś złośliwą uwagą o Marcinie.

Piotrek i dziewczyny często wychodzili wieczorem i wracali nad ranem. Ponoć poznali jakiegoś Polaka, który przyleciał na wakacje z Kanady i sponsorował im imprezy w Skalnym. W tamtych czasach hotel Skalny był niewyobrażalnie drogi i niedostępny dla kieszeni zwykłych nastolatków. Pod koniec ich

pobytu w Karpaczu Marcin dowiedział się, że podczas ostatniej imprezy z Kanadyjczykiem Paulina i Karolina opróżniły mu portfel z dolarów. Cała trójka podzieliła się łupem po równo, każdemu przypadły dwie setki. Na tamte czasy była to całkiem spora kasa. Za te pieniądze Marcin z Piotrkiem prosto z Karpacza pojechali na tydzień do Ustki.

W następne wakacje Marcin przez miesiąc pracował z Pauliną przy wykopaliskach archeologicznych w Środzie Śląskiej. Tego roku podczas kopania fundamentów operator koparki odkrył na jednej z ulic słynny Skarb Tysiąclecia. O mieście mówiono w całej Polsce, dzięki temu znalazły się fundusze na prace w innym miejscu, gdzie wykopano domostwo sprzed tysiąca lat. Tam właśnie pracowali. Przez pierwszy tydzień warczeli na siebie i prawili sobie złośliwości, żeby później kompletnie się nawzajem ignorować.

Po wakacjach okazało się, że są w jednej grupie na studiach na Uniwersytecie Wrocławskim i przez całe pięć lat sprzeczali się przy byle okazji. Wreszcie jednocześnie zaczęli pracę w policji. Musieli współpracować ze sobą już przy pierwszej sprawie i nie wyszło to najlepiej.

Gang włamywaczy specjalizujący się w kradzieżach złota i cennych staroci napadł na jubilera. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że jubiler został przypadkowo zastrzelony w trakcie napadu. Policja prowadziła sprawę o morderstwo. Paulina i Marcin bardzo szybko ustalili adres, pod którym mogły być ukryte skradzione precjoza. Problem polegał na tym, że dziupła mogła zostać w każdej chwili opróżniona, a wciąż nie było nakazu rewizji. Razem obserwowali bramę i mieszkanie z samochodu zaparkowanego na parkingu po drugiej stronie ulicy. Zapadał wieczór, kiedy nagle Paulina wyciągnęła z torebki komplet profesjonalnych wytrychów i zaproponowała nielegalne wejście do mieszkania. Marcin zaprotestował, pokłócili się. Potem, już po zamknięciu sprawy i aresztowaniu sprawców,

okazało się, że Paulina w nocy włamała się do tego mieszkania. Upewniła się, że mają rację, ale Marcin się wściekł i prawie doszło między nimi do szarpaniny. To była ich ostatnia wspólna sprawa.

Później widywali się na naradach, szkoleniach lub na strzelnicy, ale prawdę mówiąc, Marcin nie pamiętał już, kiedy ostatnio rozmawiał z Pauliną. Musiały upłynąć co najmniej trzy lata.

Paulina Czerny przyjęła go w swoim biurze na drugim piętrze. Podali sobie ręce na powitanie bez zbędnych gestów przyjaźni czy wrogości i usiedli naprzeciwko siebie. Rozdzielało ich biurko z laptopem. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Marcin z uznaniem przyjrzał się Paulinie. Była od niego o głowę niższa, już nie taka szczupła, jak w czasach studiów, ale te parę kilogramów więcej dodawało jej kobiecości. Kiedyś miała długie włosy, teraz ścięła się na krótko i zafarbowała na czarno, co doskonale współgrało z jej ciemnymi oczami. Dłuższą grzywkę czesała na lewą stronę. Niesforny kosmyk wciąż spadał jej na oczy i co chwilę odruchowo go poprawiała.

– Świetnie wyglądasz – powiedział Marcin.

Czuł się przy niej trochę spięty. Obdarzyła go jednym z cynicznych uśmiezków, których, o ile pamiętał, miała do dyspozycji całą kolekcję.

– Ty też wciąż wyglądasz oszałamiająco przystojnie – skwitowała, patrząc mu beczelnie w oczy.

Marcin nie wiedział, co odpowiedzieć. Normalnie pomyślałby, że kpi, jednak jej słowa brzmiały jakoś inaczej.

– Nie musisz silić się na zbytnią grzeczność – rzucił ostrożnie.

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

– To nie była złośliwość – powiedziała.

Jeszcze bardziej nie wiedział, co powiedzieć.

– Grabski mówił, że to ty nalegałaś, żeby włączyć mnie do śledztwa.

– Tak.

– Trochę jestem zdziwiony.

– Dlaczego? Uważam, że jesteś bardzo dobrym gliniarzem, z otwartą głową, niezjedzonym jeszcze przez rutynę. Poza tym przyczyniłeś się do rozszerzenia śledztwa o wątek szczepanowski. Dodatkowym atutem jest fakt, że mieszkałeś tam wiele lat i na pewno będziesz w stanie prowadzić dochodzenie, nie rzucając się zbyt w oczy. Same zalety.

Uśmiechnął się pod nosem.

– Chyba nigdy nie usłyszałem od ciebie tylu komplementów naraz. Jestem trochę zmieszany.

– I bardzo dobrze. – Poprawiła niesforny kosmyk na czole. – Nie obiecuj sobie zbyt wiele. Mamy robotę do wykonania i to jest w tym momencie absolutny priorytet. Jestem profesjonalistką i potrafię dla dobra sprawy wznieść się ponad osobiste sympatie albo antypatie. Tego samego oczekuję od współpracowników.

Rozłożył ręce.

– Podpisuję się pod każdym słowem – rzucił.

Znowu się uśmiechnęła i po raz kolejny Marcin odniósł wrażenie, że inaczej niż poprzednio.

– Cieszę się – powiedziała. – Chciałabym jednak na samym początku naszej współpracy jasno ustalić zasady, od których – ostrzegam – nie zamierzam ani na krok odstępować.

– Słucham?

– Chcę, abyś pamiętał, że to jest w całości moje śledztwo. Poświęciłam temu czternaście miesięcy i nie mam zamiaru z nikim się dzielić. Ja jestem szefową i ja koordynuję wszystkie działania. Wyraziłam się jasno?

Marcin wytrzymał spojrzenie jej oczu.

– Tak – powiedział.

Paulina pierwsza odwróciła wzrok. Mówiła dalej, lecz jej głos nie był już tak stanowczy, jak poprzednio.

– Wszelkie działania uzgadniasz ze mną, nie akceptuję

szalonych pomysłów i nieprzemyślanych inicjatyw. Codziennie się kontaktujemy i opowiadamy sobie o postępach i planach. Żadnych tajemnic i niedomówień. Marcin, nie możemy tego spierdolić. To nie jest w moim stylu.

Znowu tuż przy uchu usłyszał szept mordercy o diable chodzącym na palcach. Milczał przez chwilę, zastanawiając się, czy zauważyła jego zawahanie.

– W moim również – potwierdził.

Odchyliła się w fotelu.

– Cieszę się, że się rozumiemy – powiedziała. – Zapoznałeś się z aktami porwań?

Pokręcił głową.

– Tylko rzuciłem okiem – odrzekł. – Marek nie dał mi zbyt wiele czasu.

– W porządku. – Wyciągnęła z szuflady grubą, szarą papierową teczkę i przesunęła w jego kierunku. – Tu masz streszczenie dochodzenia w sprawie zaginięć z lat 1993–2003, przejrzyj w domu na spokojnie. W razie pytań albo ciekawych pomysłów dzwoń o każdej porze dnia i nocy.

– Co na to twój mąż? – zażartował.

– Nie mam męża – odpowiedziała, nie patrząc na niego. – Rozwiodłam się trzy lata temu.

Marcin się zmieszał.

– Przepraszam, nie wiedziałem – powiedział.

– A tym masz żonę? – zapytała mimochodem.

– Nigdy nie byłem w stałym związku dłużej niż dwa lata – rzucił i nagle zdziwił się, że jest z nią aż tak szczery.

– Ciężko mi w to uwierzyć – mruknęła, poprawiając kosmyk na czole. – O ile sobie przypominam, zawsze kręciła się wokół ciebie masa ładnych dziewczyn.

Roześmiał się.

– Jakoś nie pamiętam takich czasów – stwierdził.

– Na studiach?

– No, może. Żadna nie była na tyle wytrwała, by wytrzymać ze mną dłużej. Mam cholernie trudny charakter? Sam już nie wiem.

– Trudny charakter, ty? Zawsze byłeś typem dobrze ułożonego dżentelmena.

– Jakoś dziwnie mnie zapamiętałaś z tamtych czasów. – Pokręcił głową. – Może dlatego, że prawie się do siebie nie odzywaliśmy.

Uśmiechnęła się do swoich wspomnień.

– Stare dobre czasy – powiedziała. – Moglibyśmy kiedyś powspominać przy drinku.

Marcin drgnął zaskoczony.

– Jasne – odpowiedział. – Kiedy tylko zechcesz.

– Nie pamiętam, o co my się tak naprawdę kłóciliśmy przez tyle lat.

– Niezgodność charakterów?

Spojrzała na niego z ukosa.

– Może po prostu za mną nie przepadałeś? – podsunęła.

– I vice versa? – odgryzł się. – Nie pamiętasz Karpacza?

Zrobiła wielkie oczy.

– Więc o to chodzi?! – wykrzyknęła. – Jacy faceci są pamiętliwi! Jak małe dzieci, którym ktoś obiecał lody i się rozmyślił. Kurde, w życiu bym na to nie wpadła.

Marcin poczuł się nagle głupio ze swoimi uprzedzeniami. Może Paulina miała rację?

– Nie spodobało mi się, że rąbnęliście te dolary – powiedział trochę nieszczercze.

– Z tego, co opowiadał Piotrek, ty też się nieźle za nie napiłeś i pobawiłeś nad morzem.

– Błędy młodości. – Wzruszył ramionami. – Teraz mam kaca moralnego.

– Kurwa mać, myślałam, że takich szlachetnych gliniarzy z zasadami już nie ma! – zakpiła. – Prawda jest taka, że to Karolina buchnęła tę kasę. Ja byłam tak pijana, że niczego nie

pamiętam. Powiedziała mi dopiero rano, jak dzieliła dołę.

– Ciągłe masz w torebce zestaw wytrychów na każdą okazję?

– Widzę, że to też cię boli.

– Prowadziliśmy tamtą sprawę razem, a ty działałaś nielegalnie za moimi plecami.

– Musiałam wiedzieć, czy idziemy dobrym tropem. A wytrychy mam, nawet lepsze niż kiedyś. Poprawiłam też technikę otwierania zamków.

Mierzyli się w milczeniu wzrokiem. Marcin nie wiedział, czy mówi poważnie, czy kpi. Uznał jednak, że te ostatnie słowa nie brzmią jak żart.

– Było, minęło – wycofał się. – Kiedyś o tym pogadamy, jak będziesz chciała. Przy drinku.

– OK. Nie po to się tu spotkaliśmy, żeby pieprzyć o głupotach. – Pokiwała głową. – Poczytaj w domu dokumenty, pomyśl i zadzwoń do mnie. Na teczce napisałam ci numer komórki czarnym flamastrem.

Atmosfera zrobiła się nagle niepokojąco sympatyczna. Marcin nie mógł uwierzyć, że rozmawiają jak normalni ludzie.

– Nic mi nie powiesz? – zapytał.

– Nie chcę ci nic sugerować – odpowiedziała. – Potrzebna mi twoja opinia jako osoby z zewnątrz, świeże oko.

Podobało mu się jej podejście.

– Dobrze. – Skinął głową.

– Jak myślisz, skąd ta przerwa w porwaniach pomiędzy 1981 a 1991 rokiem? – zapytała nagle, przyglądając mu się uważnie.

Zastanowił się.

– Są dwie możliwości – zaczął. – W grudniu 1981 wprowadzono stan wojenny, bardzo dużo ludzi uciekło na zachód. Możliwe, że nasz morderca również wyjechał. Myślę, że wyjazd nie powstrzymał go od porwań chłopców. On to lubił. Bardzo. W 1991 wrócił i działał dalej. Może aż do śmierci? Albo do momentu, kiedy się zestarzał. Druga opcja to przeprowadzka.

Możliwe, że tutaj zrobiło się dla niego zbyt niebezpiecznie. Bał się, że zostanie schwytany, i uciekł.

Tym razem uśmiech Pauliny wyglądał na szczery.

– Jeden z naszych ludzi jest już w archiwach urzędu wojewódzkiego, przegląda pozytywnie rozpatrzone wnioski o wydanie paszportu osobom zamieszkującym w tamtych latach gminę Środa Śląska. Poszło też zapytanie do Interpolu w sprawie ewentualnych podobnych spraw na zachodzie Europy. Podobne roześlemy w najbliższym czasie do wydziałów w całym kraju.

– Zdałem? – zapytał ironicznie.

Udała, że nie zauważyła zaczepki.

– Witaj w zespole – powiedziała.

– Kiedy wszystkich poznam?

– Ustaliłam z Grabskim, że na razie nie włączymy cię w całość śledztwa – odpowiedziała. – Zajmiesz się wątkiem szczepanowskim sam i zobaczymy, jakie przyniesie to efekty. Jeśli niewielkie, przydzielę ci kogoś do pomocy i włączę do zespołu. Nie mamy wielkich funduszy, ludzi nie jest dużo.

– Dość śmiało posunięcie.

– Muszę coś zmienić. Na razie dajemy dupy na całej linii.

Podobało mu się, że jest z nim tak szczerza. Wziął teczkę i włożył ją do segregatora, który dostał od Grabskiego.

– W takim razie chyba pojedę do domu. Poczytam, pomyślę, a jutro pewnie wybiorę się do Szczepanowa – stwierdził i popatrzył jej w oczy. – Zatelefonuję wieczorem i wszystko ci opowiem.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się prawie ciepło.

Wstał i skierował się do drzwi. Paulina go odprowadziła. Przed wyjściem zatrzymał się.

– Wiesz, że chyba nigdy dotąd tak długo ze sobą nie rozmawialiśmy – odezwał się. – I patrz, nie pokłóciliśmy się.

– Czy my kiedykolwiek ze sobą rozmawialiśmy? – odpowiedziała pytaniem.

Zastanowił się.

– Chyba nie.

– To tłumaczy wszystko. Marcin?

– Słucham?

– Nigdy nie mówiłeś o swoim bracie.

Skrzywił się.

– Myślisz, że było o czym? Cześć!

– Czekam na telefon.

Skinął głową, zamknął starannie drzwi i ruszył wolno w kierunku klatki schodowej.

IX

Gdyby go ktoś zapytał, jak trafił do samochodu, nie byłby w stanie odpowiedzieć. Dopiero jadąc Podwalem, zauważył, że deszczowe chmury odeszły, wiatr ustał i świeci piękne słońce. Zrobiło się też zdecydowanie cieplej. Skręcając w ulicę Robotniczą koło dworca Świebodzkiego, wymusił pierwszeństwo i omal nie spowodował wypadku. Na szczęście kierowca astry był o wiele bardziej przytomny i zdążył zahamować. Marcin machnął ręką w przepaszającym gościu i trochę oprzytomniał. Jechał dalej, starając się skupić na drodze i próbując opanować huragan myśli szalejący w głowie.

Na razie nie wiedział, co robić. Zerkał na leżące na przednim siedzeniu akta i bał się do nich zaglądać. Przez tyle lat był przekonany, że Ryśka ktoś porwał albo że przydarzył mu się nieszczęśliwy wypadek, tymczasem okazało się, że jego zaginięcie to jeden z aktów przerażającego spektaklu rozgrywającego się przez ponad pół wieku. Nie był w stanie sobie przypomnieć, czy zna z historii drugi przypadek mordercy działającego przez tyle lat.

Zjechał z ronda Pileckiego na Muchobór Wielki i poczuł nagle straszny głód. Była dwunasta trzydzieści, kiedy zatrzymał się na Hłaski, przed piekarnią. Kupił ostatnie dwie bułki, krojony chleb wiejski, a potem zaszedł do żabki po żółty ser i suchą krakowską. Nie spiesząc się, wrócił do samochodu i wolno przejechał dwieście metrów pod bramę na ulicy Kossak-Szczuckiej. Tu mieszkał.

Ulica była osiedlowym fenomenem, nigdzie nie było żadnej

tabliczki z nazwą i znajdowała się przy niej tylko jedna brama oznaczona numerem jeden. Bramy obok i naprzeciwko były już na ulicy Tyrmanda lub Hłaski. Osoby spoza osiedla często się tu gubiły, nawet wieloletni mieszkańcy osiedla nie potrafili wskazać, gdzie się znajduje, chociaż przechodzili tamtędy codziennie lub odwiedzali często położony obok sklepik. Już kilka razy Marcin tłumaczył różnym ludziom, gdzie znajduje się Kossak-Szczuckiej. Kiedyś ktoś szukał bramy numer trzy. Tej nawet Marcin nie potrafił wskazać – podejrzewał, że nie istnieje.

Poszedł od razu do kuchni i włączył ekspres do kawy, umył ręce i przemył twarz zimną wodą, zrobił sobie bułki przekładane kielbasą i żółtym serem i zjadł je z apetytem przy kuchennym stole na miejscu, gdzie ledwo parę dni temu siedziała Kaśka, obracając w rękach kubek z napisem Italia. Nalał sobie kawy i poszedł do pokoju. Usiadł w fotelu, na ławie położył segregator z dokumentami i zamyślił się. Nie miał ochoty zaglądać do akt czterech porwań z lat 1991–2003, przynajmniej nie teraz. Bardziej interesowały go te starsze sprawy. Ponownie wczytał się w kopie zgromadzonych w segregatorze dokumentów. W trakcie lektury robił notatki w zeszycie. Były to głównie pytania, które przychodziły mu do głowy, lub spostrzeżenia z przesłuchań świadków. Wiele z nich później wykreślił albo znalazł na nie odpowiedzi w kolejnych dokumentach.

Skończył o siedemnastej. Był odrętwiały. Wstał i podekscytowany krążył po pokoju. Dokumentów nie było dużo, a dochodzenia na ogół prowadzono pobieżnie i niechlujnie, jakby nikomu nie zależało na odnalezieniu dzieci, a tym bardziej sprawcy. Przez lata zmieniali się milicjanci, śledczy, lecz efekt ciągle był ten sam. Zupełnie nic. Jak milicja mogła działać w taki półamatorski sposób? Czyżby celowo nikomu nie zależało na wykryciu prawdy? Niemożliwe. Można byłoby mieć takie podejrzenia, gdyby sprawy prowadzili ci sami śledczy, a tak przecież nie było, nazwiska na protokołach się zmieniały.

Poszedł do kuchni zrobić sobie kolejną kawę. Włączył ekspres i zastygł nad nim w bezruchu, przeglądając swoje notatki. Sprawa porwania Gracjana Wereszczyńskiego z 27 września 1965 roku wyglądała na najciekawszą. Mieszkańcy ulicy szybko zaczęli poszukiwania na własną rękę, podobno nawet gonili sprawcę. Chłopca jednak nie odnaleźli. Z tego dochodzenia zachowało się najwięcej dokumentów. Marcin pomyślał, że musi jeszcze do nich wrócić. Następne porwanie, które szczególnie go zainteresowało, wydarzyło się cztery lata wcześniej, we wrześniu 1961 roku w Brodnie. Do niego też postanowił wrócić później. I jeszcze jedno zwróciło jego uwagę ze względu na bogaty materiał dokumentacyjny – wrzesień, rok 1953. Postanowił jeszcze raz spojrzeć na raport kapitana Malinowskiego z 1969, spisany po zaginięciu Franka Kuriaty. Malinowski jako jedyny zasugerował, że istnieje więcej takich samych porwań, które już w przeszłości w Szczepanowie się zdarzyły. Zanotował sobie, że musi wrócić do tych papierów.

Nalał sobie kawy i ponownie usiadł w fotelu. Trochę trzęsły mu się ręce.

Jedno z pierwszych pytań, jakie zanotował w zeszycie, brzmiało:

Czy porwanie z 1949 roku na pewno jest pierwsze?

Do 1945 roku Dolny Śląsk należał do Niemiec. Pierwsi polscy repatrianci ze wschodu pojawili się w Szczepanowie i okolicznych wioskach pod koniec maja tego roku, przez całe lato przyjeżdżali kolejni. Przewożone były całe wioski z dawnego województwa wołyńskiego. Z opowieści dziadka Marcin wiedział, że do Szczepanowa trafili ludzie mieszkający kiedyś w gminie Ludwipol. Dziadek przyjechał ze wsi Siwki, jednym z ostatnich transportów. Większość mieszkańców Siwek trafiła do Świętego, część osiedliła się w zachodniej części Szczepanowa.

Pytanie o to, czy porwanie z 1949 roku było naprawdę pierwsze, nie było takie bezzasadne. Cztery lata wcześniej był wrzesień 1945 roku. Szczepanów i okoliczne wioski, takie jak Święte, Brodno, Zakrzów, Rzeczyca, Lipnica czy leżące trochę dalej Komorniki, były już zasiedlone. Można jednak podejrzewać, że zamieszanie administracyjne było jeszcze tak duże, że zniknięcie na tych terenach jednego chłopca mogło przejść bez większego echa, a akta takiej sprawy gdzieś przepadły. Wszystko wskazywało na to, że morderca mógł przyjechać ze wschodu razem z repatriantami. A jeśli tam już wcześniej porywał dzieci? Marcin pomyślał, że musi koniecznie zapytać dziadka i babcię.

Czy morderca znał ofiary?

Marcin był przekonany, że tak. Może nawet wybierał je dużo wcześniej, podpatrywał, poznawał zwyczaje. Miał na to przecież całe cztery lata. Znajomość przyszłej ofiary, jej rodziny, dokładne rozpoznanie terenu na pewno było przydatne. Inaczej sprawca mógłby popełnić jakiś błąd, a przecież on błędów nie popełniał. Może z wyjątkiem 1965 roku.

Czy był ze Szczepanowa?

Wszystko na to wskazywało. Pięciu porwań z dziewięciu dokonano w Szczepanowie, w tym pierwsze i ostatnie. Marcin miał wrażenie, że sprawca nie działał impulsywnie. Układał dokładny plan. Po dwóch porwaniach na miejscu dwóch następnych dokonał w innych miejscowościach – w Świętym i Brodnie, potem wrócił do Szczepanowa i kiedy uznał, że zrobiło się niebezpiecznie, siódmego i ósmego dokonał gdzie indziej. Niestety, ostatnie znowu było w Szczepanowie.

Marcin sięgnął po mapę samochodową i popatrzył na okolicę, w której znajdowała się wieś. Brodno było ulokowane

w odległości sześciu kilometrów na północ. Polna droga przez lasy i fogel miała nie więcej niż cztery. Święte leżało dwa kilometry na wschód, Komorniki cztery kilometry na południowy wschód i były najdalej położoną miejscowością, w której działał sprawca. Lipnica znajdowała się w odległości trzech kilometrów na zachód. Jak by nie patrzeć, Szczepanów był centralnym punktem, do którego sprawca zawsze wracał.

Musiał tam mieszkać.

Marcin poczuł suchość w gardle. Możliwe, że znał go osobiście, możliwe, że mordercę znali jego rodzice, może chodzili z nim kiedyś do szkoły, do pracy, do kościoła. Może on wciąż żyje i tam mieszka?

Czym poruszał się sprawca?

W tamtych czasach mało kto miał samochód. Morderca nie mógł jeździć autem, bo zwracałby na siebie uwagę. Furmanką? Marcin nie był do tego pomysłu przekonany. Zbyt duży i zbyt wolny środek lokomocji. Odległości do pokonania nie były duże. Może jeździł rowerem? Mógłby dotrzeć wszędzie, poruszać się praktycznie niezauważony leśnymi i polnymi ścieżkami oraz duktami. Musiał jeszcze raz przejrzeć notatki milicji i fragmenty zeznań. Pamiętał, że wspomniano tam czasem o kimś, kto jechał rowerem lub widział kogoś jadącego rowerem.

Jak porywał swoje ofiary?

To pytanie na razie musiało zostać bez odpowiedzi. Nigdzie w dokumentach nie było na ten temat nawet połowy sensownego zdania. Dzieci musiały go znać, może potrafił w jakiś sposób zwabić je w miejsce oddalone od ludzi? Może wcześniej się z nimi zaprzyjaźniał, częstował cukierkami, rozmawiał, wzbudzał zaufanie. W dokumentach brakowało choćby

wzmianki o kimś podejrzanym, kto wcześniej kręcił się wokół domu, dzieci czy gdzieś w pobliżu. W prawie wszystkich sprawach były to pierwsze pytania stawiane przez śledczych rodzicom i rodzinie.

Zamyślił się. Pytanie o podejrzaną osobę sugeruje od razu niepoprawną odpowiedź. Bo kim jest podejrzana osoba? Kimś obcym, podejrzanym się zachowującym, dziwnie wyglądającym. A jeśli sprawca był znany rodzinom zaginionych dzieci? Jeśli odwiedzał ich w domach, spotykał się z nimi na wiejskich zabawach, pomagał w pracach polowych, pił ich zdrowie na imieninach... Nie wzbudzał podejrzeń, choć miał dostęp do dziecka, rozmawiał z nim i udawał przyjaciela.

Dlaczego nikt niczego nie zauważył?

W każdej sprawie odpowiedź narzucała się sama. Sprawca porwał dzieci, kiedy znajdowały się z dala od domu: w lesie, na pastwisku, nad stawem. Czasem czynił to po zmierzchu, w deszczowe i mgliste wieczory. Wtedy wioski nie były zbyt dobrze oświetlone, po zachodzie słońca było naprawdę ciemno i ponuro. Trzeba było pytanie zadać inaczej. Dlaczego w późniejszych latach nikt niczego nie zauważył? Marcin doszedł do wniosku, że odpowiedź znowu jest niestety taka sama. Wszystko działo się na pustkowiu lub po zmroku. Tylko Rysiek zniknął w pogodny dzień, kiedy jeszcze nie było ciemno. Do tego jechał rowerem przez centrum wioski. Może gdzieś skręcił? Czasem od dziadka wracali do domu inną drogą, przez obecną ulicę Osiedlową, koło cmentarza i dalej Kopyczyńską. Na końcu Kopyczyńskiej droga się kończyła, trzeba było wjechać na wąską ścieżkę biegnącą wzdłuż miedzy i dojechać do pasma drzew i krzaków rosnących wokół płynącego przez pola strumienia. Jeśli Rysiek z nieznanых przyczyn pojechał jednak tamtędy, też mógł zostać zaatakowany z dala od ludzkich oczu.

Co się stało z porwanymi?

Żadnego z chłopców nigdy nie znaleziono, niezależnie od tego, gdzie zaginęli. Jedynie w dwóch przypadkach natrafiono na jakieś ślady: w 1965 roku rower i bańkę na mleko, a w 1977 ukryty w lesie rower, kosz i kurtkę ofiary. Po pozostałych porwanych nie zostało nic. W Brodnie zginęła wędka i kanka na ryby, Rysiek zniknął razem z rowerem. Bardzo możliwe, że w 1965 i 1977 roku sprawca nie zdążył uprzątnąć po sobie śladów. Przynajmniej tak musiało być w połowie lat sześćdziesiątych – Marcin miał wrażenie, że w Lipnicy sprawca specjalnie zostawił ślady. Może chciał, żeby tego porwania nie wiązano z innymi? Bał się, że wreszcie milicja złoży porwania w ciąg podobnych zdarzeń i spojrzy na nie całościowo? Czy obawiał się takiej ewentualności? A jeżeli się bał, to dlaczego? Może zdawał sobie sprawę, że łatwo będzie go z porwaniami połączyć? Był przesłuchiwany, widziano go w okolicy?

Trzymał na kolanach dokumentację porwań i czuł, że jest bardzo blisko, że ma szansę wskazać sprawcę. Wystarczyło tylko logicznie myśleć, dopasować właściwe puzzle układanki. Ale na razie nie potrafił tego zrobić.

Wokół wiosek, w których działał morderca, rozciągały się lasy, pola uprawne, podmokłe łąki, nieużytki, dużo było oczek wodnych i stawów – mnóstwo miejsc, w których można było skutecznie ukryć ciała. Bardzo skutecznie.

Pomyślał, że musiał istnieć jakiś sposób na ukrywanie zwłok, jakiś specjalny patent sprawcy. Dlatego nigdy nikogo nie odnaleziono, nawet przypadkiem. Wiedział, że w lasach w okolicach fogła znajdowały się podziemne poniemieckie bunkry. Jeden z takich bunkrów pokazywał mu w dzieciństwie wujek. Bardzo łatwo można było tam wpaść. Wejście znajdowało się na poziomie ziemi. Wystarczyło się zagapić, żeby niespodziewanie wpaść do środka. Marcin pamiętał, że kiedy

zaglądali z wujkiem do środka, na betonie leżał zdechły zając. Wpadł tam przypadkiem i nie miał szans się wydostać. Może sprawca znalazł taki bunkier, o którym nikt nie wiedział?

Co naprawdę stało się w 1965?

Wniosek nasuwał się sam – sprawca zastał zaskoczony. Rodzina zbyt szybko odkryła, że chłopiec zniknął. Marcin nie mógł tego zrozumieć. Do tej pory perfekcyjny porywacz, niezostawiający żadnych śladów, nagle stracił czujność i dał się zaskoczyć? Wiele na to wskazywało. Jeszcze raz przejrzał zeznania świadków z tego wieczora i spróbował ułożyć sobie w głowie fakty. Zeznań było wyjątkowo dużo, niestety sprzeczne i w kilku punktach niespójne. Doskonale ilustrowały chaos, jaki zapanował tego wieczoru na ulicy Lipnickiej i Leśnej.

Marcin narysował sobie plan sytuacyjny: ulica Lipnicka, od domu Wereszczyńskich do zakrętu, na którym mieszkała ciotka porwanego Gracjana. Z pamięci odtworzył układ domów po obu jej stronach. W kępie drzew i krzewów po prawej stronie – teraz stoi tam dom mieszkalny – mniej więcej w połowie drogi, znaleziono rower i bańkę na mleko. Nie znaleziono Gracjana. Dlaczego? Morderca odciągnął go w inne miejsce, gdzieś daleko od ulicy i już nie zdążył wrócić, aby zatrzeć ślady, czy też po prostu wcale nie zamierzał tego robić? Początkowo zeznania świadków były spójne. Później stało się coś dziwnego. Ktoś krzyknął, że widzi porywacza i zaczął go gonić. Widział go po drugiej stronie drogi mniej więcej na wysokości kępy zarośli. W tym momencie wszyscy na oślep rzucili się w pogoń. Ruszyli przez nieużytki między gospodarstwami i biegli przez pola, na skos, w kierunku ulicy Leśnej, następnie gonili go Leśną aż do zabudowań na samym końcu ulicy, w których mieszkał leśniczy. Jednak sto metrów wcześniej, na mostku przy basenie przeciwpożarowym, zgubili trop. Porywacz zniknął

w ciemnościach lasu. Właściwie nie wiadomo, czy skręcił w prawo czy w lewo. Kilku mężczyzn biegło w jedną stronę, inni w drugą, szybko się zatrzymali. W ciemnym lesie niewiele było widać.

Uczestnicy pościgu pytani później przez milicjanta nie bardzo potrafili odpowiedzieć na pytanie, kogo gonili. Jedni w ogóle nie widzieli uciekającego sprawcy, kilku mówiło o ciemnej sylwetce biegnącej przez pole.

Marcin wpatrzył się w swój szkic. Czy na pewno kogoś gonili? Może po prostu ulegli sugestii? Ktoś coś zobaczył, krzyknął, reszta ruszyła na zasadzie owczego pędu. Gonili wyimaginowaną postać, dlatego nie potrafili jasno odpowiedzieć na pytanie, za kim biegli. Prawdziwy morderca mógł w tym czasie oddalić się z ciałem chłopca w dowolnym kierunku. Jeśli mieszkał w Szczepanowie, pewnie znał wszystkie ścieżki nieuczęszczane przez nikogo po zmierzchu, szczególnie kiedy padał deszcz. Mógł spokojnie uciec.

Jeszcze jedna sprawa zwróciła jego uwagę. Nikt jednoznacznie nie wskazał, kto pierwszy rzucił hasło do pogoni. Tylko jeden z uczestników pościgu na trzecie kolejne pytanie milicjanta odpowiedział, że chyba on, ale wyglądało to raczej na odpowiedź zasugerowaną przez przesłuchującego.

Po raz kolejny przeczytał zeznania świadków, ale miał coraz większy mętlik w głowie. Postanowił zapytać dziadka, jak wspomina ten wieczór z perspektywy lat.

Dlaczego w 1981 zakończyła się pierwsza fala porwań?

To pytanie podkreślił, a potem zerknął do akt czterech najnowszych porwań. Może trop z wyjazdem z kraju był dobry? Po namyśle stwierdził, że to wyjaśnienie go nie przekonuje. Żeby w stanie wojennym wyjechać z kraju, trzeba było naprawdę umieć kombinować albo mieć wysoko postawionych partyjnych

przyjaciół. Jeśli sprawca dokonał pierwszego porwania w 1949 roku, mając na przykład dwadzieścia lat, to w 1981 był po pięćdziesiątce. Nie przypominał sobie, żeby ktoś w tym wieku wyjechał ze Szczepanowa za granicę. Nie słyszał też o takim przypadku, a przecież na wiosce wieści rozchodzą się lotem błyskawicy. Sporo mówiło się o ludziach wyjeżdżających wtedy do Niemiec, ale byli to raczej ludzie młodzi. Marcin skłaniał się raczej do wniosku, że w 1981 roku morderca był już na tyle zaawansowany wiekiem, że zaniechał zbrodniczego procederu lub najzwyczajniej w świecie umarł.

Dlaczego co cztery lata, dlaczego koniec września?

Nie miał pomysłu na odpowiedź. Jedyne, co mu przychodziło do głowy, to jakaś straszliwa trauma z czasów drugiej wojny światowej. Może sprawca stracił na wojnie syna w wieku około dziesięciu lat, może nawet całą rodzinę? Może tragedia wydarzyła się pod koniec września i dlatego co cztery lata, w rocznicę tego zdarzenia, mścił się na tych, którzy jego zdaniem mieli więcej szczęścia? Może w ten pośredni sposób zwracał uwagę na swój ból i rozpacz?

No dobrze, może tak było. Skąd w takim razie cztery porwania z lat 1991–2003?

Powoli przeglądał akta tych spraw. Wszystko się zgadzało, co do jednego szczegółu. 28 września 1991 roku dziesięcioletni Janusz Witek jeździł rowerem po podwórku domu na wrocławskim Brochowie. Zniknął niespodziewanie, niezauważony. Nikt nigdy nie odnalazł ani jego, ani roweru.

Następna sprawa: Antoś Jabłoński, lat jedenaście. 26 września 1995 roku wracał od kolegi wzdłuż ulicy Lotniczej w kierunku Leśnicy. Miał do przejścia około kilometra, motorniczy z przejeżdżającego tramwaju widział chłopca w zielonej kurtce i czarnej czapce, tak samo kierowcy autobusów MPK

przejeżdżający ulicą. Jednak Antoś zniknął. Tym razem pojawił się świadek, który twierdził, że widział wysokiego mężczyznę w średnim wieku, który szedł kilkanaście kroków za nim. Tego człowieka do dzisiaj poszukuje policja. Nie można było sporządzić portretu pamięciowego, ponieważ nikt nie widział jego twarzy. Rysownik policyjny pokusił się więc o szkic sytuacyjny na podstawie zeznań świadka. Marcin patrzył na rysunek i nic nie rozumiał. Facet nie wyglądał na osobę w podeszłym wieku. Według jego poprzednich wyliczeń w 1995 roku porywacz ze Szczepanowa powinien mieć przynajmniej sześćdziesiąt sześć lat. Może był postawnym mężczyzną i na jego sylwetce czas nie odcisnął swojego piętna?

Cztery lata później, w 1999 roku, musiał mieć około siedemdziesiątki. Robert Nawrocki, dziesięciolatek, został porwany 27 września z boiska przy ulicy Ścinawskiej we Wrocławiu. Tym razem policja miała strzępy kurtki chłopca i włosy – prawdopodobnie sprawcy. Przynajmniej taka wersja obowiązywała do niedawna. Badanie włosów wykazało, że należą do osoby w wieku trzydziestu do czterdziestu lat.

Ostatnie porwanie z września 2003 roku miało miejsce w parku przy ulicy Pilczyckiej. Porwany został Paweł Rosiak, dwunastolatek. Jego mama rozmawiała z koleżankami na skraju parku, a on jeździł rowerem wokoło. Według zeznań kobiet na początku jeździł blisko nich, potem coraz bardziej się oddalał. Za którymś razem nie wrócił. Znalaziono tylko rower wrzucony za mur starego cmentarza żydowskiego przylegającego do parku od strony Pilczyc, a kilku świadków widziało, jak z parkingu przed cmentarzem odjeżdża biały volkswagen transporter. Nie udało się ustalić, czy należał do sprawcy i czy na pewno był w nim chłopiec.

Marcin potarł czoło. W roku 2003 sprawca musiał mieć około siedemdziesięciu czterech lat. Czy w tym wieku mógł przerzucić rower BMX przez wysoki mur cmentarny? Mogło tak być, jednak

miał wątpliwości.

Paulina dołączyła do dokumentów krótki profil psychologiczny sprawcy, opracowany przez współpracującego z policją biegłego.

Marcin uważnie przeczytał dwustronicowe opracowanie, które tak naprawdę jeszcze bardziej gmatwało sprawę. Według psychologa sprawca był w wieku od trzydziestu pięciu do pięćdziesięciu lat, miał rozchwianą osobowość, a głównym motywem jego działania były skłonności sadystyczno-pedofilskie. Mógł mieć rodzinę i dzieci, mógł też na co dzień względnie normalnie funkcjonować w społeczeństwie, chociaż prawdopodobnie cechowały go skłonności sadystyczne i napady niekontrolowanej złości. W dzieciństwie był molestowany seksualnie przez ojca bądź opiekuna. Mógł też wychowywać się w domu dziecka, w którym doświadczył poniżenia i przemocy seksualnej.

Z notatek z odpraw wynikało, że Paulina prowadziła już rozpoznanie w środowiskach pedofilskich, szczególnie skupiając się na osobach zatrzymanych za tego rodzaju przestępstwa po roku 2003 i przed 1991.

Dochodziła dwudziesta. Nalał sobie whiskey do szklaneczki, wrzucił kilka kostek lodu i ponownie usiadł do rozmyślań.

Marcin był zdania, że szukają dwóch różnych osób. Porwania w Szczepanowie były dziełem innego sprawcy niż te we Wrocławiu i na przedmieściach. Skąd zatem takie podobieństwo w sposobie działania? Odpowiedź narzucała się sama. Do 1981 roku w Szczepanowie działał jeden człowiek, a od 1993 roku we Wrocławiu ktoś inny. Wszystko wskazywało na to, że sprawcy byli ze sobą w jakiś sposób powiązani i następca wiedział o swoim poprzedniku. Jak inaczej tłumaczyć takie same metody działania? Może łączyło ich pokrewieństwo lub starszy z morderców wychował sobie naśladowcę, który kontynuuje jego zbrodnicze dzieło. Pomysł wydawał się żywcem wyjęty z filmów

kryminalnych, ale czy dlatego był mniej prawdopodobny?
Szczególnie w zestawieniu z taką dokumentacją?

Po dwudziestej Marcin wybrał numer Pauliny.

Odebrała od razu.

– Halo?

– Cześć, tu Marcin, co robisz?

– Leżę w wannie, palę trawę i popijam whisky z butelki –
wypaliła.

Zmieszał się trochę, orientując się, że pytanie było nieco
niezręczne, i dorzucił z wahaniem w głosie:

– Nie chciałem ci przeszkadzać.

Roześmiała się.

– Dobrze, dobrze – mruknęła uspokajającym tonem. –
Żartowałam z tą trawą.

Słyszał wyraźnie w słuchawce plusk wody i brzęk szkła. Reszta
musiała być prawdą.

– Nie wypij całej butelki – powiedział.

– Bo co?

– Bo jeszcze się utopisz w tej wannie.

– Czyżbym słyszała nutkę zatroskania w twoim głosie?

– Dla dobra sprawy. – Znowu się wycofał. – Sama powiedziałaś,
że nie możemy spierdolić tego śledztwa.

Odpowiedziała po krótkiej pauzie.

– No dobrze, o co chodzi?

– Cały czas czytałem akta.

– Jakież wnioski?

– Mam wrażenie, że 1994 rok mógł nie być pierwszym razem.

– Dlaczego? – zapytała tonem, po którym wnioskował, że jest
zaskoczona.

Opowiedział jej, skąd wzięli się w Szczepanowie repatrianci
i kiedy przyjechali ostatni. Wspomniał też o swojej wojennej
teorii motywu zbrodni.

– We wrześniu 1945 roku w Szczepanowie mieszkali już Polacy

z Kresów – zakończył.

– Spróbuję jeszcze pogrzebać w archiwach – odpowiedziała. – Tylko nie wiem, gdzie tego szukać, chyba w wojskowych, bo milicja dopiero się tworzyła.

– Spróbuj.

– Dobrze, coś jeszcze?

Wyjaśnił jej, że jego zdaniem morderca musiał mieszkać w Szczepanowie, i opowiedział o swoich podejrzeniach związanych z porwaniem Gracjana Wereszczyńskiego.

– Wydaje mi się, że wtedy, w roku 1965, nasz morderca omal nie został schwytany. Czytałem ze trzy razy dokumentację tego śledztwa i ciągle mam wrażenie, że coś mi tam nie gra. Prześpię się z tym i może rano wpadnę na coś mądrego.

– Też czytałam te akta – powiedziała Paulina. – Myślisz, że spłoszyli mordercę?

– Tak, chociaż nie potrafię zrozumieć, dlaczego tak długo pozostał na miejscu przestępstwa.

– Może miał nieprzewidziane kłopoty ze swoją ofiarą? Jeśli w grę wchodzi motyw seksualny, może zdarzyło się to już tam na miejscu?

– Nie znaleziono ciała żadnego z chłopców. Nie wiemy na pewno, czy był pedofilem. – Marcin zawiesił głos. – Jakoś nie mam przekonania, czy to dobry trop. Medialnie na czasie, ale nie powinniśmy się sugerować aktualnymi tendencjami, tylko dowodami i poszlakami. Tymczasem nie mamy nic.

Wydawało mu się, że po drugiej stronie słuchawki Paulina się uśmiecha.

– Od dawna powtarzałam, że potrzebne nam spojrzenie z zewnątrz – rzuciła po chwili.

– Jeszcze jedno.

– Słucham?

– Uważam, że porwań w okolicach Szczepanowa i tych późniejszych we Wrocławiu dokonały dwie różne osoby.

Znowu usłyszał charakterystyczny brzęk.

– Naprawdę pijesz z butelki? – zapytał.

– Tylko wtedy, kiedy mam doła – odpowiedziała.

– Dlaczego masz doła?

– Nie za dużo chciałbyś się o mnie dowiedzieć w jeden dzień?

– Nie.

– Dlaczego dwie różne osoby? – Zmieniła temat.

– Nie wierzę w sprawcę działającego przez pięćdziesiąt cztery lata – wyjaśnił. – Nierealne.

– Uważasz, że byłby za stary?

– Zakładając, że 1949 nie jest początkiem – tak.

Nie odpowiedziała od razu.

– Taka myśl przemknęła mi już przez głowę – przyznała. – Hipoteza brzmi jednak trochę nieprawdopodobnie.

– Dlaczego? – odpowiedział pytaniem. – Może od dawna było ich dwóch? Ojciec wychował sobie syna na następcę, po jego śmierci syn działa dalej, po swojemu. Stąd zmiana miejsca, parę lat przerwy i nowe pomysły. Zresztą to wcale nie musi być syn, tylko ktokolwiek inny.

– Nie mamy dowodów.

– Tylko racjonalne wątpliwości dotyczące wieku sprawcy. Nie zapominaj o portrecie psychologicznym oraz o zeznaniach świadków z ulicy Lotniczej.

– Dobrze, co zamierzasz robić jutro?

– Rano pojadę do Szczepanowa. Porozmawiam z dziadkami o Kresach, potem o roku 1965. Mój dziadek brał udział w pościgu za porywaczem, w aktach jest jego zeznanie. No i ogólnie popytam, czy pamiętają porwania.

– W porządku.

– Potem pokręcę się trochę po starych śmieciach, odwiedzę sad u księdza... – Ugryzł się w język.

– Jaki znowu sad? – zdziwiła się.

– Często jako dzieci chodziliśmy na gruszki do kościelnego

sadu – wyjaśnił, nie wchodząc w szczegóły.

– Tego obok starego kościoła?

– Mhm.

– Ksiądz ci nie da rozgrzeszenia, jak cię złapie.

– Ogólnie się rozejrzę, może mi coś wpadnie do głowy. Potrzebuję jakiegoś punktu zaczepienia – dodał.

– Zadzwoń wieczorem i powiedz, co wymyśliłeś. Twoje zdrowie! – Znowu usłyszał odgłos, jaki wydaje butelka stawiana na brzegu wanny.

– Chciałbym to zobaczyć – powiedział niespodziewanie dla samego siebie i dla Pauliny.

– Co?

– Jak leżysz w wannie i pijesz whisky.

Zamilkła zaskoczona.

– Może kiedyś – ucięła temat.

Odłożył telefon na stolik i siedział zamyślony. Obrazy przelatywały mu przez głowę niczym błyski flesza. Słyszał szept mordercy tuż obok swojego ucha, następnie zobaczył Ryśka ze snu tańczącego w sadzie, potem widział, jak znika na rowerze za zakrętem ulicy Lipnickiej. Wyobrażał sobie mordercę uciekającego w ciemnościach przed pościgiem na ulicy Leśnej, wyobrażał sobie Paulinę w wannie z butelką w dłoni, przypominał sobie jej drwiący uśmiech, kiedy wszedł dzisiaj do biura, Ryśka leżącego w łóżku, który powtarza: „widziałem, jak diabeł chodzi tam na palcach” i dziwną nutę w jej głosie, kiedy mówiła: „może kiedyś”.

Nagły sygnał telefonu sprawił, że niemal podskoczył. Na wyświetlaczu zobaczył numer Kaśki.

– Cześć! – Ucieszył się. – Myślałem, że już mnie wykreśliłaś z życia. Miałaś dzwonić.

– Nie, no co ty – odpowiedziała i od razu wyczuł jakąś dziwną nutę w jej głosie. – Miałam dużo pracy, a później zapomniałam.

– No ładnie. Wspaniałomyślnie ci wybaczam.

– Dzięki. W sprawie włamania nic się nie wydarzyło.

– Mam zapytać u źródła?

– Nie, przecież nic nie zginęło. Chcę jak najszybciej zapomnieć o całej historii. Co słychać?

– U mnie po staremu – rzucił i zawahał się na moment. – No prawie.

– Prawie robi dużą różnicę.

– Prokurator wznowił postępowanie w sprawie porwania mojego brata.

– Tak szybko? – zdziwiła się.

– Nie mogę ci zdradzać szczegółów, ale okazało się, że podobnych spraw jest więcej.

– O rany! – wykrzyknęła. – Jak to więcej?

– Kiedyś ci opowiem. Zostałem przesunięty do tego śledztwa. Nie skomentowała od razu.

– Dasz sobie radę? – zapytała w końcu.

– Nie takie sprawy prowadziłem...

– Nie o to przecież pytam! – przerwała mu. – Czy dasz sobie radę psychicznie?

Do tej pory nawet się nad tym nie zastanawiał.

– Chyba nie mam z tym problemu – odpowiedział ostrożnie.

– To dobrze. Marcin...

Znowu w jej głosie pojawiła się ta nieznana mu nutka.

– Słucham cię.

– Nie wiem, jak zacząć... Przestraszyłeś mnie wczoraj.

– Co takiego? – zapytał autentycznie zdziwiony. – Kiedy miałbym cię przestraszyć?

– No wczoraj, około dwudziestej trzeciej na Metalowców. Nie zrozumiał.

– O czym ty mówisz?

– Wracałam tramwajem od Tymona, bo mam samochód w warsztacie. Wsiadłam na Pilczycach i szłam pieszo na Kuźniki. Szedłeś za mną przez pół Metalowców, a kiedy

próbowałam cię zagadać, gdzieś zniknąłeś... – Słyszał wyraźnie, że Kaśka z każdym słowem traci pewność siebie. – To nie byłeś ty?

Poczuł dreszcz niepokoju. Nie wiedział, co jej odpowiedzieć.

– Kasia, to nie byłem ja – powiedział poważnie.

– Ale ja cię przecież znam, wiem, jak chodzisz i w co się ubierasz...

– Wczoraj o tej porze byłem już w domu. W świetle ulicznych latarni można widzieć różne rzeczy. Chyba nie posądzasz mnie, że cię śledziłem czy też chciałem cię nastraszyć. Wiesz, że nigdy bym tego nie zrobił.

– Wiem, tak tylko pomyślałam... – Słysząc było, że jest coraz bardziej zagubiona.

– Powinienem na ciebie nakrzyczeć – mówił dalej bardzo poważnie. – Nie powinnaś chodzić sama w takich miejscach o tak późnej porze. Wiesz, ilu popaprańców pod wpływem różnych środków łązi w nocy po mieście? Możesz mi wierzyć, jestem przecież gliniarzem. Na drugi raz weź taksówkę.

– Nieźle się przestraszyłam. – Słysząc było, że się uśmiechnęła. – Leciałam do domu, mało nóg nie pogubiłam.

– To nie było rozsądne.

– No wiem – odpowiedziała skruszona. – Odebrałam już dzisiaj auto.

– Bardzo dobrze. Kasia?... Jak mogłaś pomyśleć, że chciałem cię nastraszyć?

Zaczęła się plątać.

– No wiesz, wyglądałeś na przejętego tym włamaniem. Pomyślałam przez chwilę, że chodzisz za mną, żeby mnie... ochronić.

– Błagam cię, Kaśka! Skąd ci takie pomysły przychodzą do głowy? Nawet jeśli chciałbym cię chronić, nie łąziłbym za tobą po ulicach.

– Przepraszam, mam ostatnio kiepski czas.

- Ja też.
 - Będę kończyć, chce mi się spać.
 - O tej porze? – zdziwił się.
 - Jest wpół do dziesiątej wieczorem. Czasem lubię się wcześniej położyć.
 - Dobrze, to pa, zadzwoń kiedyś.
 - To ty zadzwoń, jak będziesz coś wiedział o porwaniu brata.
 - Jeśli będę coś wiedział. Dobrze powiedziane.
- Rozłączyła się. Marcin dokończył drinka i powlókł się do łazienki z przekonaniem, że on też powinien się porządnie wyspać.

X

W piątek 29 września udało mu się wcześniej wstać. Wziął szybki prysznic, spakował torbę, włożył do niej laptopa i bez śniadania, nie pijąc nawet kawy, wyszedł z domu. Postanowił odwiedzić rodziców. Ojca na pewno nie było, bo słyszał już wcześniej, że umówił się z kolegą na ryby. Ojciec był zapalonym wędkarzem i od lat każdą wolną chwilę spędzał nad wodą. Mama pogodziła się z jego częstą nieobecnością. Ponieważ była sama w domu, mogła zająć się realizacją swoich licznych zainteresowań. Czytała książki, wyszywała piękne makatki, grzebała w internecie, szukając informacji o Kresach Wschodnich i zaginionych krewnych. Kilku nawet znalazła. Podczas każdego pobytu Marcina szczegółowo opowiadała, co to za krewni, w jaki sposób są skoligaceni i co u nich słyhać.

Marcin chciał zapytać o Ryśka. Mama rzadko o nim wspominała, najczęściej robiła uniki i nie podejmowała tematu. Tym razem postanowił być nieugięty. Miał nadzieję, że informacja o wznowieniu śledztwa oraz dodatkowo fakt, że on się tą sprawą zajmuje, jednak skłoni ją do wspomnień.

Na ogół na ulicy Wejherowskiej na Popowicach trudno było zaparkować, ale o tej porze, kiedy mieszkańcy byli w pracy, bez trudu znalazł miejsce, i to pod samą bramą. Zanim wysiadł ze swojej skody octavii, wyciągnął telefon i zadzwonił do rodziców. Mama odebrała pod dwóch sygnałach.

– Cześć, mamó – powiedział. – Zaprosisz mnie dzisiaj na śniadanie?

– Oczywiście – odpowiedziała od razu. – Przecież zawsze

możesz przyjechać.

– Jestem pod bramą, będę za minutę.

– To wchodź.

Rodzice mieli dwupokojowe mieszkanie na siódmym piętrze, nieduże, czterdzieści dwa metry kwadratowe.

Zofia Zakrzewska skończyła w tym roku sześćdziesiąt pięć lat, ale nie wyglądała na swój wiek. Włosy miała tylko lekko przyprószone siwizną, na twarzy delikatne zmarszczki, sylwetkę wyprostowaną, ruchy energiczne. Obserwując ją z tyłu, można było odnieść wrażenie, że ma dwadzieścia lat mniej. Ale nie zawsze taka była. Przez wiele lat po zaginięciu Ryśka nie mogła dojść do siebie, nie uśmiechała się, nie miała na nic ochoty. Ojciec często miał o to do niej pretensje, kłócili się. Bywało, że kiedy mieli razem wyjść do znajomych, ona nagle gasła, kładła się do łóżka i tłumaczyła, że ma migrenę. Wreszcie ojciec się do tego przyzwyczaił i przez jakiś czas chodził wszędzie sam lub z Marcinem. Ostatnie dziesięć lat zmieniło wszystko. Matka zaczęła poważnie chorować na serce, lekarze podejrzewali bardzo poważne schorzenia. Dużo czasu spędziła w szpitalu i to – jak sama później podkreślała – sprawiło, że się zmieniła. Stwierdziła, że nie może się nad sobą użalać, kiedy na świecie jest tylu naprawdę nieszczęśliwych, biednych i chorych ludzi. Zawsze była bardzo wierząca. Teraz jej wiara jeszcze się pogłębiła, jednak zawsze powtarzała, że nie modli się za siebie, tylko za innych. Zachowywała się, jakby się zbudziła po wieloletnim śnie.

Mama przygotowała mu na śniadanie jajecznicę z cebulą, przez cały czas relacjonując, co słyhać u rodziny i znajomych. Opowiadała też, co ostatnio wyczytała w internecie i jakie książki wypożyczyła. Płynnie przeszła do uwagi, że w tym wieku już dawno nie powinien przyjeżdżać do mamy, tylko raczej rozejrzeć się za kobietą, która zrobiłaby mu śniadanie. Na takie wymówki Marcin jak zwykle miał gotową odpowiedź, że nie spotkał jeszcze

takiej, która wytrzymałaby jego paskudny charakter.

– Charakter jest wymówką – podsumowała krótko. – Boję się, że starokawalerstwo już weszło ci w krew. Marcin, ja ciągle mam nadzieję, że jeszcze będę bawić wnuki. Póki mam siłę i energię, niedługo będę miała siedemdziesiątkę na karku.

Przemilczał fakt, że ewidentnie zawyżyła sobie wiek.

– Mamo, ja już jestem za stary na dzieci – odpowiedział.

– Sam sobie robisz krzywdę. Pomyślałeś o swojej starości? Nas już nie będzie, a ty zostaniesz sam jak palec.

– Jak zwykle masz rację – uciął. Nie lubił jej uwag na ten temat.

– Co ci się stało w czoło?

Odruchowo dotknął rozcięcia na czole.

– Zauważyłaś?

– Jestem twoją matką.

– W poniedziałek miałem służbę w nocy i uderzyłem się po ciemku w jakąś gałąź – skłamał.

– Nigdy mi się nie podobało, że chcesz pracować w policji, szczególnie w takim wydziale.

– Wiem, mamo.

Przeszli do dużego pokoju, żeby wypić kawę.

– Mamo, czytałem wczoraj kopie akt ze sprawy porwania Ryśka – wypalił.

Na chwilę zamarła z filiżanką kawy podniesioną do ust. Wreszcie wolno ją odstawiła i patrzyła na niego w milczeniu. Poczul wyrzuty sumienia, że powiedział jej o tym tak prosto z mostu.

– Są jeszcze jakieś akta? – zapytała wreszcie cicho.

– Nie chciałem cię zdenerwować – zaczął się wycofywać.

– Nie denerwuję się – odpowiedziała szybko. – Nawet jestem zdziwiona, że przyjąłem to tak spokojnie. Co jest w tych aktach?

– Niewiele. Kilka raportów, parę niesprawdzonych hipotez, przesłuchania świadków, wywiad środowiskowy. Może część dokumentów gdzieś zaginęła? Wygląda to tak, jakby nikomu nie

chciało się zbytnio Ryśka szukać.

Twarz matki stała się nagle ponura i zawzięta.

– Przekłęci komuniści!

– Mamo, nigdy nie opowiadałaś mi dokładnie, co się wtedy zdarzyło i jak wyglądały poszukiwania Ryśka. Ja niewiele pamiętam.

– Przecież to teraz nie ma znaczenia. – Jej twarz się zmieniła, znowu była pogodna jak zawsze.

– Ma znaczenie – odpowiedział. – Jest taki wydział komendy wojewódzkiej, który zajmuje się starymi niewyjaśnionymi morderstwami. Wznowili postępowanie. Wszystkie okoliczności wskazują, że zniknęło też kilku innych chłopców, nie tylko Rysiek.

Matka wypiła łyk czarnej kawy i odstawiła filiżankę na spodek. Porcelana zabrzęczała.

– Wiem, że było więcej porwań – rzuciła twardo.

– Jak to? Dlaczego wcześniej nic nie mówiłaś?

– Chciałam cię chronić. Bałam się, że i ciebie ktoś uprowadzi. Zostałeś mi tylko ty.

Marcin zaczął przypominać sobie różne wydarzenia z dzieciństwa: matka niechętnie puszczała go z domu nawet na boisko szkolne na piłkę, miała opory, kiedy chciał wyjść do kolegów. Kiedy zdarzyło mu się wracać później, niż obiecywał, stała przed blokiem i wypatrywała go z daleka. Teraz zrozumiał dlaczego. Matka panicznie się o niego bała.

– Słyszałeś pewnie w dzieciństwie opowieści o czarnej wóldze?
– zapytała.

– Pamiętam, że dzieci w szkole coś tam sobie opowiadały – przypomniał sobie.

– To wcale nie były legendy. Wszystko działo się naprawdę. Już na początku lat sześćdziesiątych po wioskach jeździła czarna wołga i porywała dzieci. Przecież pamiętam, jak jeszcze twoi dziadkowie opowiadali, że raz zaginął jakiś chłopiec w Brodnie,

raz w Świątym, to znowu w Szczepanowie. To zawsze odbywało się tak samo – jak jakiś zbrodniczy rytuał. Do samotnego dziecka podjeżdżało czarne auto, ktoś wabił je słodyczami i porywał. Wiesz, jakie były wtedy czasy. Cukierki były rarytasem.

W żadnej ze spraw nie pojawiło się zeznanie, w którym ktoś wspominałby czarny samochód marki Wołga.

– Ale kto to mógł być? – zapytał Marcin z powątpiewaniem.

– A kto w tamtych czasach jeździł wołgą? – rzuciła. – Jakiś komuch na wysokim stanowisku.

Dlaczego milicja w ogóle go nie szukała? Czy jakaś sprawa porwania została wyjaśniona? Nie! W tamtych czasach partyjniacy na wysokich stanowiskach mogli wszystko, porywać, gwałcić, zabijać dzieci. Nikt im nie podskoczył. Nawet ubecy z komendy w Środzie Śląskiej bali się cokolwiek zrobić w tej sprawie. Może mieli taki nakaz z góry, żeby się porwaniami nie interesować?

Marcin przez chwilę analizował słowa matki. To, co usłyszał, miało sens. Wyjaśniało totalną indolencję milicji i tłumaczyło nagłe dymisje śledczych działających zbyt energicznie i, przede wszystkim, sensownie.

– Zastanawiałam się nad tym przez wiele lat, Marcin, i doszłam do takich właśnie wniosków. Wielokrotnie rozmawiałam o tym z ojcem, ale on w to nie wierzy. A ja myślę, że była jakaś zmowa. Może działała cała szajka pedofilów na bardzo wysokich stanowiskach w partii komunistycznej? Porywali chłopców, żeby ich wykorzystywać, a potem wysyłali do domów dziecka w „bratnich krajach”. Albo nawet ich... – matce załamał się na moment głos – ...zabijali. Milicjanci o tym wiedzieli, może na dodatek w tym wszystkim uczestniczyli. Takie jest moje zdanie.

Marcin wyciągnął notes i zapisał sobie kilka uwag do sprawdzenia w najbliższym czasie. Matka spojrzała na niego z ukosa.

– Czy ty mnie przesłuchujesz? – zapytała.

Schował notes i zwlekał z odpowiedzią.

– Mamo, od wczoraj prowadzę śledztwo w sprawie zaginięć dziewięciu chłopców w Szczepanowie i okolicach w latach od 1949 do 1981 – powiedział szczerze. – To, co mówisz, jest dla mnie bardzo ważne i wskazuje nowe wątki, które powinienem zbadać. Gdyby dochodzenie prowadził ktoś inny, mógłby cię poprosić o złożenie oficjalnych zeznań. Ja nie będę tego robił. Wystarczy mi, że opowiesz, co pamiętasz z tamtych czasów.

– Jesteś zdecydowany poznać prawdę?

– Tak. Tylko czy ty jesteś na to gotowa?

Popatrzyła mu głęboko w oczy.

– Z pomocą Bożą tak. Swoje piekło niepewności i nadziei trwające kilkanaście lat przeżyłam.

– Czy pamiętasz w sprawie Ryśka jakieś szczegóły, które nie trafiły do milicyjnych akt? – zapytał. – Co mówili ludzie?

Matka zamyśliła się.

– Nie pamiętam tak dokładnie – odezwała się wreszcie. – Każdy coś mówił, przecież cała rodzina i znajomi prowadzili równocześnie prywatne śledztwo. Na władzę nie liczyliśmy.

– Dlaczego?

– Oprócz tego, co już powiedziałam, nie zapominaj, że to był rok 1981. Trzy miesiące przed wprowadzeniem stanu wojennego. Wiesz, że ojciec działał w zarządzie regionu NSZZ „Solidarność”. Esbecy chodzili za nim krok w krok, nawet za mną, jak jeździłam do sklepu po chleb. Myślisz, że mogliby nie zauważyć porwania Ryśka? Przecież wiedzieli o wszystkim. Banda partyjnych pedofilów uprowadziła go za ich pozwoleniem, kto wie, czy nie podpowiedzieli im, kogo porwać. Dla zemsty. Przecież nie było żadnego prawdziwego śledztwa, nie mogło być. Jak w innych przypadkach.

– No dobrze, a ludzie?

– Ludzie też mówili różne rzeczy. Jeden widział Ryśka jeszcze koło starego kościoła, inny twierdził, że dwóch chłopców,

z których jednego rozpoznał jako Ryśka, biegło w stronę dużego kościoła na krzyżówce, tego dnia późno wieczorem. Nie udało się tego poskładać w jedną całość. A trzynastego grudnia zdarzył się stan wojenny i ojca internowali na pół roku. Zostałam z tobą sama i tak zakończyły się poszukiwania Ryśka. Ludzie mieli inne problemy: godzina milicyjna, pustki w sklepach, inflacja, internowania. Gdyby nie dziadek i jego kawałek pola oraz pomoc życzliwych przyjaciół, nie wiem, jak przeżylibyśmy tę przekłętą zimę. Nie miałam ani grosza, żadnego wsparcia, do tego musiałam chronić ciebie. Wiele razy zastanawiałam się, czy nie rzucić się pod pociąg. Na szczęście, z Bożą łaską, wszystko minęło i odeszło w zapomnienie. Trzeba cieszyć się dniem dzisiejszym.

Marcin milczał. Dla rodziców, a szczególnie dla mamy, tamten czas musiał być koszmarnie trudny. To był właściwie cud, że po takiej traumie dźwignęła się z wieloletniej depresji.

Dopił kawę.

– Teraz jadę do Szczepanowa, mam – powiedział. – Jak się uda, zanocuję u dziadka.

– Myślisz, że znajdziecie sprawców? – zapytała cicho.

– Zawsze istnieją jakieś szanse – odpowiedział ostrożnie.

Świadomie nie wspomniał jej o czterech ostatnich porwaniach we Wrocławiu.

– Mamo... powiedz mi jeszcze, jaki był Rysiek – poprosił.

Popatrzyła na niego zdziwiona.

– Nie pamiętasz? – zapytała.

– Jak przez mgłę.

– Jaki był? Inny niż ty. Ty zawsze byłeś grzeczny i poukładany. Taki mój kochany syneczek. I taki zostaniesz.

– Mamo, proszę cię, mam czterdzieści dwa lata!

– Dla mnie zawsze będziesz małym Marcinkiem.

Roześmiał się.

– No dobrze. A Rysiek?

– Był całkiem inny. Niegrzeczny, nikogo nie słuchał, nie chciał

się uczyć, w szkole rozrabiał i ciągle mnie wzywali na dywanik. Czasem się zastanawiam, co by z niego wyrosło.

– Pamiętam, że mi dokuczał – powiedział Marcin.

– Na pewno tobą rządził. Z dokuczaniem nie było jeszcze tak fatalnie, gorzej traktował kolegów z klasy. Ciągłe wdawał się w bijatyki, chodził na wagary, źle się odnosił do nauczycieli, nie chciał się uczyć.

– Było aż tak fatalnie?

– Tak. Nie wiem, skąd się u niego brało takie zło. Niby byliście bliźniakami, a tak się od siebie różniliście. Jakbyście podzielili się cechami charakteru na pół, byłoby idealnie. Niestety, ty wzięłaś dobre cechy, a Rysiek te złe. Pamiętasz, jak jeden chłopiec przez Ryśka złamał nogę?

Marcin przypomniał sobie dowcip z liśćmi na kamieniu i uśmiechnął się.

– Pamiętam – powiedział. – Alek Kuriata kopnął te liście i złamał nogę.

– Co ja się wstydu za niego wtedy najadłam... Dyrektor szkoły mnie wezwał i groził, że przeniosą Ryśka do szkoły specjalnej.

– Była aż taka afera? – zdziwił się Marcin.

– A jak myślisz? To była recydywa. W zimie Rysiek podłożył nogę koledze, który ślizgał się na ślizgawce. Chłopiec przewrócił się na plecy, miał wstrząs mózgu. Dwa tygodnie spędził w szpitalu.

– Teraz sobie przypominam. To był Marek Doczumiński... – powiedział Marcin i zmienił temat. – Mamo, a co się stało z rzeczami Ryśka? Pamiętam, że pewnego dnia zniknęły i nikt nie chciał mi powiedzieć, gdzie są. Kilka naszych wspólnych zabawek i książek też wtedy zniknęło i więcej ich nie widziałem. Między innymi książka o Robinsonie Crusoe, którą wtedy się zaczytywałem.

– Przepraszam cię teraz bardzo. Rzeczy Ryśka spakowałam zaraz po tym, jak ojciec został internowany, i wyrzuciłam do

śmieci. Nie mogłam sobie poradzić psychicznie, patrząc na pamiątki po nim. – Matka uśmiechnęła się gorzko. – Potem żałowałam – dodała cicho. – Może u dziadka na strychu jeszcze stoją jakieś pudełka, pamiętam jak przez mgłę, że coś zabierał, mówiąc, że nie można tego wyrzucić.

– Zapytam go.

– Nie było żadnej ulgi w cierpieniu. Oszukiwałam się, że taki krok coś pomoże. Zrozum, nie wiedziałam, co robić, nikt mi nie pomagał, nie wiedziałam, czy ojca wypuszczą, nawet nie wiedziałam, czy jeszcze kiedykolwiek go zobaczę. Byłam zrozpaczona. Na szczęście dziadek przyjechał wtedy do nas wózkiem, nie bacząc na straszliwy mróz – było chyba ze dwadzieścia stopni i bardzo dużo śniegu – i załadował najpotrzebniejsze rzeczy. Zabrał nas do siebie i nie wiem, czy wtedy nie uratował mi życia, byłam na skraju rozpacz.

– Pamiętam, jak jechaliśmy nocą do dziadka – powiedział Marcin. – To znaczy, ja jechałem na tym wózku zawinięty w koc, a wy szliście obok. Było mi przeraźliwie zimno. Do końca życia zapamiętam tamten mróz.

– Do domu wróciliśmy dopiero wiosną, kiedy puściły mrozy i jakoś odzyskałam równowagę. Napijesz się jeszcze kawy?

– Bardzo chętnie.

Marcin wyszedł od rodziców dopiero około południa. Ojciec wrócił z ryb, bez większych sukcesów. Rozmawiali jeszcze długo, wspominając lata osiemdziesiąte.

XI

W Środzie Śląskiej był dopiero kwadrans po trzynastej. Czterdzieści pięć minut stracił, stojąc w korku do Leśnicy. Wyjazd z tej strony miasta był koszmary i jak na razie nie zapowiadało się, żeby w najbliższym czasie coś się zmieniło na lepsze. Planowana od lat budowa obwodnicy Leśnicy ciągle była odkładana.

Tablica końca miasta Środa Śląska stała zaraz za przejazdem kolejowym, tuż za nią rozpoczynał się Szczepanów – bardzo duża i rozległa wieś, licząca około półtora tysiąca mieszkańców. Zaraz za przejazdem, po prawej stronie drogi, minął stację benzynową za betonowym murem. Wyglądała na dawno nieczynną. Dalej, po prawej stronie, mijało się obory, w których w dawnych czasach miejscowy pegeer hodował krowy. Pasły się na łąkach położonych po drugiej stronie drogi. Potem zaczynał się mur z czerwonej cegły ogradzający dawny majątek ziemski. Przed wojną był to piękny i zadbane majątek z wielkim parkiem i pałacem nad stawem. Po półwiecznej przynależności do pegeeru pałac obracał się w ruinę, staw już praktycznie w całości zarósł bagienną roślinnością, a park był tak porośnięty krzakami, że trudno było przez niego przejść. Na środku parku od końca lat osiemdziesiątych było boisko piłkarskie miejscowego klubu LZS Szczepanów, do którego Marcin należał, zanim wyprowadził się z rodzicami do Wrocławia. W tamtych czasach grali w klasie C, czyli na najniższym stopniu rozgrywek. Później drużyna awansowała i przez jakiś czas grała nawet w klasie A. Teraz Marcin nie wiedział, czy jeszcze jest jakaś drużyna i jak sobie

radzi.

Na początku lat dziewięćdziesiątych pegeer, jak większość takich gospodarstw w kraju, nie wytrzymał warunków rynkowych i zbankrutował. Teraz ogromny teren przedwojennego majątku pozostawał niezagospodarowany i z roku na rok coraz bardziej niszczał. Pewnie brakowało pieniędzy i pomysłów, co można z nim zrobić.

Dalej w lewo mijało się porośniętą z dwóch stron drzewami drogę do Lipnicy. Marcin mimowolnie zwolnił i patrzył w prawo na mur, wypatrując poprzecznego wyszczerbienia. Ciągłe tam było. Kiedyś razem z dwoma kolegami wracali z Lipnicy trabantem ojca Alka Kuriaty. W aucie szwankowały hamulce. Nie zadziałały akurat, kiedy jechali dość szybko z górki i zbliżali się do skrzyżowania z główną drogą do Środy Śląskiej. Nie pamiętał dokładnie szczegółów, dość, że skończyło się na czołowym zderzeniu trabanta z murem, po którym zostało wyraźne wyszczerbienie w ceglach. Na szczęście nic poważniejszego nikomu się nie stało, nie licząc wielkiej blizny na prawym kolanie ze śladami po szwach, które nosił na pamiątkę. Mimowolnie uśmiechnął się na wspomnienie wypadku.

Jakieś dwieście metrów dalej droga skręcała ostro w prawo i wjeżdżało się do centrum wsi. Potem była krzyżówka, na której stał wybudowany w połowie XIX wieku kościół z czerwonej cegły, pod wezwaniem Najświętszego Serca Jezusa. Przed wojną należał do parafii ewangelickiej, teraz katolickiej. Główna droga skręcała w lewo i prowadziła przez wieś i do oddalonego o sześć kilometrów Brodna. Drogą prosto jechało się przez wioskę w kierunku zachodnim. Po prawej stronie ciągnął się mur otaczający dawny majątek, po lewej mijało się kościół i zaczynały się domy mieszkalne. Mur kończył się po kolejnych dwustu metrach, dalej też ciągnęły się domy mieszkalne. Teraz było ich o wiele więcej niż za czasów, kiedy Zakrzewscy jeszcze tu mieszkali. Upłynęło bardzo wiele czasu. Rówieśnicy Marcina

pobudowali swoje domy, bardzo dużo było również nowych mieszkańców, którzy przenieśli się tu, uciekając z zakorkowanego Wrocławia.

Jeszcze dalej droga łagodnie skręcała w prawo, przejeżdżało się mostek, po lewej mijano się jeden z dwóch basenów przeciwpożarowych i po prawej stronie było widać już stary kościół pod wezwaniem Świętego Szczepana wybudowany w drugiej połowie XVI wieku. Kościół razem z przylegającym do niego cmentarzem, plebanią i kilkoma zabudowaniami gospodarczymi otoczony był pobielonym murem. Do muru przylegał jeszcze jeden mały cmentarz otoczony zardzewiałą siatką. Za cmentarzem rozpościerała się łąka, na której rosły stare grusze. Sad „u księdza”, miejsce, które Marcin wielokrotnie odwiedzał w snach. Dalej droga prowadziła na zachodni koniec Szczepanowa i do położonej w odległości około dwóch kilometrów wioski Święte.

Marcin nie pojechał prosto, tylko na krzyżówce przy czerwonym kościele skręcił w lewo. Sto metrów dalej, przy placu, na którym kiedyś stała remiza strażacka i obok budynków dawnej szkoły podstawowej, do której chodził Marcin, główna droga krzyżowała się z brukowaną ulicą Lipnicką. Zaraz przy krzyżówce mijano się bar i sklep, potem droga wiała się to w prawo, to w lewo. Po prawej stronie stał dom należący do dziadka Marcina, Władysława Radeckiego. Droga zawsze była bardzo nierówna i wąska, ktoś w gminie chyba stwierdził, że należy ją poszerzyć, bo trwały właśnie prace przy utwardzeniu pobocza.

Marcin wjechał na podwórko, zamknął bramę i zadzwonił do drzwi.

Otworzyła babcia Krystyna i wyraźnie się ucieszyła na widok wnuka.

– Co cię tu sprawdza? – zapytała, jak już go wyściskała. – Przecież nie sobota.

– Mam dzisiaj wolne i pomyślałem, że was odwiedzę – odpowiedział.

– Co?

Zapomniał, że babcia trochę niedosłyszała i trzeba było mówić do niej głośno i wyraźnie. Oboje z dziadkiem mieli już po osiemdziesiąt sześć lat. Powtórzył więc odpowiedź głośniej.

– Aha! Dziadek jest gdzieś na dworze!

– Pojdę go poszukać.

Dom miał sto lat, był mały i niepodpiwniczony. Na dole mieściła się tylko kuchnia, a obok dwa małe pokoje, jeden większy i ganek. Był jeszcze pokój gościnny na poddaszu, do którego trzeba było się wspiąć stromymi schodami obok tylnego wyjścia. Do domu przylegała szopa nadająca się już tylko do wyburzenia, a na podwórku stała wybudowana kilkanaście lat temu przez dziadka drewnutnia, podzielona na trzy części. W jednej trzymał nikomu niepotrzebne graty, które pozostały mu jeszcze z czasów, kiedy był rolnikiem i uprawiał kilka hektarów ziemi, w drugiej narzędzia do uprawy ogródka, a w trzeciej – największej – trzymał węgiel i drewno. Dom ogrzewany był tylko piecami kaflowymi i na czas mroźnej zimy trzeba było zgromadzić sporo opału. Dziadkowie mieli za domem pas ziemi o powierzchni pół hektara, ale już od dawna nie uprawiali. Teraz rosła tam trawa, którą dziadek trzy razy do roku kosił kosą. Na końcu podwórka posadził kilkanaście drzew. Tworzyły sympatyczny zagajnik, w którego cieniu można było się skryć w upalne dni.

Dziadek ucieszył się na widok Marcina. Tak się złożyło, że kupił od leśniczego dwa wozy drewna, które sąsiad poprzedniego dnia pociął mu piłą na małe kawałki, w sam raz do palenia w piecu. Teraz trzeba było przenieść je do drewnutni i starannie ułożyć. Marcin natychmiast zaoferował swoją pomoc.

– Dobrze, że przyjechałeś – powiedział dziadek. – Ostatnio boli mnie kręgosłup i zastanawiałem się, jak ja poznoszę to drewno.

Zapowiadają deszcze.

Na razie świeciło piękne słońce i było bardzo ciepło. Marcin ściągnął skórzaną kurtkę, włożył rękawice i wziął się do pracy. Nosił do drewnutni naręcza pociętego drewna, a dziadek układał je odpowiednio pod ścianą. Babcia usiadła na ławce obok drzwi i wygrzewała się w słońcu.

Marcin opowiedział o wznowieniu śledztwa w sprawie zaginięcia Ryśka i innych chłopców. Dziadek był sceptyczny.

– A co ty teraz znajdziesz po tylu latach? – Westchnął.

– Nie wiem co. Muszę spróbować – odpowiedział Marcin. – Prawdopodobnie ktoś w Szczepanowie i okolicach zabijał dzieci. Nawet jeśli już nie żyje, policja musi się dowiedzieć, kto to był. Mamy teraz w komendzie wojewódzkiej wydział zajmujący się nierozwiązanymi zabójstwami sprzed lat.

– Wiem, widziałem w telewizji taki program.

– Właśnie zostałem przeniesiony do tego wydziału w związku z tą sprawą.

– Szukaj, może znajdziesz...

Władysław Radecki, ojciec matki Marcina, był średniego wzrostu. Kiedyś miał wydatny brzuch, który z upływem lat zmniejszał się, aż zniknął zupełnie. Nie można było jednak powiedzieć o nim, że jest chudy: pozostała okrągła twarz i barczysta sylwetka mimo zaawansowanego wieku. Włosy miał białe jak śnieg, lecz ciągle gęste. Jeszcze kilka lat temu wypalał paczkę papierosów dziennie, później poważne kłopoty ze zdrowiem zmusiły go do rzucenia palenia.

– Dlatego do was przyjechałem. Żeby prosić o pomoc – wyjaśnił Marcin.

– A w czym możemy ci pomóc? – Babcia była wyraźnie zdziwiona.

Pokrótkie opowiedział im o datach porwań i swojej teorii, że morderca mógł działać już wcześniej, nawet na Wołyniu.

– Może coś słyszeliście o zaginięciu chłopca przed wojną? –

zakończył swój krótki wstęp.

Dziadek wyszedł z drewnutni zamyślony.

– Matka, ty pamiętasz coś takiego u nas? – zapytał.

– Nie – odpowiedziała zdecydowanie. – Nic takiego się u nas nie zdarzyło.

Dziadek popatrzył na Marcina.

– Bo który to mógłby być rok? – zapytał.

– Jeśli mówimy o wschodzie, to 1941 albo jeszcze wcześniej, 1937.

– Niemcy zaatakowali ruskich 21 czerwca 1941 roku, we wrześniu wojna już trwała. Nie słyszałem, żeby w Siwkach czy okolicznych wioskach jakiś chłopiec zaginął ot tak. Że niby porwany. Oczywiście ludzie ginęli, były aresztowania, ale nie przypominam sobie... No, ale wojna była, to kto wie?

– A jeszcze w przedwojennej Polsce?

– W 1937 miałem jedenaście lat... Nie, nie przypominam sobie, a ty Kryśka?

Babcia pokręciła głową.

Marcin nie dawał za wygraną.

– A już tutaj, we wrześniu 1945? – zapytał.

Dziadek oparł się o framugę drzwi i podrapał się po głowie.

– Tu było duże zamieszanie, jak nas wszystkich ze wschodu przywieźli – powiedział. – My się wszystkie znali. Nie mogło być tak, żeby komuś zaginęło dziecko i nikt się o tym nie dowiedział. Nawet jeśli nie w Szczepanowie, to też nie. Widzisz, nas tu przywieźli z różnych wiosek, ale z tej samej okolicy, wszyscy się znali, byli bliżej czy dalej spokrewnieni. W Świętym zamieszkało jeszcze więcej ludzi z Siwek niż w Szczepanowie, to kontakt był. W Brodnie też została osiedlona część rodziny. Niemożliwe, żeby nikt nie zauważył. Władza komunistyczna tu nas wtedy bardzo dobrze pilnowała.

– Chyba że jakaś sierota – wtrąciła babcia.

– A gdzie tam! – zaprzeczył stanowczo dziadek. – Toż przecie

ludzie by gadali, tak jak następnymi razami.

– A później gadali? – zainteresował się Marcin.

Dziadek pokazał mu gestem, że robota czeka. Dopiero po chwili odpowiedział:

– Pewnie, że gadali. Przede wszystkim bali się o swoje dzieci. Nie wypuszczali po zmroku, pilnowali, kazali chodzić we dwójkę albo najlepiej w grupie. Ale wiesz, jak to jest, mijają lata i się zapomina.

– No właśnie, to mi się nie mieści w głowie. Z biegiem lat zapominali? O tylu porwaniach?

Odezwała się babcia.

– A kto wtedy wiedział, że aż tyle było tych porwań? Nie było telewizji, w gazecie pisali tylko to, co chcieli, a władza przed niczym nas nie ostrzegła.

– Kiedyś się trochę inaczej żyło – dodał dziadek. – Nie tak jak teraz, że mają po jednym albo dwoje dzieci. Kiedyś rodziny były wielodzietne, rodzice ciężko pracowali w pegeerze, potem musieli obrobić swoje pole, żeby mieć co do garnka włożyć. Komuna chłopą zawsze gnębiła. To były straszne czasy, człowiek pracował od rana do wieczora, jak ten wół za marne grosze albo i za nic.

– Może i nie zapominali, ale z czasem coraz mniej pilnowali – zakończyła babcia.

Marcin zamyślił się. No tak, to były zupełnie inne czasy, w śledztwie nie można było tego wątku pominąć.

– A co ludzie mówili o czarnej wołdze? – zapytał.

– Różnie – odpowiedział znowu dziadek Władysław. – Jedni mówili, że prawda, inni się śmiali. Jedno mogę powiedzieć na pewno: ja nigdy takiej wołgi w okolicy nie widziałem.

– No jak nie widziałeś? – przerwała mu babcia. – Niektórzy mieli takie samochody.

– Nie widziałem żadnej podejrzanej. I nie spotkałem nikogo, kto by sam widział. Wszyscy mówili, że gdzieś ktoś widział. Takie

ludzkie gadanie – mruknął dziadek. – Jak widziałem wołgę, to wiedziałem, kto jedzie. W latach pięćdziesiątych, jak jechało auto, to wszyscy się zatrzymywali i gapili, taka była atrakcja. Nie można było przyjechać niepostrzeżenie i porwać dziecka. To tak, jakby teraz przyleciał śmigłowcem. Wszyscy by zauważyli.

– To władza jeździła takimi autami?

– Na początku tak, ale później prywatni też już mieli takie samochody.

Słońce zaszło za dom i podwórko pogrążyło się w cieniu. Marcin wytarł pot z czoła. Z wdzięcznością przyjął szklanke oranżady, którą podała mu babcia. Drewna do noszenia było jeszcze dużo.

– O jedną rzecz jeszcze chcę zapytać – zaczął po chwili. – Na tej ulicy, w 1965 roku, porwany został Gracjan Wereszczyński. Ludzie zorganizowali pogoń za porywaczem, ale go nie złapali. Dziadku, ty też uczestniczyłeś w pogoni, czytałem twoje zeznania.

Władysław znowu wyszedł z drewnutni.

– Pamiętam wszystko bardzo dokładnie.

Opowiedział Marcinowi, jak w tamten wietrzny i deszczowy wieczór zapukał do niego sąsiad, Fabian Kuriata, z wiadomością, że zaginął syn Wereszczyńskich i trzeba go szukać. Zawiadamiając po drodze innych sąsiadów, pobiegli na miejsce zdarzenia. Jakies sto pięćdziesiąt metrów od domu Radeckich ulica się rozwidlała – Lipnicka po łuku skręcała w lewo, a w prawo odchodziła Leśna i prowadziła około pół kilometra do leśniczego, a tam zmieniała się w leśny trakt prowadzący na fogel. Kawalek dalej, za krzyżówką, w kępie krzaków po lewej stronie Lipnickiej ktoś znalazł rower chłopca. Zaraz po tym, jak dziadek przybiegł z Kuriatą na miejsce, ktoś krzyknął, że porywacz ucieka. Dalej zdarzenia potoczyły się dokładnie tak, jak opisano w milicyjnym protokole. Zrobiło się zamieszanie, ktoś wskazał kierunek i większość mężczyzn, może nawet wszyscy,

przebiegli na prawą stronę drogi i pomiędzy dwoma gospodarstwami na pola, potem w prawo do Leśnej i prosto w kierunku domu leśniczego. Na granicy lasu pościg się załamał. Nikt nie potrafił powiedzieć, kogo gonią. Minęła dłuższa chwila, zanim wrócili na miejsce porwania, gdzie nadal leżały rower i bańka na mleko. Nie bardzo było wiadomo, czy ktoś przy tym rowerze przez cały czas był, czy na kilka minut miejsce opustoszało. Ktoś pobiegł do sołtysa, który jako jedyny we wsi miał telefon, żeby zadzwonił po milicję. Radiowóz przyjechał nadspodziewanie szybko i milicjanci zaczęli przesłuchiwać świadków.

Marcin miał wrażenie, że nie dowiedział się niczego nowego.

– Nadal nie jestem pewien... W końcu ścigaliście kogoś czy nie?
– zapytał.

– A tam, ścigali! – Babcia Krystyna machnęła ręką. – Ktoś coś krzyknął, a oni pobiegli jak barany!

Dziadek niechętnie pokiwał głową.

– Po latach i ja tak myślę – powiedział. – Komuś się coś przywidziało i reszta pobiegła za nim.

– To dlatego w zeznaniach nikt nie potwierdził, że widział porywacza – domyślił się Marcin.

– Na początku wszystkim się wydawało, że go widzą, ale jak trzeba było zeznać przed milicjantem, nie było już takiej pewności.

– Nikt tak nie powiedział – zauważył Marcin.

– Widzisz, taka to była i pogoń.

– Dziadku, czy pamiętasz, kto krzyknął, że porywacz ucieka? – zainteresował się Marcin. – W zeznaniach tego nie ma.

Radecki pokiwał głową.

– Długo się nad tym kiedyś zastanawiałem. – Westchnął. – Myślę, że krzyknął Bogdański.

– Kto to jest Bogdański? – zapytał Marcin. – Nie składał zeznań.

– Nie wszyscy zeznawali – wyjaśnił dziadek. – Jak przyjechała

władza, część chłopów rozeszła się do domów pod osłoną nocy. Po co komu były kłopoty? Kiedyś milicja nie była lubiana, jak i cała władza zresztą.

– A ty powinieneś wiedzieć, który to Bogdański – wtrąciła babcia. – Mieszkał zaraz za murem majątku, jak się jedzie do starego kościoła. Taki dom w głębi. Drugi albo trzeci z kolei, jeszcze przed mostkiem.

– Kojarzę – przyznał Marcin. – I chyba pamiętam tego Bogdańskiego. Co się z nim teraz dzieje?

– Nie żyje – odpowiedział Władysław.

– Dawno?

– O, będzie już ze dwadzieścia lat! – zawołała babcia. – Mieszkał sam. Mówią, że przyjechał po niego syn i zabrał go do domu starców. I tam zaraz umarł.

– Syn zajął się domem?

– Nie, podobno tylko od czasu do czasu płaci Dąbrowskiemu, temu co mieszka naprzeciw, żeby trzymał klucze.

– Aha! A ten Bogdański był też z Siwek?

– Nie, on chyba ze Lwowa był – odpowiedział dziadek.

Babcia wstała z ławki.

– Pójdę obiad odgrzać – powiedziała i poszła do domu.

Marcin z dziadkiem nosili drewno jeszcze przez ponad godzinę.

Na obiad były odsmażane na patelni ziemniaki, mielone kotlety i kiszony ogórek ze słoika. Po pracy smakowało doskonale. Do tego dziadek postawił na stole butelkę swojej legendarnej miodówki na spirytusie i dwa duże kieliszki. Przepis na ten doskonały trunek przyjechał jeszcze z Wołynia; kiedyś do jego sporządzenia wykorzystywany był samogon. Marcin już dawno dostał recepturę i zawsze obiecywał sobie, że zacznie robić miodówkę, jak nakazuje rodzinna tradycja.

Na początku próbował się wymawiać, że chciałby jeszcze pojechać autem w jedno miejsce, na co babcia Krystyna

powiedziała:

– Weźmiesz rower.

– Na rowerze też nie wolno jeździć po alkoholu – odparł ze śmiechem Marcin.

– A kto ciebie złapie, przecież swoich nie będą kontrolować – zakończył dziadek i nie było dyskusji.

Po obiedzie usiedli przy butelce. Władysław nie mógł już dużo pić. Kończył zazwyczaj po drugim lub trzecim kieliszku, za to bardzo chętnie nalewał Marcinowi.

– Powiedz mi, dziadku, czy zostały u was jakieś rzeczy po Ryśku? – zapytał w pewnej chwili.

Dziadek podrapał się po głowie i wzruszył ramionami.

– Mama zasugerowała, żebym szukał u was na strychu – nie poddawał się Marcin.

– Toż są jakieś! – wtrąciła się babcia. – Poszukaj w szafie na górze, po prawej stronie. Tylko uważaj, bo kurz straszny. Nikt tam nie zaglądał ze dwadzieścia lat.

– Popatrzę wieczorem.

Słońce zachodziło za horyzont i zaczęło się robić szaro. Zgodnie z propozycją Marcin pożyczył nadgryziony zębem czasu rower dziadka i pojechał do centrum Szczepanowa. Na skrzyżowaniu z główną drogą na Środę Śląską skręcił w prawo i dojechał do krzyżówki, przy której stał czerwony kościół pod wezwaniem Najświętszego Serca Jezusa. Tu skręcił w lewo i pojechał drogą w kierunku małego kościoła, wzdłuż muru dawnego majątku. Mur był zaniedbany i odpadał z niego tynk. Do dzisiaj jednak zachowały się na nim fragmenty zamalowanego napisu, który pojawił się na nim pewnej nocy w latach osiemdziesiątych, w stanie wojennym. Ktoś czarną farbą napisał hasło: „Precz z pacholkami sowieckimi – wolność Polsce”. Możliwe, że hasło brzmiało inaczej, ale Marcin dzisiaj nie pamiętał dokładnie jego treści. Dość, że był to jedyny znany mu przejaw walki z komunizmem w wiosce. Hasło pojawiło się

naprzeciw domu jego kolegi z podstawówki, Romka Adamca, przez co rodzina była przesłuchiwana przez milicję.

Zaraz za murem stał nowy dom, wybudowany niedawno, za nim znajdowała się zardzewiała brama, podwórko zarośnięte trawą, którą jednak ktoś kosił, a w głębi zaniedbany dom. Jedno z okien musiało mieć wybite szyby, bo ktoś w ich miejsce wstawił dyktę i przybił ją do framugi. Marcin miał wrażenie, jakby za chwilę miał runąć dach. Krokwie musiały zgnić, bo dach odkształcił się znacznie do środka. Kiedyś mieszkał tu Bogdański.

Dalej stał jeszcze jeden dom, potem był mostek nad rzeczką, za nim duży dom z czerwonej cegły z ogrodem, a jeszcze dalej zaczynał się mur kościelny otaczający stary kościół pod wezwaniem pierwszego chrześcijańskiego męczennika Świętego Szczepana i plebanię. Wydeptana przez trawnik ścieżka na skos prowadziła do furtki w murze naprzeciw tylnego wejścia do kościoła. Na wprost, tak jak kiedyś ogrodzony zardzewiałą siatką, tyle tylko że teraz porośniętą jeszcze krzakami, znajdował się stary cmentarzyk, a za nim łąka i rosnące na niej stare grusze.

Tak jak trzydzieści lat wcześniej położył rower na trawie i wolno poszedł w kierunku wąskiej furtki w siatce.

„Widziałem, jak diabeł chodzi tam na palcach”.

Wspomnienie szeptu mordercy tuż przy uchu zmroziło mu krew. Na ramionach miał gęsią skórę. Odetchnął głęboko i ruszył przed siebie.

XII

Trzydzieści lat wcześniej, pod koniec sierpnia 1981 roku, bracia bliźniacy rzucili rowery w trawę i pobiegli w kierunku furtki prowadzącej na cmentarz. Była uchylona, więc prześlizgnęli się przez szparę. Musieli uważać, żeby nie dać się przyłapać księdzu. Przemknęli szybko kilka metrów i już byli bezpieczni, zasłonięci przez budynek stodoły. Mogli bez przeszkód dojść między nagrobkami do drugiej furtki, prowadzącej do sadu.

Marcin przeszedł teraz dokładnie taką samą drogę, przed oczami miał tamte sceny. Przez lata okolica się zmieniła. Część muru kościelnego przy cmentarzu zawaliła się lub ze względów bezpieczeństwa została rozebrana. Teraz w tym miejscu rozciągnięta była siatka. Marcin rozejrzał się zbity z tropu. Wydawało mu się, że wszystko wygląda inaczej niż przed laty. Przynajmniej inaczej niż on pamiętał. Szybko znalazł się na drugim krańcu cmentarza.

„Nie zamykaj furtki”. Głos Ryśka zabrzmiał w jego uszach, jakby słowa wypowiedziane były przed chwilą.

„Dlaczego?” – odpowiedział wtedy pytaniem.

„Łatwiej będzie zwać”.

Niemalowane ogrodzenie zardzewiało do tego stopnia, że furтка spadła z zawiasów i ktoś przywiązał ją do słupka drutem. Marcin z trudem ją otworzył.

Drzewa stały na łące tak samo, jak przed laty, były tylko jeszcze starsze i bardziej powykręcane przez wiatry. Liście miały pożółkłe, część już opadła, tworząc na starannie skoszonej trawie kolorowy całun. Nikt nie zebrał trawy po skoszeniu. Gniła

w różnych częściach łąki.

Wtedy trawa była wyższa. Zbiegli z górki i zaczęli szukać owoców pod drzewami. Tutaj też byli widoczni i ksiądz mógł ich dostrzec z plebanii, ale niebezpieczeństwo było mniejsze, ponieważ do sadu można było wejść tylko przez mały cmentarz. Zanim ksiądz obszedłby cały kościół, na pewno zdążyliby uciec.

Teraz było bardziej szaro niż kiedyś. Słońce już zaszło, ściemniało się szybko, na dodatek wielkie drzewa w parku za łąką rzucały ponury cień. Marcin ruszył w dół i nagle się zatrzymał. Ogarnęło go przenikliwe zimno. Nieprzyjemny dreszcz przeszedł mu po ciele, z ust wydobywała się mgiełka pary wodnej. Nie spodziewał się, że w tym miejscu będzie aż tak chłodno, szczególnie po tak ciepłym dniu. Widocznie bliskie sąsiedztwo podmokłego parku robiło swoje.

Tak sobie szybko wytłumaczył nagły spadek temperatury, lecz nadal nie ruszył z miejsca. Miał wrażenie, że zimno przenika go na wskroś. Odruchowo postawił kołnierz i wcisnął ręce głęboko do kieszeni kurtki. Drzewa wydawały się zamrożone, nienaturalnie nieruchome.

Marcin nie wiedział, czy to wspomnienia przywołały ten nieuzasadniony niepokój, czy sprawiła to niesamowita atmosfera tego miejsca.

Bliźniacy rozbiegli się po sadzie, szukając w trawie nieuszkodzonych owoców. Było jeszcze za wcześnie na słodkie i soczyste owoce. Wszystkie leżące na ziemi były jeszcze twarde, cierpkie i robaczywe. Chłopcom to jednak nie przeszkadzało. Rysiek poszedł w lewą stronę bliżej parku, a Marcin w prawą, w kierunku rowu. Właśnie znalazł wyjątkowy okaz i chciał się nim pochwalić bratu. Podniósł głowę, spojrzał w jego kierunku i zamarł z przerażenia. Od strony parku w kierunku Ryśka bezszelestnie sunęła ciemna postać. Najpierw myślał, że zaskoczył ich ksiądz, ale to nie był ksiądz. Nie potrafił określić, czy to w ogóle był człowiek. Postać zbliżała się do Ryśka. Marcin

krzyknął przerażony i rzucił się do ucieczki. Biegł pod górkę, potknął się i runął jak długi twarzą w trawę. Zanim się podniósł, ktoś rzucił mu się na plecy. Po śmiechu poznał, że to Rysiek.

„Zwariowałeś, nie krzycz, bo nas nakryją!”

Marcin nie odpowiedział. Wyrwał mu się i uciekał dalej. Dopadł do roweru i co sił w nogach popedałował do domu. Dopiero w swoim pokoju trochę się uspokoił. Rysiek przyjechał chwilę po nim.

Marcin zszedł w końcu między drzewa. Z wahaniem podniósł leżącą pośród liści gruszkę. Czuł się jak intruz, wydawało mu się, że drzewa patrzą na niego oskarżycielskim wzrokiem, że powążył się na zakłócanie ich wiecznego spokoju i kradzież owoców.

Odruchowo spojrzął w stronę pogrążonego w mroku parku i znowu znieruchomiał zaskoczony i przestraszony. Na tle drzew wyraźnie dostrzegł ciemniejszą postać stojącą kilkanaście kroków od niego. Koszmar z dzieciństwa wrócił. Z trudem przełknął ślinę, odrzucił gruszkę i ruszył w tamtym kierunku. Mimowolnie wymacał pod pachą kaburę i swojego walthera p-99. Postać nie poruszała się.

– Hej, ty! – krzyknął i przyspieszył.

Zanim jednak dostatecznie się zbliżył do zwałonego ogrodzenia i czarnej linii drzew za nim, postać zniknęła. Dałby głowę, że wyraźnie widział, jak porusza się prędko i rozplywa się w mroku pomiędzy drzewami. Marcin zatrzymał się, oddychając szybko. Złudzenie? Czy może ktoś naprawdę tu był i go obserwował? Nie powinien tu przychodzić. Nikogo by w takich ciemnościach nie dostrzegł, a mógł się narazić na... niebezpieczeństwo.

Myślał coraz bardziej racjonalnie. Przywidziało mu się. Na pewno. Pod wpływem wspomnienia z dawnych lat umysł spletał mu figła, ciemniejszy krzak przypominał mu zarys ludzkiej postaci, zupełnie tak samo jak przed laty. Na pewno. Przecież nie

mogło tu nikogo być.

Dopiero kiedy położył się na swoim łóżku, poczuł się bezpiecznie i serce trzepoczące w piersiach zaczęło się uspokajać. Rysiek zajrzał do niego na górę, stojąc na krawędzi swojego łóżka.

„Dlaczego uciekałeś?” – zapytał, lecz już się nie śmiał. W jego oczach też malował się strach.

„Widziałem kogoś – odpowiedział Marcin niechętnie. – Wyszedł z parku”.

„Kogo, księdza?”

„Kogoś”.

*

Głos za plecami sprawił, że Marcin aż podskoczył przestraszony.

– Niech będzie pochwalony! Niby kościelne gruszki, a tak kuszą, żeby słodko zgrzeszyć.

Dziesięć metrów od niego stał ksiądz w czarnej sutannie i uśmiechał się do niego życzliwie. Marcin spojrzał szybko za jego plecy i zobaczył, że od strony podwórka plebanii, gdzie kiedyś nie było wejścia na łąkę, teraz jest nowe ogrodzenie i szeroka brama.

– Niech będzie pochwalony – odpowiedział i podszedł do księdza. – Proszę wybaczyć, nie przyszedłem na gruszki. – Pokazał księdzu odznakę policyjną. – Nazywam się Marcin Zakrzewski. Przyszedłem tu w związku z prowadzonym śledztwem. Przepraszam, że nie zapytałem o pozwolenie.

Ksiądz miał około sześćdziesiątki i sporo nadprogramowych kilogramów, był lekko łysawy i chyba często się uśmiechał. Teraz też uśmiech nie schodził mu z twarzy.

– Jest pan może spokrewniony z Władysławem Radeckim?

– To mój dziadek.

– Tak myślałem. Pan Władysław pokazywał mi kiedyś fotografie i mówił, że pracuje pan w policji. – Ksiądz serdecznie uściskał mu rękę. – Bardzo się cieszę, że cię poznałem, synu – powiedział. – Pan Władysław jest zacnym człowiekiem, nie było jeszcze niedzieli, żeby opuścił mszę. A i chętnie służy pomocą na plebanii. Jego małżonka także jest miłą kobietą. Muszę się przyznać, że wielbię słynną miodówkę pana Władysława.

– Zna ją ksiądz? – Marcin uśmiechnął się mimowolnie.

– Co roku zdarza mi się tak organizować kolędę, aby dom państwa Radeckich był ostatni, bo wtedy mogę spokojnie wychylić kieliszek lub dwa. Każdy ma swoje drobne słabości.

– Oby tylko nikomu krzywdy nie wyrządzały.

– Święte słowa. Jakież to śledztwo cię tu sprowadziło?

Marcin rozłożył ręce w przepaszającym geście.

– Niestety, nie mogę zdradzić szczegółów – odpowiedział. – Jednak nic związanego z tym małym sadem. Z sentymentu chciałem odwiedzić miejsce, do którego zakradałem się na gruszki jako dziecko, na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.

Ksiądz spoważniał trochę i pokręcił głową.

– Nie lubię tego miejsca – powiedział nagle.

Marcin popatrzył na niego zaskoczony.

– W tym miejscu czai się zło – ciągnął proboszcz. – Stare powyginane grusze wyglądają jak stojące rzędem wojska piekieł, park za ogrodzeniem jest zawsze szary, ponury. Ilekroć tu jestem, mam wrażenie, że ktoś na mnie patrzy ze złością. Zauważyłeś, że tu jest zawsze chłodniej niż w okolicy?

Marcin nie wiedział, co ma powiedzieć. Dokładnie to samo odczuwał przed chwilą, jednak takie słowa w ustach księdza brzmiały nierealnie i dziwacznie.

– Jestem na tej parafii od dziesięciu lat i nigdy nie zjadłem nawet jednej gruszki – kontynuował ksiądz. – Nie potrafię się zmusić. Niby wyglądają przepysznie i cudownie pachną, ale

miejsce, gdzie się urodziły... Ono nie sprawia takiego wrażenia.

– Myśli ksiądz, że w tym sadzie zdarzyło się coś strasznego, co na zawsze odcisnęło swoje piętno?

– Wierzę, że miejsca pamiętają ból, cierpienie i zło, jakich były świadkami – odpowiedział ksiądz. – Zwiedzałem obóz koncentracyjny w Auschwitz, byłem na miejscu kaźni naszych oficerów w Katyniu i Miednoje. Wszędzie roztacza się aura bólu, cierpienia, wieczystego smutku. Nawet jeśli ktoś na początku nie zdaje sobie sprawy, gdzie się znajduje, zaczyna odczuwać ten smutek i niepokój. Gasną uśmiechy, milkną rozmowy. Na tej łące, w tym sadzie, jest jednak inaczej. Tu czai się zło.

Było coraz ciemniej. Marcin poczuł, jak coś zimnego pełźnie mu po karku. Mocniej wcisnął ręce w kieszenie.

– Niech mi ksiądz powie, czy można spotkać diabła w prawdziwej postaci? – zapytał.

Kapłan zmierzył go poważnym wzrokiem.

– Tak – odpowiedział, odruchowo dotykając zawieszzonego na szyi krzyżyka. – Szatan istnieje realnie i wierzę, że można czasem zobaczyć jego prawdziwe oblicze. Myślę jednak, że dzieje się tak bardzo rzadko. On nie chce się niepotrzebnie zdradzać i pokazywać. Jak każdy zdrajca atakuje z ukrycia, poprzez słabych ludzi. Sączy im ciągle do ucha jad, aż w końcu zaczynają czynić zło i nawet o tym nie wiedząc, stają się jego wiernymi sługami aż do końca swoich dni. Zło czai się w różnych uczynkach – począwszy od zazdrości o sferę materialną i uczuciową, przez nieczyste myśli, drobne złe uczynki, czynienie przykrości bliźnim, na morderstwie i ludobójstwie kończąc. Zależy od tego, na jaki podatny grunt trafi szatan, szepcząc złe słowa do ludzkich uszu. Gdyby pokazywał się w swojej prawdziwej postaci, ludzie by się go bali i nikt nigdy nie zostałby jego sługą. Dlatego przybiera nieskończoną liczbę masek: może być ekspedientką w sklepie, przechodniem na ulicy, piękną spikerką w telewizji, politykiem, a nawet policjantem i księdzem.

Wszystko po to, żeby zrobić zło.

– Księża słowa brzmią przerażająco.

– Musimy pokładać ufność w Bogu. On nam nie pozwoli zginąć.

Marcin popatrzył na furtkę, na mały cmentarzyk, przez który tu wszedł. Już prawie ginął w ciemnościach.

– Miło nam się gawędzi – odezwał się. – Niestety, muszę iść. Robi się ciemno.

– Mnie również miło było cię poznać, synu – rzucił z uśmiechem ksiądz.

– Proszę mi jeszcze powiedzieć, czy ta łąka i te drzewa od dawna należą do kościoła – poprosił Marcin.

– Podejrzewam, że od czasów, kiedy wybudowany został kościół Świętego Szczepana.

– A czy może istnieje jakaś kościelna kronika lub inne dokumenty, które dotyczą historii tego miejsca?

Ksiądz rozłożył ręce.

– Nawet jeśli były, zaginęły w czasie wojny – odpowiedział. – Nie słyszałem nigdy żadnej legendy dotyczącej łąki.

– Ja też nie. To do widzenia!

– Szczęść Boże!

Uścisnęli sobie ręce i każdy poszedł w swoją stronę. Ksiądz w kierunku plebanii, Marcin do wyjścia. Przy ogrodzeniu popatrzył jeszcze na to miejsce, w którym widział czarną postać. Mrok był już jednak zbyt duży, żeby cokolwiek dojrzeć.

XIII

Wieczorem, po kolacji i prysznicu, Marcin zajrzał na strych. Wejście było zaraz obok pokoju gościnnego, w którym miał spędzić noc.

Ciężka przedwojenna szafa, nadgryziona przez korniki, ze zdobionymi okuciami zjedzonymi przez rdzę, musiała pilnie strzec swojej zawartości co najmniej od ćwierćwiecza. Namęczył się, zanim ją otworzył. Kiedy ustąpiła, wyraziła niezadowolenie przeraźliwym skrzypieniem.

Na półkach stały szeregi mniejszych lub większych pudełek, skrywających cierpliwie w swoim wnętrzu coś, co ludziom wydawało się na tyle ważne, że nie zdecydowali się tego zniszczyć, a co tak naprawdę zostało zapomniane na zawsze.

Marcin się skrzywił. Przejrzenie wszystkich zajęłoby masę czasu i pewnie nieźle by się przy tym ubrudził. Był jednak zdeterminowany. Czuł jednocześnie zdenerwowanie, podekscytowanie i ciekawość, jak historyk przeglądający zawartość odkrytych przed chwilą starodruków sprzed stuleci. Już miał sięgnąć po pierwsze pudełko, kiedy jego wzrok zatrzymał się na najniższej półce. Duże szare pudło po telewizorze marki Neptun! Pamiętał je doskonale. Razem z Ryśkiem trzymali w nim zabawki. Czasy były ciężkie, więc na wszystkie urodziny, imieniny, mikołaje dostawali wspólne zabawki. Zazwyczaj potrafili się nimi dzielić bez większych konfliktów. Mieli odmienne zainteresowania; Ryśkowi rzadko podobało się coś, czym bawił się jego brat.

Ostrożnie wyciągnął pudło z szafy i wytarł szmatą kurz

z wierzchu. Drażącymi rękami zdarł szarą taśmę, którą było zaklejone, i zajrzał do środka. Poczuł suchość w gardle. Wrócił do czasów swojego dzieciństwa. I znowu pewne rozczarowanie. Zabawek było niedużo. Jakieś klocki, zardzewiała blaszana straż pożarna i jego pluszowy miś w worku foliowym. Resztę stanowiły książki i zeszyty Ryśka.

Ostrożnie przeniósł karton do pokoju na poddaszu. Chciał go postawić na stole, ale w ostatniej chwili pudło się rozerwało i zawartość z hukiem wyleciała na blat.

– Cholera jasna! – zaklął Marcin, machając rękami, żeby rozproszyć chmurę kurzu.

Usłyszał, jak dziadek Władysław idzie po schodach.

– Wszystko w porządku? – padło pytanie z dołu.

– Tak, tak! – odpowiedział szybko.

Kroki na chwilę się zatrzymały, potem dziadek wrócił na dół.

Marcin starannie zamknął drzwi i nalał sobie miódówki z butelki, którą dziadek wspaniałomyślnie przyniósł mu na górę. Wypił, skrzywił się i zaczął przeglądać stertę leżącą na stole. Najpierw posegregował zawartość pudełka. Zeszyty ułożył na jednym stosie, podręczniki szkolne na drugim, pozostałe książki na trzeciej kupce. W tej ostatniej znalazł zaginionego *Robinsona Crusoe*. Przekartkował powieść i odłożył. To samo zrobił z innymi książkami, które były własnością jego brata: popularnymi kiedyś tygrysami i kilkoma bezwartościowymi czytnymi z kiosku Ruchu – nie było tam nic szczególnego.

Następnie przejrzał podręczniki. Uśmiechał się, wspominając stare czasy. Każdy z nich przywoływał wspomnienia – nauczycielkę biologii, matematykę z dyrektorką szkoły podstawowej, która za złe zachowanie na lekcji lub brak zadania karała, ciągnąc uczniów za włosy na skroni. Nawet Marcin naraził się kiedyś na taką karę. Pamiętał, że wcale nie żartowała. Jak baletnica stał przed całą klasą na czubkach palców, a ona niemiłosiernie się nad nim znęcała. Dziś pewnie wybuchłaby

z tego afera, którą media rozdmuchałyby na cały kraj. Wtedy jednak takie praktyki wśród nauczycieli nie były rzadkością. Książka do nauki rosyjskiego bardzo go zdumiała. Uświadomił sobie, że uczył się tego języka od szkoły podstawowej, całe liceum i później na studiach, a teraz nawet nie rozpoznaje liter.

Nalał sobie jeszcze jeden kieliszek miodówki i sięgnął po zeszyty. Pierwszy był do polskiego. Rysiek zapisał tylko kilka kartek – nie minął jeszcze nawet pierwszy miesiąc nauki, kiedy został porwany. Kolejne zdziwienie. Zupełnie nie rozpoznawał koślawego pisma brata. Rysiek pisał jak kura pazurem, bardzo niestarannie i z dużą ilością skreśleń i poprawek.

Już miał odłożyć zeszyt, kiedy nagle dostrzegł jakieś napisy na ostatnich stronach. Z pozoru niewinny rysunek przyprawił Marcina o dreszcz niepokoju. Długopisem narysowana była jakaś pokraczna postać i podpisana: „diabeł”.

Wpatrywał się w rysunek długą chwilę. Wreszcie odłożył zeszyt do polskiego na bok, jakby był z porcelany, i sięgnął po następny. Matematyka. Nie patrzył na początek, tylko od razu przekartkował drugą połowę. Na okładce znalazł kolejny rysunek. Naszkicowany odręcznie prostokąt, w jego środku dziewięć kropek w trzech rzędach i podpis: „Martwy sad”.

Rzucił zeszyt, jakby nagle zaczął go parzyć, zerwał się z krzesła i krążył po pokoju, oddychając niespokojnie. Co się dzieje, do jasnej cholery?! Zaczynał myśleć, że to się nie dzieje naprawdę. Może tylko śnił? Ale to nie był sen, w żadnym razie. Nalał sobie nalewki i wypił jednym łykiem. Patrzył na zeszyt jak na przyczajonego grzechotnika. Wreszcie opanował się. Nie ma takich sytuacji, które nie mają racjonalnego wytłumaczenia. Przecież po to przyjechał – aby znaleźć racjonalne wytłumaczenie ciągu zdarzeń z pogranicza faktu i fikcji.

Usiadł przy stole i zaczął uważnie oglądać rysunek z okładki zeszytu do matematyki. Martwy sad – nie miał wątpliwości, czego wizualizacją jest rysunek. Sad u księdza. Dlaczego martwy?

Przez to, że drzewa są tam bardzo stare i kiedy zrzucają liście, wyglądają jak uschnięte kikuty? Czy wyobraźnia dwunastolatka była w stanie podpowiedzieć mu takie porównanie? Może jednak chodziło o coś zupełnie innego? O co?

Sięgnął po następny zeszyt, wzmacniając się znów porcją alkoholu. Biologia i kolejne odkrycie. Dwie strony rysunków. Znowu postać diabła w trzech różnych wersjach oraz rysunek sadu na całą stronę. Tym razem stare grusze nie były tylko punktami, zostały naszkicowane wyraźniej. Każda miała inny kształt. Napis „Martwy sad” umieszczono na każdym z boków.

Co miały znaczyć te rysunki? Marcin był coraz bardziej zdenerwowany. Nigdy w swojej pracy nie spotkał się z taką sprawą. Zawsze sprawcami przestępstw byli ludzie, nie miał jeszcze do czynienia z diabłem. A może miał? Przecież, jak powiedział ksiądz, wszystkie złe uczynki są inspirowane przez diabła. Tylko o co chodzi w tej sprawie? Co takiego odkrył Rysiek, że nagle zniknął bez śladu? Kto go porwał – człowiek czy moce piekielne?

Zakrzewski zganił się za takie myśli. Całe życie był realistą, nie dopuszczał działania sił nadprzyrodzonych. Był wierzący, zgodnie z solidnym wychowaniem, jakie wyniósł z domu, jednak rzadko chodził na msze i nie uczestniczył w życiu Kościoła. To jednak wystarczyło, żeby podzielał poglądy księdza. Za wszystkim stoją realni ludzie, a jego zadaniem jest ich odnalezienie. Nawet po trzydziestu latach.

Historia. Na ostatniej stronie narysowany ołówkiem wizerunek diabła i podpis: „Diabeł chodzi tam na palcach”.

Zrobiło mu się gorąco.

„Diabeł chodzi tam na palcach”.

Właśnie te słowa wypowiedział kiedyś Rysiek, zasypiając. To samo wyszeptał morderca niecały tydzień temu. Zbieg okoliczności? Nie wierzył w takie przypadki.

W takim razie...

Myśl była natrętna i dla Marcina nie do przyjęcia. Czy Rysiek miał coś wspólnego z mordercą z Marszowic?

Nierealne. A przecież szukał realnego rozwiązania. Musiało być inne, proste wytłumaczenie. Musiał je tylko znaleźć.

Nawet nie wiedział, kiedy skończyła się zawartość butelki. Nie czuł działania alkoholu, wprost przeciwnie, myśli miał jasne i klarowne.

Kolejny zeszyt... nic. Następny, ZPT, też nic. Podobnie jak kolejne. Dopiero w ostatnim, do języka rosyjskiego, znalazł więcej rysunków i napisów. Tym razem Rysiek sporządził cztery różne szkice sadu u księdza. Mały z kropkami zamiast drzew. Dwa większe, w których drzewa naszkicowane były dokładniej, potem taki sam, tylko z postacią diabła chodzącego na palcach, z odpowiednim podpisem. I ostatni, inny niż pozostałe. Znowu drzewa symbolizowane były przez kropki, ale pod każdą kropką narysowany był znak plus. Właściwie nie pod każdym, plusa brakowało przy ostatnim drzewie w sadzie. Podpis był taki sam jak wszędzie, tylko drukowanymi literami: MARTWY SAD.

Jeszcze raz uważnie przejrzał wszystkie podręczniki i zeszyty. Niczego więcej nie znalazł.

Spakował pudełko i wstawił je na miejsce do starej szafy, zostawił sobie tylko zeszyty z rysunkami i pluszowego misia. Był zapakowany w foliową torebkę i zachował się w doskonałym stanie. Postanowił zatrzymać go na pamiątkę.

Wyciągnął z torby laptopa, włączył, połączył się z internetem i w wyszukiwarce Google wpisał hasło: „martwy sad”. Na pierwszym miejscu pojawił się link do strony Photoblog.pl: „11 wrze 2011... Photoblog.pl – Darmowy, największy w Polsce blog ze zdjęciami”. Wszedł na tę stronę. Zobaczył zdjęcie dziewczyny przytulonej do oparcia biurowego krzesła podpisane: „martwy sad”. Zły trop. Następne wyniki również nie były zachęcające. „Martwy Jackson zaszokował sąd – Najnowsze informacje...” i kolejne w tym stylu. W internecie nic ciekawego nie było.

Wyłączył komputer i długo siedział na krześle, wpatrując się w rozłożone na stole zeszyty Ryśka. Co jego brat chciał przez to powiedzieć? Natrętnie powracało wspomnienie czarnej postaci, którą widział – a może wydawało mu się, że widział – w sadzie trzydzieści lat temu. Czy mogła być prawdziwa? Czy Rysiek też ją widział? Raczej nie tego samego dnia. Wtedy śmiał się z Marcina i spoważniał dopiero w domu, kiedy usłyszał, co się stało. Może ta opowieść tak go zafascynowała, że wrócił do sadu i też zobaczył tam kogoś, kogo określił mianem diabła? Co to wszystko miało wspólnego z jego zniknięciem? A co miało wspólnego ze zniknięciem innych chłopców? Szczególnie z serią z ostatnich lat?

Dochodziła północ. Marcin rozebrał się, padł na łóżko i natychmiast zasnął kamiennym snem.

XIV

Sen był wizytą w czarnej otchłani bez marzeń.

Obudził się nagle, jakby ktoś szarpnął go za ramię i od razu powrócił do rzeczywistości. Nie znosił tego. Po nocy takiej jak ta zawsze miał wrażenie, jakby wcale nie spał. Wolał, gdy coś mu się śniło, gdy budził się w nocy, żeby spojrzeć na zegarek i upewnić się, że jeszcze zostało mu parę godzin snu. Pewnie miódówka dziadka Władysława zrobiła swoje, bo czuł ćmiący ból głowy i suchość w ustach.

Wziął długi prysznic i kiedy wyszedł z łazienki, była dziewiąta. Babcia Krystyna zrobiła mu kawę i kielbaski na gorąco. Były znakomite i od razu lepiej się poczuł. Na wszelki wypadek wziął jeszcze tabletki od bólu głowy. Przy kawie przypomniał sobie, że nie zatelefonował do Pauliny poprzedniego wieczoru. Wyciągnął telefon i okazało się, że aparat ma całkowicie rozładowaną baterię. Poszedł na górę i podłączył go do ładowarki.

Operator przysłał mu zaraz informacje o tym, kto próbował się z nim połączyć. Numer Pauliny wyświetlił się pięć razy.

Skrzywił się, trochę zaniepokojony. Nie wiedział, jak Paulina reaguje na brak kontaktu. Podejrzewał, że mogła nie być zadowolona. Zastanowił się, co ma jej zreferować. Właściwie od poprzedniego dnia nie posunął sprawy nawet o włos do przodu, tylko namnożył pytań bez odpowiedzi. Większość takich, których i tak nie mógł jej na razie przekazać. Średnio się z tym czuł. Zaufała mu, proponując współpracę, a on nie był w stosunku do niej szczery. No, ale jak miał opowiedzieć jej o diable w sadzie i dziwnych rysunkach Ryśka?

Wreszcie wykręcił jej numer. Długo nie odbierała, już miał się rozłączyć, kiedy usłyszał jej zdyszany głos.

– Halo?

– Cześć, to ja – powiedział.

– Słyszę.

– Przepraszam, ale rozładowała mi się komórka i nie widziałem, że dzwonisz.

Jej głos brzmiał twardo i oschle. Musiała być na niego zła.

– Jakbyś miał zamiar zadzwonić, zobaczyłbyś, że masz rozładowaną baterię.

– Przepraszam, wyleciało mi z głowy.

– Rozumiem, że dobrze się bawiłeś?

Szybko stracił cierpliwość.

– Nie bawiłem się, tylko zajmowałem się naszą sprawą – stwierdził. – Nie musisz być złośliwa.

– Marcin, jestem na ciebie wkurzona – odpowiedziała. – Współpracujemy ze sobą i ustaliliśmy pewne zasady. Ty je łamiesz już pierwszego dnia. To nie wróży dobrze na przyszłość.

– Nie przesadzasz trochę? Gdybym znalazł coś interesującego, zaraz bym z tym zadzwonił. Na razie nie mam nic, czego warto by było się uchwycić. Nie zależy mi na tym, żeby robić ci na złość, tylko na tym, żeby rozwiązać tę cholerną sprawę.

– Jestem zła, nie trzymasz się ustaleń – powtórzyła twardo.

– Zasapałaś się z tej złości.

Zamilkła na dłuższą chwilę. Marcin pomyślał, że trochę przegiął i pewnie zaraz wybuchnie. Paulina jednak odezwała się już całkiem innym tonem.

– Ćwiczyłam. No dobrze, masz jakieś pomysły?

– Jest kilka tematów, które musielibyśmy omówić, ale nie przez telefon – powiedział.

Znowu nie odpowiedziała od razu.

– Gdzie teraz jesteś?

– Jeszcze w Szczepanowie.

– Możesz zajechać do mnie, jak będziesz wracał. Pogadamy na spokojnie – zaproponowała ostrożnie. – Mam jakieś ciastko do kawy, będzie jak znalazł.

Marcin zawahał się, trochę zaskoczony propozycją.

– Dobrze – rzucił jednak. – Wpadnę jeszcze do kolegi, którego hobby jest historia Szczepanowa. Z tego, co wiem, ma kolekcję starych gazet. Ciekawi mnie, czy o zaginięciach pisali w prasie. Będę we Wrocławiu około czternastej.

– Nigdzie się nie wybieram. Wyślę ci adres esemesem.

Przerwała połączenie. Marcin wpatrywał się w wyświetlacz telefonu, czując dziwne napięcie. Nie potrafił go sensownie wytłumaczyć. Kiedy się widzieli w jej biurze w budynku komendy wojewódzkiej, po raz pierwszy uświadomił sobie, że jest ładną i bardzo atrakcyjną kobietą. Nie mógł zapomnieć jej lekko kpiącego uśmiechu, bystrego spojrzenia ciemnych oczu. Przez chwilę zastanawiał się, jak wygląda zanurzona w wannie i pijąca whisky z butelki.

Z zamyślenia wyrwał go dźwięk przychodzącego esemesa. Buczacka 6/2 – na tym samym osiedlu, na którym mieszkał Marcin, kilometr dalej.

Kwadrans później zaparkował na głównym skrzyżowaniu w wiosce, naprzeciw dawnej szkoły. Przed wojną stał tu duży dom handlowy, ale w 1945 roku do Szczepanowa wkroczyło około tysiąca sowieckich żołnierzy w drodze na Berlin. Traf chciał, że znaleźli stare beczki z winem leżakujące w jednej z piwnic. Przez lata wino zamieniło się w galaretę. Żołnierze najedli się tej galarety i w stanie kompletnego upojenia wysadzili granatami dom handlowy i dwa inne budynki użyteczności publicznej. Podobno jeszcze do lat pięćdziesiątych stały po nich spalone ruiny, zanim zostały rozebrane.

Poszedł do sklepu, gdzie kupił sobie czekoladowego batona i półlitrową butelkę coli. Cały czas czuł pragnienie po wczorajszej miodówce. Spod sklepu zatelefonował do Romka Adamca.

Odebrała jego żona i powiedziała, że mimo soboty jest w pracy i wróci dopiero wieczorem. Marcin wszedł do swojej skody i zastanawiał się, co dalej. Zamierzał porozmawiać z rodzinami porwanych chłopców, ale zupełnie nie miał do tego głowy. Wcześniej chciał pomówić z Pauliną, żeby ustalić, w jakim kierunku mają pójść ewentualne pytania.

Była dziesiąta trzydzieści.

Znowu połączył się z Pauliną.

– To znowu ja – powiedział. – Mogę być za godzinę?

– Coś się stało?

– Nie ma kumpla. Zanim ruszę dalej, musimy ustalić plan.

– Przyjeżdżaj.

Nie pojechał główną drogą przez Środę Śląską, tylko na skrzyżowaniu przy kościele Najświętszego Serca Jezusa skręcił w lewo, w kierunku drugiego kościoła. Po drodze zwolnił, jeszcze raz patrząc uważnie na zarośnięte podwórze opuszczonego domostwa Bogdańskiego, potem zwolnił przy starym kościele, minął bramę na plebanię i wąską uliczką pojechał dalej. Po lewej stronie domy stały za małą rzeczką, którą z dawnych czasów pamiętał jako zarośnięty ściek. Dzisiaj była uregulowana, jej brzegi wyłożono kamieniem, a każdy kolejny mostek prowadzący na posesje był coraz ładniejszy. Kilkaset metrów dalej, po lewej stronie, minął zabudowania drugiego majątku ziemskiego. Następnie droga skręcała w lewo, przez mostek. Na wprost, na niewielkim wzniesieniu znajdowało się kiedyś stare boisko piłkarskie. Teraz wznosił się tu okazałych rozmiarów dom. Zresztą, w miarę jak jechał na zachodni kraniec wsi, nowych domów przybywało. Po prawej stronie, gdzie za czasów jego młodości widniała potężna wyrwa w ziemi, jakiś miejscowy biznesmen postawił coś na kształt pałacu otoczonego stylowym ogrodzeniem, z gankiem podpartym kolumnami stylizowanymi na rzymskie. Niecały kilometr dalej minął ostatnie zabudowania. Dalej droga prowadziła przez niestrzeżony przejazd kolejowy

i do Świętego. Dzięki funduszom z Unii Europejskiej dawna wąska dróżka, po obfitych deszczach praktycznie nieprzejezdna, została wyasfaltowana i prezentowała się bardzo dobrze. Co prawda nadal mógł ją przejechać tylko jeden pojazd w jedną stronę, dlatego co kilkaset metrów wyznaczone były zatoczki, gdzie samochody mogły się minąć, ale komfort jazdy był nieporównywalny.

W odległości niecałych dwóch kilometrów od Szczepanowa, na górze, leżała wieś Święte. Zaraz przy wjeździe, po prawej stronie, w jeszcze wyższym punkcie górującym wyraźnie nad otoczeniem, widać było cmentarz porośnięty wysokimi sosnami i świerkami. Przez wieś jechało się wzdłuż muru ciągnącego się po prawej stronie. Marcin pamiętał, że jeszcze kilka lat temu na murze widniał bardzo wyraźny napis po rosyjsku, ktoś namalował go czerwoną farbą: *wperiod na Berlin* i strzałka wskazująca zachód. Dziadek opowiadał mu, że napis jest oryginalny i pochodzi z czasów wojny. Zwolnił, wypatrując hasła. Wciąż było widoczne, choć tynk się skruszył i została tylko jego część.

W Świętym skręcało się w prawo na dziurawą asfaltową drogę w kierunku Komornik. Dwa kilometry dalej w tej miejscowości wyjeżdżało się na drogę krajową numer 94 do Wrocławia.

Marcin przejechał tą trasą wolno, myśląc o mordercy. Obie miejscowości były w jego zasięgu. Drogi kiedyś były fatalne, więc raczej nie poruszał się autem. Rower – tak, to była bardzo prawdopodobna hipoteza.

Jak zwykle do Leśnicy jechało się płynnie, a później zaczynał się korek aż do Pilczyc. Tutaj przy budowanym na Euro 2012 wielkim węźle komunikacyjnym i Stadionie Miejskim wjechał na obwodnicę i zjechał na pierwszym zjeździe na lotnisko.

Za rondem Pileckiego znajdowała się stacja benzynowa Shell. Samochód od wyjazdu ze Szczepanowa sygnalizował niski poziom paliwa, więc Marcin skręcił, żeby zatankować. Włał

bezołowiowej za sto złotych i poszedł zapłacić do kasy. Już wyjeżdżał ze stacji, gdy nagle tknęła go pewna myśl. Zatrzymał się i zawrócił z wahaniem. Wszedł jeszcze raz do środka i kupił pudełko prezerwatyw. Śmiejąc się w duchu z samego siebie, wcisnął je głęboko do kieszeni kurtki.

Pięć minut później był na Buczackiej. Przez jakiś czas kręcił się, próbując zaparkować, wreszcie zawrócił i znalazł miejsce sto metrów dalej, na ulicy Samborskiej, za kościołem. Pogoda była taka sama jak poprzedniego dnia, może nawet zrobiło się jeszcze cieplej. Jesień nie spieszyła się specjalnie do objęcia rządów nad światem.

Szybko znalazł bramę numer sześć i na domofonie przycisnął dwójkę.

XV

– Wejdz – powiedziała Paulina krótko, uchylając drzwi i zaraz gdzieś zniknęła. – Zamknij drzwi na zasuwę! – usłyszał jej głos z głębi mieszkania. – Kurtkę powieś na wieszaku i chodź tutaj, robię kawę.

W małym korytarzu zdjął kurtkę i buty. Wszedł dalej. Mieszkanie było dwupoziomowe i pewnie miało grubo ponad sto metrów powierzchni. Z korytarzyka wchodziło się do obszernego salonu połączonego z aneksem kuchennym, na podłogach nie było wykładzin, tylko panele, ściany zdobiło kilkanaście dużych reprodukcji fotografii. Po prawej stronie dostrzegł kuchnię, przed nią stół, a po lewej stronie duże łóżko. Nad nim wisiały półki z książkami i płytami CD. W nogach łóżka stały mały stolik z laptopem i krzesło biurowe. Po lewej stronie drzwi balkonowe prowadziły na taras, a w rogu kręcone schody wiodły na piętro.

Paulina stała w kuchni przy ekspresie do kawy. Była boso, w obcisłych czarnych legginsach i obszernej koszulce ze znakiem firmowym Rolling Stonesów – wywalonym czerwonym jęzorem. Wyglądała świetnie. Marcin stanął trochę zmieszany.

Spojrzała na niego z ukosa.

– Co tak stoisz? Wejdz, nie zrobię ci krzywdy. – Uśmiechnęła się.

Ile jeszcze takich uśmiechów miała w zanadrzu? Marcin ocknął się.

– Myślałem, że to ty powinnaś się bać – powiedział, siląc się na swobodny ton.

– Idź do łazienki umyć ręce. – Nie podjęła tematu. – Ręcznik dla

gości wisi po lewej stronie.

Mył dokładnie dłonie, patrząc na wannę z jacuzzi. Znowu wyobraził sobie, jak Paulina siedzi w niej i pije alkohol prosto z butelki. Z trudem otrząsnął się z tej wizji. Popatrzył sobie w oczy w lustrze i szepnął:

– Człowieku, opanuj się.

Wrócił do salonu. W powietrzu rozchodził się przyjemny aromat kawy zmieszany z czymś jeszcze. Usiadł na barowym stołku przy kuchennym blacie. Paulina nalewała właśnie kawę do kubków z rysunkiem zomowca i napisem: „Zadzwońcie po milicję”. Uśmiechnął się mimo woli.

– Firmowe? – zapytał.

Odwzajemniła uśmiech.

– Dostałam kiedyś od mojego eksa na imieniny – powiedziała. – W jego mniemaniu to było zabawne.

– Bo było – potwierdził Marcin.

Usiadła na takim samym krześle po drugiej stronie blatu i podała mu kubek.

– Trochę było – przyznała. – Dlatego nigdy nie rzuciłam w niego tymi kubkami podczas naszych licznych awantur z tłuczeniem domowej zastawy.

Skrzywił się.

– Niebezpieczna z ciebie kobieta – mruknął.

Nie podjęła tematu.

– Słodzisz?

– Nie, dziękuję.

Spróbował kawy. Miała nieznanemu mu ostry smak.

– Czego dodałaś? – zapytał.

– Nie smakuje ci?

– Raczej jestem konserwatywny, jeśli chodzi o smaki, ale ta kawa jest pyszna. Co to jest?

– Trochę startego imbiru. Doskonale rozgrzewa. Jadłeś śniadanie?

– Babcia nakarmiła mnie kiełbaskami na gorąco. – Roześmiał się. – Dawno się tak nie objadłem.

Paulina patrzyła na niego znad kubka. Uciekł wzrokiem w bok, próbując nie dać po sobie poznać, jak bardzo mu się podoba. Rozejrzał się po mieszkaniu.

– Ładne mieszkanko. Na górze też masz jakieś pokoje? – zapytał.

– Dwa małe i łazienkę – odpowiedziała. – Niecały rok temu skończyłam remont całości. Wywaliłam pozostałości po moim eksie i nareszcie urządziłam chatę po mojemu.

– Podoba mi się.

– Dziękuję. – Przez jej twarz przemknął półuśmiešek.

– Powiedz mi tylko, dlaczego masz łóżko obok kuchni.

Teraz już z trudem hamowała się, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

– Lubię mieć blisko do lodówki.

– Mogę obejrzeć fotografie na ścianach? – zapytał.

– Jasne.

Z kubkiem w dłoni obszedł salon. Zdjęcia były doskonale dobrane i miały nieuchwytny magiczny klimat. Polna wiejska droga pełna kałuż i błota i rosnące wzdłuż niej płaczące wierzby żywcem przypominały mu klimaty z dzieciństwa, kiedy mieszkał jeszcze w Szczepanowie. Wielki różowy księżyc nisko nad horyzontem wyglądał jak z bajki, porośnięty rzęsą wodną i trzcina staw w środku lasu w promieniach zachodzącego słońca wyglądał jak kadr wyjęty z filmu *Władca Pierścieni*, dziewczyna zaskoczona przez nagłą letnią ulewę, z kosmykiem włosów przyklejonych do policzka, była naturalna i piękna. Nad łóżkiem wisiała największa fotografia. Przedstawiała nagą dziewczynę z zawiązanymi czarną opaską oczami. Siedziała na łóżku zaplątaną w czarną satynową pościel, doskonale kontrastującą z bielą jej ciała. Tu zatrzymał się na dłużej.

– Podoba ci się? – zapytała kpiąco.

– To ty? – zapytał, zerkając do tyłu.

Nie dała się zbić z tropu.

– Moja przyjaciółka – odpowiedziała.

– Ty robiłaś to zdjęcie? – zapytał zdziwiony.

– Podobnie jak wszystkie inne – odpowiedziała, wzruszając ramionami.

Marcin przeleciał jeszcze raz wzrokiem po fotografiach. Nie mógł uwierzyć.

– Żartujesz sobie ze mnie?

– Nie. Fotografia to moje hobby – wyjaśniła. – Nie mogę się przecież całe życie zajmować ściganiem zbrodźców i zwyrodnialców. Muszę gdzieś odreagować.

– Są fantastyczne! – powiedział szczerze zaskoczony. – Powinnaś je komuś pokazać.

– Współpracuję z kilkoma agencjami reklamowymi, miałam nawet jedną wystawę w Centrum Sztuki Współczesnej.

Marcin usiadł na krześle.

– Jestem pod wielkim wrażeniem, nie znałem cię od tej strony – odezwał się.

– Wszyscy faceci są tacy sami – zakpiła. – Nigdy nie starają się zrozumieć kobiet, a kiedy w końcu próbują, jest już za późno.

– Wyczuwam lekką nutę gorzkości.

– Może.

– Dlatego się rozeszliście? Ty i twój były?

– Chciał mieć dziecko – odpowiedziała, nie patrząc na niego.

– No i w czym problem?

– Ja nie mogę mieć dzieci.

Marcin zmieszał się. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Paulina nie czekała, tylko mówiła dalej:

– W końcu znalazł sobie młodą dupę na mieście i teraz ma dziecko. Najgorsze było jednak to, że nie przyszedł i mi tego nie powiedział, tylko chamsko okłamywał. Mnie, rozumiesz? Gliniarza od piętnastu lat! Namierzyłam szybko jego łaskę

i powiedziała mu, że wiem. Następne pół roku było pasmem awantur, bójek i tłuczenia domowego szkła. Nie chciałbyś tego oglądać. Potem na szczęście się wyniósł. Jedyna męska decyzja w jego życiu. Nigdy tego nie zrozumie – skoro miał drugą kobietę, do tego w ciąży, po co zamienił moje życie w piekło? Może ty wyjaśnisz mi motywy postępowania mężczyzny?

– Nie mam pojęcia. – Wzruszył ramionami. – Nie znałem go. Może musiał dorosnąć?

– W tym wieku?

– Jak ci się żyje samotnie? – zmienił temat.

– Nie narzekam. Jestem po czterdziestce, ale jak mam ochotę na faceta, to potrafię go sobie jeszcze zorganizować. W razie czego mam też chętne koleżanki mocno rozczarowane mężczyznami.

Słyszając takie wyznania, otworzył usta, ale szybko je zamknął i pokręcił głową.

– Nic się nie zmieniłaś. – Westchnął. – Odkąd pamiętam, zawsze miałaś niewyparzoną buzię.

– A ty zawsze byłeś przesadnie grzeczny, uprzejmy i dobrze wychowany – wpadła mu w słowo. – Czasem wkurwiało mnie to na maksa.

– Taki mam charakter.

Spojrzała mu w oczy i zmarszczyła czoło.

– Może naprawdę jesteś tak dobrym gliną, jak mówią – rzuciła.

– O co ci chodzi? – zapytał zdziwiony.

– Tak mnie skołowałeś, że zwierzam ci się z największych prywatnych tajemnic, a tymczasem ty o sobie nie powiedziałeś ani słowa.

– Nie ma o czym mówić.

– Mieszkasz sam?

– Odkąd pamiętam – zażartował.

– Co się stało? Tyle dziewczyn kręciło się wokół ciebie na studiach. Pamiętam, że jedna blondyna parę lat robiła do ciebie

maślane oczy. Korecka? Czy jakoś tak...

– A! Asia Kownacka! Miała pecha, nie lubię blondynek. – Popatrzył jej w oczy. – Zawsze podobały mi się brunetki.

Znowu szybko zmieniła temat.

– Chcesz jeszcze kawy? – zapytała.

– Bardzo chętnie, tylko musisz mi pokazać, co z tym imbirem.

Obszedł kuchenny blat i znalazł się po jej stronie. Nalała kawy do kubków i sięgnęła po korzeń imbiru i tarkę.

– Musisz trochę zetrzeć, o tak, a potem wycisnąć sok przez kawałek szmatki – mówiła i nagle zamilkła, widząc, że patrzy na nią, a nie na to, co robi.

– Marcin?

– Nic nie mów.

Wolnym ruchem odgarnął jej delikatnie kosmyk włosów z czoła. Zesztywniała. Wyciągnął jej z rąk imbir, wytarł palce w kuchenną szmatkę i odwrócił twarzą do siebie. Patrzyli sobie w oczy, wreszcie schylił się i pocałował ją w usta. Nie protestowała, ale też nie oddała mu pocałunku. Stała nieruchoma, jakby ją zaskoczył. Spróbował jeszcze raz. Tym razem drgnęła, zrobiła pół kroku w jego kierunku i rozchyliła usta.

Całowali się delikatnie, nieśmiało i nagle przypomnieli sobie o rękach. Paulina zarzuciła mu ramiona na szyję, a on przygarnął ją do siebie. Potem jednym ruchem ściągnął jej koszulkę. Była bez biustonosza, miała małe, kształtne piersi. Wstrzymała oddech, kiedy położył na nich dłonie.

Kochali się na łóżku obok. Najpierw nieśmiało, później coraz bardziej namiętnie, realizując swoje pragnienia i wychodząc naprzeciw oczekiwaniom partnera, jakby robili to od lat. Potem Paulina leżała z policzkiem przytulonym do jego piersi. Marcin patrzył w sufit i gładził ją dłonią po plecach. W pewnym momencie podniosła głowę i zapytała prawie ze złością:

– Co tak późno?

– Nie rozumiem...

– Nie mogłeś mnie przelecieć dwadzieścia lat temu?

– Myślisz, że byłoby inaczej?

– A nie?

– Może świat by się jeszcze bardziej popieprzył?

– Gówno prawda! – powiedziała. – Może ominęlibyśmy kilka raf w życiu, o które się wszystko rozbiło.

– Wtedy trafilibyśmy na następne. Życie nigdy nie jest czarne albo białe. Zazwyczaj jego kolor oscyluje w okolicach szarego. Wszystko ma swój czas i miejsce.

Nie odezwała się. Odwróciła się na plecy i też patrzyła w sufit.

– I co teraz? – zapytała nagle.

– A o co pytasz?

– Co dalej? Poszliśmy do łóżka i... tyle?

– Żałujesz?

– Nie. Było zajebiście. – Usiadła, objęła ramionami kolana i oparła na nich brodę. – Muszę ci się do czegoś przyznać.

– Słucham?

– Zawsze miałam na ciebie ochotę. – Spojrzała na niego z ukosa i uśmiechnęła się kpiąco. – Dziękuję – powiedziała po chwili.

– Za co? – zdziwił się.

– Za szczerość. Nie powiedziałaś: „ja też”.

Roześmiał się.

– Powiem ci za to coś innego – odpowiedział.

– Co?

– Cholernie mi się podobasz.

Tym razem ona nie odpowiedziała. Uśmiechnęła się i spojrzała gdzieś przed siebie niewidzącym wzrokiem.

– Tylko co dalej? – powtórzyła pytanie.

– Spodziewasz się jakiejś konkretnej odpowiedzi? – zapytał.

– Nie. – Pokręciła gwałtownie głową. – Boję się, że zrobiliśmy straszną głupotę. Razem pracujemy, powinniśmy zachować jakiś

dystans i nie komplikować sobie relacji. Jeszcze dwa dni temu zarzekałam się, że jestem profesjonalistką i potrafię oddzielić sprawy zawodowe od prywatnych. Naprawdę tak myślałam. Nie spodziewałam się, że tak szybko polegnę.

– Paulina, czego ty się boisz?

– Że znowu przez swoją głupotę będę cierpieć. Że namieszam sobie nie tylko w życiu prywatnym, ale i zawodowym, które dotąd było dla mnie oazą normalności, po samotnych wieczorach spędzonych w wannie z butelką wódki dla poprawy nastroju. Zresztą – zakończyła zrezygnowana – chyba już sobie namieszałam.

Ogarnęło go poczucie winy. Miał przed sobą Paulinę, jakiej nie spodziewał się ujrzyć. Zawsze wydawała się władcza, pewna siebie, poukładana i twarda. Prawda go zaskoczyła.

– Nie mogę ci niczego obiecać – powiedział. – Ale nie traktuję cię jak kolejnej przygody. Może dajmy sobie szansę i spróbujemy się lepiej poznać.

Nie odpowiedziała. Położyła się i wtuliła w jego ramię. Objął ją mocno ramionami i leżeli tak kilka minut, wreszcie Paulina wstała i bez słowa poszła do łazienki. Nie znał jej, nie miał pojęcia, o czym może teraz myśleć i jak przyjęła jego słowa.

Z łazienki wróciła stara Paulina: opanowana, pewna siebie, z kpiącym uśmieszkiem na ustach. Znalazła porzuconą na podłodze w kuchni koszulkę, odgrzebała w pościeli inne części swojej garderoby i ubrała się szybko.

– Czas wziąć się do roboty – powiedziała, stojąc koło łóżka.

– Po co ten pośpiech? Dzisiaj sobota – próbował protestować.

– Dość już zmarnowaliśmy czasu.

– Zmarnowaliśmy?

Patrzyła na niego, w oczach miała nieznanne mu wcześniej iskierki, na ustach lubieżny uśmieszek.

– Dobrze, nie zmarnowaliśmy – zgodziła się. – Wykorzystaliśmy go w inny sposób. Teraz obowiązki.

Usiadł na brzegu łóżka i zasalutował.

– Tak jest!

Ubierał się wolno, w tym czasie Paulina zajrzała do lodówki i do kilku szafek kuchennych.

– Ze mnie jest gospodyni jak z... – nie dokończyła. – Nie mam nic do jedzenia. Myślałam, że może zjemy jakiś obiad, późno się zrobiło.

– Możemy wyskoczyć na miasto – zaproponował.

– Po knajpianym żarciu mam niestrawności. Wolę domowe.

– To może zamówimy pizzę?

Odgarnęła niesforny kosmyk z czoła.

– Ostatecznie może być pizza, mam gdzieś ulotkę z jakiegoś lokalu – powiedziała i sięgnęła po telefon. – Ile zamówić? Dwie średnie?

– Może jedną dużą? Nie musimy się obżerać.

– To będzie mniej?

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. – Rozłożył ręce.

– Ale ja wybieram smak.

– Dobrze, mnie jest wszystko jedno.

Paulina dzwoniła, a Marcin poszedł do łazienki. Kiedy wrócił, postawiła już wodę na herbatę i szykowała kubki. Podszedł do niej i próbował ją objąć, ale wyslizgnęła mu się sprytnie i ostrzegawczo podniosła palec wskazujący.

– Teraz praca – powiedziała poważnie, ale w oczach cały czas miała te dziwne iskierki. – Pizza będzie za pół godziny.

Usiedli naprzeciw siebie przy stole z czystą kartką papieru i ołówkiem. Marcin opowiedział o rozmowie z mamą i o jej podejrzeniach.

Paulina pokręciła głową.

– Czarna wołga to tylko legenda – powiedziała. – Odgrzebując nierozwiązane zagadki sprzed lat, w co drugiej sprawie napotykamy czarną wołgę. Nie ma znaczenia, czy chodzi o okolice Wrocławia, Legnicy, Jeleniej Góry czy Opola. Zresztą

w dzieciństwie również słyszałam o czarnej wołdze porywającej dzieci w Środzie Śląskiej. Nie, tę hipotezę włożmy między bajki.

– Z tym się zgadzam – przyznał Marcin. – Jednak nie odrzucałbym całkowicie hipotezy zakładającej, że morderca dzieci mógł być wysoko postawionym dygnitarzem partyjnym.

– To ciekawy trop, musimy go sprawdzić – zgodziła się. – Chociaż tutaj też byłabym ostrożna. Wydaje mi się, że podejrzenie o istnieniu całej zorganizowanej szajki... nie wiem, jak to nazwać... klubu pedofilów wśród ludzi z ówczesnej władzy jest przesadzone.

– Nie sądzę. – Marcin pokręcił głową. – Sprawca działał przez całe dziesięciolecie i milicja nie była w stanie nie tylko połączyć spraw w jedną całość, ale nawet poprowadzić sensownie śledztwa. Wiem, że zahaczamy o teorię spiskową, ale zmowa we władzach i milicji tłumaczy wiele.

– Może masz rację – przyznała niechętnie. – Sprawdźmy to. W którym roku jeden z milicjantów połączył zniknięcia w Szczepanowie w jedną całość?

– W 1969, kapitan Malinowski. Przeniesiono go gdzieś na Podlasie.

– Przypadek albo konsekwencja polityczna zbytnej dociekliwości. Musimy go odnaleźć i porozmawiać, może jeszcze żyje.

Zapisała na kartce kolejne dwa punkty: odnalezienie Malinowskiego i sprawdzenie, kto był w tamtych latach w zarządzie PZPR w gminie Środa Śląska.

– Poszukam wieczorem w internecie, może uda mi się odnaleźć jakieś nazwiska – powiedziała.

– Przez tyle lat mogła się nazbierać długa lista.

Uśmiechnęła się krzywo.

– W komunie jak już ktoś dopadł stołka, nie można go było oderwać przez całe dekady. Byłabym spokojna. Jedno mnie tylko niepokoi.

– Słucham?

– Nie widzę elementu, który mógłby powiązać pierwszą falę porwań z drugą.

Popatrzył jej poważnie w oczy.

– Paulina, ja nie zakładam, że mamy do czynienia z jednym sprawcą.

– Nie mamy powodu, żeby szukać dwóch lub większej liczby zboczeńców – odpowiedziała, odgarniając kosmyk włosów z czoła.

– Według mnie mamy więcej poszlak wykluczających sprawstwo jednej osoby. W przeciwieństwie do pierwszej fali ze Szczepanowa przy tej wrocławskiej są już jakieś ślady, zeznania świadków, którzy widzieli to czy tamto. Oczywiście mogli się mylić, lecz wyraźnie wskazują na mężczyznę w średnim wieku.

Przerwał im sygnał domofonu.

– Ja zapłacę – powiedział Marcin i poszedł otworzyć.

Paulina przyniosła dwa talerze, ketchup i nóż. Pokroili pizzę ze szpinakiem, nie przerywając rozmowy.

– Ustaliliśmy, że zajmę się wątkiem dotyczącym Szczepanowa – mówił dalej, gryząc kawałek pizzy. – Nie wiem, do jakich wniosków doszłście przez ostatni rok, badając sprawę wrocławską. Dla mnie te dwie sprawy wydają się odległe od siebie o lata świetlne. Nawet jeśli sprawca jest ten sam, co najmniej do początku lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku musiał mieszkać w Szczepanowie. Jeżeli tak było, bardzo możliwe, że go znam.

– Dobrze, skupmy się na Szczepanowie – zgodziła się. – Zróbmy listę.

Ołówkiem wypisała nazwiska ofiar z dokładnymi datami zaginięcia, dodała nazwy miejscowości. Przeglądając pojedyncze dokumenty porwań, trudno było sobie uświadomić, że jest aż tak wiele.

28 września 1981 – Ryszard Zakrzewski – Szczepanów

29 września 1977 – Tadeusz Baraniecki – Lipnica

30 września 1973 – Stanisław Chorążewski – Komorniki

25 września 1969 – Franciszek Kuriata – Szczepanów

27 września 1965 – Gracjan Wereszczyński – Szczepanów

30 września 1961 – Stefan Rudnicki – Brodno

29 września 1957 – Stanisław Biliński – Święte

30 września 1953 – Włodzimierz Wysocki – Szczepanów

29 września 1949 – Zenon Rutkowski – Szczepanów

Pod listą Marcin narysował mały szkic dróg i odległości między wszystkimi wioskami.

– Jak by na to nie patrzeć, Szczepanów jest w centrum i tutaj zdarzyła się większość porwań – powiedział. – Reszta wygląda na gościnne występy.

Opowiedział jej o swojej teorii, że sprawca poruszał się rowerem. Patrzyła na niego i nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– Strasznie się wczoraj napracowałeś – rzuciła. – Bardzo ważna hipoteza.

Nie zwrócił uwagi na jej kpiny.

– Moim zdaniem ważna – odparł. – Nie znaleziono żadnego ciała, tak?

– Tak.

– W takim razie gdzie one są?

Wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia – przyznała. – Mógł je zakopywać lub ukrywać w jakichś trudno dostępnych zakamarkach w pobliżu miejsca zbrodni.

Marcin skrzywił się.

– Mało prawdopodobne. – Pokręcił głową, za jej milczącym przyzwoleniem sięgając po ostatni kawałek pizzy. – Ofiar było dziewięć. Jeśli twoja teoria byłaby prawdziwa, ciała byłyby ukryte w dziewięciu różnych miejscach. W związku z tym szansa, że ktoś przypadkowo je znajdzie jest statystycznie dziewięć razy większa. W takim razie dlaczego nikt niczego do dzisiaj nie znalazł?

– Mamy do czynienia z obszarem dziesiątek kilometrów kwadratowych – zauważyła. – Duża część z nich to lasy. Trudno oczekiwać, że ktoś znajdzie ciało na takim obszarze. Szczególnie gdy minęły już całe dziesięciolecia.

– Jesteś w błędzie. Pola w tamtych czasach były uprawiane, nie tak jak teraz, kiedy na większości rosną tylko chwasty. Rowy kilka razy podlegały melioracji, przez pół wieku ludzie zdeptali lasy wzdłuż i wszerz w poszukiwaniu grzybów. Spora część drzew została wycięta lub uległa zniszczeniu podczas powodzi tysiąclecia w 1997 roku, w to miejsce posadzono nowe. I nic. Nikogo nie znaleziono. Milicja prowadziła postępowania niechlujnie, ale teren zdarzeń zawsze był dokładnie przeszukany. Nie natrafiono na miejsca, w których ktoś mógłby zakopać ciało.

– Może masz rację. Uważasz, że zabierał ciała z miejsca zbrodni i przewoził gdzieś indziej? I tam właśnie je ukrywał?

– Dokładnie. Skoro je przewoził, to czym?

– Rowerem? – podsunęła bez przekonania. – Ktoś mógłby go zobaczyć.

– Niekoniecznie. Wielu ludzi przewoziło różne rzeczy rowerami. Na przykład mój dziadek wielokrotnie woził z lasu pokrzywy w workach, dla świń. Wozilo się worki z ziemniakami,

zbożem, mąką. Na wiosce to był normalny widok, ludzie nie zwracali uwagi. A do worka mogło zmieścić się ciało. W taki sposób można było je przewieźć w biały dzień przez środek Szczepanowa.

Paulina postukała ołówkiem w kartkę z listą ofiar.

– Dobrze kombinujesz – powiedziała. – Ale co to nam daje? Po tylu latach nikt nie będzie pamiętał, czy czterdzieści kilka lat temu we wrześniu widział tego czy tamtego jadącego na rowerze z workiem na kierownicy.

– Masz rację. Ale to zawęży krąg podejrzanych do mieszkańców Szczepanowa. Zauważ jeszcze jedną rzecz: wielu seryjnych morderców ukrywa ciała ofiar na terenie swojej posesji. Zakopywali w ogródkach, w piwnicach, na podwórzu. Może nasz morderca robił podobnie? Jeśli uda nam się wytypować podejrzane osoby, możemy uzyskać pozwolenie na przeszukanie terenu przed ich domami wykrywaczami metalu.

– Jeszcze daleka droga. – Westchnęła. – A co z nimi?

Listę ofiar podkreśliła grubą kreską i dopisała cztery nazwiska.

28 września 1991 – Janusz Witek

26 września 1995 – Antoś Jabłoński

27 września 1999 – Robert Nawrocki

30 września 2003 – Paweł Rosiak

– Też przywoził ich do siebie do domu? – Spojrzała na Marcina, ale tylko wzruszył ramionami.

Było już późne popołudnie i w mieszkaniu zaczęło robić się szaro. Paulina wstała i zapaliła światło.

– Moje mieszkanie ma sporą wadę – powiedziała – Wszystkie okna wychodzą na stronę wschodnią. Jesienią i zimną szybko

robi się ciemno. Napijesz się jeszcze czegoś?

– Zrobisz kawę?

– Nie za późno? – zapytała. – Pompa ci stanie – zakpiła, ale odwróciła się i wlała wodę do ekspresu.

– Na coś trzeba umrzeć.

– Z imbirem?

Roześmiał się.

– Teraz zwykłą poproszę.

Rozmowę kontynuowali, siedząc na stołkach przy kuchennym stole i pijąc kawę, jak parę godzin wcześniej. Marcin przeniósł kartkę i ołówek. Streścił Paulinie rozmowę z dziadkiem i babcią na temat porwań sprzed 1949 roku.

– Niestety, muszę się na razie wycofać z tego pomysłu – podsumował. – Jeśli oni nie pamiętają takiego zdarzenia na Kresach, nie ma sensu drążyć tematu.

– Też tak uważam. – Pokiwała głową. – Morderca mógł nie działać w ich okolicach, tylko gdzieś dalej. Niemożliwe do weryfikacji.

– Dokładnie. Musimy skupić się na tym, co mamy na chwilę obecną.

Marcin zaczął jej tłumaczyć, dlaczego jest niemal pewny, że mają do czynienia z mieszkańcem Szczepanowa.

– W żadnej sprawie nikt nie zeznał, że widział w miejscach porwań kogoś obcego lub nieznanego – powiedział.

– Zgadza się z tobą – przyznała. – To kolejny dowód, że sprawca był tutejszy i znany.

– Chciałbym w poniedziałek pojechać jeszcze raz do Szczepanowa i spróbować wypytać rodziny zaginionych chłopców pod tym kątem: czy pamiętają kogoś, kto kilka dni przed feralnym dniem odwiedzał ich lub kręcił się w okolicy. Może pamiętają. Jeśli nazwisko powtórzy się więcej niż raz, sprawdzę ten trop.

– Dobrze, tak zrobimy. – Paulina zapisała ołówkiem kolejny

punkt.

Dłuższą chwilę rozmawiali o priorytetach na liście. Ustalili, że zaczną od końca, zgodnie z listą spisaną przed kilkunastoma minutami. Minęły lata, trzeba było zacząć od spraw możliwie niedawnych. Marcin zobowiązał się, że w niedzielę jeszcze raz odwiedzi rodziców i porozmawia z obojgiem.

Wreszcie spojrzeli na siebie, rozumiejąc się bez słów.

– No to został nam chyba już tylko jeden punkt – powiedziała.

– 1965?

– Tak.

Podrapał się po policzku.

– Nie wiem, co o tym sądzić – mruknął. – Myślę nad tym prawie bez przerwy.

Opowiedział jej pokrótce, czego dowiedział się od dziadka.

– Moim zdaniem nie ścigali nikogo – stwierdziła. – Wieczorem przy takiej pogodzie bardzo łatwo o pomyłkę.

– Na początku myślałem, że może naprawdę sprawca był na miejscu i ktoś go wypatrzył, kiedy próbował uciec – analizował Marcin. – Dziadek utwierdził mnie w przekonaniu, że to była pomyłka. Skoro sam teraz tak twierdzi, musiał to gruntownie przemyśleć. Kolejnym moim celem w Szczepanowie byłoby dotarcie do uczestników tamtego pościgu. Może przez lata coś przemyśleli, o czymś istotnym sobie przypomnieli. Oczywiście, jeśli jeszcze żyją. Upłynęło już sporo czasu...

Dopisała ten punkt na liście zadań.

Marcin obserwował ślady ołówka na papierze i czuł niepokój. Znowu miał wrażenie, że rok 1965 jest kluczowy dla rozwiązania zagadki. Ciągle jednak nie wiedział, który element jest najistotniejszy. Podzielił się swoimi odczuciami z Pauliną.

– Wydaje mi się, że tu mamy gotowe rozwiązanie – zauważył. – Coś mi tu nie gra, ale nie wiem co.

Zamyślił się, patrząc na listę ofiar. Przy drzwiach wejściowych w torbie na laptopa miał zeszyty swojego brata z rysunkami

sadu. Nie potrafił wyrzucić z głowy wizji Ryśka szepczącego o diable chodzącym pomiędzy drzewami. Zastanawiał się, jak powiedzieć o tym Paulinie. Nie czuł się zbyt dobrze, ukrywając przed nią część informacji. Musiał jej o wszystkim jakoś powiedzieć, ale zdecydował, że jeszcze nie teraz. Odruchowo dotknął strupa i sińca po uderzeniu na czole. Dostrzegła ten gest.

– Boli cię jeszcze? – zapytała.

– Nie boli. – Uśmiechnął się blado. – Wspomnienie nie jest najprzyjemniejsze. Jestem zmęczony.

– Dobrze, skończymy na dzisiaj – powiedziała.

Marcin wstał i wykonał taki ruch, jakby miał zbierać się do wyjścia.

– Pójdę już.

Paulina też wstała, podeszła do niego, pchnęła na łóżko, usiadła mu okrakiem na kolanach, zarzuciła ramiona na szyję i popatrzyła w oczy z tajemniczym uśmiechem na ustach.

– Nigdzie cię dzisiaj nie puszcę – szepnęła mu do ucha pomiędzy pocałunkami.

XVI

W niedzielę, 1 października obudził się kwadrans po ósmej. Pauliny nie było w łóżku. Rozejrzał się po pokoju i dopiero teraz usłyszał szum wody, wyraźnie dobiegający zza uchylonych drzwi łazienki. Przeciągnął się i zmusił do wyjścia z pościeli. Włożył spodnie i ziewając, poszedł do kuchni nastawić kawę w ekspresie. Teraz docenił zalety łóżka stojącego dwa kroki od kuchni. Czekaając na kawę, siedział przy blacie i wpatrywał się w notatki Pauliny z poprzedniego wieczoru. Sięgnął po ołówek, zapisał datę „1965” i postawił obok wielki znak zapytania.

Paulina wyszła z łazienki z mokrymi potarganymi włosami, zawinięta tylko w ręcznik kąpielowy. Cmoknęła go w policzek i poszła do szafy znaleźć coś do ubrania.

– Chcesz kawy? – zapytał.

– Nalej mi trochę, ale najpierw muszę coś zjeść – odpowiedziała. – Jestem głodna jak wilk.

– Może jak wilczyca? – zakpił.

– Może być.

Z bielizną i dzinsami w ręku przyszła do kuchni i sięgnęła po kubek. Uśmiech nie schodził jej z twarzy. Sam się uśmiechnął i pokręcił głową.

– Nie widziałem cię jeszcze takiej – powiedział.

– To znaczy?

– Roześmianej.

Popatrzyła na niego z błyskiem w oku.

– Już zapomniałam, jak przyjemny może być seks – powiedziała po prostu.

– Jeszcze wczoraj mówiłaś, że kiedy tylko chcesz, zawsze masz jakiegoś faceta albo koleżankę pod ręką i zapomniałaś? – zakpił.

– Jak każdy facet! – mruknęła. – Już jesteś zazdrosny?

– Nie jestem zazdrosny. Źle mnie zrozumiałaś.

– Mam jeszcze raz połechtać twoją próżność i powtórzyć, że było mi z tobą fantastycznie?

Przyciągnął ją do siebie i zamknął usta pocałunkiem.

– Nie musisz – powiedział.

Wyswobodziła się i zajrzała do lodówki.

– Jak to, dalej jest pusta? – zażartowała. – W łazience powiesiłam ci świeży ręcznik.

– Dzięki – odrzekł.

Dopił kawę i poszedł się umyć.

– Zjesz coś? – zawołała za nim. – Coś do kanapek się znajdzie.

– Jedną zjem.

Po prysznicu znowu usiedli naprzeciw siebie przy kuchennym blacie. Marcin pił kawę i zjadł pół kanapki z żółtym serem. Paulina pochłaniała już trzecią.

– Śniadanie jest dla mnie podstawowym posiłkiem – wytłumaczyła się, czując na sobie jego badawczy wzrok. – Potem z jedzeniem u mnie jest różnie, a i tak nie mogę zrzucić zbędnych kilogramów.

– Masz jakieś zbędne kilogramy? – zdziwił się.

– Zawsze dżentelmen. Marzę, żeby zrzucić ze trzy kilo, ale jakoś mi nie idzie.

– Nigdy nie zrozumiem kobiet i ich ciągłego odchudzania się. Dla mnie wyglądasz świetnie, niewiele się zmieniłaś od czasów studiów.

– Dziękuję. Nie zmienia to jednak faktu, że dla własnego dobrego samopoczucia muszę trochę schudnąć.

– Z kości na ości – zażartował.

Po śniadaniu i kawie Marcin zaczął się zbierać do wyjścia. Paulina odprowadziła go do drzwi. Ubrany w kurtkę, z torbą

z laptopem na ramieniu popatrzył jej w oczy i uśmiechnął się, kręcąc głową.

– Namieszalaś mi w głowie – powiedział.

– Mam nadzieję, że oboje nie będziemy tego żałować.

Pocałowali się na pożegnanie i Marcin wyszedł na klatkę schodową. Na ulicy było pochmurnie i chłodno, więc idąc chodnikiem, postawił kołnierz i wcisnął ręce do kieszeni kurtki. Czuł się lekki, wszystkie złe przeczucia odpłynęły gdzieś daleko, problemy zbladły. Nawet nie wiedział, kiedy dotarł do auta. Pojechał prosto Samborską, koło klubu Formaty skręcił w lewo, potem w prawo na Stanisławowską i jeszcze raz w lewo na Trawową. Dwieście metrów Trawowej było koszmarem. Dziura na dziurze, niejeden nieuważny kierowca uszkodził tu auto. Marcin nie wiedział, na jakiej zasadzie dostaje się teraz pozwolenie na budowę osiedli mieszkaniowych. Po prawej stronie Trawowej powstało w ostatnich latach wielkie osiedle Morelowe, obok pojawiły się jeszcze inne domy, cały czas budowały się następne, a nikt nie wyremontował ulicy, żeby mieszkańcy mogli do nich dojechać, nie brudząc sobie samochodu błotem i wodą stojącą w kałużach. W dodatku nikt nie przyznawał się do ulicy i szans na poprawę jej nawierzchni nie było.

Ominął szczęśliwie wszystkie dziury i skręcił w Tyrmanda. Sto metrów dalej w prawo położona była jego ulica widmo: Kossak-Szczuckiej. Na parkingu naprzeciw bramy było pusto, więc nie miał problemów ze znalezieniem miejsca. Poszedł od razu do najbliższego sklepu kupić coś do jedzenia.

Na dole spotkał sąsiadkę z piętra, szła pewnie do kościoła. Była już na emeryturze i zajmowała się głównie szpiegowaniem sąsiadów. Wiedziała o wszystkim, co dzieje się w bramie, nie było szans na ukrycie przed nią czegokolwiek. Leczyła się na kręgosłup, zdarzały się całe tygodnie, kiedy miała problemy z chodzeniem. Czasem, kiedy dłużej nie było jej córki, która

regularnie pomagała matce w prowadzeniu domu, Marcin robił jej zakupy lub wynosił śmieci. Na ogół unikał jej jak mógł, tym razem jednak nie miał szans na ucieczkę.

– Dzień dobry, pani Grażynko – powiedział.

Obrzuciła go niechętnym spojrzeniem. Od razu zauważył, że ma do niego jakiś żal.

– Dzień dobry – odpowiedziała. – Oj nieładnie, panie Marcinie, naprawdę nieładnie.

Zatrzymał się zdziwiony.

– Co się stało, pani Grażyno?

– Niech pan nie udaje, że pan nie wie, panie Marcinie. Przecież prosiłam pana wczoraj o pomoc w wyniesieniu śmieci, a pan nawet nie zareagował, tylko przeszedł obok, jakbym była powietrzem. Naprawdę nie spodziewałam się tego po panu, w końcu jest pan policjantem... – Zawiesiła głos.

– To jakieś nieporozumienie, pani sąsiadko. – Pokręcił głową. – Nie było mnie od piątku rano. Proszę spojrzeć, tu mam torbę z ubraniami, a tu komputer. Wyjeżdżałem służbowo.

Sąsiadka zerknęła na torby i powiedziała:

– Ja tam nie wiem. Jeszcze wczoraj puszczał pan głośno muzykę, a przecież prosiłam pana, żeby nie robić tego po dwudziestej.

– To pomyłka.... – zaczął i nagle zamilkł sparaliżowany pewną myślą.

– Porozmawiamy później – rzucił i pobiegł po schodach na trzecie piętro, zostawiając sąsiadkę z otwartymi ze zdziwienia ustami.

Drzwi do jego mieszkania znajdowały się na trzecim piętrze po prawej stronie. Na ostatnim stopniu schodów zostawił torby, wyciągnął walthera z kabury pod pachą i ostrożnie zbliżył się do drzwi. Ręką, w której ścisnął odbezpieczony pistolet, nacisnął klamkę. Otworzyły się lekko. Był pewien, że przed wyjściem zamykał oba zamki. Szybko zastanowił się, komu dawał kiedyś

klucze. Wyłącznie rodzicom. Podlewali kwiaty, kiedy wyjeżdżał na dłużej, nigdy się jednak nie zdarzyło, żeby odwiedzili go, nie telefonując wcześniej. Wiedzieli, że trudno zastać go w domu.

Ostrożnie zajrzał do środka. Niczego podejrzanego nie dostrzegł. Krótki korytarzyk, z którego w lewo skręcało się do kuchni i do małej sypialni, a w prawo do dużego pokoju, kończył się drzwiami do łazienki i osobnej toalety. W łazience było zapalone światło, słyszał wodę lejącą się z odkręconego kranu w umywalce. W jednej chwili zrobiło mu się gorąco.

Z wyciągniętą przed siebie bronią ostrożnie wszedł do środka. W myślach przeanalizował miejsca, w których w jego mieszkaniu można się było ukryć. Dlaczego było ich tak dużo?

Wzdłuż ściany przesunął się w kierunku wejścia do kuchni. Po prawej stronie miał duży pokój. W zasięgu wzroku nie dostrzegł niczego podejrzanego. Zajrzał do kuchni. Też nic. Lodówka stojąca po lewej stronie zasłaniała mu jednak sporą jej część. Błyskawicznie wskoczył do środka i już stał ukryty za lodówką. Też pusto.

Czuł się zupełnie nierealnie. Nigdy nie przeszło mu nawet przez myśl, że kiedyś w taki sposób będzie wchodził do własnego mieszkania. Może wtedy inaczej ustawiłby te cholerne meble. Myśl była zupełnie idiotyczna. Spociły mu się dłonie.

Z kuchni przeskoczył do pokoju, szybko omiół go wzrokiem. Na pierwszy rzut wszystko było na swoim miejscu. Z wyjątkiem... ciastek na talerzyku na stole. Był pewien, że jeszcze w piątek rano leżało na nim kilka krakersów, teraz został tylko jeden. To jakiś nędzny dowcip?

Sprawdził w sypialni, zajrzał pod łóżko i do szafy Komandora, w której trzymał ubrania. Wreszcie zajrzał do toalety, potem do łazienki i na balkon. W mieszkaniu nie było nikogo. Schował pistolet i poszedł zakręcić zimną wodę, sączącą się małym strumieniem do umywalki. W ostatniej chwili cofnął rękę, sięgnął po ręcznik i delikatnie zakręcił kurek, nie zacierając

ewentualnych odcisków palców. Nad wanną suszył się ręcznik kąpielowy, którego nie używał już od paru lat i który od dawna leżał na samym dnie sterty innych ręczników.

Oddychał ciężko, nie mogąc opanować nerwów i bijącego mocno w piersiach serca. Ktoś musiał się włamać podczas jego nieobecności. Tylko dlaczego zjadł ciastka, wykąpał się i puszczał głośno muzykę? Paranoja!

Jeszcze raz obszedł mieszkanie, sprawdzając, czy nic nie zginęło. Zajrzał do kuchni, przeleciał wzrokiem po kuchennych blatach i szafkach, po czym jego wzrok padł na drzwi lodówki.

W jednej chwili poczuł, jak nogi uginają mu się z przerażenia.

Ktoś napisał tam wyraźnie, drukowanymi literami, czarnym flamastrem:

MIAŁEŚ SZCZĘŚCIE. TWOJA LALA MIAŁA BYĆ NASTĘPNA.

Zastygł w bezruchu z zimną bryłą lodu pod czaszką, w którą zmienił się jego mózg.

XVII

Długo nie mógł zebrać myśli.

Wreszcie w ułamku sekundy połączył zdarzenia w jedną całość. To było jak błysk flesza! Kaśka!

Ktoś włamał się do mieszkania Kaśki w nocy z 23 na 24 września, noc przed morderstwem na Marszowicach. Czy Kaśka miała być następną ofiarą mordercy i przeżyła tylko dlatego, że nie wróciła do domu na noc? Marcin natychmiast przypomniał sobie o jej telefonie, w którym opowiedziała, jak ktoś podobny do Marcina za nią szedł. Co mówiła sąsiadka, pani Grażyna? Widziała mężczyznę, którego pomyliła z Marcinem i była święcie przekonana, że to był on. Kaśka telefonowała do niego już po morderstwie na Marszowicach.

Marcin nigdy w życiu się tak nie bał. Drżącymi rękami sięgnął po telefon i wykręcił numer do Kaśki. Po sześciu sygnałach włączyła się skrzynka. Wtedy jego strach przerodził się w przerażenie. Spróbował jeszcze raz. Znowu nie odebrała.

Przetarł usta dłonią i usiadł na kuchennym krześle, zastanawiając się, co robić dalej. Po krótkiej chwili wahania wybrał numer do Tymona.

Zgłosił się po dwóch sygnałach.

– Tak, słucham?

Marcin starał się ukryć drżenie głosu. Nie był pewien, czy mu wyszło.

– Cześć, Tymon, mówi Marcin Zakrzewski.

– No cześć, Marcin, co słychać?

– W porządku. – Zająknął się. – Właściwie dzwonię w takiej

dość nietypowej sprawie... Czy wiesz może, gdzie jest teraz Kaśka? Muszę ją pilnie zlokalizować.

– Jest u mnie, ale nie mogę podać jej aparatu, bo jest w łazience.

Marcin poczuł, jak wielki kamień spada mu z serca. Odetchnął głęboko.

– W porządku, rozumiem – powiedział. – W takim razie chyba bardziej chciałbym porozmawiać z tobą.

Tymon spoważniał.

– Słucham?

– Tymon, mam do ciebie wielką prośbę. Proszę, nie puszczaj jej dzisiaj nigdzie samej. Najlepiej przez kilka następnych dni też – powiedział Marcin.

– O czym ty mówisz, co się stało? – zaniepokoił się Tymon.

– To nie jest sprawa na telefon. Mogę ci tylko powiedzieć, że ma związek z włamaniem do jej mieszkania w zeszłą sobotę.

– Coś jej grozi?

– Chyba tak.

Tymon był coraz bardziej niespokojny.

– Kurde, Marcin, musisz mi powiedzieć, co się dzieje.

– Na razie nie mogę. Będziemy w kontakcie. Prosiłbym cię, żebyście się dzisiaj nigdzie dalej nie wybierali. W ciągu paru godzin przyjedzie ktoś z policji wypytać ją o kilka spraw.

– Marcin, w co ona się wplątała?

– W nic się nie wplątała, wierz mi. Wygląda mi to na zbieg niesprzyjających okoliczności. Będzie musiała złożyć zeznania.

– A czy ty mógłbyś przyjechać? – zapytał Tymon. – Myślę, że tak będzie dla niej lepiej.

– Postaram się.

– Co mam jej powiedzieć?

Marcin zawahał się.

– Powiedz prawdę, ale w delikatny sposób – poradził.

– Dobrze.

- Nie odstępуй jej na krok.
- Przestań, nie musisz mi tego powtarzać.
- Na razie.

Tymon rozłączył się.

Marcin siedział, drapiąc się w głowę. Najważniejsze, że Kaśka jest bezpieczna.

„Widziałem, jak diabeł chodzi tam na palcach”.

O czymkolwiek teraz myślał, słyszał tuż przy uchu szept mordercy, a przed oczami miał rysunki z zeszytów Ryśka. O co w tym wszystkim chodziło, do cholery?

Z korytarza wniósł do przedpokoju swoje torby i znowu wyszedł, przytrzymując klamkę łokciem. Na klatce schodowej przystanął. Zmusił się do racjonalnego myślenia. Musiał zawiadomić o włamaniu Stefana Srokę. Długo jednak nie wybierał jego numeru, wpatrując się w wyświetlacz aparatu. Niespodziewanie znalazł się w trudnym położeniu. Sprawa Rzeźnika z Marszowic zaskakująco łączyła się z zaginięciami chłopców sprzed lat. Czy na pewno słowa wyszeptane tamtej nocy przez mordercę brzmiały dokładnie tak samo, jak te wypowiedziane przez Ryśka i zapisane w jego zeszytach? Było to tak nieprawdopodobne, że zwątpił. Może jednak brzmiały inaczej?

Fakty układały mu się w głowie.

Wyglądało na to, że morderca prowadził z nim jakąś psychopatyczną grę. Ofiarą miała być Kaśka, ponieważ się przyjaźnili. Kiedy przez przypadek się nie udało, zabił kogoś innego, a później czekał na Marcina, żeby powiedzieć mu te przedziwne, lecz bardzo charakterystyczne słowa. To również on śledził Kaśkę na Metalowców, kiedy wracała wieczorem do domu, teraz zaś, przez dzień lub dwa, przebywał w mieszkaniu Marcina. Wiedział, że przyjaźni się z Kaśką, był pewien, że mieszkanie będzie przez weekend puste. Był tak bezczelnie pewny siebie, że nie ukrywał się przed sąsiadami i głośno

puszczał muzykę. Bardzo dużo wiedział o Marcinie. Musiał go śledzić. Tylko skąd mógł wiedzieć, że jest u Pauliny i nie wróci do domu?

Dopiero teraz Marcin uświadomił sobie w pełni grozę sytuacji. Albo od dawna go śledzono, albo mordercą jest ktoś z najbliższego kręgu jego znajomych.

Była jeszcze jedna możliwość, po raz kolejny zdał sobie z tego sprawę, choć wcześniej jej nie dopuszczał. Jego brat Rysiek. Kaśce wydawało się, że idzie za nią Marcin. Była o tym przekonana. Sąsiadka również była pewna, że widzi Marcina. Kaśka widziała mordercę wieczorem w świetle ulicznych latarni, ale pani Grażyna widziała go w dzień, pewnie z bliskiej odległości. Kto inny mógł być do niego tak bardzo podobny?

Tylko jego brat bliźniak.

Potrząsnął głową. Nie, niemożliwe. Musi być inne rozwiązanie. Poczul mdłości. Czy komuś grozi niebezpieczeństwo?

Wybrał numer Stefana Sroki. Długo czekał na połączenie, w końcu włączyła się poczta głosowa. Przeklął w duchu i zaczął szukać numeru do Michała Rucińskiego. Wtedy oddzwonił Sroka.

– Cześć, wracasz już do nas? – zapytał.

– Prawie. – Marcin starał się, aby jego głos brzmiał naturalnie.

– Miałem włamanie do mieszkania. Boję się, że to był morderca z Marszowic.

– Co ty mówisz? Jesteś pewien?!

– Zostawił mi wiadomość.

W jednej chwili Sroka był na pełnych obrotach.

– Dlaczego akurat do ciebie? – zapytał.

Marcin zawahał się.

– Coś mi powiedział wtedy, kiedy uderzył mnie pałką – powiedział.

– Do cholery! Czego wcześniej nie mówiłeś?!

– Nie byłem pewien – skłamał Marcin.

– Dlaczego ty?

– Nie wiem, to nie jest temat na telefon – zniecierpliwiał się Marcin. – Zbieraj ekipę i przyjeżdżajcie zaraz do mnie. Może być dużo śladów.

– Niech to cholera weźmie, taka ładna niedziela!

– Stefan, stoję w tej chwili na korytarzu i nie mogę wejść do domu, żeby nie zatrzeć śladów.

– Będziemy w ciągu godziny.

Rozłączył się.

Marcin zszedł na dół i usiadł na schodach przed bramą. Mdłości nie ustępowały, w żołądku miał lodową kulę. Zatelefonował do Pauliny. Odebrała po dwóch sygnałach.

– Zapomniałeś czegoś? – zapytała kpiąco.

– Niezupełnie – odpowiedział.

Po jego głosie poznała, że coś jest nie tak.

– Co się stało?

– Miałem włamanie do mieszkania.

– Kurde! Coś zginęło?

– To nie jest w tej chwili najistotniejsze – powiedziała. – Sprawa jest o wiele poważniejsza, musimy porozmawiać. Przyjedź jak najszybciej.

– Dobrze, będę za pięć minut.

Wy tłumaczył jej, jak dojechać, i czekał.

Po chwili czarna toyota rav4 zaparkowała obok jego skody i Paulina wysiadła, rozglądając się. Zaraz go dostrzegła. Razem weszli do bramy i ruszyli obok siebie po schodach.

– Co jest grane, do cholery?! – nie wytrzymała.

– Zaraz, nie tu. Nie chciałbym, żeby któryś z sąsiadów słyszał – odpowiedział. – I tak pewnie będzie zamieszanie.

Stanęli przed drzwiami do mieszkania. Paulina obejrzała dokładnie ślady na zamkach.

– Weszli na „pasówkę” – powiedziała. – Człowieku, jakie ty masz zamki w drzwiach? Niepoważny jesteś?

– Nigdy nie miałem czasu zmienić – odpowiedział niechętnie.

Zaprowadził ją do kuchni i pokazał napis na drzwiach lodówki. Znieruchomiała zdziwiona. Patrzyła to na niego, to na lodówkę. Marcin unikał jej spojrzenia.

– Kurwa mać! – odezwała się wreszcie. – Możesz mi powiedzieć, o co chodzi?

Marcin westchnął.

– Paulina, posłuchaj, nie mówiłem tego jeszcze nikomu... – zawahał się.

Widział, jak jej twarz zmienia się nagle w drewnianą maskę.

– W zeszły piątek umówiłem się na mieście z przyjaciółką...

– Nieźle się zaczyna – powiedziała jakby do siebie.

– Słuchaj, nie będę ci się zbytnio tłumaczył. Kaśka jest moją dobrą koleżanką od wielu lat i czasem spotykamy się pogadać. Żeby było wszystko jasne – nigdy ze sobą nie spaliśmy. Po prostu się przyjaźnimy. – Zamilkł na moment, bo zdał sobie sprawę z niezręczności swoich tłumaczeń. – Nieważne. Poimprezowaliśmy trochę dłużej i Kaśka nocowała u mnie. Tamtej nocy było włamanie do jej mieszkania. Nic nie zginęło. Podejrzewam, że to ona miała być pierwszą ofiarą, tylko przypadkowo nie było jej w domu. Następnej nocy zamordowana została kobieta na Marszowicach.

Paulina znowu popatrzyła na napis i na niego.

– Skąd masz pewność, że ten napis jest z nią związany? – zapytała.

Zamiast odpowiedzi pociągnął ją za rękę i wyszli z mieszkania. Po drodze Marcin zabrał swoją torbę z laptopem. Zeszli na parter.

– Marcin, co ty kombinujesz? – zapytała po drodze coraz bardziej zniecierpliwiona.

– Chodźmy do auta.

Wsiedli do jej toyoty, Marcin usiadł na fotelu pasażera, odwrócił się do Pauliny i zaczął opowiadać.

– Tej nocy, kiedy było zabójstwo kobiety na Marszowicach, tak

naprawdę dwa razy spotkałem się z mordercą. Pierwszym razem w składziku na narzędzia uderzył mnie kawałkiem miedzianej rurki. Podejrzewam, że specjalnie nie zrobił tego bardzo mocno, żebym nie stracił przytomności. Potem goniłem go w tym pieprzonym lesie, po ciemku. Nie przewróciłem się, tylko on na mnie wyskoczył z ciemności i najnormalniej w świecie unieruchomił mnie na ziemi mocnym chwytem. Mógł ze mną zrobić, co chciał, jednak tylko nachylił się i szepnął mi do ucha jedno zdanie. „Widziałem, jak diabeł chodzi tam na palcach”.

Patrzyła na niego nieruchomo, zaciskając usta.

– Co powiedział? – zapytała, marszcząc brwi i odgarniając nerwowo kosmyk włosów z czoła.

Powtórzył.

– Marcin, czy ty się dobrze czujesz?

– Bardzo dobrze. Nikomu jeszcze o tym nie mówiłem – przyznał się.

– Dlaczego ukryłeś bardzo ważny fakt z pościgu za sprawcą? – zapytała chłodnym tonem. – Czy zdajesz sobie sprawę, jakie mogą być tego konsekwencje? Jak Plich się o tym dowie, zrobi ci postępowanie dyscyplinarne!

– Mam gdzieś, co on mi może zrobić! – zniecierpliwił się. – Miałem opowiedzieć, że morderca szeptał mi do ucha o diable chodzącym na palcach?

– Co to niby miało znaczyć?

– Tu mam większy dylemat – powiedział, sięgając do torby na laptopa.

Wyciągnął zeszyt do historii i pokazał Paulinie rysunek diabła i podpis. Otworzyła usta ze zdziwienia.

– To jest zeszyt mojego brata, który znalazłem w piątek u dziadka na strychu – wyjaśnił. – Wydaje mi się, że bardzo podobne słowa wypowiedział morderca w lesie. Tak podobne zdanie, że zbieg okoliczności jest nieprawdopodobny.

– Ryszard Zakrzewski zaginął w 1981 roku – powiedziała jakby

do siebie.

– Nie potrafię tego uzasadnić, ale wszystko wskazuje, że obie sprawy się w jakiś sposób łączą. Nie wiem, w jaki...

– Sugerujesz, że na Marszowicach ten psychol czekał właśnie na ciebie, żeby szepnąć ci do ucha to kretyńskie zdanie? – rzuciła.

– Po dzisiejszym włamaniu jestem tego pewien.

Opowiedział jej o tym, że słowa o diable słyszał już z ust Ryśka trzydzieści lat temu, potem o tym, że ktoś szedł za Kaśką, i o tym, co powiedziała mu sąsiadka. Paulina ze złością zamknęła zeszyt i rzuciła go pod przednią szybę auta. Była wściekała.

– Dlaczego wcześniej nic mi nie powiedziałaś?!

– Zamierzałem ci o tym powiedzieć w najbliższym czasie...

– Gówno prawda! – przerwała mu. – Myślałam, że jasno określiliśmy warunki współpracy. Zaufałam ci, a ty od samego początku działasz na własną rękę i zatajasz przede mną bardzo ważne fakty!

Marcin nie widział jej jeszcze tak zdenerwowanej.

– Posłuchaj...

– To ty, kurwa, posłuchaj! – wpadła mu znów w słowo. – Myślałam, że w jakimś sensie będziemy partnerami, a ty od samego początku mnie okłamujesz! Jak ty sobie w takiej sytuacji wyobrażasz naszą dalszą współpracę?!

Wyskoczyła z samochodu i trzasnęła drzwiami, aż się cały zakołysał. Zanim Marcin wysiadł, odeszła już kilka kroków na bok i stanęła odwrócona do niego plecami.

– Nikomu nie powiedziałem, bo sam nie byłem tego pewien – powiedział.

– Nieważne, co sobie myślałeś. Jesteś w posiadaniu informacji potencjalnie mogących pomóc w ujęciu sprawcy i nikomu o tym nie mówisz. To jest skrajna nieodpowiedzialność! Musimy złapać psychopatę grasującego gdzieś w mieście. Każdy szczegół może być ważny!

– Paulina!

– Jesteś taki sam jak inni faceci, a ja tak beztriosko wpuściłam cię do swojego życia... – dokończyła, poprawiając odruchowo grzywkę opadającą na oczy.

Staął obok niej.

– Nie generalizuj i przestań się wściekać – powiedział. – Dopiero kiedy odkryłem napis na lodówce, połączyłem ze sobą fakty. Nie wiem jeszcze dlaczego, ale morderca próbuje skomplikować mi życie.

Stała z pochyloną głową, nie patrząc na niego. Nie widział jej oczu.

– Nie oszukuj się, człowieku – powiedziała. – Wszystkie poszlaki wskazują, że mordercą jest twój brat bliźniak, Ryszard. Choćbyś nie wiem, jak zwlekał i ukrywał fakty, tylko to łączy w logiczny ciąg morderstwo na Marszowicach, włamanie do twojego mieszkania i inne fakty.

Powiedziała głośno to, czego nie chciał usłyszeć. Zacisnęła szczęki ze złości.

– Jak ty to sobie niby wyobrażasz? – zapytał szorstko. – Przecież kiedy Rysiek zniknął, miał dwanaście lat. I co zrobił? Uciekł z domu, zmienił osobowość, wyjechał na drugi koniec Polski? Przecież pamiętasz, jakie były wtedy czasy. Dwunastolatek nie mógłby czegoś takiego zorganizować!

– Jesteś naiwny czy tylko udajesz? – Spojrzała na niego. – Możliwości jest tysiąc. Może został porwany, wywieziony gdzieś i tam przeżył? Teraz wrócił i ma do ciebie żal za stracone lata? Nie wiemy, jak może wyewoluować psychika dziecka więzionego i prawdopodobnie wykorzystywanego seksualnie przez lata.

– Nie wyciągasz zbyt daleko idących wniosków?

– Próbuję ci uzmysłwić, jak wiele różnych opcji wchodzi w grę.

Pokręcił głową.

– Zawsze powtarzam, że najprostsze rozwiązania, które od

początku wydają się najbardziej prawdopodobne, są złudne i nieprawdziwe. Życie pisze o wiele bardziej pokręcone scenariusze.

– Masz inny pomysł? – zapytała z jednym ze swoich najgorszych kpiących uśmiechów na ustach.

Marcin z trudem zapanował nad nerwami.

– Nie wierzę, że to Rysiek – powiedział.

– Cholera, Marcin! Nie jesteś księdzem, tylko policjantem! – podniosła głos, aż para nastolatków przechodzących chodnikiem po drugiej stronie ulicy spojrziała na nich ciekawie. – Nie jest ważna twoja wiara, tylko fakty!

Paulina odwróciła się i podeszła do samochodu. Zamknęła zamki pilotem i stanęła oparta o maskę z rękami w kieszeniach płaszcza. Marcin stał bokiem do niej. Nie patrzyli na siebie.

Tak zastali ich Sroka z Rucińskim. Zaparkowali obok i wysiedli. Przywitali się z Marcinem i spojrzeli ciekawie na Paulinę.

– Znacie Paulinę Czerny? – zapytał Marcin. – Pracujemy teraz razem.

Oczywiście znali Paulinę z widzenia, teraz przywitali się z nią, podając kolejno ręce. Marcin opowiedział im o wszystkim, tak samo jak wcześniej Paulinie. Zmienił tylko opowieść o ponownym spotkaniu z mordercą w lesie i przemilczał fakt znalezienia zeszytów należących do swojego brata. Według jego opowieści morderca powiedział mu o diable w składziku, zaraz po uderzeniu rurką.

Zerkał przy tym na Paulinę. Słuchała jego słów w milczeniu, z zaciśniętymi ustami.

– Dlaczego wcześniej o tym nie powiedziałaś? – Sroka też nie wyglądał na zachwyconego.

– Dostałem w głowę rurką – tłumaczył się Marcin niezbyt przekonująco. – W końcu sam nie byłem pewien, czy słyszałem te słowa. Trudno było wtedy przypuszczać, że morderca czeka

akurat na mnie. Rozmawialiśmy o tym.

– To prawda – przyznał Sroka.

– Dopiero teraz nabrałem pewności, że to może być prawda.

– Dobrze, później o tym porozmawiamy – oznajmił Sroka.

Po chwili podjechał nieoznakowany volkswagen transporter ekipy technicznej zabezpieczającej ślady. Zaparkowali dwadzieścia metrów dalej, naprzeciw apteki.

Marcin zaprowadził całą ekipę na trzecie piętro, pod drzwi swojego mieszkania. Robert Rajcza, najlepszy fachowiec od zabezpieczania śladów na miejscu zbrodni, z jakim Marcin kiedykolwiek pracował, podobnie jak przedtem Paulina rzucił okiem na zamki i na świeżą rysę na górnym.

– „Pasówka” – orzekł. – Powinieneś założyć porządniejszy zamek. Każdy można otworzyć, ale niektóre zniechęcają amatorów łatwych pieniędzy.

– Kiedy według ciebie wszedł? – zapytał Marcina drugi technik, Jacek Adamski.

– Myślę, że w piątek. Może być dużo śladów, bo chyba wyniósł się w nocy albo dopiero dzisiaj rano. Sąsiadka tak twierdzi.

Rajcza gwizdnął przez zęby.

– Niezły pasztet – powiedział.

Obaj wkładali już gumowe rękawiczki.

– Zachowywał się dość swobodnie – mówił dalej Marcin. – Widziałem, że zjadł mi krakersy ze stołu w dużym pokoju, nie wiem, czego jeszcze się spodziewać.

Adamski otworzył drzwi i zajrzał do środka.

– Trochę śladów zostawiłem przed chwilą – wyjaśnił Marcin.

– Gdzie chodziłeś? – zapytał.

– Wszędzie. Drzwi były otwarte, więc bałem się, że go jeszcze zastanę. Potem siedziałem w kuchni na krześle i jeszcze raz byłem w kuchni razem z Pauliną.

– Dotykaliście czegoś?

– Nie.

- Później i tak zdejmę wam odciski palców.
 - W porządku.
 - Możemy zajrzeć do kuchni? – wtrącił się Sroka.
- Rajcza wzruszył ramionami.
- Najwyżej coś zadepczecie – powiedział.
 - Będziemy ostrożni.

Paulina z Marcinem zostali na zewnątrz, Sroka i Ruciński poszli obejrzeć napis na drzwiach lodówki. Po chwili wrócili.

Sroka wyciągnął papierosa i spojrzał pytająco na Marcina. Ten bez słowa wziął od niego paczkę i wyciągnął sobie jednego. Palili na chodniku przed domem. Paulina stała obok i unikała wzroku Marcina.

– Sprawdzaliście morderstwa podobne do tego na Marszowicach? – zapytał Marcin tknięty niepokojącą myślą.

– Tak – odrzekł Sroka i zerknął na Rucińskiego.

Michał popatrzył na Marcina i Paulinę i powiedział:

– Mamy jedno takie samo.

– Jak to takie samo? – zdziwił się Marcin.

– Kobieta, czterdzieści pięć lat, znaleziona w Wiszni Małej, zamieszkała w wiosce obok. Morderca zadał jej siedemdziesiąt trzy uderzenia nożem, do tego miała dokładnie takie same nacięcia jak Maria Janus. Na koniec odrąbał jej prawą dłoń siekierą. Dłoni nie znaleziono, siekierę porzucił w krzakach sto metrów dalej. Zostawił bardzo mało śladów.

– Macie już akta tej sprawy?

– Od wczoraj.

– Jest tylko jeden problem – wtrącił Sroka. – Wtedy złapano sprawcę.

Ruciński skrzywił się, jakby połknął cytrynę.

– Miesiąc po znalezieniu zwłok aresztowany został Waclaw Pytłasiński, recydywista skazany za czyny lubieżne i próbę gwałtu na nastolatce. Kilka osób widziało, jak wcześniej rozmawiał z ofiarą. W trakcie śledztwa nie był w stanie

rozsądnie odpowiedzieć na pytanie, co robił w czasie, kiedy kobieta została zamordowana. Zmieniał zeznania, kręcił. Nie wskazał miejsca ukrycia odrąbanej dłoni. W procesie poszlakowym został skazany na dwadzieścia pięć lat więzienia. Karę odsiadyuje od dwóch lat.

Marcin ze złością rzucił niedopałek papierosa na trawnik.

– Skazali nie tego gościa – powiedział.

– Na to wychodzi – przyznał niechętnie Ruciński, jakby osobiście był odpowiedzialny za tamto śledztwo.

– Kiedy zamordowano tamtą kobietę? – odezwała się niespodziewanie Paulina.

– W nocy z 29 na 30 września 2007 – odpowiedział Michał.

Marcin poczuł dreszcz na plecach.

– To pewne? – zapytał.

– Tak – odpowiedział Sroka.

Paulina zrobiła kilka kroków, przystanęła przy swoim aucie i zatelefonowała do kogoś. Ze strzępków zdań Marcin wywnioskował, że rozmawia z prokuratorem Grabskim.

– Co się stało? – zapytał Ruciński. – Dlaczego tak zbladłeś?

– Chyba pracujemy nad tą samą sprawą.

XVIII

Prokurator Marek Grabski zwołał spotkanie u siebie w gabinecie o godzinie czternastej. Mieli w nim uczestniczyć przedstawiciele zespołów prowadzących oba śledztwa. Stefan Sroka zdecydował, że Michał Ruciński będzie bardziej przydatny w mieszkaniu Marcina. Miał za zadanie wypytać sąsiadów, kogo widzieli przez ostatnie dwa dni. Sam Sroka wsiadł do samochodu i pojechał do swojego biura po notatki z ostatniego tygodnia. Paulina też gdzieś pojechała, nic nie mówiąc Marcinowi. Ruciński poszedł rozmawiać z sąsiadami, a Marcin został sam na korytarzu.

Czuł się fatalnie. Mdłości nie ustępowały, po papierosie wypalonym na dole czuł się jeszcze gorzej. Najgorsza była świadomość, że Paulina straciła do niego zaufanie. Nie powinien ukrywać przed nią faktów ze śledztwa, jakkolwiek abstrakcyjne mu się wydawały. Teraz jednak nic nie mógł już odkręcić. Miał przecucie, że ją stracił, zanim cokolwiek na dobre się między nimi zaczęło. Paulina była stanowcza i miała bardzo silny charakter. Przez cały czas, kiedy czekali pod jego blokiem, rzucała mu takie spojrzenia, jakie pamiętał z dawnych czasów, kiedy trwała między nimi wieczna wojna.

Tak naprawdę była zupełnie inna, niż mu się na początku wydawało. Była samotna i potrzebowała oparcia, a on zawiódł ją już na samym początku. Nie mógł sobie tego wybaczyć.

Z ponurych rozmyślań wyrwał go dopiero Robert Rajcza.

Wychylił się przez próg i powiedział:

– Możesz wejść.

Marcin wszedł do mieszkania i zamknął za sobą drzwi.

Technicy rozłożyli walizki w przedpokoju. Adamski zbierał odciski palców z klamki drzwi do łazienki, a Robert zaprowadził Marcina do pokoju.

– Po dywanie możesz chodzić, tylko jeszcze niczego nie dotykaj – powiedział. – Jeśli coś będzie trzeba otworzyć, powiedz mi.

– Co mam robić? – zapytał Marcin.

– Przyjrzyj się dokładnie wszystkiemu w pokoju i powiedz, co według ciebie może być inaczej położone.

Marcin omiół wewnątrz wzrokiem. Przeklinał w myślach swój bałaganiarski charakter.

– Ciężko będzie. – Pokręcił głową.

– Nie musisz się spieszyć. Najlepiej będzie, jak wskażesz nam jakieś miejsca. Najpierw zajmiemy się tymi obszarami. Inaczej nie wyjdziemy ci z mieszkania przez tydzień.

Marcin wskazał krakersy na talerzyku.

– Zjadł mi ciastka – powiedział.

Robert zrobił zdjęcie talerzyka i położył przy nim kartonik z cyfrą 1. Marcin rozglądał się w skupieniu. Po chwili dostrzegł nieład w swojej wielkiej kolekcji filmów kryminalnych na DVD, stojących na półce obok telewizora i odtwarzacza.

– Oglądał filmy – powiedział.

– Jesteś pewien?

– Na odtwarzaczu leży pudełko po jednym z Bondów. Nie przepadam za tą serią i nie pamiętam, kiedy ostatni raz coś z tego oglądałem. W odtwarzaczu było *Żądło* z Redfordem i Newmanem.

– OK.

Obok pudełka po filmie znalazła się cyferka 2, Robert zrobił kolejne zdjęcia.

– Niestety, muszę wypożyczyć sobie te filmy i piloty do sprzętu – rzucił.

Wyciągnął torebki i osobno zapakował w nie płyty z odtwarzacza, piloty i pudełka.

– Coś jeszcze?

Marcinowi przyszła do głowy nieoczekiwana myśl.

– Otwórz mi barek.

– Jasne.

Marcin zajrzał do środka i zaklął.

– Wypił mi pół butelki zielonego Johnny’ego Walkera – powiedział. – Dostałem go od kumpli z wydziału na urodziny i czekał na specjalną okazję.

– Smakosz, kurwa jego mać – odezwał się Adamski z tyłu.

W ten sposób chodzili po mieszkaniu przez półtorej godziny. Morderca podlał Marcinowi kwiaty, odkurzył podłogi, włączył zmywarkę, potem wyciągnął czyste naczynia i poukładał je w szafkach, używał jego ręczników i T-shirtów. Marcin nie był pewien, ale mógł używać również jego bielizny. W mieszkaniu nie było wielu płyt z muzyką, za to musiały najbardziej zainteresować mordercę – leżały porozrzucone w różnych miejscach. W sypialni nie zdążył pościelić łóżka, widać było, że czytał *Imprimatur*, ponieważ zakładka z dwudziestej strony przewędrowała na dwieście trzydziestą ósmą. Zrobił Marcinowi zakupy – w lodówce leżały trzy rodzaje sera, paczkowane parówki, jogurty, napoczęta kostka masła i butelka mleka z automatu. Na opakowaniach były nalepki ze sklepu na dole.

Marcin czuł coraz większe mdłości. Im dłużej chodził po mieszkaniu, tym większe obrzydzenie odczuwał. Jego własne mieszkanie sprawiało wrażenie obcego i brudnego. Wciąż czuł w nim czyjąś obecność. Zastanawiał się, czy nie wynająć sobie pokoju w hotelu na najbliższe kilka dni. Przynajmniej do czasu, kiedy posprząta i wypierze wszystkie rzeczy osobiste.

Największe obrzydzenie poczuł w łazience. Na szczoteczce do zębów była zaschnięta pasta. Marcin nigdy nie zostawiał szczoteczki w takim stanie. Z trudem przełknął ślinę. Adamski widząc jego minę, szybko spakował szczoteczkę, pastę i mydło do woreczków i wrzucił do torby. Nad wanną wisiało pranie.

– Wyprał mi bieliznę – powiedział Marcin.

W międzyczasie wrócił Ruciński i stał w przedpokoju, patrząc, jak chodzą z jednego miejsca w drugie i znajdują coraz to nowe ciekawostki.

– To musiał być jakiś kompletny szajbus. – Nie wytrzymał wreszcie.

Marcin popatrzył na niego.

– Pytałeś sąsiadów? – zapytał.

– Tak. Cztery osoby są święcie przekonane, że widziały ciebie – odpowiedział Ruciński.

– Jak był ubrany?

– Brązowa skórzana kurtka z czarnym kołnierzem, czarna czapka z daszkiem, granatowe dżinsy i ciemne adidasy.

Marcin poprosił Rajcę, żeby otworzył szafę. Jeden rzut oka wystarczył.

– To były moje rzeczy – stwierdził. – Wybrał sobie, co mu się spodobało z mojej szafy, i tak wyszedł.

– Nie zostawił swoich ubrań? – zdziwił się Ruciński. – W coś przecież musiał być ubrany.

Dokładnie przejrzeni cały dom, łącznie z balkonem. Nic nie znaleźli. Dopiero kiedy Marcin zajrzał na pawlacz, znalazł odpowiedź.

– Nie ma mojej torby podróżnej.

– No to jasne – mruknął Adamski.

Marcin wyszedł z Rucińskim na korytarz.

– Tu na dole jest taki sklepik, nazywa się „Mały Sam” – powiedział. – Wczoraj zrobił tam zakupy. Sprawdź w lodówce, co tam leży, i wypytaj ekspedientki, czy pamiętają faceta, który robił takie zakupy. Sprawdź też, czy czasem nie mają monitoringu. Przydałby się jakiś filmik.

– Jasne.

– Kupił mleko w automacie – ciągnął Marcin. – Najbliższy taki stoi przy biedronce na krzyżówce na Nowym Dworze. Zobacz,

czy tam też jest monitoring. Może uda się coś znaleźć.

Ruciński zajrzał do notesu.

– Sąsiad spod dwójki mówi, że widział w piątek około dziewiętnastej, jak szedłeś z reklamówką z piwem w puszkach. Kobieta spod czwórki mijiała cię na schodach wczoraj przed południem. Chciała pogadać, ale nie odpowiedziałeś. Syn małżeństwa spod piątki na pewno widział, jak wychodziłeś z mieszkania wczoraj około dwudziestej drugiej. Stał z kumplami. Jest tego pewien, ponieważ niedawno pogoniłeś ich za picie piwa na ławce.

– Tak było. – Marcin pokiwał głową i dodał rozdrażniony: – Tylko do cholery nie mów ciągle, że to byłem ja.

– Dobrze, po prostu powtarzam słowa twoich sąsiadów.

Tak zastała ich Paulina. Stała na półpiętrze i powiedziała do Marcina:

– Już wpół do drugiej. Jedziemy do Grabskiego.

– Jedź, ja zaraz dojadę – odpowiedział.

– Pojedziemy moim.

Zaskoczony popatrzył na Rucińskiego.

– Zadzwoń, jak będziesz miał coś ciekawego – poprosił, a potem we dwoje zeszli na dół i wsiedli do zaparkowanej na trawniku toyoty. Po drodze musiał tłumaczyć się sąsiadom, że w nocy, kiedy go nie było, ktoś włamał mu się do mieszkania. Sąsiedzi byli poruszeni zamieszaniami i zaniepokojeni. Marcin uspokoił ich, że raczej nie zdarza się, żeby włamywacz przychodził dwa razy w to samo miejsce, do tego w krótkim odstępie czasu, w związku z tym mogą spać spokojnie. Nie był pewien, czy mu uwierzyli.

Paulina skupiła się na prowadzeniu auta, nie odzywała się i ani razu na niego nie spojrzała. Nie wytrzymał i spróbował zagać rozmowę.

– Paulina...

Odpowiedziała niespodziewanie ostro i opryskliwie:

- Nie odzywaj się do mnie na razie, dobrze?
- Chciałbym porozmawiać.
- Ale ja nie mam na to ochoty.

Spojrzał w szybę. Dalszą drogę przejechali w milczeniu.

XIX

W salce konferencyjnej w komendzie wojewódzkiej jeszcze przed czternastą zebrało się kilka osób, które udało się ściągnąć do pracy w niedzielę. Był prokurator Marek Grabski, najbliższy współpracownik Pauliny Czerny w sprawie porwań z lat 1991–2003. Zjawili się też komisarz Andrzej Szmidt, Stefan Sroka i sam naczelnik wydziału kryminalnego komendy wojewódzkiej, inspektor Paweł Godlecki.

Pierwszy odezwał się Grabski – inicjator spotkania.

– Niestety, nie udało mi się skontaktować z prokuratorem Plichem. Rozmawiałem za to z prokuratorem Wysockim, formalnie prowadzącym jedno ze śledztw. Nie może przyjechać, ale z góry popiera wszystkie decyzje, jakie dzisiaj podejmiemy – powiedział. – Sprawa zrobiła się poważna.

Godlecki pokiwał głową.

– Powiem tak. Złapanie Rzeźnika z Marszowic jest od teraz dla naszego wydziału absolutnym priorytetem – mówił, patrząc kolejno na siedzących. – Od poniedziałku na ten odcinek kierujemy główne siły, będą nam pomagać wydziały w całym województwie. Jesteśmy pod straszną presją opinii publicznej. Proszę uświadomić sobie nasze położenie. Udało nam się na chwilę zablokować informację o szczegółach morderstwa Marii Janus. Dla mediów jest to na razie zabójstwo na tle rabunkowym, popełnione ze szczególnym okrucieństwem. – Spojrzał na Marcina. – Napaść na policjanta na razie nie została ujawniona – kontynuował. – W każdej chwili możemy spodziewać się przecieku bardzo istotnych informacji. Jeśli ktoś z prasy powiąże

morderstwo na Marszowicach z tym w Wiszni Małej sprzed czterech lat, będziemy mieć na głowie całą lokalną prasę i nie tylko. Tamto zabójstwo wzbudziło duże zainteresowanie, a proces był szczegółowo relacjonowany. W każdej chwili musimy być przygotowani na taką ewentualność. Przez kilka dni możemy ukryć fakt, że prokuratura wznowi śledztwo w tamtej sprawie. Jeśli wyrok jest pomyłką, pourywają nam głowy. Jeżeli jeszcze okaże się, że porwania w okolicy Szczepanowa łączą się z tymi z lat dziewięćdziesiątych i z początku nowego wieku, a nawet z tymi dwoma zabójstwami, które już omówiłem, będziemy mieli do czynienia ze sprawą bezprecedensową w historii kryminalistyki naszego kraju. Będą naciski, nie tylko ze strony mediów, ale też z komendy głównej i od polityków. Musimy schwytać sprawcę, zanim rozpęta się burza. Nie mamy dużo czasu.

W trakcie przemówienia Godleckiego Marcin patrzył na Paulinę. Ona wbiła wzrok w blat stołu i unikała jego spojrzenia. Sroka błędził wzrokiem po suficie, Szmidt co chwilę drapał się nerwowo po policzku, a Grabski patrzył na naczelnika z dziwnym wyrazem twarzy.

On pierwszy się odezwał, gdy Godlecki skończył.

– Proponuję, żeby każdy z obecnych tu prowadzących śledztwo omówił, na jakim jesteśmy aktualnie etapie. – Zawiesił głos i popatrzył pytająco na Godleckiego.

– Proszę. – Naczelnik skinął głową.

Zaczął właśnie Grabski, krótko opowiadając o porwaniach chłopców w Szczepanowie do roku 1981, później oddał głos Szmidtowi. Ten szczegółowo zrelacjonował kolejne porwania i streścił postępy w śledztwie, a właściwie ich brak. Na końcu głos zabrał Sroka, opowiadając o dwóch ostatnich morderstwach. Po nim znowu odezwał się Grabski.

– Wydawać by się mogło, że ostatnie dwa morderstwa są niepowiązane z poprzednimi. – Spojrzał na Marcina. – Niestety,

mamy poszlaki, które zrodziły pewne wątpliwości. Myślę, że Marcin Zakrzewski dokładnie je zrelacjonuje.

Marcin opowiedział o swoim spotkaniu z mordercą na Marszowicach i o słowach, jakie ten wyszeptał mu do ucha. Następnie opowiedział o Ryśku, pokazał rysunek w zeszycie do historii, opowiedział o włamaniu do swojego mieszkania i o napisie na lodówce. Wytłumaczył też, w jaki sposób wplątana jest w sprawę Kaśka i dlaczego uważa, że prawdopodobnie ona miała być ofiarą. Opowiedział również o odkryciach ze swojego mieszkania.

Kiedy skończył, przy stole zapanowała kompletna cisza.

– Spróbuję podsumować to, co od panów usłyszałem. – Przerwał ją naczelnik Godlecki. – Mamy tu do czynienia z całym ciągiem poszlak, sugerujących związek pomiędzy wszystkimi zdarzeniami. Jądrem całości wydaje się Marcin Zakrzewski.

Marcin znał ich wszystkich bardzo dobrze, jednak czuł się dziwnie, wiedząc, że wszyscy na niego patrzą. Tylko Paulina jak dotąd się nie odezwała i siedziała, nie patrząc na niego.

– Zaczniemy więc od pierwszej, najstarszej sprawy – ciągnął Godlecki. – Porwania zdarzały się co cztery lata, zawsze po dwudziestym września. Z taką samą częstotliwością zdarzały się również porwania od roku 1991 do 2003. Wszyscy chłopcy mieli około dziesięciu lat i nigdy nie zostali odnalezieni. Sprawca nie zostawił żadnych istotnych śladów, nie mamy punktu zaczepienia. Dobrze mówię, Marku?

– Tak.

– Te dwie sprawy łączą się z dwoma morderstwami kobiet datą. Znowu mamy cztery lata różnicy i koniec września. Tym razem jednak nie były to dzieci, tylko kobiety w średnim wieku, w obu wypadkach znalezione zostały ciała. Co gorsza, w pierwszym skazany został prawdopodobnie niewinny człowiek. Nie sądzicie panowie, że to może być jednak przypadek?

– Nie łączylibyśmy wszystkich tych morderstw, gdyby nie Marcin – zauważył Grabski.

– No właśnie. – Naczelnik jeszcze raz badawczo popatrzył na Zakrzewskiego, jakby oceniał jego wiarygodność. – Tu dochodzimy do, nie ukrywam, dla mnie dziwnego i trudnego do wytłumaczenia ciągu zdarzeń. Spróbuję go podsumować.

Godlecki sięgnął po paczkę papierosów.

– Przepraszam, mogę zapalić? – zapytał.

Nikt nie zgłosił sprzeciwu i ostatecznie zapalili on, Sroka i Szmidt. Grabski jako przeciwnik palenia ograniczył się do uchylecia jednego z okien.

– Rzeźnik z Marszowic po morderstwie ukrył się na posesji, gdzie dokonał zbrodni, i nie zważając na niebezpieczeństwo, najwidoczniej na coś czekał – kontynuował Godlecki. – Padła tutaj sugestia, że czekał właśnie na pana Marcina, żeby szepnąć mu do ucha te nonsensowne słowa o diable tańczącym na palcach. Pan Marcin słyszał już takie słowa trzydzieści lat temu z ust swojego brata Ryszarda i jakby na potwierdzenie tego odnalazł się ten zeszyt, gdzie dziecinną ręką narysowany został diabeł i podpisany takimi słowami. Przyznam, że w dość oryginalny sposób ta sprawa ze Szczepanowa łączy nam się z ostatnim morderstwem. Pod warunkiem że nie jest to jakiś szalony zbieg okoliczności. Te słowa mogą być podobne zupełnie przypadkowo.

– Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej jestem przekonany, że były takie same – powiedział Marcin.

– Przyznam, że byłbym bardziej sceptyczny, gdyby nie późniejsze zdarzenia. Prawdopodobnie morderca włamuje się do mieszkania pana Marcina i przebywa w nim co najmniej dwa dni. Ślady wskazują, że zachowuje się jak u siebie. Na odchodne zapisuje flamastrem na drzwiach lodówki pewną informację. Być może wskazuje, że ofiarą miał być ktoś inny. Pan Marcin domyśla się, że chodzi o jego znajomą, Katarzynę Morawską. Nie

została zamordowana tylko dlatego, że nie było jej w domu w tę noc, kiedy morderca się do niej włamał. Katarzyna Morawska twierdzi, że ktoś szedł za nią na ulicy Metalowców. Ten fakt mógłby potwierdzać naszą hipotezę. Nie rozumiem tylko jednego. Dlaczego wszyscy, którzy widzieli prawdopodobnego mordercę, twierdzą, że był to Marcin Zakrzewski? Panie Marcinie, nie rozumiem tego.

– Ja też nie. – Marcin pokręcił głową. – Z mieszkania zginęła bardzo charakterystyczna kurtka skórzana oraz czapka z daszkiem. Sąsiedzi wielokrotnie widzieli mnie w takim ubraniu, stąd być może sugestia.

Paulina chciała coś powiedzieć, lecz ubiegł ją Godlecki.

– Przepraszam, pani Paulino – powiedział. – Zaraz pani zaprezentuje swoje zdanie, jeszcze tylko drobne szczegóły. Jeśli ofiarą miała być przyjaciółka pana Marcina, jeżeli morderca był pewien, że mieszkanie przez weekend będzie puste, to znaczy, że był pan obserwowany od dłuższego czasu, panie Marcinie. Wygląda na to, że morderca działa w taki sposób, aby się na panu zemścić. Nie widzę innego sensownego wytłumaczenia.

– Musimy sprawdzić, co dzieje się aktualnie z przestępcami, których Marcin wsadził do więzienia – odezwał się prokurator Grabski. – To może być zemsta. Od jutra zajmie się tym Andrzej Szmidt.

– Jasne – powiedział Szmidt.

– Nie możemy wykluczyć także innego motywu – zaznaczył Godlecki. – Zawiść, zazdrość zdradzonego mężczyzny, sprawy rodzinne. Nic panu nie przychodzi do głowy?

Marcin dostrzegł, że przy słowach o zdradzonym mężczyźnie przez usta Pauliny przeleciał cień złośliwego uśmiechu, ale starał się nie zwracać na nią uwagi.

– Nic – odpowiedział. – Ale jeszcze pomyślę.

– Skoro jesteśmy przy temacie porachunków rodzinnych, chciałam wyrazić swoje zdanie – odezwała się Paulina.

– Proszę, pani Paulino.

– Przy założeniu, że brat Marcina, Ryszard Zakrzewski, nie umarł w roku 1981 lub później i że on jest mordercą, fakty składają się w logiczny ciąg zdarzeń. Potencjalnie mamy też motyw. Skrzywdzony brat szuka odwetu na tym, któremu życie ułożyło się lepiej. Oczywiście, mówię o zbrodniach popełnionych w latach od 1991 do dziś. Dla wcześniejszych musimy znaleźć innego sprawcę.

– Odkrycie, kto stał za morderstwami w latach 1949 do 1981, może być kluczem do zrozumienia późniejszych – wtrącił Szmidt.

– To prawda. – Paulina pokiwała głową. – Zakładając, że Ryszard Zakrzewski jest sprawcą, mamy odpowiedź na pytanie, dlaczego wszyscy widzieli Marcina. Są braćmi bliźniakami.

Marcin patrzył na nią, kręcąc gwałtownie głową.

– Twoja hipoteza jest kompletnie nieprawdopodobna – zaprotestował. – Nie zgadzam się z nią.

– Rozumiem, że Ryszard jest twoim bratem – odpowiedziała mu Paulina. – Jednak po trzydziestu latach może być zupełnie innym człowiekiem niż chłopiec, którego pamiętasz. Jeśli przeżył wieloletnią traumę, mógł zmienić się w psychola.

– Paulina, czy ty słyszysz, co mówisz? Historia żywcem wyjęta z amerykańskich horrorów klasy B! Zaginiony brat wraca po latach i oczywiście wszystkich chce zabić. Gdzie tu logika!? – podniósł głos.

– W życiu nie ma logiki! Jako policjant musisz rozważyć każdą hipotezę.

– Ależ ja właśnie ją rozważam i nie widzę w niej sensu – odparował. – Po co miałyby mordować dzieci, zupełnie w taki sam sposób jak ktoś, kto znęcał się nad nim?

Nie dawała za wygraną.

– Może przeszedł wieloletnie pranie mózgu i jest obłąkany? W Austrii Fritzl trzymał swoją córkę w piwnicy przez długie lata.

Ich coraz bardziej nerwowa wymiana zdań trwałaby pewnie

dalej, gdyby nie wtrącił się Marek Grabski.

– Dajcie spokój – powiedział. – Nie mamy czasu na kłótnie.

Popatrzył najpierw na Marcina, potem na Paulinę i dodał z uśmiechem dla rozładowania atmosfery:

– Już wiem, dlaczego kilka lat temu, kiedy pracowaliście razem, omal nie doszło do bijatyki.

Marcin z trudem opanował uśmiech. Z Pauliny też natychmiast zeszło powietrze.

– Tak czy inaczej, panie Marcinie, hipotezę dotyczącą brata musimy traktować jako prawdopodobną – podsumował Godlecki.

– Rozumiem.

– Proszę się nie obrazić, ale w związku z zaistniałą sytuacją muszę pana zapytać, gdzie pan przebywał w środę około dwudziestej trzeciej, kiedy pani Morawska wracała do domu, oraz między piątkiem po południu i niedzielą rano – mówił dalej Godlecki.

Marcin widział kątem oka, że Paulina się wyprostowała.

– W środę byłem w domu i czytałem materiały, które dostałem od Marka i Pauliny – odpowiedział. – Nie mam na to świadków. Z piątku na sobotę nocowałem w domu moich dziadków w Szczepanowie, natomiast z soboty na niedzielę... – zawahał się.

– Tę noc Marcin spędził u mnie – powiedziała nagle Paulina.

Marek Grabski otworzył usta ze zdziwienia. Naczelnik podrapał się w policzek trochę zmieszany.

– No tak. – Chrząknął i szybko zmienił temat. – W takim razie zastanówmy się, co dalej. Na pewno jutro powołam specjalną grupę śledczą, która zajmie się ostatnimi dwoma zabójstwami oraz aktywnością sprawcy w ostatnich dniach. Na czele tej grupy stanie Stefan Sroka. Razem z Rucińskim będziecie koordynować działania i spinać całe śledztwo. Chciałbym, żeby Andrzej Schmidt i Paulina Czerny nadal zajmowali się czterema zaginięciami dzieci we Wrocławiu, a pan Marcin przeszłością.

Paulina Czerny spina całość. Dla dobra śledztwa nie powinniśmy zbyt eksponować tych dwóch wątków. Lepiej, żeby prasa za wcześnie nie połączyła obu spraw. Co o tym sądzisz, Marku?

Grabski pokiwał głową.

– Podoba mi się taki plan – powiedział.

– Stefan, jeszcze dzisiaj pojedziesz do tej Katarzyny Morawskiej i porozmawiasz z nią...

– Przepraszam, w tym wypadku chciałbym porozmawiać z nią sam – przerwał Godleckiemu Marcin. – Pojadę tam zaraz z Pauliną. Morawska pewnie jest w szoku. Może obecność kobiety w jakiś sposób pomoże. Co ty na to, Stefan?

– Zgadza się, jedźcie tam we dwoje – zgodził się Sroka.

– Jeśli Katarzyna Morawska miała być ofiarą, a sprawca później przebywał w jej pobliżu, myślę, że istnieją przesłanki do wystąpienia do sądu o przyznanie jej czasowej ochrony – ciągnął Marcin.

Naczelnik pokiwał głową.

– Jak najbardziej ma pan rację – potwierdził. – Dzisiaj postawię przed jej domem umundurowanych policjantów. Tyle mogę zrobić, zanim sędzia nie podejmie formalnej decyzji.

– Dobrze na razie i to – odezwał się Marcin.

– Jesteś w takiej samej sytuacji – powiedziała Paulina. – Nawet w gorszej. Wszystko wskazuje, że to właśnie ty jesteś na celowniku mordercy. Najlepiej, żebyś na kilka dni wyniósł się z domu.

– Też pan dostanie towarzystwo mundurowych – wtrącił Godlecki.

– Nie ma takiej opcji. – Marcin pokręcił gwałtownie głową. – Ekipa jeszcze zabezpiecza ślady, więc tej nocy pewnie muszę znaleźć sobie gdzieś nocleg, ale od jutra wracam do domu. Nie zgadzam się na żadną obstawę. Nieważne, czy będzie mundurowa, czy tajna. Chcę być przynętą. Skoro morderca chce mi coś zakomunikować, niech się ujawni. Powtarzam, chcę

zostać przynęta.

– Chyba zwariowałeś! – wykrzyknęła Paulina. – Mamy do czynienia z brutalnym, psychopatycznym mordercą, który jak na razie wykazuje się wielkim sprytem i przebiegłością. Wydaje się, że jest u nas nienotowany, skoro mając włosy i krew, nie zidentyfikowaliśmy go w naszej bazie. Nie możesz wystawić się na takie niebezpieczeństwo.

– To jedyna szansa, żeby go szybko złapać – odpowiedział jej Marcin. – Wystawcie mnie na wabia. Poradzę sobie.

– To szaleństwo!

– Marcin, wiesz, że nie możemy zostawić cię bez ochrony – wtrącił się Grabski.

– Jeśli zaczną za mną jeździć mundurowi albo łązić tajniacy, spłoszymy go – argumentował Zakrzewski. – Jeżeli mnie naprawdę obserwuje, zaraz się domyśli, że ktoś za mną chodzi, przestraszy się i zniknie. A za następne cztery lata będziemy mieć kolejną ofiarę. Jeśli nie wcześniej.

– Marcin ma rację – poparł go niespodziewanie Sroka. – Nie mamy żadnych punktów zaczepienia w śledztwie. Potrzebujemy przynęty.

– Formalnie nie mogę się na to zgodzić. – Naczelnik pokręcił głową.

Sroka popatrzył mu w oczy.

– Paweł, zastanów się, jak długo może być rozpatrywany taki wniosek – powiedział. – Jutro sekretariat go sporządzi, we wtorek nada bieg sprawie, w środę trafi na biurko sędziego, najwcześniej w czwartek zostanie rozpatrzony, a zanim znajdziemy wolnych ludzi przy tym natłoku pracy, będzie połowa przyszłego tygodnia. Gdyby coś się stało, ty jesteś kryty, ponieważ dotrzymałeś terminów, a opóźnienie wynika z biurokracji i braku odpowiedniej kadry.

– No nie wiem – mruknął Godlecki.

– Przecież i tak formalnie wcześniej nic nie da się zrobić –

ciągnął Sroka. – Marcin jest doświadczonym policjantem, wie, co robi.

– Nie może zostać bez ochrony – zaprotestowała ponownie Paulina.

– Musimy spróbować, zanim morderca rozpłynie się gdzieś na kolejne cztery lata – odpowiedział jej Marcin.

– Dobrze – przerwał dalszą wymianę zdań Godlecki. – Jutro złożę wniosek.

XX

– Dlatego po mnie przyjechałaś? – zapytał Marcin.

Przejeżdżali akurat przez most Grunwaldzki. Tymon mieszkał na Biskupinie, w nowych blokach na ulicy Baciarellego. Zaraz po naradzie w komendzie wojewódzkiej Marcin zatelefonował do niego i zapowiedział wizytę. Nie rozmawiali długo, do tego półsłówkami. Marcin i tak się domyślił, że Kaśka jest bardzo zdenerwowana.

– Nie chciałaś mnie zostawić samego?

Paulina spojrzała na niego niechętnie.

– Nie pochlebiaj sobie – burknęła.

Zamilkł. Zaczynała go drażnić. Czuł, że wystarczy iskra i wybuchnie.

Zmienił więc temat.

– Zanim z nimi porozmawiamy, musimy ustalić wspólną wersję zdarzeń – powiedział.

– O czym ty, do cholery, znowu mówisz? – zdziwiła się.

– Kaśki facet, Tymon, nie wie, że ona wtedy u mnie nocowała.

Z piskiem opon zatrzymała toyotę na skrzyżowaniu.

– Kurwa, jak ty to sobie niby wyobrażasz!?! – warknęła. – Spędzasz sobie z jakąś laską upojny wieczorek, a kto wie, czy i nie noc, i każesz mi teraz cię kryć przed jej facetem!?

– Mówiłem ci już, że nie spałem z Kaśką! Po prostu jest moją przyjaciółką!

– Jesteś bezczelny, że w ogóle prosisz mnie o coś takiego!

Tym razem z piskiem opon włączyła się do ruchu.

– Powtarzam ci jeszcze raz, że między mną a Kaśką nic się nie

wydarzyło. Spiła się i wziąłem ją do siebie. Ona się bała, że Tymon będzie zazdrosny i powiedziała mu, że nocowała u koleżanki.

– Prawda zawsze wyjdzie na jaw.

– Ale ja nie powiem o tym Tymonowi. Jak Kaśka będzie chciała, sama mu o tym kiedyś powie. Po co mieszać im w życiu bez powodu?

– Dla ciebie to jest bez powodu? – Uśmiechnęła się krzywo.

– Cholera, Paulina! Mówię ci, że jesteśmy tylko przyjaciółmi! – wybuchnęła.

– Nie ma czegoś takiego jak przyjaźń pomiędzy mężczyzną i kobietą – powiedziała.

– Co ty pieprzysz?! Ty nie masz żadnych dobrych kumpli, z którymi chodzisz na piwo, żeby pogadać o dawnych czasach?

– Mam paru.

– I co, ze wszystkimi spałaś?

Zawahała się. Minęli Halę Stulecia, wlokąc się w długim sznurze samochodów.

– Ze wszystkimi nie – odpowiedziała. – Tylko z niektórymi.

Rozłożył ręce.

– Nie potrafię z tobą rozmawiać – rzekł z westchnieniem.

– Nie zachowuj się jak rozkapryszony chłopczyk – odgryzła się.

– Powtarzam jeszcze raz: nie wierzę w przyjaźń mężczyzny i kobiety. Żeby wszystko było jasne – bezinteresowną przyjaźń.

– Co to znaczy bezinteresowną?

Wrzuciła kierunkowskaz i skręciła w lewo w Tramwajową.

– Bezinteresowną, czyli taką, jaka zdarza się pomiędzy osobnikami tej samej płci. Bez podtekstu seksualnego. Między facetem i kobietą jest zupełnie inaczej. Prędzej czy później dochodzi czynnik seksualny. Sympatia zmienia się w jakieś inne uczucie, a pod uśmiechami i zapewnieniami o czystej, dozgonnej przyjaźni ukrywa się zwykła, ludzka chęć na dziki seks.

Marcin westchnął.

– Poddaję się – powiedział. – Nawet jeśli jest, jak mówisz, nie zawsze życie toczy się w taki sposób, że można ze sobą pójść do łóżka. Według ciebie to niemożliwe, przyjaźnić się z kimś i jednocześnie wieść bardziej lub mniej udane życie w związku z kimś innym?

– Typowy męski punkt widzenia! Ja bym nie chciała, żeby mój facet robił maślane miny do przyjaciółki. To tykająca bomba zegarowa. Wystarczy chwila nieuwagi, jakaś zakrapiana impreza, drobne codzienne niepowodzenia i może nagle eksplodować, obracając w gruzy życie wielu niewinnych osób.

– Nie można zapominać o rozumie.

– Kiepski strażnik.

Patrzył na jej profil.

– Ta rozmowa jest dla mnie nowym doświadczeniem – powiedział. – Nie wiedziałem, że jesteś tak rozsądna i racjonalna. Dotąd uważałem, że jesteś szalona.

Wzruszyła ramionami.

– Rozsądek nie wyklucza odrobiny szaleństwa – rzuciła. – Wszystko ma swój czas i miejsce.

Minęli kościół na Sępolnie i Paulina zaczęła rozglądać się za miejscem do zaparkowania.

– Wracając do głównego wątku naszej rozmowy, nie chciałbym właśnie burzyć czyjegoś związku bez powodu – powiedział. – Nie mów Tymonowi.

Ponownie wzruszyła ramionami.

– Może się nie wygadam – odpowiedziała niechętnie.

Zaparkowała na wolnym miejscu przy głównej ulicy i zgasila silnik. Wyglądała, jakby nie zamierzała jeszcze wysiadać, dlatego też siedział na swoim miejscu, obserwując ją z boku. Ze zdziwieniem odkrył, że podoba mu się jeszcze bardziej, kiedy jest zdenerwowana. Nigdy by się po sobie nie spodziewał takich uczuć.

– Ja też zdobyłam kolejne doświadczenie życiowe – odezwała

się.

Nie zrozumiał, ale od razu wyjaśniła.

– Dotąd myślałam, że tylko kobiety są zdolne do romansów z mężami swoich najlepszych koleżanek – powiedziała. – Okazuje się jednak, że faceci wcale nie są lepsi.

– Ty znowu swoje! Nie mam romansu z Kaśką.

– Ale chciałbyś mieć.

Nie wytrzymał.

– Powtarzasz się w kółko, jak katarynka – warknął.

– Czuję się jak tania imitacja. – Spojrzała na niego z jednym z tych swoich kpiących uśmiechów. – Nie udało ci się przespać z Kaśką, więc na pocieszenie poszedłeś do łóżka ze mną – powiedziała.

Marcin westchnął.

– Paulina – odezwał się poważnie. – Wyciągasz zbyt daleko idące wnioski. Zaraz będzie ciemno, a my mamy jeszcze robotę.

Mierzyli się chwilę wzrokiem, wreszcie Paulina szybkim ruchem otworzyła drzwi auta.

– To idziemy – powiedziała.

Tymon mieszkał na parterze nowego bloku. Otworzył im drzwi i uśmiechnął się blado. Miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, był dobrze zbudowany. Byli z Marcinem w tym samym wieku, ale Tymon ciągle miał burzę czarnych włosów na głowie bez śladu siwizny, czego nie można było powiedzieć o Marcinie.

Musiał spodobać się Paulinie, bo Marcinowi wydawało się, że widzi jakiś dziwny błysk w jej oku. Może mu się przywidziało?

W młodości grali razem w zespole juniorskim siatkarzy Gwardii Wrocław. Marcin szybko zakończył przygodę ze sportem przez problemy z kolanem, za to Tymon zrobił wielką karierę i był znanym w całej Europie siatkarzem. Grał w reprezentacji Polski i przez trzy lata w lidze włoskiej. Niedawno wrócił i trenował juniorów w jakimś małym klubie.

Tymon zaprosił ich do środka. Kaśka stała na progu pokoju,

minę miała jakąś niewyraźną. Marcin przedstawił Paulinę.

– Możemy sobie mówić po imieniu? – zaproponowała zaraz Paulina. – Myślę, że tak będzie wygodniej.

Bez problemów przeszli na ty, usiedli w fotelach w pokoju, a Tymon zaproponował kawę. Marcin dopiero teraz uświadomił sobie, że tego dnia nic jeszcze nie jadł i wypił tylko kubek kawy z automatu w budynku komendy.

– Dla mnie dwie, poproszę – powiedział.

– Pamiętam, że jesteś kawoszem. – Tymon uśmiechnął się do niego z aneksu. – Jasne, zrobię więcej.

Po rozmowie w samochodzie Marcin czuł się niezręcznie i był spięty. Unikał wzroku Kaśki, wiedząc, że Paulina uważnie ich obserwuje. Do tego czuł się nie w porządku w stosunku do Tymona. Dałby wiele, żeby ta wizyta już się skończyła.

Spojrzał na Paulinę. Po uśmiešku na jej twarzy wnioskował, że dobrze się bawi.

– Może ja zacznę – odezwała się. – Jesteśmy tutaj w związku z włamaniem do twojego mieszkania. Niestety, wystąpiły pewne okoliczności wskazujące, że mogło nie być to tylko włamanie w celach rabunkowych.

– Co to znaczy? – zapytała cicho Kaśka.

– Możliwe, że celem byłaś ty, jako osoba mieszkająca samotnie – wyjaśniła Paulina wprost.

– Skąd to wiecie? – wtrącił się Tymon i zaraz sam sobie odpowiedział. – Mielście inne takie zdarzenia?

Marcin potwierdził.

– Owszem, ale nie zdradzamy szczegółów. Rozumiesz, dla dobra śledztwa.

– Nie możemy wykluczyć, że cały czas istnieje pewne zagrożenie ze strony sprawcy – dodała Paulina. – Dlatego zdecydowaliśmy się, na razie nieformalnie, na objęcie cię ochroną. Wieczorem powinien pojawić się tutaj mundurowy patrol policji. Będą stali cały czas na parkingu przed blokiem.

Zameldują się u was i poproszą cię, żebyś za każdym razem informowała ich, dokąd się wybierasz. Będą za tobą jeździć aż do odwołania.

Kaśka zbladła jeszcze bardziej, ale cały czas starała się panować nad drżącym głosem.

– Złapiecie go? – zapytała.

– Na pewno – odpowiedział Marcin. – To kwestia najbliższych dni.

Po minie Pauliny wywnioskował, że nie spodobało jej się takie zapewnienie z jego strony.

– Weźmiemy kilka dni wolnego i wyjedziemy gdzieś – zaproponował Tymon.

– Bardzo dobry pomysł – poparła go Paulina.

– Nie chcę nigdzie wyjeżdżać – zaprotestowała Kaśka.

– To zostajemy u mnie. Co o tym sądzicie?

– Możecie tu zostać, tylko nie rozstawaj się z Kaśką nawet na minutę – odezwał się Marcin.

– Dobrze.

Tymon podał kawę i ciastka, ale jedyną osobą zainteresowaną poczęstunkiem był Marcin. Kaśka niechętnie spojrzała na swoją filiżankę i głębiej wcisnęła się w fotel.

– Chcielibyśmy ci zadać kilka pytań. – Paulina znowu wzięła na siebie ciężar przesłuchania.

– Jasne.

– Tej nocy byłaś u koleżanki, prawda?

Kaśka mimowolnie spojrzała na Marcina.

– Tak – powiedziała. – Byłam u koleżanki. Złożyłam już zeznania w sprawie włamania.

– Nie będziemy wracać do włamania. – Paulina pokręciła głową. – Chciałam cię zapytać o inne podejrzone lub nietypowe zdarzenia z ostatnich dni.

– W środę wieczorem, kiedy wracałam od Tymona, ktoś za mną szedł na ulicy Metalowców – powiedziała.

Tymon niespokojnie poruszył się na fotelu.

– Nie mówiłaś mi o tym – odezwał się.

– Nie chciałam cię martwić.

Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale uprzedziła go Paulina.

– Możesz nam o tym opowiedzieć?

– Około dwudziestej trzeciej wysiadłam z dziesiątki na Pilczycach i szłam pieszo do domu na Kołobrzeskiej. To jakiś kilometr. Razem ze mną z tramwaju wysiadł mężczyzna. Wagon był pusty i chyba widziałam go już wcześniej po drodze, ale nie zwróciłam większej uwagi. Zaniepokoiłam się dopiero, kiedy usłyszałam za sobą kroki.

– Szedł za tobą? W jakiej odległości?

– Tak, szedł. Nie wiem, może dwadzieścia metrów z tyłu. Ulica była pusta i trochę się przestraszyłam, dlatego często zerkałam na niego do tyłu. Utrzymywał cały czas tę samą odległość. Kiedy byłam już blisko dworca kolejowego Kuźniki, za przystankiem MPK, przystanęłam i wtedy on też stanął.

– Dlaczego się zatrzymałaś?

– To nie było rozsądne – wtrącił Tymon.

– Prawdę mówiąc... – Kaśka zawahała się na moment. – Myślałam, że to Marcin.

– Marcin? – zdziwił się Tymon.

Paulina uspokoiła go gestem.

– Dlaczego tak pomyślałaś? – zapytała.

– Był do Marcina taki... Był podobny.

– Kaśka, było już ciemno, świeciły tylko uliczne latarnie – odezwał się Marcin. – Na czym polegało podobieństwo?

– Nie widziałam oczywiście jego twarzy, sylwetka przypominała mi ciebie. Poza tym był ubrany dokładnie tak samo jak ty się ubierasz – wyjaśniła.

– To znaczy? – odezwała się Paulina.

– Czarna czapka, czarna skórzana kurtka, džinsy, adidas... Nie widziałam szczegółów, ale moim zdaniem on poruszał się

w dokładnie taki sam sposób jak Marcin.

Paulina zmrużyła oczy. Zakrzewski dobrze wiedział, o czym myśli.

– I co dalej? – rzucił.

– Odezwałam się do niego.

Tymon coraz bardziej nerwowo wiercił się na swoim miejscu. Wyglądał, jakby zaraz miał wybuchnąć.

– Co powiedziałaś? – Paulina uprzedziła pytanie Marcina.

– Nie pamiętam dokładnie. Chyba zawołałam do niego po imieniu. To znaczy: Marcin!

– I co?

– Nie odezwał się. Stał w cieniu, z rękami w kieszeniach kurtki. Wtedy się przestraszyłam i na moment odwróciłam się, żeby ocenić, jak daleko mam do zakrętu i do stacji kolejowej. Jak odwróciłam głowę z powrotem, już go nie było. Wtedy zaczęłam uciekać i biegiem wróciłam do domu.

– Jak to? Zniknął? – Paulina nie zrozumiała.

– W tym miejscu po jednej stronie chodnika są gęste krzaki – wyjaśniła Kaśka. – Pewnie tam się schował.

Paulina pokiwała głową.

– Zadam jeszcze jedno pytanie – odezwała się – tylko zanim odpowiesz, dobrze się zastanów.

Kaśka znowu mimowolnie spojrzała na Marcina. Nadal nie patrzył jej w oczy.

– Pamiętasz, czy w ostatnich dwóch tygodniach ktoś nieznajomy zaczepiał cię na ulicy, zagadywał, prosił o coś? – zapytała Paulina. – Czy ktoś próbował nawiązać z tobą kontakt?

Kaśka zastanowiła się.

– Chyba nie... – zaczęła i zaraz zmieniła zdanie. – Zaczepił mnie mężczyzna na ulicy. Prawie o tym zapomniałam.

– Kiedy to było?

– W zeszłym tygodniu. Tymon, kiedy umawialiśmy się w Rynku na kolację?

- W środę, nie w tym, tylko w poprzednim tygodniu – odpowiedział i po chwili dodał: – Na pewno.
- Opowiedz nam o tym – poprosił Marcin.
- Zaparkowałam daleko od Rynku, bo wiecie, że im bliżej, tym trudniej znaleźć miejsce.
- Gdzie dokładnie? – wtrąciła Paulina.
- Koło biurowca Cuprum, na placu Jana Pawła II.
- Dobrze, co dalej?
- Padał drobny deszcz, a ja byłam bez parasola. Przeszłam pod przejściem podziemnym i wchodziłam akurat na ulicę, kiedy pojawił się ten facet.
- Szedł za tobą? – zainteresował się Marcin.
- Byłam spóźniona, spieszyłam się, nie zwróciłam uwagi... ale mógł za mną iść. Rozłożył nade mną parasol i powiedział, że szkoda, żeby taka ładna dziewczyna mokła, czy coś podobnego. Stanowczo podziękowałam, ale był nieugięty. Do tego sprawiał miłe wrażenie i w końcu poszliśmy pod jednym parasolem przez całą ulicę Mikołaja do świateł na skrzyżowaniu.
- Rozmawialiście?
- Głównie o pogodzie. On cały czas prawił mi komplementy, że ładnie wyglądam i takie inne...
- Co się stało na światłach? – dopytywała się Paulina.
- Po prostu poszedł w lewo w kierunku Arsenалу, tylko wcześniej... – Kaśka znowu się zawahała. Powiedział coś w stylu: „a parasol idzie w tę stronę”. Tylko miał przy tym taką dziwną minę. Nie wiem, jak to wytłumaczyć, dość, że mnie zaniepokoił i byłam na siebie zła, że nie pogoniłam go od razu. Potem spotkałam się z Tymonem i zapomniałam o tym.
- Jak był ubrany? – Paulina zerknęła na Marcina z ukosa.
- Nie pamiętam, ale był o głowę ode mnie wyższy. Myślicie, że to ten sam, co na Metalowców?
- Możliwe – przyznała Paulina i zapytała zaskakująco: – Był podobny do Marcina?

– Z twarzy nie.

– Czy jeśli przyjedzie tu nasz specjalista od sporządzania portretów pamięciowych, będziesz w stanie opisać jego rysy?

– Nie! – zaprotestowała Kaśka. – Nie mam kompletnie pamięci do twarzy. Odpada.

Marcin przeprosił ich i wyszedł do korytarzyka zatelefonować do Sroki. Wymienili kilka zdań, po czym rozłączył się i zawołał Paulinę. Rozmawiali ściszymi głosami, żeby nie było ich słychać w pokoju.

– W dniu morderstwa na Marszowicach, od domu do domu chodził mężczyzna, który podawał się za akwizytora telewizji kablowej – powiedział Marcin. – Sroka mówi, że sprawdzili i żadna firma nie przyznaje się, że kogoś tego dnia tam wysyłała.

– Mógł działać na własną rękę.

– Z kablówką to nie jest takie proste. Muszą być możliwości techniczne. W firmie, która dostarcza tam sygnał, nikt nie kojarzy takiego faceta.

– Myślisz, że robił rozpoznanie terenu?

– Właśnie. Na pewno był w domu Janusów. Może Maria Janus napomknęła mu niechcący, że jej mąż jedzie wieczorem na brydża?

Paulina spojrzała mu w oczy. Stali bardzo blisko siebie. Prawie czuł jej oddech na policzku.

– Co robimy?

– Chyba kończymy – odpowiedział. – Powiem Sroce, żeby przysłał tu kogoś z portretem. Jeśli Kaśka go rozpozna, będziemy mieli pierwszy poważny trop.

Skinęła głową.

Wrócili do pokoju. Musieli przerwać gospodarzom poważniejszą rozmowę, bo Kaśka siedziała z ponurą miną, nie patrząc na nich, a Tymon stał do niej bokiem, spoglądając w okno. Paulina wspomniała o portrecie pamięciowym i podziękowała za poświęcony im czas. Na odchodne podała

Kaśce rękę.

– Miło cię było poznać – powiedziała. – Marcin opowiadał mi o tobie w samych superlatywach i widzę, że nie koloryzował.

– Dziękuję – odpowiedziała Kaśka, chyba nie bardzo wiedząc, jak zareagować na to nieoczekiwane stwierdzenie.

Potem Paulina uścisnęła dłoń Tymona. Marcin widział, że przytrzymała ją trochę dłużej, niż wymagała grzeczność, patrząc mu beczelnie w oczy.

W drzwiach zatrzymał się jeszcze na moment i odwrócił do kumpla.

– Pilnuj jej – powiedział.

– Nie martw się, ze mną będzie bezpieczna – odrzekł Tymon.

Marcin poszedł za Pauliną i dogonił ją dopiero przy aucie. Kiedy wsiedli do środka, zapięła pasy i spojrzała na niego z drwiącym uśmiechem.

– No co? – zapytała. – Chciałam tylko sprawdzić, jak podrywa się faceta w obecności jego dziewczyny.

– Nie uwierzę, że nigdy nie próbowałaś – odgryzł się Marcin.

– Sprawdziałam raczej, czy jeszcze nie wyszłam z wprawy.

– Jesteś królową złości.

Roześmiała się dźwięcznie.

XXI

Jechali w milczeniu. Było już ciemno i zapalały się uliczne latarnie i neony, chociaż dochodziła dopiero osiemnasta. Na Strzegomskiej przed Nowym Dworem Marcin zapytał:

- Odwieszysz mnie do domu?
- Nie – odpowiedziała bez chwili wahania.
- Dokąd w takim razie jedziemy?
- Do mnie.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Mogę przenocować u rodziców albo w hotelu – powiedział.

Nie odpowiedziała od razu. Przejechali przez światła na skrzyżowaniu Strzegomskiej z Gubińską i zatrzymali się w korku na czerwonym przed krzyżówką. Ludzie jechali do znajdującego się przy Granicznej centrum Futura Park na wieczorne niedzielne zakupy.

Paulina popatrzyła na niego poważnie.

– Od rozvodu dwa razy wydawało mi się, że spotkałam fajnego faceta i zaraz fascynacja kończyła się wielką katastrofą – zaczęła. – Za każdym razem cierpiałam jak jakaś głupia nastolatka. Po ostatnim razie powiedziałam sobie, że nigdy więcej. Nagle zjawiliś się ty, a ja bez żadnej refleksji wpuściłam cię do swojego życia. Teraz nie mam zamiaru tak łatwo kapitulować i znowu cierpieć. Może potrzeba więcej czasu? Jeśli po dzisiejszym dniu twoja wczorajsza propozycja jest jeszcze aktualna, chciałabym spróbować.

Sięgnął po jej dłoń.

- Paulina...

– Nic nie mów.

Pocałowała go. Przerwał im klakson samochodu stojącego z tyłu. Sznur samochodów przed nimi dawno ruszył, a nad ulicą świeciło zielone.

– Dobrze, dobrze, co taki nerwowy? – burknęła Paulina, patrząc we wsteczne lusterko, i ruszyła z piskiem opon.

– Zajedziemy do mnie – powiedział Marcin. – Muszę spakować coś do ubrania i zabrać laptopa.

– W porządku.

– Ale najpierw podjedźmy do Futury, muszę kupić sobie bieliznę. Nie wiem, czy ten psychol nie używał mojej.

Bez słowa wrzuciła kierunkowskaz i skręcili na parking.

Paulina nie miała ochoty chodzić po sklepach. Umówili się, że posiedzi w kawiarni przy wejściu i poczeka. Zakupy zajęły Marciniowi tylko kwadrans, w pierwszym sklepie na lewo kupił bieliznę i kilka par skarpetek. Paulina nie zdążyła nawet wypić kawy.

W mieszkaniu Marcina technicy nie skończyli jeszcze pracy. Siedzieli akurat przy kuchennym stole, jedząc pizzę z osiedlowej pizzerii.

– Niedługo kończymy – powiedział Robert Rajcza na ich widok.

– Jakież ślady? – zapytał Marcin.

– Całe mnóstwo – odpowiedział od razu Jacek Adamski. – Facet czuł się jak u siebie. Nawet nie próbował niczego zacierać.

– Dziwne, nie uważacie? – odezwała się Paulina.

– Nie spotkaliśmy jeszcze takiego świra.

– Będziesz tu dzisiaj nocował? – zainteresował się Rajcza.

– Raczej nie – odpowiedział ostrożnie Marcin. – Chciałem wziąć tylko kilka rzeczy do ubrania.

– Możesz brać, co chcesz, tam już byliśmy. Niestety, do laboratorium musimy zabrać mnóstwo twoich rzeczy. Spróbujemy oddać w nienaruszonym stanie.

Marcin wzruszył ramionami.

– I tak połowę wyrzucę.

Poszedł się spakować do tej samej torby, z którą przyjechał rano. Paulina rozmawiała z technikami w kuchni.

– Miałeś jakieś cenne przedmioty? – zapytała, kiedy do nich wrócił. – Pieniądze, złoto?

– Nie znaleźliśmy niczego takiego. – Adamski pokręcił głową.

– Nic nie miałem – odrzekł Marcin. – Najwyżej jakieś drobne na półce obok książek.

– Cały czas tam leżą.

– A gdzie jest segregator z kopiami akt dotyczących zaginięć chłopców? – zaniepokoiła się Paulina.

– Mam je w bagażniku auta.

– Całe szczęście.

Zdjęła z lodówki fotografię, którą wcześniej oglądała Kaśka.

– To twój brat? – zapytała.

Marcin znieruchomiał, zupełnie jak wtedy, kilka dni temu.

– Tak.

– Który z was to ty?

– Ten z lewej.

– O rany! Wyglądacie identycznie!

Marcin nie podjął tematu. Za to Rajcza przełknął ostatni kawałek pizzy i podał mu album ze zdjęciami.

– Sprawdź, czy wszystko jest – powiedział.

Marcin zaskoczony wziął album do rąk i przejrzał szybko. Brakowało kilku fotografii z jego i Ryśka dzieciństwa.

– Cholera! – wykrzyknął. – Powyciągał mi zdjęcia!

– Tak myślałem. – Robert pokiwał głową.

– O co chodzi? – zainteresowała się Paulina.

Marcin bez słowa pokazał jej album.

– Wziął sobie na pamiątkę? – zapytała. – Może nie ma fotografii z dzieciństwa.

– Paulina, proszę cię, wstrzymaj się z takimi insynuacjami. Kaśka nie potwierdziła, że jest do mnie podobny. Portret

pamięciowy z Marszowic też wcale mnie nie przypomina.

– To się jeszcze okaże.

– Facet specjalnie ubiera się tak samo jak ja i stąd zamieszanie.

– Możliwe.

Marcin nie miał ochoty na kolejną sprzeczkę. Rajcza obiecał, że kiedy skończą, zamkną mieszkanie zapasowymi kluczami i zaplombują.

Niedługo później byli już na Buczackiej. W milczeniu weszli na drugie piętro, Paulina otworzyła drzwi, z widoczną ulgą zdjęła buty i pobiegła do kuchni nastawić wodę na herbatę.

– Umieram z głodu – powiedziała.

Marcin rozbierał się wolno w przedpokoju. Po wrażeniach całego dnia czuł się zmęczony i ociężały. Też był strasznie głodny. Wszedł do pokoju i rzucił swoje torby w nogach łóżka.

– Co powiesz na szybkie spaghetti? Mam pesto ze słoika.

– Dzisiaj nie jadłem nic prócz ciastka u Tymona, więc zjem wszystko, byle było ciepłe – odpowiedział.

– Zrób herbatę i otwórz jakieś wino. Wiesz, gdzie jest barek.

Spaghetti smakowało wybornie. Jedli, siedząc na barowych stołkach przy kuchennym blacie, tak jak poprzedniego dnia. Potem Paulina włożyła naczynia do zmywarki i usiadła, opierając brodę na nadgarstkach. Patrzyła na niego zmęczonym wzrokiem.

Marcin odpiął szelki, na których miał umocowaną kaburę. Zdecydowanym ruchem odrzucił broń na łóżko i nagle spojrzał poważnie na Paulinę.

– Dlaczego nie nosisz broni? – zapytał. – W tej sytuacji wolałbym, żebyś miała pistolet pod ręką.

Pokiwała niechętnie głową, sięgnęła do jednej z kuchennych szuflad i wyciągnęła z niej walthera p99.

– Bieliznę też trzymasz w kuchni? – zakpił.

– Czasem – odpowiedziała z niewinnym uśmiechem.

Wziął broń do ręki, wyciągnął magazynek.

- Jest pusty – zauważył zdziwiony.
- Nie miałam czasu załadować po ostatnim strzelaniu.
- Złamałaś wszystkie wewnętrzne procedury.
- Kurcze, dogadał mi ten, który trzyma się procedur jak Mojżesz dziesięciu przykazań!

Sięgnęła do tej samej szuflady i wyciągnęła paczkę naboii. Marcin bez słowa otworzył ją i włożył pierwszy pocisk do magazynka. Paulina nie pozwoliła mu skończyć. Stanowczym ruchem zabrała mu pistolet i razem z otwartą paczką z naboiami wrzuciła do tej samej szuflady, nie zważając na jego protesty.

- Błagam cię, Marcin, nie teraz.
 - No dobrze – ustąpił niechętnie.
 - Nie lubię takich dni – powiedziała.
 - Do dupy – przyznał Marcin.
 - Może spróbujemy uratować chociaż wieczór?
 - Co masz na myśli?
 - Marzę o gorącej kąpieli.
 - Z butelką whisky?
 - Nie mam doła. Myślałam raczej o nas. W wannie.
- Puścił do niej oko.
- I oczywiście lampka wina.
- Odwzajemniła uśmiech.
- Jasne.

Musnęli się wargami ponad blatem. Marcin zdał sobie sprawę, że jej beczelnie lubieżny uśmiech doprowadza go do szaleństwa.

- Pójdę nalać wody.
- Chwycił ją za rękę.
- Najpierw obowiązki – powiedział.
 - O co ci chodzi?
 - Poczekaj.

Z torby wygrzebał resztę zeszytów Ryśka i pokazał jej inne rysunki. Przeglądała je z dziwnym wyrazem twarzy.

- Tylko się znowu nie złość – poprosił.

– Nie jestem zła. – Pokręciła głową. – Nie mam już do ciebie siły. Dlaczego tego dzisiaj nikomu nie pokazałeś?

– Na zebraniu u Godleckiego? – odpowiedział pytaniem. – Co by to niby dało? Myślisz, że szum, jaki naczelnik zrobi jutro w komendzie, przyniesie nam coś dobrego? Po prostu chroni swoją dupę, żeby za mocno nie oberwać, jak sprawa wycieknie do mediów. A nam to przecież zabierze kupę czasu.

– Może masz rację – powiedziała z wahaniem.

– Widziałaś minę Stefana Sroki? – ciągnął. – On szczególnie uwielbia takie narady u naczelnika, które niczego nowego nie wnoszą.

– Marek Grabski... – zaczęła, ale jej przerwał.

– Marek jest prokuratorem, prowadzi śledztwo. Musiał w tym uczestniczyć.

Popatrzyła na niego, potem na rozłożone na całym blacie zeszyty z rysunkami Ryśka.

– Masz rację, nie ma sensu na razie tego pokazywać – powiedziała. – Tylko...

– Tak?

– O co tu chodzi?

Wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Może ty na coś wpadniesz.

Dokładnie obejrzała rysunek po rysunku.

– Czy to jest szkic tego sadu przy starym kościele w Szczepanowie? – zapytała.

– Tak. Dziewięć grusz w trzech rzędach. Byłem tam w piątek wieczorem... – zająknął się, jednak nie zdecydował się opowiedzieć o swoich przywidzeniach. – Nawet rozmawiałem z proboszczem. Nie wiem, dlaczego Rysiek podpisał sad jako „martwy”, nie wiem, co to za plusy przy drzewach. Nic nie wiem.

Nie patrzyła już na rysunki, tylko na niego.

– Rysiek miał wtedy dwanaście lat? – zapytała.

– Tak.

- Był dzieckiem. Rysunki mogą być zwykłą dziecięcą fantazją.
 - W takim razie, dlaczego po tylu latach stają się tak realne?
 - Nie wiem.
 - Uważasz, że Rysiek żyje? Że to on morduje?
- Nie odpowiedziała od razu.
- Takie rozwiązanie jest chyba najbardziej prawdopodobne.
- Stawia jednak przed nami kolejne trudne pytania.
- Na przykład kto kiedyś porwał chłopców?
 - Właśnie. I kto robi to dalej, tylko w innej formie?
- Marcin przetarł ręką twarz.
- Jestem zmęczony i coraz trudniej mi się myśli – mruknął. – Wierzysz, że bliźniacze rodzeństwo ma ze sobą wyjątkowy, metafizyczny kontakt?
 - Nie miałam siostry bliźniaczki, ale chyba wierzę – przyznała.
- Opowiedział jej sen o sadzie, gruszkach i Ryśku.
- Bardzo często mnie nawiedza, w różnych wariacjach – tłumaczył. – I wiesz co?
 - Co?
 - Podświadomie wiem, że Rysiek nie żyje. Wiedziałem od tamtego dnia. Nie pytaj mnie, jak i dlaczego. Wydaje mi się, że już pierwszej nocy po jego zniknięciu miałem ten sen. Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej jestem przekonany, że we śnie Rysiek jest martwy. Nie widziałaś jego oczu...
- Ścisnęła jego dłoń.
- Musiałeś bardzo przeżyć jego porwanie – powiedziała.
 - Nie pamiętam. – Uśmiechnął się smutno.
 - Nigdy nikomu nie mówiłeś, że miałeś brata. Nie pamiętam też, żeby ktoś o nim mówił.
 - Kaśka twierdzi, że trauma spowodowała rodzaj świadomego wyparcia. Wymazałem większość wspomnień o nim.
 - Może ma rację?
 - Paulina... – zawiesił tajemniczo głos.
 - Tak?

– Skończyło się wino.

Wybuchła śmiechem.

– To otwórz następne, a ja naleję wody do wanny.

Łazienka rozświetlona była tylko przez kilka świec stojących na podłodze, umywalce, półkach i na brzegu wanny wypełnionej wodą z kożuchem białej gęstej piany sięgającej prawie po sam rant. Najpierw siedzieli naprzeciw siebie, sącząc w milczeniu wino i ciesząc się chwilą, potem Paulina z tym swoim lubieżnym uśmiechem, który tak podobał się Marcinowi, usiadła przed nim i oparła się plecami o jego piersi.

– Opowiedz mi coś o sobie – poprosiła.

– Co chcesz wiedzieć?

– Wszystko.

– Nie za dużo chcesz o mnie wiedzieć jak na jeden dzień? – zacytował jej słowa sprzed paru dni.

– Nie – odpowiedziała tak samo jak on wtedy.

– No dobrze. Ciemny blondyn, proste włosy z siwymi pasmami, oczy niebieskie, znaków szczególnych brak, wzrost sto osiemdziesiąt pięć centymetrów, lat czterdzieści dwa, czyli o jakieś dziesięć lat więcej niżbym chciał...

Przerwała mu śmiechem i lekkim kuksańcem w brzuch.

– Tyle sama widzę, powiedz mi coś, czego nie wiem.

Zastanowił się.

– W takim razie zdradzę ci pewną tajemnicę. Nikt jej nie zna, prócz mojej mamy.

– Brzmi intrygująco.

– Kiedyś chciałem zostać aktorem i zdawałem egzaminy do szkoły teatralnej.

Spojrzała na niego do tyłu.

– I co?

– Jestem gliniarzem, sama się domyśl! Oprócz tego chciałem zostać zawodowym siatkarzem, ale wysiadły mi kolana, na studiach myślałem, że będę nauczycielem, a wylądowałem na

Podwału. Z tamtych czasów została mi miłość do filmów. Szczególnie lubię kryminały z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Moimi absolutnymi idolami są Al Pacino, Humphrey Bogart i oczywiście Clint Eastwood.

– Dlaczego nie masz żony?

– Już ci mówiłem, żadna kandydatka nie wytrzymała.

– Nie wierzę. – Pokręciła głową.

– No dobrze, próbowałem z paroma kobietami, jednak niewiele z tego wychodziło – przyznał z oporami. – Teraz wydaje mi się, że byłem trochę pogubiony w życiu. Może nadal jestem? Poza tym jako kryminalny nie ułatwiam sprawy sobie ani potencjalnej partnerce. Sama wiesz, jak nasza robota wygląda: telefony w nocy, późne powroty, nocne szlajanie się po podejrzanych melinach i lokalach o marnej reputacji. Potem leczenie stresu butelką wódki z kolegami z wydziału. Pokaż mi normalną kobietę, która wytrzyma taką jazdę.

– Ja? – zapytała prawie nieśmiało.

Roześmiał się i musnął wargami jej ucho.

– Nie wiem, czy zaliczasz się do tej normalnej sfery – mruknął, narażając się na kolejnego, tym razem o wiele bardziej bolesnego kuksańca.

– Raz zdarzyło mi się być w stałym związku całe dwa lata – ciągnął. – Nie zgadniesz z kim.

– Z kim? – zapytała zaciekawiona.

– Z panią redaktor Justyną Kordas.

Aż otworzyła usta ze zdziwienia.

– Tą czarnulką ze studiów, do której wzdychała połowa chłopaków z roku? Wielki szacun, zdobyłeś Mount Everest!

– Tą samą. – Pokiwał głową, uśmiechając się do wspomnień. – Akurat zaczęła pracę w „Gazecie Wyborczej”; na początku pisała teksty kryminalne. Tak się ponownie spotkaliśmy i potem jakoś poszło. Sam nie wiem, kiedy zaczęliśmy rozmawiać o wspólnej przyszłości.

- No i co?
 - Nawet nie było źle, dogadywaliśmy się, tylko ona...
 - Chciała robić karierę? – wpadła mu w słowo Paulina.
 - Skąd wiesz? – zdziwił się.
 - Ona zawsze chciała zrobić karierę.
 - Dostała pracę w TVN24, postanowiła się przenieść do Warszawy. Ja nie chciałem wyjeżdżać z Wrocławia. Do dzisiaj zresztą tam pracuje, często widuję ją w telewizji, ma własny program na babskie tematy, ale kontaktów nie utrzymujemy – zakończył.
 - Też widziałam ją parokrotnie – powiedziała.
 - Coś ci jeszcze zdradzę. Była kiepska w łóżku. Gwizdnęła przez zęby.
 - Sprawiała zupełnie inne wrażenie.
 - Czasem pozory mylą.
 - Na pocieszenie teraz ja coś ci powiem.
 - Słucham?
 - To nie była laska dla ciebie. Ty jesteś normalnym facetem, a ona zawsze szukała księcia z bajki.
 - Dziękuję za takie pocieszenie. – Uśmiechnął się krzywo. – A jaka laska byłaby dla mnie najlepsza?
- Poderwała się tak gwałtownie, że wzburzona woda w wannie zgasiła jedną ze stojących najbliżej świec. Klęknięła, oparła mu dłonie na ramionach, przyciskając go do brzegu wanny i patrząc mu w oczy, pocałowała go namiętnie.
- Sam się domyśl – powiedziała z jednym z kpiących uśmiezków ze swojej bogatej kolekcji.
- Potem kochali się na łóżku tuż obok kuchni, swobodni w odkrywaniu i zaspokajaniu swoich pragnień.
- Wreszcie Paulina oswobodziła się z jego uścisku i usiadła na brzegu łóżka, poprawiając kosmyk jak zwykle spadający na czoło.
- Zostało jeszcze trochę wina? – zapytał Marcin.

Spojrzała na niego. W oczach miała te specyficzne, dziwne iskierki.

– Mam coś lepszego – rzuciła, wstała i pobiegła po schodach na górę.

Nie minęła minuta i była z powrotem. Zbliżyła się do niego z tajemniczym uśmiechem, w ręce trzymając ciemnozielony pasek od żakietu i paczkę cameli. Wskoczyła na łóżko, usiadła mu na brzuchu i unieruchomiła, ściskając nadspodziewanie mocno udami. Aż jęknął.

– Co ty robisz? Chcesz mnie udusić? – wysapał.

– Nie chcę, żebyś mi uciekł – odpowiedziała. – Daj prawą dłoń.

– Po co?

– Zaraz zobaczysz.

Ciemnozielony pasek zawiązała sobie w supeł na lewym nadgarstku, w sposób uniemożliwiający jego ściągnięcie bez rozwiązania węzła. Potem ujęła jego prawą rękę i zaczęła też wiązać ją paskiem. Jedną dłonią nie dawała sobie rady.

– Pomóż mi – rozkazała.

Nie protestował i wspólnymi siłami zawiązali taki sam supeł na jego nadgarstku. Teraz byli ze sobą związani. Paulina nachyliła się i mocno go pocałowała.

– Po co ten pasek? – zapytał z uśmiechem.

Odwzajemniła uśmiech.

– Żebyś mi nie uciekł – wyjaśniła.

– Nie mam zamiaru.

– Teraz tak mówisz. Ja wolę mieć pewność. I jeszcze...

– Tak?

– Chciałabym, żeby ta chwila się nigdy nie skończyła.

Pokręcił głową.

– Niestety, niemożliwe.

– Nie psuj wszystkiego swoim brakiem wyobraźni, dobrze? – zganiała go. – Ja mam na to sposób.

Z paczki po camelach wyciągnęła skręta i zapalniczkę.

– Zapalimy. Na wstrzymanie czasu – powiedziała.

– Mówiłem, że jesteś szalona!

– Masz jeszcze jakieś uwagi na mój temat?

Marcin wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Uwielbiam cię taką – Przyciągnął ją do siebie związanym nadgarstkiem.

Straciła równowagę i oparła się na jego piersiach. Skorzystał z okazji i pocałował ją w ucho. Poderwała się, śmiejąc jak nastolatka.

– Przy tobie czuję się, jakbym znowu był na studiach.

– Ciekawe, co ty na tych studiach naprawdę robiłeś – mruknęła.

– Uczyłem się.

– Na pewno!

Zapaliła skręta i zaciągnęła się głęboko.

– Co na to twoi koledzy z wydziału narkotyków? – zapytał drwiąco.

Położyła się obok niego na plecach.

– A jak myślisz, skąd mam marychę? – rzuciła. – Ktoś gdzieś znalazł, pomylił ilość w protokole i komuś nie chciało się poprawiać papierów.

– Nie chcę o tym słyszeć.

Podawała mu skręta. Marcin zaciągnął się i wolno wypuścił dym ustami.

– Nie paliłem od studiów – przyznał.

– Możesz się już zamknąć? – powiedziała. – Poczuj, jak czas zwalnia i zatrzymuje się w miejscu.

Palili w milczeniu, aż w końcu niedopałek wylądował w pudełku po papierosach i na podłodze. Marcinowi wydawało się, że nie czuje nawet lekkiego szumu pod czaszką, za to Paulina odleciała. Miała wypieki na twarzy i patrzyła w sufit z takim wyrazem twarzy, jakby oglądała na własne oczy odłamki komety Shoemaker–Levy 9 uderzające w powierzchnię Jowisza.

– Słyszysz? – zapytała nagle, zaciskając dłoń na jego rękę.

– Co?

– Czas się zatrzymuje...

Marcin wytężył słuch. Rzeczywiście skądś z oddali dobiegał monotonny odgłos wydawany przez wahadło starego ściennego zegara. Tyle że dźwięki dolatywały zniekształcone, jakby ktoś odtwarzał film na zwolnionych obrotach.

– Słyszę – odpowiedział.

– Marcin?

– Tak?

– Tracimy czas.

– Nie rozumiem.

Odwróciła się do niego i wtuliła mu twarz w ramię. Grzywka opadła jej na oczy.

– Zamiast korzystać z życia, ludzie ciągle się oszukują – szepnęła. – Grają fałszywe role, udają kogoś innego, robią miny, fochy, zachowują się idiotycznie...

– Tak działa świat.

– Ale przecież to bez sensu! Żyjmy pełnią życia, zamiast rozmieniać się na drobne. Życie jest kruche, wystarczy głupi splot wypadków i może nas nie być. Po co tracić najlepszy czas? Lepiej się kochać i używać życia.

Odwrócił się do niej. Leżeli teraz twarzą w twarz, patrząc sobie w oczy.

– Myślisz, że straciliśmy dużo czasu? – zapytał.

– Pół życia na kłótnie.

– Masz rację.

– Marcin?

– Tak?

– Boję się.

– Czego?

– Jutrzejszego dnia. Tego, co mnie czeka, o czym nie wiem. Może to nasze pierwsze i ostatnie chwile razem? Może za dzień,

dwa, tydzień, miesiąc któregoś z nas już nie będzie?

– Paulina...

– Kurwa, dlaczego nie spróbowaliśmy wcześniej? Przytul mnie, dobrze?

Objął ją ramionami i kiedy wydawało mu się, że już śpi, nagle podniosła głowę i powiedziała:

– Muszę do łazienki.

Usiadła na łóżku i pociągnęła go za sobą. Ledwo za nią nadążył z wyciągniętą przed siebie prawą ręką. Szła przez pokój chwiejnym krokiem i nie trafiła w drzwi do łazienki. Na szczęście w ostatniej chwili ją złapał i zaniósł na rękach. Potem odniósł śpiącą z powrotem na łóżko. Zamruczała jak kotka i zwinęła się w kłębek, śpiąc w najlepsze. Marcin siedział obok, próbując wyswobodzić rękę z paska, ale węzeł był mocno zaciśnięty. Szarpał się przez chwilę, nawet zerknął w kierunku kuchni, czy dosięgnie noża na kuchennym blacie, ale był za daleko. Nie chciał budzić Pauliny. Wreszcie zrezygnowany położył się obok niej, objął ją ramionami, przykrył siebie i ją kołdrą i zasnął.

Była dwudziesta trzecia czterdzieści pięć. Mimo ich zaklęć czas nie stanął w miejscu ani nawet nie zwolnił.

Strach obudził go około drugiej nad ranem. Nie wiedział, czego się przestraszył. W mieszkaniu było ciemno i panowała cisza, zmacona jedynie cichym oddechem śpiącej w jego ramionach Pauliny. Przygarnął ją mocniej i przykrył szczelniej kołdrą. Strach powoli mijał, serce się uspokajało, oddech wracał do normy. Mimo to długo jeszcze nie mógł zasnąć.

XXII

W poniedziałek, 2 października obudzili się równocześnie kwadrans po siódmej.

Marcin szybko nastawił kawę w ekspresie i poszedł do łazienki wziąć prysznic. Kiedy wrócił, Paulina siedziała owinięta kołdrą na łóżku, przecierała zaspane oczy i bezskutecznie poprawiała włosy, sterczące jej we wszystkie strony. Musiała mieć straszliwego kaca. Ledwo powłócząc nogami, poszła do łazienki i długo z niej nie wychodziła.

Do komendy wojewódzkiej pojechali jej toyotą. Marcin prowadził, ona siedziała w ponurym milczeniu na fotelu pasażera i ścisnęła pięściami skronie, żeby wewnętrzne ciśnienie nie rozsadziło jej czaszki. Marcin, patrząc na nią, współczuł jej z całego serca. Mieszanie wina ze skrętem nie wyszło jej na zdrowie.

Zanim dojechali na miejsce, tabletki przeciwbólowe zaczęły działać i Paulina z wolna dochodziła do siebie. Pierwsze kroki w holu skierowała do automatu z kawą i dopiero później poszła do swojego biura.

Wbrew temu, czego Marcin się spodziewał, postawienie na nogi wszystkich kryminalnych oraz jednostek w terenie przyniosło nadspodziewanie dobre rezultaty. Po krótkiej porannej odprawie, którą poprowadził Sroka w asyście Pauliny, policjanci rozjechali się w teren. Marcin miał nadzieję, że uda mu się pojechać jeszcze raz do Szczepanowa, żeby zacząć wreszcie realizować plan ustalony z Pauliną, jednak szybko okazało się to nierealne. Pochłonęły go inne sprawy.

Jeszcze przed południem dostał kartkę z numerem telefonu emerytowanego kapitana milicji obywatelskiej, Stanisława Malinowskiego, który w 1969 roku pracował w komendzie gminnej w Środzie Śląskiej i prowadził sprawę zniknięcia Franciszka Kuriaty. To on jako pierwszy skojarzył porwania chłopców, za co został karnie przeniesiony w okolice Białegostoku. Mieszkał tam do dzisiaj, w wiosce położonej kilkanaście kilometrów od granicy z Białorusią. Marcin od razu do niego zatelefonował. Malinowski doskonale pamiętał sprawę. Ze szczegółami opowiedział o całym zdarzeniu oraz wyjaśnił, w jaki sposób powiązał wcześniejsze porwania w jedną całość. Nie rzucało to jednak nowego światła na sprawę zaginięć, więc Marcin zapytał wprost o kulisy jego nagłego przeniesienia. Malinowski najpierw nie chciał rozmawiać na ten temat, w końcu jednak przyznał, że jego żona wdała się w romans z jednym z wyższych oficerów w komendzie we Wrocławiu, a on, jako osoba niepożądana, został wysłany na drugi koniec Polski. Później się rozwiódł i ożenił ponownie i, jak teraz twierdził, było to najlepsze, co mogło go w życiu spotkać. Tak skończyła się rozmowa.

Tymczasem wydział poniósł kolejną porażkę. Na policję zgłosił się niejaki Robert Darzewski, pracownik telewizji kablowej Vectra, i zeznał, że dzień przed morderstwem na Marszowicach chodził po domach na tamtej ulicy i oferował usługi firmy, w której pracował. Na sobotę miał niepodważalne alibi. To jego portretem pamięciowym dysponowała policja i już rozesłała go po całym województwie. Wiele energii trzeba było poświęcić na odkręcenie pomyłki. Z tego powodu do Katarzyny Morawskiej pojechał nie policjant z gotowym portretem, tylko grafik, który miał podjąć próbę sporządzenia nowego portretu, mimo że sama zainteresowana wątpiła, czy cokolwiek pamięta.

Marcin zorganizował sobie stanowisko pracy w salce konferencyjnej. Przez cały ranek tylko dwa razy widział Paulinę,

podczas odprawy i później przez chwilę u Marka Grabskiego. Nie było akurat nikogo, więc objął ją ramieniem, pocałował w policzek i zapytał:

– Jak się czujesz?

Uśmiechnęła się blado.

– Już trochę lepiej – odpowiedziała, po czym strząsnęła jego rękę. – Daj spokój, jeszcze ktoś zauważy.

Potem znowu gdzieś zniknęła.

Kwadrans przed dwunastą rozdzwoniła się komórka Marcina. Uśmiechnął się lekko, widząc numer.

– Cześć, mammo! – przywitał się.

– Cześć, niepokoiłam się, że nie przyjechałeś – powiedziała.

– Nie rozumiem...

– Przecież miałeś przyjechać wczoraj na obiad. Zrobiłam twoją ulubioną potrawkę z kurczaka.

Marcin zamknął oczy i gorączkowo starał się przypomnieć sobie, kiedy umawiał się z mamą na niedzielny obiad. Nic nie przychodziło mu do głowy.

– Eee... mammo – zaczął ostrożnie – a przypomnij mi, kiedy się umawialiśmy?

Zofia Zakrzewska знаła swojego syna doskonale i już zdążyła przyzwyczać się do takich sytuacji. Nawet nie miała do niego żalu.

– Jak to kiedy? – Zaśmiała się. – Telefonowałeś do mnie w sobotę.

Marcin w ułamku sekundy poczuł dreszcz niepokoju.

– W sobotę? – Starał się nie zmieniać barwy ani tonu głosu. – O której?

– Nie pamiętam dokładnie. Około siedemnastej, osiemnastej? Raczej bliżej osiemnastej.

– A... co mówiłem? – zapytał ostrożnie.

– Marcin, chory jesteś? – zaniepokoiła się pani Zakrzewska.

– Nie, nie – odpowiedział zaraz i skłamał. – Miałem bardzo

ciężki weekend, praktycznie na okrągło w pracy i szczerze, nie pamiętam dokładnie naszej rozmowy.

– Mówiłeś, że siedzisz w domu i się nudzisz – zdziwiła się.

– Zaraz po tamtym telefonie ściągnęli mnie na komendę – plątał się.

– A katar ci już przeszedł?

– Katar?

– Miałeś zachrypnięty głos, mówiłeś, że się przeziębiesz.

– A tak! Brałem gripex i na szczęście lepiej się już czuję – odpowiedział szybko.

– Znalazłbyś sobie jakąś witaminę, zaraz poczułbyś się lepiej.

– Mamo, proszę cię!

– No dobrze, już dobrze – uspokajała go ze śmiechem Zakrzewska. – Jak będziesz miał chwilę, to wstąp. Potrawki mam jeszcze sporo.

– Dobrze, zadzwonię wcześniej. Pa!

Gdy tylko się rozłączyła, pobiegł do gabinetu Marka Grabskiego. Po drodze wybrał numer Michała Rucińskiego.

– Michał, posłuchaj! – rzucił szybko. – Koniecznie trzeba sprawdzić bilingi z ostatnich trzech dni z mojego domowego telefonu! Mam numer w Telekomunikacji Polskiej.

– Myślisz, że gdzieś dzwonił? – zapytał przytomnie Ruciński.

– Na pewno do mojej mamy. Może jeszcze do kogoś. Sprawa bardzo pilna! Na wczoraj!

– Dobrze, najpierw uruchomię swoje nieoficjalne kontakty.

– O to mi właśnie chodziło! Powiedz Stefanowi!

U Grabskiego, po szybkiej naradzie, uzgodnili, że przed klatką schodową jego rodziców ustawią cywilny samochód i dwóch ludzi, na zmianę, aż do odwołania. Na początek padło na jednego z kolegów Marcina, który znał jego rodziców z widzenia. Marcin zdecydował się na razie nie wspominać im o potencjalnym zagrożeniu. Znał ich zwyczaje. Nie było ryzyka, że gdzieś się wybiorą. Jedynie na zakupy, ale pewnie mama zrobiła je zaraz

po siódmej rano, żeby kupić jeszcze ciepłe bułeczki w piekarni.

Potem poszedł do łazienki uspokoić nerwy. Nad umywalką przepłukał twarz zimną wodą i stał, patrząc na swoje odbicie w lustrze. Uspokajał kołaczące w piersiach serce. Strach przechodził, a jego miejsce zajmowała zimna determinacja. Znajdzie bydlaka. Na razie został zagoniony do narożnika. Nieznajomy, śmiertelnie groźny przeciwnik uderzył nieoczekiwanie i całkowicie zaskoczenia. Tylko dlatego zyskał chwilową przewagę. Marcin czuł, że lada moment sytuacja się odwróci i to on stanie się myśliwym.

Nagle przez głowę przeleciała mu pewna myśl i zgasła jak meteor na nocnym niebie. Na pewno nieznajomy? Jakie było prawdopodobieństwo, że morderca upatrzył go sobie przypadkowo, na przykład ciągnąc losy? Bardzo niewielkie. Ten ktoś musiał znać Marcina Zakrzewskiego i żywić do niego głęboką urazę. Jakieś poczucie krzywdy, które przez lata urosło w jego głowie do wielkości oceanu nienawiści. To ono popchnęło go do tak okropnych czynów. Co to mogła być za uraza? Marcinowi nic nie przychodziło do głowy. Morderca na pewno był niezrównoważony psychicznie. U kogoś takiego nawet najdrobniejszy szczegół, rzecz wydawałoby się błaża i bez znaczenia, mogła wywołać psychozę.

Wytrzeł twarz papierowym ręcznikiem, ale wciąż nie ruszał się z miejsca. Trzech ludzi wyznaczonych przez Srokę zajmowało się od samego rana przeglądaniem spraw prowadzonych przez lata przez Marcina. Mieli wyselekcjonować osoby, które przez Zakrzewskiego trafiły na długie lata do więzienia, a więc w pierwszej kolejności miały powody, aby szukać zemsty. Potem musieli prześledzić, co się z nimi dzieje, i sprawdzić ich alibi. Marcin pomyślał nagle, że to nie ma sensu. Czy sprawca na pewno kierował się chęcią zemsty? Co wspólnego z Marcinem miała kobieta zamordowana cztery lata wcześniej w Wiszni Małej? Nic. Nawet jeśli to Kaśka miała być kolejną ofiarą

i przeżyła tylko dlatego, że przez przypadek nie było jej w mieszkaniu, dlaczego zamordował niewinną, nieznaną Marcinowi kobietę na Marszowicach? Przecież mógł poczekać jeden dzień. Może kolejne dwa, trzy i mógłby ponownie spróbować. Nikt Kaśki nie pilnował, stanowiłaby dla niego bardzo łatwy cel. Może próbował? Szedł za nią dwa dni później, ale nic nie zrobił. Dlaczego? Czyżby limit jednego morderstwa na cztery lata był dla niego świętą zasadą, urojoną w psychopatycznym umyśle? W takim razie nie powinni się bać, następnej ofiary poszuka dopiero za cztery lata. A jednak Marcin nie czuł się uspokojony.

Wyszedł z łazienki, po schodach zszedł na parter gmachu policji i znalazł się na Podwalu. Od kilku dni utrzymywała się taka sama pogoda. Rano było mglisto i pochmurnie, a potem w trakcie dnia wychodziło słońce i robiło się cieplej. Zbyt ciepło jak na tę porę roku.

Poszedł w kierunku Świdnickiej i tam, niedaleko gmachu opery, kupił w kiosku paczkę cienkich mentolowych 1m-ów i zapalniczkę. Palił bardzo rzadko, tylko w chwilach wyjątkowego zdenerwowania i napięcia. Rozmyślania kontynuował, paląc papierosa i wracając wolno do budynku komendy. Nie zwracał uwagi na ruch na ulicach, huk przejeżdżających tramwajów i pieszych na chodnikach.

Jeżeli motywem działania sprawcy była zemsta na Marcinie, dlaczego miałyby porywać chłopców w latach 1992–2003? Zakładając oczywiście, że policja nie wyciągnęła opacznych wniosków, przypisując mu porwania. Czy z premedytacją chciał nawiązać do wcześniejszych porwań, także do uprowadzenia brata Marcina? Dawał Zakrzewskiemu sygnały, których on nie dostrzegł, w związku z czym zmienił sposób działania? Czy może przez lata przygotowywał się do popisowego numeru i teraz nadszedł właściwy czas? Może w swoim obłądnie, w niepojętej manii, celebrował rytuał porwań dzieci właśnie dlatego, że jedną

z ofiar był Ryszard Zakrzewski? Taki rodzaj maniakalnego powtarzania przerażającego rytuału, który miał Marcinowi ciągle przypominać tragedię sprzed trzydziestu lat. Powtarzane co cztery lata pytanie: „Pamiętasz?”.

Jeżeli tak było, skąd sprawca wiedział, jak wyglądały porwania sprzed lat? Czy mordercą naprawdę może być jego brat Rysiek? Pytania jedno za drugim natrętnie bombardowały jego głowę i, nie czekając na próbę odpowiedzi, znikwały, ustępując miejsca kolejnym.

Jeszcze niedawno, kiedy Paulina pierwszy raz na głos wypowiedziała hipotezę o Ryśku, Marcin się zdenerwował i gwałtownie protestował, nie dopuszczając do siebie takiej myśli. Teraz nie był już tak stanowczy. Podejrzenie stawało się coraz bardziej realne, chociaż wciąż nie wytrzymywało zderzenia z wewnętrznym przeświadczeniem Marcina, że jego brat nie żyje.

Wszedł po schodach do budynku komendy, a kiedy mijał portiera, miał już właściwie pewność, że klucz do rozwiązania zagadki tkwi w pierwszych porwaniach z lat powojennych. Z każdą upływającą minutą był o tym coraz bardziej przekonany. Do tego dochodził inny czynnik. Miał wrażenie, że jest o krok od rozwiązania tamtej sprawy. Rozwiązanie tkwi gdzieś w przeszłości, trzeba tylko przywołać właściwe wspomnienia. Musiał pojechać jeszcze raz do Szczepanowa. Choćby zaraz.

Znowu zadzwonił telefon. Na wyświetlaczu zobaczył numer Romka Adamca ze Szczepanowa.

Czy to miał być znak, że jego tok rozumowania idzie we właściwym kierunku?

– Cześć, Romek! – przywitał się.

– No cześć, Marcin! Żona przekazała mi, że chciałeś się ze mną spotkać w sobotę – powiedział kolega.

– Tak, potrzebuję twojej wiedzy z zakresu historii Szczepanowa – odpowiedział.

– Nie jest znowu taka rozległa...

– Nie bądź taki skromny, chciałbym zapytać o kilka spraw. Prowadzę śledztwo i liczę na twoją pomoc.

Romek gwizdnął do słuchawki.

– Widzę, że to coś poważnego – rzucił.

– I tak, i nie – odpowiedział wykrętnie Marcin. – Poza tym dobrze by było się spotkać i powspominać stare dobre czasy.

– Odzywasz się tylko, jak masz interes.

– Przyganiał kocioł garnkowi. Jesteś wolny dzisiaj wieczorem?

– No dobrze. – Romek się roześmiał. – Dużo teraz pracuję i dzisiaj raczej odpada. Za to jutro mam w planach załatwienie kilku spraw w urzędach, więc wziąłem wolne. Myślę, że od południa powinienem być już w domu.

– W takim razie przyjadę.

– W porządku, czekam.

Zanim Marcin wrócił do pracy, zatelefonował jeszcze do ojca. Nie powiedział mu dokładnie, o co chodzi, ale prosił, żeby ze względów bezpieczeństwa nie odstępował mamy na krok i żeby rodzice nie wybierali się nigdzie daleko. Uprzedził też o policjancie siedzącym w aucie na parkingu pod ich bramą. Ojciec był poważny, nie zadawał za dużo pytań, ale Marcin był pewny, że potraktował jego słowa bardzo serio. Uspokojony poszedł szukać Pauliny.

Okazało się, że to jego pilnie szukają. Policja odniosła tego dnia pierwszy mały sukces. Zarówno w sklepie Mały Sam nieopodal bloku Marcina, jak i obok automatu na mleko na Nowym Dworze znajdowały się kamery monitoringu. Śledczym udało się dotrzeć do nagrań i wstępnie je przeanalizować. Obie kamery zarejestrowały poszukiwanego mężczyznę. Na biurku w gabinecie Grabskiego stał laptop, przy którym siedział policyjny informatyk, a nad nim wisiele Grabski, Paulina i Sroka. Czekali na Marcina, żeby obejrzeć film z monitoringu.

Najpierw odtworzyli zapis sprzed automatu na mleko. Był

wieczór i w związku z tym mało co widzieli, do tego rejestracja następowała poklatkowo, co zawsze doprowadzało Marcina do szewskiej pasji. Rozumiał, że taki zapis z kamer miejskich oraz prywatnych firm pozwalał oszczędzić miejsce na dyskach, ale bywało, że właśnie z tego powodu zapis z kamer do niczego się nie nadawał. Zdarzało się, że nagranie miało fatalną jakość albo ujęcie twarzy poszukiwanego „przeskakiwało” w ułamku sekundy, kiedy kamera miała przerwę w rejestracji.

Obraz z kamery przy automacie był właśnie taki. Widzieli doskonale wysokiego, postawnego mężczyznę wyglądającego na nie więcej niż czterdzieści lat, który nagle pojawił się w kadrze. Ubrany był w skórzaną kurtkę, twarz zakrywał mu daszek czapki. Czekał, aż mleko się naleje, po czym odszedł dwa kroki, stanął bokiem i pociągnął dwa łyki z butelki. Potem zniknął z pola widzenia monitoringu.

– To na pewno on – odezwał się Marcin. – Ma moją kurtkę i czapkę.

– Bardzo słaby obraz – stwierdził prokurator Grabski.

Informatyk przewinął zapis i wcisnął stop-klatkę w momencie, kiedy mężczyzna pił mleko z butelki. Zrobił zbliżenie jego twarzy.

– Niestety, twarz widać tylko w takiej pozycji – powiedział.

– Raczej fragment twarzy – poprawił go Sroka.

– Popracuję jeszcze nad wyostreniem obrazu.

– Podobny do Marcina? – zapytała Paulina.

Sroka zganił ją wzrokiem.

– Tak może wyglądać każdy – rzucił.

– Drugie nagranie jest lepsze – powiedział informatyk.

Obraz z monitoringu w sklepie był nieporównywalnie lepszy od pierwszego. Przede wszystkim kamera rejestrowała zdarzenie bez przerw i w kolorze. Widzieli dokładnie, jak tak samo ubrany mężczyzna wchodzi do samoobsługowego sklepu, bierze zielony plastikowy koszyk na zakupy i krąży pomiędzy stoiskami, po

czym podchodzi do kasy. Kamera umieszczona na suficie, dokładnie naprzeciw płacącego, pokazywała go z góry. Znowu nie dostrzegli twarzy zakrytej daszkiem. Zapłacił gotówką, odebrał resztę, zapakował zakupione produkty do worka foliowego i wyszedł.

– Kasjerka mówiła, że już go widziała – odezwał się Sroka. – Była pewna, że często robi u nich zakupy.

– Pewnie znowu pomyliła go z Marcinem – westchnęła Paulina.

Jeszcze raz obejrżeli nagranie, po czym informatyk zamknął laptop i poszedł do siebie popracować nad obrazem. Reszta została w biurze Grabskiego na małej naradzie.

Marcin nerwowo pocierał policzek.

– Musiał mnie wcześniej długo i bardzo dokładnie obserwować – powiedział, kiedy za informatykiem zamknęły się drzwi. – Na pewno zna pewne moje zwyczaje. Kupuję mleko w tym automacie i często piję w ten sposób zaraz po zakupie.

– To mógł być przypadek – powiedział Grabski.

– Dlaczego w takim razie kupił w większości takie same artykuły spożywcze, jakie ja tam kupuję? – zapytał Marcin i coś jeszcze przyszło mu do głowy. – Sąsiadka widziała go z puszkami z piwem. Piwo kupuję w żabce obok piekarni. Trzeba koniecznie porozmawiać z dziewczyną, która tam sprzedaje.

Sroka skinął głową.

– Zaraz zatelefonuję do ludzi na twoim osiedlu – oznajmił. – Grafik już wraca od tej twojej znajomej, Morawskiej. Ma jakiś mglisty portret pamięciowy. Wyślę go od razu do tego sklepu. Może popracuje jeszcze z kasjerką.

– Dobrze – powiedział Marcin. – Ruciński stara się o bilingi?

– Tak, ale to chwilę potrwa.

Wtrącił się Marek Grabski.

– Telefonowali z laboratorium. Mają odciski palców tego sukinsyna. Już sprawdzili w bazie. Nienotowany. Na wyniki

włosów i śliny ze szklanki do whisky będziemy musieli jeszcze poczekać.

Marcinowi znowu zrobiło się niedobrze. Paulina obserwowała go kątem oka i widziała, że pobladł. Spotkanie już się zakończyło, więc wyciągnęła go na korytarz.

– Dobrze się czujesz? – zapytała.

Uśmiechnął się niewyraźnie.

– Tak sobie.

– Wskoczymy coś zjeść?

– Dobrze.

Poszli do domu towarowego Renoma, na skrzyżowaniu Świdnickiej i Podwala. Usiedli w pierwszym barze, w którym był wolny stolik. Zjedli po kanapce, a później rozmawiali jeszcze jakiś czas przy kawie.

– Nie podoba mi się pomysł wystawienia cię na przynętę – powiedziała. – Sroka chyba naprawdę zamierza to zrobić.

– Nie ma niebezpieczeństwa – powiedział. – Dzisiaj zanocuję w domu. Po osiedlu kręciło się ostatnio tylu gliniarzy, że byłby głupi, gdyby się zjawiał.

– Mimo wszystko to nie Dziki Zachód. Nie bawimy się w kowboi.

– Tu jest dziki wschód. – Zaśmiał się.

– Mówię poważnie. Zostań jeszcze tę noc u mnie.

– Muszę posprzątać w mieszkaniu. – Pokręcił głową. – Dzwoniłem do znajomego ślusarza, już wymienia mi zamki.

Zamilkł i spojrzał na nią poważnie.

– Ty też na siebie uważaj – powiedział.

Chciała się uśmiechnąć, ale tylko skrzywiła usta. W jej oczach widział niepokój.

XXIII

Wtorek, 3 października zaczął się tak samo jak kilka poprzednich dni: mglisto, chłodno i ponuro. Była jednak szansa, że po południu znowu na chwilę pojawi się słońce. Marcin wstał po ósmej i noga za nogą powlókł się do łazienki, ogołoconej ze wszystkich ręczników, kosmetyków i przyborów do golenia. Poprzedniego dnia, nie zastanawiając się szczególnie, spakował do stulitrowych czarnych, plastikowych worków wszystko, co było w łazience, dorzucił zawartość lodówki, bieliznę, niektóre koszule oraz T-shirty i wyniósł na śmietnik. Wcześniej zrobił najpotrzebniejsze zakupy w Futurze, a w jedzenie zaopatrzył się w osiedlowej żabce.

Kiedy brał prysznic, a później mył zęby, szum wody z kranu odbijał się szerokim echem po pustej łazience. Taki odgłos kojarzył mu się z remontem, bałaganem i kłótniami z upartymi i niesłownymi budowlańcami. Nic przyjemnego.

Mimo akcji „śmietnik” nadal czuł się w mieszkaniu jakoś dziwnie. Cokolwiek brał do rąk, wydawało mu się brudne i splugawione. Momentami nawet miał wrażenie, że czuje obcy nieprzyjemny odór mordercy. Na nic zdawał się rozsądek, który wykluczał istnienie takiego zapachu. Marcin wiedział, że musi minąć kilka dni, zanim wszystko wróci do normy.

Nie odważył się użyć ekspresu do kawy, choć wieczorem wyszorował go bardzo dokładnie. Zrobił sobie rozpuszczalną kawę w kubku wyciągniętym ze zmywarki, po najdłuższym cyklu mycia i suszenia w wysokiej temperaturze. Śniadanie zjadł szybko przy kuchennym stole i popił kawą, wpatrując się

z niepokojem w ekran komórki. Czekał na wiadomość od Pauliny. Już sięgał, żeby do niej zatelefonować, kiedy przyszedł esemes: „Jestem na dole”. Podszedł do kuchennego okna i na skraju parkingu zobaczył czarną toyotę. Paulina otworzyła szybę i pomachała. Odpowiedział jej tym samym gestem. Zobaczyła go, ruszyła ostro, skręciła w Tyrmanda i zniknęła. Zgodnie z ustalonym poprzedniego dnia planem Marcin miał jechać do Szczepanowa.

Z domu wyszedł około dziesiątej, zamknął mieszkanie na nowy zamek marki Gerda i zszedł powoli po schodach. Zupełnie inaczej niż wcześniej Paulina, ruszył swoją skodą octavią wolno i leniwie. Po drodze miał zamiar przemyśleć kilka spraw.

Na rondzie Pileckiego pojechał w kierunku autostrady i zaraz zjechał na drogę do Leśnicy przy stadionie miejskim. Oczywiście znowu utknął w korku i stracił dwa kwadranse. Zniecierpliwił się i postanowił nadrobić stracony czas. Mocniej nacisnął pedał gazu. Kiedy wreszcie wyjechał z miasta, zerknął we wsteczne lusterko. W pewnej odległości od niego podążał srebrny ford focus. Na początku Marcin nie zwrócił na niego uwagi. Dopiero za Wróblowicami, po trzech z rzędu manewrach wyprzedzania innych samochodów, wykonanych przy sporej prędkości, w miejscach, gdzie wyprzedzanie było zabronione, zaczął się zastanawiać, dlaczego ford wykonał dokładnie takie same manewry – z tą różnicą, że wyprzedził tylko dwa auta i skrył się za trzecim. Marcin świadomie dodał gazu, a wtedy ford wyprzedził oddzielający ich pojazd i przyspieszył. Wyglądało, jakby jechał za Marcinem.

Dla pewności Zakrzewski wyprzedził jeszcze jeden samochód i po chwili ford powtórzył jego ruch.

Marcin przełknął ślinę i sprawdził mocowania walthera p99 pod lewą pachą. Dotyk zimnej rękojeści pistoletu pod palcami podziałał na niego uspokajająco. W Komornikach zwolnił gwałtownie i przejechał całą miejscowość z prędkością

pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Ford z tyłu zachowywał cały czas sporą odległość, choć za nim zrobił się długi korek innych samochodów. Gdy wrzucał kierunkowskaz, żeby zjechać z obwodnicy Środy Śląskiej i pojechać do centrum, pomyślał, że może jest przewrażliwiony i niepotrzebnie się denerwuje. Jednak kierowca focusa ruszył za nim. Przejechali przez ulicę Wrocławską, potem przez rynek, koło pomnika Rolanda i ratusza. Nagle Marcin zwolnił i naprzeciw wieży kościoła Świętego Andrzeja, na Legnickiej, prawie na wysokości skrzyżowania z Kolejową, zaparkował na wolnym miejscu. Specjalnie zatrzymał się akurat tu. Właśnie minęli parking na placu Wolności i teraz ford musiał przejechać obok niego. Marcinowi mignął za kierownicą mężczyzna w jego wieku, dobrze zbudowany, w drucianych okularach i w czarnej czapce naciągniętej na czubek głowy. Pierwsza myśl, jaka przeleciała mu przez głowę, była zastanawiająca i niepokojąca. Skąd znał tego mężczyznę? Ford zaparkował po tej samej stronie ulicy trzy samochody dalej.

Po pierwszej fali zdenerwowania nie został ślad. Marcin był spokojny, skoncentrowany i pewny siebie. Wsiadł z auta i wolno ruszył chodnikiem, niby patrząc przed siebie, jednak kątem oka cały czas obserwując forda. Nikt z niego nie wysiadł. Marcin przeszedł obok, rzucając okiem do środka. Mężczyzna regulował radioodtwarzacz, odwrócony do niego tyłem. Dostrzegł tylko „Gazetę Wyborczą” rzuconą na siedzenie pasażera.

Wszedł do cukierni kilka metrów dalej. Pamiętał ją z dzieciństwa, w latach osiemdziesiątych było to chyba jedyne miejsce w Środzie Śląskiej, gdzie można było zjeść w lecie bardzo dobre lody. Gałki były duże, nieoszukane. Co prawda pamiętał tylko dwa smaki: śmietankowy i truskawkowy, i nie był pewien, czy sprzedawali inne, ale i tak zawsze trzeba było tu stać w bardzo długiej kolejce. Teraz cukiernia wyglądała zupełnie

inaczej. Zlikwidowano charakterystyczne czarno-białe kafelki ze ścian przy wejściu. Marcin kupił pączka z adwocatem i usiadł przy małym stoliku w kącie cukierni, skąd miał doskonały widok na zaparkowanego nieopodal forda i mężczyznę w środku. Zaczął jeść, nie czując prawie smaku.

– Może kawy do ciastka? – zapytała bardzo miła i ładna ekspedientka.

Odpowiedział jej zakłopotanym uśmiechem i odezwał się dopiero, kiedy przełknął kęs:

– Nie, dziękuję, pączek wystarczy.

Dziewczyna obdarzyła go uśmiechem i zniknęła na zapleczu.

Marcin wyciągnął telefon i wybrał numer Pauliny. Zgłosiła się od razu, jakby czekała na telefon od niego.

– Posłuchaj, Paulina – powiedział. – Ktoś za mną jedzie od samego Wrocławia.

– Gdzie jesteś?

– W Środzie Śląskiej, w cukierni zaraz przy rynku. Obserwuję mężczyznę w samochodzie.

– Hm... no tak – mruknęła jakimś dziwnym tonem.

– Wiesz coś o tym facecie? – zapytał nagle olśniony.

– Co to za auto? – odpowiedziała pytaniem.

– Srebrny ford focus.

– DW 2365J?

W jednej chwili opadło z niego całe napięcie. Poczul się idiotycznie.

– Wiesz coś o tym? – zapytał, zmieniając ton głosu na ostrzejszy.

– Nie mogliśmy cię zostawić samego.

– Paulina, umawialiśmy się chyba, że nikt za mną nie chodzi ani nie jeździ. W taki sposób tylko spłoszymy poszukiwanego.

– Ja nie mam z tym nic wspólnego – zaczęła się bronić. – Marek Grabski uznał, że powinieneś mieć jednak ochronę.

Marcin zmiął serwetkę z niedojedzonym pączkiem i wrzucił

do stojącego obok kubła na śmieci. Drugą serwetką wytarł usta z lukru.

– No dobrze – powiedział po chwili. – Co to za gość? Nie znam go.

– Z tego, co wiem, nie jest gliniarzem – wyjaśniła. – To ktoś z agencji ochrony, której szefem jest przyjaciel Grabskiego. Podobno jest bardzo dobrym pracownikiem.

– Kto za to płaci?

– Nikt. Właściciel ma wobec Marka dług wdzięczności. Podobno Marek uratował mu kiedyś tyłek, ale nie znam szczegółów. Sam go zapytasz.

– Dobrze, w takim razie jadę dalej – odrzekł z westchnieniem.

– Poczekaj. Pewnie cię zainteresują raporty z terenu. U twoich rodziców przez noc był spokój. Twoja ulubiona Kaśka też spokojnie spędziła tę noc w ramionach Tymona. – Paulina nie byłaby sobą, gdyby zakończyła rozmowę, oszczędzając mu złośliwości.

Udał, że nie słyszy zaczepki.

– Zadzwoń później, cześć!

Wrócił do swojej skody i pojechał dalej. Za dawnym dworcem PKS, zamienionym w biedronkę, trzeba było skręcić w prawo i jechać prosto na ulicę Działkową. Jeszcze kilkanaście lat temu mniej więcej tutaj, przy końcu zabudowań mieszkalnych, stała tablica informująca o wyjeździe z miasta Środa Śląska. Teraz była przesunięta o dwa kilometry dalej, aż za dworzec kolejowy. Zresztą kiedyś wszystko wyglądało inaczej. Niedawno po prawej stronie drogi, gdzie przed laty ciągnęły się pola, powstało całe osiedle nowych domów jednorodzinnych, a po sadzie wiśniowym za zakrętem nie zostało nawet ogrodzenie. W miejscu drzew leżały hałdy gruzów i śmieci porośnięte wysoką trawą. To właśnie w tym sadzie w pewne wakacje Marcin zarobił pierwsze w życiu pieniądze przy zbiorze owoców. Uśmiechnął się do wspomnień. Dawne dzieje, jakby z innego świata albo z bajki,

pokolorowane i wyidealizowane przez upływający szybko czas.

Nie zwracając uwagi na forda mającego w tylnym lusterku, dojechał do stacji kolejowej. Nazywała się wprawdzie Środa Śląska, ale do pierwszych zabudowań w mieście było stąd dwa kilometry, a jedyne domy widoczne po drugiej stronie torów tak naprawdę leżały w oddalonym o kilometr Szczepanowie. Marcin pamiętał przezabawne zdarzenie, którego był uczestnikiem. Pod koniec lat osiemdziesiątych z pociągu relacji Wrocław–Legnica wysiadł czarnoskóry elegancko ubrany mężczyzna. Wszedł na placyk dworcowy i stał, rozglądając się wokoło z wyrazem konsternacji na twarzy. Poza kilkoma budynkami mieszkalnymi przy budynku stacyjnym wszędzie było tylko szczerze pole. Zaczepił wtedy przechodzącego obok Marcina i zapytał łamaną polszczyzną:

– Gdzie tu jest miasto?

Marcin musiał mocno sobie pomagać rękami, żeby mu wytłumaczyć, że do miasta jeszcze daleko i aby tam dojechać, trzeba skorzystać z usług Pekaesu. Na szczęście przystanek był tuż obok dworca, a autobusy jeździły średnio co godzinę, nie tak jak teraz, dwa razy dziennie.

Do wsi wjechał dziesięć po jedenastej. Z Romkiem umówiony był w południe, pomyślał, że pokręci się w miejscach, skąd przed laty porywano chłopców. Na rozjeździe przy kościele Świętego Serca Jezusa zobaczył znajomą postać. Kobieta szła z torbą pełną zakupów, obok niej dreptał kilkuletni chłopiec. Była to żona Romka, Justyna Adamiec. Pamiętał ją jak przez mgłę z podstawówki. Była o dwa albo trzy lata młodsza, chodziła do niższej klasy. Później był na ślubie jej i Romka, parę razy odwiedził ich towarzysko. Przez myśl przemknęła mu refleksja, która pierwszy raz przyszła mu do głowy kilka lat temu, na spotkaniu z okazji dwudziestolecia skończenia podstawówki. Pomyślał wtedy, że ci, którzy wyjechali do miasta, wyszli na tym nieporównywalnie lepiej. Ci, którzy zostali we wsi, mieli gorsze

wykształcenie, do pracy musieli dojeżdżać do Wrocławia, ewentualnie do Legnicy lub Środy Śląskiej, co wiązało się z drastycznie mniejszym wynagrodzeniem. Niektórzy nie mieli pracy. W życiu prywatnym też nie było fajerwerków; jego koledzy pożenili się z młodszymi koleżankami z podwórka i podstawówki i różnie im się wiodło.

Otrząsnął się z ponurych rozmyślań, zatrzymał auto i opuścił szybę.

– Cześć, Justyna! – powiedział. – Umówiłem się Romkiem na dwunastą, pewnie go jeszcze nie ma, ale mogę was podrzucić do domu. Widzę, że masz ciężką siatkę.

Kobieta uśmiechnęła się smutno.

– A tam go nie ma! – odpowiedziała i wsiadła na tylne siedzenie, wpuszczając najpierw małego Kubę. – Nigdzie nie jeździł. Schlał się wczoraj jak zwykle i śpi. Zrobię ci kawę, minie chwila, nim dojdzie do siebie.

Marcin zamilkł zmieszany. Ton jej głosu był jakiś inny niż zwykle, pełen goryczy i rezygnacji. Popatrzył na jej odbicie we wstecznym lusterku. Od jego ostatniej wizyty postarzała się, jakby schudła, a jej spojrzenie straciło blask.

– Mogę przyjechać później...

– Daj spokój – przerwała mu szybko. – Potem możesz się już z nim nie dogadać.

Nie odpowiedział, bo i nie było czasu. Państwo Adamcowie mieszkali trzy domy za kościołem na ulicy Długiej. Marcin zaparkował na podjeździe, pomógł Justynie z zakupami i razem weszli do mieszkania. Kuba pobiegł do pokoju, włączył telewizor i zaczął oglądać bajki. Marcin, siedząc przy kuchennym stole, widział ekran przez szparę w niedomkniętych drzwiach. Po raz kolejny utwierdził się w przekonaniu, że bajki dla dzieci muszą wymyślać teraz osoby niezrównoważone psychicznie. Pokraczni bohaterowie gotowali coś w wielkim garze w zapleśniałej i brudnej kuchni, a z ich nosów kapąły gluty wprost do gara.

Obrzydliwość. Nie chciał nawet myśleć, co wyrośnie z pokolenia chowanego na takich kreskówkach.

Justyna poszła do sypialni na górze obudzić Romka, ale szybko wróciła i usiadła z Marcinem przy kawie i ciastkach.

– Romek pije? – zapytał ostrożnie.

Uśmiechnęła się smutno.

– Odkąd stracił pracę w tej prywatnej szkole – odpowiedziała. – Będzie już rok. Podejrzewam, że wyrzucili go za alkohol, ale on się nie przyznaje.

– Nie wiedziałem...

– Zawsze miał pociąg do butelki, ale ostatnio prawie nie trzeźwieje. W sobotę wcale nie był w pracy, tylko już spał, dlatego powiedziałam, że go nie ma. Czasem bezwiednie go kryję. Nie wiem po co.

Marcin pomyślał, że straci tu tylko czas.

– W takim razie moja wizyta jest nie w porę – odezwał się.

– Daj spokój! Jesteś tu zawsze mile widziany. Przynajmniej wnosisz powiew innego świata. Czasem miło jest porozmawiać z kimś trzeźwym.

Był coraz bardziej zmieszany i nie wiedział, jak się zachować.

– Jak sobie dajecie radę? – zapytał.

– Dorabiam tu i tam. – Wzruszyła ramionami. – Trochę pomagają mi rodzice, Roman do niedawna dostawał zasiłek dla bezrobotnych.

Spojrzała na niego, jakby szukała w nim usprawiedliwienia.

– Marcin, zastanawiam się, czy go nie zostawić.

Na szczęście nie zapytała go o zdanie.

– Rób, jak uważasz – stwierdził. – Życie jest tylko jedno.

Rozmawiali jeszcze chwilę, wreszcie, z trudem chwytając równowagę, na dół zszedł Romek. Wyglądał na sześćdziesiąt lat. Miał przekrwione oczy i opuchniętą twarz, czuć było od niego alkoholowy odór. Justyna od razu gdzieś zniknęła. Romek przywitał się z Marcinem i zwałił się na krzesło opuszczone

przez żonę.

– Romek, kurwa, co ty ze sobą zrobiłeś?! – Marcin nie wytrzymał. – Pojechało cię całkiem? Masz przecież żonę i dziecko!

– Już ci nagadała? – zapytał, z trudem maskując drżenie dłoni.

– Nie musiała nic mówić. Popatrz na siebie.

– No tak, mam ostatnio ciężkie dni. Straciłem pracę...

– Pierdolisz! – przerwał mu brutalnie Marcin. – Pracę można znaleźć nową. Co z twoją książką?

– Zostawiłem pisanie. Nie było chętnych do wydania. – Romek zapalił papierosa i zerknął na niego. – Napijesz się?

– Chyba cię już całkiem powaliło!

– No to, kurwa, ja się napiję.

Z szafki wyciągnął literatkę, a z pawlacza nad drzwiami butelkę wódki. Nalał sobie do pełna, wypił i przymknął oczy z westchnieniem ulgi. Po chwili kac mu trochę przeszedł i poczuł się lepiej.

– Wiem, że przeginam – powiedział. – Nie wiecie mi się ostatnio, ale to przejściowe. Muszę coś ze sobą zrobić. No co tak patrzysz?

– Powiedz mi to na trzeźwo.

– Jak będę chciał, przestanę pić.

– Każdy cholerny alkoholik tak mówi.

– Nie jestem alkoholikiem!

– Naprawdę? Spojrzysz sobie w oczy w lustrze i powtórzysz to z przekonaniem?

– Chrzań się!

– Zastanów się nad sobą. Masz jeszcze żonę i synka. Powtarzam: jeszcze!

– Muszę się napić.

Marcin przypomniał sobie kilka incydentów sprzed wielu lat. Kiedyś, gdy jeszcze grali w piłkę nożną w LZS Szczepanów, zrobili sobie ognisko w parku z okazji zakończenia sezonu. Romek spił się do nieprzytomności i Marcin wspólnie

z Gustawem Kalendą prowadził go w nocy do domu. Droga była koszmarem. Romek kładł się na środku ulicy, na każdym mijanym skrawku trawy, powtarzając, że dalej nie pójdzie i że mają zostawić go w spokoju. Wtedy dźwigali go na nogi, lekko bili po twarzy, żeby go obudzić, i ciągnęli chłopaka dalej. Kiedy wreszcie doszli do furtki, zatrzymali się, pokazali mu drzwi wejściowe do domu, znajdujące się nie więcej niż trzydzieści metrów od nich, i Marcin zapytał: „Dojdiesz?”. Romek potwierdził, więc go puścili. I prawie mu się udało, ale w ostatniej chwili stracił równowagę i usiłował chwycić za klamkę. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że jego zaniepokojona matka czekała na jego powrót i właśnie wtedy otworzyła drzwi. Dłoń Romka trafiła w próżnię i runął na nią jak długi. Gustaw z Marcinem uciekli, nie oglądając się za siebie. Zdarzenie krążyło jako anegdota przez wiele lat. Innym razem, kiedy wracali maluchem z dyskoteki w Miękini, Romek poprosił, żeby zatrzymali się na leśnej drodze, otworzył drzwiczki i wpadł do głębokiego na dwa i pół metra rowu wypełnionego deszczówką. Na osiemnastych urodzinach ich klasowego kolegi Alka Kuriaty już po godzinie urwał mu się film. Całą noc spał na podwórku obok studni. Kiedyś takie historie wydawały się zabawne.

Romek sięgnął po butelkę, lecz Marcin go uprzedził i szybkim ruchem zgarnął ją ze stołu.

– Przy mnie nie będziesz pił – powiedział twardo.

Jego kolega zrobił się czerwony na twarzy, jakby miał za chwilę eksplodować ze złości, ale nagle pod wpływem nieruchomego spojrzenia Marcina oklapł, opadł głębiej na krzesło, przygładził przetłuszczzone włosy i powiedział:

– Dobrze.

W wieku szesnastu lat pobili się o dziewczynę mieszkającą w sąsiedztwie. Roman Adamiec był lepiej zbudowany od Marcina, ale wtedy to Marcin spuścił mu potężny łomot. Przez kolejne dwa tygodnie Romek chodził w ciemnych okularach ojca,

żeby ukryć sińce pod oczami, każdego dnia przybierające inny kolor tęczy. Żeby było śmieszniej, dziewczyna wybrała jednego z ich wspólnych kolegów, byli teraz szczęśliwym małżeństwem z trójką dzieci.

– Myślałem, że wciąż pracujesz nad historią Szczepanowa – odezwał się.

– Trzy czwarte mam napisane – mruknął Romek.

Skończył historię na Uniwersytecie Wrocławskim, po studiach pracował na uczelni, ale nie zrobił doktoratu w terminie i musiał się zwolnić. Potem pracował jako nauczyciel historii w różnych szkołach.

– Szkoda, że nie skończyłeś.

Gospodarz zapalił jeszcze jednego papierosa.

– Kiedyś skończę.

Marcinowi przeszła już trochę złość i zaczął żałować kumpla. Patrzył na jego obwisłe policzki, opuchnięte czerwone oczy, drżącą nieznośnie dłoń z papierosem.

– Myślałem, że mi pomożesz – powiedział.

– Pomogę – zapewnił go szybko Romek. – Pytaj, o co chcesz.

– Prowadzę śledztwo w sprawie porwania mojego brata. Ryśka – zaczął Marcin.

Dłoń z papierosem zamarła w połowie drogi do ust.

– Aha, Rysiek – szepnął Romek jakby do siebie. – Bardzo dobrze go pamiętam.

– Tak naprawdę nie chodzi mi o niego, tylko o sad.

– Jaki sad?

– Gruszki u księdza.

Romek uśmiechnął się szeroko na wspomnienie dziecięcych wypraw po owoce.

– Stare dobre czasy. – Odkaszlnął. – Co cię interesuje w tym sadzie?

Marcin rozłożył ręce.

– Właściwie nic konkretnego. Może wiesz coś na temat jego

historii. Może są z nim związane jakieś legendy? Cokolwiek.

Romek wstał, włączył gaz pod czajnikiem, sięgnął do szafki po szklankę, zrobił sobie herbaty. Łyżeczka zadzwoniła nerwowo, kiedy wsypywał do szklanki cukier.

– Właściwie nic na ten temat nie wiem – odparł. – Mogę ci tylko powiedzieć, co słyszałem od rodziców w młodości.

– Co takiego?

– Mówili, że to złe miejsce.

Marcin wstrzymał oddech i zacisnął dłonie w pięści pod stołem.

– Jak to? – zapytał.

Gospodarz wrócił na miejsce i próbował pić gorącą herbatę.

– Chyba nic ciekawego – odpowiedział. – Zakazywali mi chodzić tam pod wieczór. Mówili, że to złe miejsce. Ludzie od lat opowiadali, że ten czy ów widział tam czasem w nocy dziwne światła, słyszał podejrzane odgłosy, widział tajemnicze postaci w ciemnościach. Kiedyś nawet ktoś stamtąd tak uciekał, że mało nie pogubił butów. Mówił potem, że widział diabła.

Marcin jeszcze mocniej zacisnął dłonie w pięści. Miał nadzieję, że udaje mu się panować nad twarzą.

– Nawet słyszałem, jak ktoś użył takiego śmiesznego określenia na tego diabła – ciągnął Romek. – Nie pamiętam, jak to było... coś jakby podskakiwał czy płasał...

– Chodził na palcach? – podsunął.

– Właśnie tak! – Romek się wyraźnie ucieszył.

Marcin poczuł, że robi mu się gorąco.

– Pamiętasz, kto tak mówił? – zapytał, przełykając ślinę. Zaszło mu w ustach.

Szybko wypił resztkę kawy. Gospodarz drapał się po głowie.

– Nie, nie pamiętam – przyznał, wyęzając zamroczony alkoholem mózg. – Chyba nikt konkretny. Po prostu taka chodziła legenda związana z tym miejscem.

– Gdybyś sobie jednak przypomniał, daj mi znać. To bardzo

ważne.

– Jasne! To nie jest jedyne miejsce w Szczepanowie, o którym krążą nieprawdopodobne historie. Podobno zaraz po wojnie rolnicy, których pola położone były na foglu, przeżywali tam niesamowite przygody. Konie stawały dęba ze strachu, włos się ludziom bez powodu jeżył na głowie z przerażenia, ktoś wspominał ciemne postaci pośród drzew. Albo, co tu daleko szukać! Jeszcze niedawno ludzie źle mówili o pałacu w pegeerze.

– O tym nad stawem?

– Staw już dawno zmienił się w bagno, ale tak, o tym samym. Podobno z piwnic dochodziły nocami przeraźliwe jęki i krzyki ludzi. Niektórzy mówili nawet, że słyszeli je na korytarzach na piętrze i klatce schodowej. Ponoć to miały być duchy dawnych właścicieli majątku pokutujące za grzechy. Wiedziałeś, że córka ostatnich właścicieli wyszła za mąż za generała z najbliższego kręgu Hitlera?

– Nie. – Marcin pokręcił głową. – Wyobraźnia ludzka nie zna granic, a plotka rozprzestrzenia się szybciej niż fale dźwiękowe.

Romek roześmiał się głośno.

– Myślisz, że po tylu latach znajdziesz porywacza? – zmienił nagle temat.

Marcin pokręcił głową.

– Nie wiem – odpowiedział krótko, nie zdradzając szczegółów.

– Pamiętam bardzo dobrze Ryśka – rozgadał się jego kolega. – To był model! Kiedyś Marek Doczumiński trafił przez niego do szpitala ze wstrząsem mózgu.

– A Alek Kuriata złamał nogę.

– Rzeczywiście! – Romek głośno się zaśmiał. – Kopaliśmy te liście. Każdy mógł kopnąć tamtą kupkę. Miał po prostu pecha. A tak przy okazji. Alek przyjechał ostatnio z Kanady odwiedzić stare śmieci. W czerwcu to było czy jakoś tak. Odwiedził mnie parę razy, zrobiliśmy grilla, popiliśmy tęgo. Super z niego gość. Ma kupę kasy, ale wcale się z tym nie obnosi. Jest taki sam, jak go

pewnie pamiętasz z podstawówki, takie same odstające uszy!

Marcin uśmiechnął się do wspomnień.

– Ciągle leciała mu krew z nosa – powiedział.

– Właśnie! – wykrzyknął Romek. – Wystarczyło go popchnąć albo szturchnąć, a już zalewał się krwią. Pamiętam, że kiedyś na WF-ie graliśmy w piłkę. Piotrek Madosz kopnął go w kostkę i zaraz poleciała mu krew z nosa!

Śmiali się chwilę.

– A wiesz, co u Piotrka? – zapytał Marcin.

– Jest kierowcą tira. Nieźle zarabia, jeździ po całej Europie. Ożenił się z dziewczyną z Lipnicy i tam mieszka. Czasem spotykamy się na jakieś małe piwko. Też pytał o ciebie, dałem mu twój numer telefonu. Nie gniewasz się chyba?

– Nie. – Marcin pokręcił głową. – Zresztą nie zadzwonił.

– Pewnie miał dużo roboty.

– O tym sadzie u księdza nic więcej nie wiesz? – Marcin wrócił do tematu, który go najbardziej interesował.

– Nie, ale mam dużo przedwojennych materiałów o Szczepanowie po niemiecku. Artykuły z prasy na tematy historyczne, miejscowe podania i legendy. Sporo tego. Muszę przejrzeć, jak... – zawahał się.

– Wytrzeźwiejesz? – dopowiedział Marcin.

– Właśnie.

Romek znowu zapalił papierosa.

– Fajnie byłoby się spotkać znowu całą klasą, jak wtedy w 2004 roku w Środzie – powiedział.

– Ktoś by to musiał zorganizować – odpowiedział Marcin.

– Nie ty zorganizowałeś tamto spotkanie?

– Nie, Renata Kudrys. Widujesz jeszcze kogoś z dawnej klasy?

Romek znowu się rozpromienił.

– Jasne! Wszystkich, którzy zostali w Szczepanowie. Bardzo często. Z tych, co wyjechali, to widuję ciebie, był Alek z Kanady, poza tym Piotrka, Marka Doczumińskiego, był u mnie latem

Gustaw Kalenda, widziałem też Gośkę Kuriatę, gdy odwiedziła kiedyś rodziców. Wszyscy pytali o ciebie.

– I co?

– Mówiłem, że jesteś psem gończym. – Romek zarechotał, jakby powiedział najzabawniejszy żart na świecie i zaraz się rozkaszał.

– Najlepiej wspominam wizytę Gustawa. Teraz byś go nie poznał. Wyrobił się, zmężniał, przyjechał ładnym autem. Popiliśmy i nocował u mnie. Też wypytywał o ciebie. Dałem mu twój adres i numer telefonu.

– Dobrze, że nie zadzwonił.

Marcin bez entuzjazmu wspominał Gustawa. Kalenda był sierotą, mieszkał kątem u dalekich krewnych, których sąd wyznaczył na jego prawnych opiekunów, ale nie traktowali go dobrze. Zawsze był biednie ubrany, chodził w przykrótkich spodniach i powyciąganych swetrach. Zofia Zakrzewska litowała się nad nim i czasem zapraszała go do nich do domu na obiady. Marcin nie znosił tych wizyt. Gustaw był natrętny, koniecznie chciał zostać najlepszym przyjacielem bliźniaków. Wszędzie za nimi łaził i nie przejmował się tym, że Rysiek robił mu głupie psikusy i traktował go jak służącego. Kilka razy spuścił mu porządne manto na szkolnym boisku, za krzakami jeżyn w rogu. Gustawa to jednak nie zniechęciło, dalej wszędzie za nimi chodził.

– To chyba był najlepszy przyjaciel Ryśka – powiedział Romek.

– Tak myślisz? – zdziwił się Marcin. – Nie pamiętam.

– Głowy nie daję, ale wydaje mi się, że nieraz widziałem, jak jeździli razem rowerami.

– Możliwe. – Marcin chciał szybko zmienić temat.

Cały czas było mu gorąco na wspomnienie słów kolegi o diable z sadu. Za każdym razem, gdy przymykał oczy, widział ciemną postać na tle parku i słyszał szept tuż nad swoim uchem.

„Widziałem, jak diabeł chodzi tam na palcach”.

Wcześniej o tym nie pomyślał. Dopiero Romek uświadomił mu,

że słowa mogą być częścią jakiejś legendy krążącej z ust do ust. Co z tego, że Marcin jej nigdy nie słyszał? Może po prostu jej nie pamięta? Rysiek musiał ją usłyszeć, pewnie strasznie podziałała mu na wyobraźnię. Stąd rysunki w zeszytach. Pytanie, czy to na pewno była legenda. Marcin widział tego diabła jako dzieciak. Potem Rysiek. Tylko czy to na pewno był diabeł? Strach ma wielkie oczy. Kto ubrany na czarno przeganiał dzieci z sadu? Ksiądz? Rozsądek to podpowiadał, przecież to był sad proboszcza i jego gruszki. Tylko jaki to miało związek z porwaniami chłopców? Może żaden.

Marcin uznał, że musi koniecznie rozpytać się wśród mieszkańców Szczepanowa, czy słyszeli opowieści o diable w sadzie. Zaczął niecierpliwie wiercić się na krześle.

– To dzięki, Romek – powiedział. – Muszę lecieć. Mam robotę.

Na dźwięk tych słów z pokoju niespodziewanie wyszła Justyna i zapytała go z uśmiechem:

– Wpadniesz później na obiad?

– Nie, dziękuję. – Uśmiechnął się przepaszająco. – Powinienem wracać do pracy.

– Trudno. Odwiedzisz nas jeszcze?

– Jasne, chętnie wstąpię. Pewnie w ciągu najbliższych kilku dni często będę w Szczepanowie.

Romek odprowadził go do samochodu. Marcin nagadał mu jeszcze na temat picia. O dziwo, gospodarz słuchał, przytakując ze spuszczoną głową. Zakrzewski nie wiedział, czy jego słowa przyniosą jakiś skutek. Nie miał wielkiej nadziei. Przy wyjściu oddał Justynie butelkę wódki, którą zabrał jej mężowi. Schowała ją tak, żeby nie widział.

Na odchodne zapytał Romka:

– Powiedz mi prawdę. Kto namalował ten napis na murze przed waszym domem w stanie wojennym?

Romek wybuchnął głośnym śmiechem.

– Jak to kto? Ja i mój brat – odpowiedział. – Nawet ojciec

o niczym nie wiedział!

– Nie mogliście wymyślić lepszego hasła? Na przykład: „precz z komuną” albo „precz z Jaruzelskim”? Strasznie długie było.

– Ha, ha! Byliśmy jeszcze młodzi...

– Jak myślisz? Kogo mógłbym zapytać o tego diabła? – zapytał jeszcze Marcin.

Roman wzruszył ramionami z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie spodni. Wskazał głową jakiś punkt po przeciwnej stronie ulicy.

– Bogdański wiele lat kosił tam trawę, ale on już nie żyje – powiedział.

Marcin spojrział w kierunku wskazanym przez kolegę. Nie więcej niż sto metrów dalej, zaraz przy końcu muru, widać było zardzewiałą bramę i gęste krzaki leszczyny. Poczłł dziwne napięcie. Chciał jak najszybciej pożegnać Romka.

– No to cześć! – rzucił.

– Cześć!

Uścisnęli sobie dłonie i Romek wrócił do domu. Marcin został sam na podwórku, ale nie wsiadł do samochodu, tylko wyszedł na chodnik i przez chwilę przyglądał się wjazdowi na dawną posesję Bogdańskiego. Później spojrział w prawo, potem w lewo, lecz nigdzie nie dostrzegł srebrnego forda. Czyżby już zakończył pracę?

Nagle zrozumiał zagadkę roku 1965. Już wiedział, dlaczego cała sekwencja zdarzeń z wieczoru 27 września 1965 roku wydawała mu się dziwna.

To było jak błysk.

Teraz musiał tylko odpowiednio postawić pytanie i prawidłowo na nie odpowiedzieć.

XXIV

Przypomniął sobie, co powiedział dziadek Władysław. To Bogdański zainicjował pościg za wyimaginowanym porywaczem. Skąd Bogdański wziął się w tamtym miejscu o tej porze? Nikt nie zadał sobie takiego pytania.

Nie padło też inne, które teraz analizował Marcin.

Co by zrobił morderca tamtego dnia w 1965 roku, gdyby poszukiwania porwanego chłopca ruszyły, zanim jeszcze zdążył ukryć ciało? Gdyby był o krok od zdemaskowania? Odpowiedź była banalnie prosta i nasuwała się sama.

Trzeba było zmylić pościg, wskazując fałszywy trop. Dzięki temu morderca zyskiwał kilka minut. Wystarczającą ilość czasu, żeby zabrać i ukryć ciało.

Bogdański nie pojawił się w żadnych zeznaniach z roku 1965. Dziadek Władysław mówił, że wiele osób uczestniczących w tamtych zdarzeniach nie złożyło zeznań. Może Bogdański był jedną z nich?

Z bijącym szybko sercem, z uczuciem podniecenia, jakie pewnie towarzyszy psu, który po długim poszukiwaniu nagle chwyta właściwy trop, wrócił do samochodu. Odpalił silnik i wyjechał na ulicę Długą. Skręcił w lewo i zatrzymał się kilkadziesiąt metrów dalej, na poboczu drogi, przed bramą prowadzącą na podwórko Bogdańskiego. Wsiadł z auta i powoli podszedł do ogrodzenia. Drżącymi rękami sięgnął po paczkę papierosów, które kupił poprzedniego dnia w kiosku nad fosą przy operze, i zapalił.

Brama była zardzewiała, wisiał na niej gruby łańcuch

zawinięty kilkakrotnie i zabezpieczony dużą kłódką, którą również od dawna musiała zżerać rdza. Przyjrzał się jej dokładnie. Ktoś chyba nasmarował ją oliwą. Widocznie ciężko się otwierała. Ktoś musiał wchodzić na podwórko. Marcin znowu przypomniał sobie słowa dziadka. Podobno syn Bogdańskiego płacił sąsiadowi z naprzeciwka, Dąbrowskiemu, za zajmowanie się posesją. Umowa musiała wciąż obowiązywać, bo trawa na całym podwórzu była dokładnie skoszona przed zimą. Do bramy przylegała mała furтка, którą teraz próbował otworzyć Marcin. Okazało się jednak, że jest bardzo mocno przywiązana do słupka drutem, który, jak całe ogrodzenie, zdążył zardzewieć i teraz nikt nie byłby w stanie go rozplątać bez narzędzi do cięcia metalu.

Palił papierosa i patrzył na zrujnowany dom w głębi posesji położonej przy samym murze dawnego pegeeru. Pod murem, na samym jego końcu, dostrzegł wydzielony pas ziemi szerokości około czterech i pół metra prowadzący na podwórko, na którym, frontem do ulicy, stał dom. Przed domem było spore podwórze, a za załamaniem muru widać było dach jakiegoś budynku gospodarczego, wyglądający lepiej niż dach domu.

Marcin przypomniał sobie mieszkającego tu przed laty człowieka. Miał przed oczami Bogdańskiego opartego o bramę i obserwującego ulicę z papierosem w ustach. Ubrany był w coś, co przypominało szary kombinezon roboczy, miał pewnie z sześćdziesiąt pięć lat, ale ciągle był postawny i szeroki w klatce piersiowej, siwe włosy zaczesywał do tyłu. Bardzo często stał tak oparty o bramę. Życie chyba tragicznie go doświadczyło, bo Bogdański był zgorzkniały i często wręcz wrogi w stosunku do innych ludzi. Kiedyś, Marcin nie pamiętał dokładnie, czy było to przed porwaniem Ryśka, czy po jego porwaniu, wracał ze szkoły i kopał przed sobą duży ziemniak znaleziony na drodze. Nie zauważył Bogdańskiego opartego o płot, więc podskoczył w górę ze strachu, kiedy usłyszał zachrypnięty głos: „Przyjdą takie czasy, że jeszcze będziesz zbierał odpadki jedzenia na ulicach”. Innym

razem był chory. Przychodnia zdrowia mieściła się w starym pałacu przy stawie w dawnym majątku. Na górze mieszkali ludzie, a na dole gabinet miał dentysta, naprzeciw była poczekalnia dla chorych i dwa małe pomieszczenia dla lekarza i pielęgniarki. W poczekalni zawsze był tłum ludzi, w większości emerytów. Marcin pamiętał, że miał wtedy trzydzieści dziewięć stopni gorączki i przyszedł na tyle późno, że w kolejce przed nim było kilkanaście osób, w tym Bogdański. Siedział więc w kącie wymęczony wysoką temperaturą, słaby i senny. Dostrzegła to sąsiadka z bloku, w którym mieszkał z rodzicami, i powiedziała głośno, że skoro jest taki chory, powinien wejść bez kolejki. Prawie wszyscy się zgodzili – prócz Bogdańskiego. Wywiązała się kłótnia i w końcu Bogdański uległ presji, ale stało się coś nieoczekiwanego. Ten wielki, wyglądający na twardego mężczyznę... rozplakał się z bezsilnej złości. Marcin pamiętał tylko, że mamrotał do siebie pod nosem. Mówił, że nikt nie docenia kombatantów, którzy walczyli z faszystami, i nikt nie darzy ich dostatecznym szacunkiem.

Zakrzewski wyrzucił niedopałek i stał jeszcze chwilę, przytłoczony wspomnieniami. Wreszcie podszedł do bramy i poruszył nią bez większych nadziei. Nie było szans wejść do środka. Oczywiście nie była wysoka i mógłby ją swobodnie przeskoczyć, ale nie chciał w ten sposób włamywać się na prywatny teren. Postanowił zajrzeć do Dąbrowskich. Razem z Mariuszem Dąbrowskim grał kiedyś w piłkę nożną w miejscowym LZS. Mariusz był kilka lat młodszy, ale powinien go pamiętać. Przeszkodą mogła być wczesna pora, w tej chwili pewnie był w pracy.

Tak było w istocie, tyle że Mariusz pracował w warsztacie samochodowym w garażu przylegającym do jego domu. Dostrzegł Marcina, kiedy ten stanął na progu.

– Czym mogę służyć? – zapytał, myśląc, że odwiedził go nowy, nieznany klient.

– Cześć – odezwał się Marcin. – Nie wiem, czy mnie poznajesz, jestem Marcin Zakrzewski.

– Marcin! – Mariusz wyraźnie się ucieszył. – Jasne, że poznaję! Nie widziałem dobrze pod światło. Kupę lat się nie widzieliśmy! Co cię sprowadza?

Wytarł ubrudzone smarem ręce w szmatę, ale niewiele pomogło. Podał więc Marcinowi nadgarstek do uściśnięcia. Rękaw koszuli miał jeszcze bardziej ubrudzony niż ręce, Marcin nie zwrócił jednak na to uwagi. Wyciągnął z kieszeni policyjną odznakę.

– Właściwie jestem tu służbowo – powiedział.

Mariusz skrzywił się.

– Szukasz skradzionych aut? – zapytał. – Ja się nie bawię w takie rzeczy. Wszystkie części mam legalnie kupowane w hurtowni w Środzie Śląskiej. Po co mi kłopoty?

Marcin uśmiechnął się lekko.

– Nie zajmuję się samochodami – uspokoił go. – Pracuję w wydziale zabójstw.

Mariusz gwizdnął przez zęby.

– Cholera! Nie wiem, co gorsze – rzucił, ale uśmiechając się już od ucha do ucha. – W czym mogę ci pomóc?

– Chodzi mi o dom Bogdańskiego – powiedział Marcin.

Jego kolega zrobił wielkie oczy.

– O tę rudere? Człowieku, nikt się tym nie interesuje od piętnastu lat.

– Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. Podobno syn Bogdańskiego wam coś płaci za opiekę nad posesją?

Mariusz wskazał dwa plastikowe krzesła przy wejściu do warsztatu, akurat w słońcu stojącym jeszcze wysoko. Usiedli, Mariusz zapalił, a Marcin rozpiął kurtkę. W słońcu było bardzo ciepło.

– W 1988 roku, w lecie... – zaczął opowiadać Mariusz. – Pamiętam dokładnie, bo mówiło się o mających się rozpocząć

rozmowach Okrągłego Stołu albo może już się zaczęły? Nieważne. Dość, że wtedy do Bogdańskiego przyjechał czerwonym polonezem caro jego syn. Zapamiętałem markę, takie zboczenie zawodowe. Wszyscy się zdziwili, że Bogdański ma syna. Przez lata nic nie wspominał, ale on był raczej skryty i niewiele o sobie mówił. Ten syn powiedział, że ojciec jest chory i zabiera go gdzieś do domu opieki.

– Wiesz gdzie?

– Nie mam pojęcia. – Dąbrowski pokręcił głową. – Wtedy rozmawiał z nim mój nieżyjący już ojciec, ale też się nie zapytał. No i syn zabrał tego Bogdańskiego. Nas poprosił o opiekę nad domem w zamian za parę groszy miesięcznej opłaty. Ojciec miał kosić trawę, od czasu do czasu sprawdzać, czy nikt niczego nie demoluje, wpuszczać człowieka z elektrowni do odczytu licznika. Miał też płacić rachunki, ale nie jestem pewien.

– Teraz nie płacicie już rachunków? – wtrącił Marcin.

– Nie, bo kilka lat temu odłączyli dom od linii energetycznej. Umowa miała obowiązywać do czasu rozwiązania spraw spadkowych, ale trwa do dzisiaj. Mnie w to graj. Raz na pół roku mam pięćset złotych za to, że od czasu do czasu tam zajrzę i trzy razy w roku koszę trawę.

– Jak dostajesz kasę?

– Przekazem pocztowym. Kiedyś syn Bogdańskiego płacił co miesiąc sto złotych, ale z dziesięć lat temu napisał list, że będzie płacić dwa razy w roku. Szkoda, że dom popadł w ruinę, ale i tak teren jest coś wart. Działki w Szczepanowie chodzą teraz prawie po siedemdziesiąt złotych za metr. Sam bym to od niego odkupił. Co prawda działka ma głupi kształt, ale co tam. Tylko nie mam kontaktu z tym młodym Bogdańskim.

Wystająca spod rozpiętej kurtki rękojeść walthera przyciągała spojrzenia Mariusza jak magnes. Marcin musiał zmienić pozycję i ukryć broń pod pachą.

– Za domem jest ogród?

– Nawet spory, ale ja tam nie zaglądam – odpowiedział Mariusz. – Zarósł krzakami, nie mam na niego umowy.

– Jasne. – Marcin skinął głową. – A co się stało ze starym Bogdańskim?

– Mówią, że szybko zmarł w tym domu opieki.

– Skąd ludzie wiedzą, że zmarł?

– Cholera wie! Może ktoś miał z nim kontakt?

– Ty nasmarowałaś kłódkę?

– Tak, zardzewiała i nie chciała się otwierać.

– Rozumiem. Posłuchaj, mam do ciebie wielką prośbę. – Marcin nachylił się do kolegi. – Dasz mi klucze, żebym mógł zajrzeć do domu Bogdańskiego?

Dąbrowski wzruszył ramionami.

– Czego nie? – odpowiedział pytaniem. – Tyle lat nikt tam nie chodził. Zaraz je znajdę.

Wstał i zniknął w domu. Marcin czekał cierpliwie, ale Mariusz nie wracał, więc wstał i wyszedł na drogę. Z lewej strony widać było kościół Świętego Szczepana i otaczający go mur, przy którym zaczynała się ścieżka prowadząca na stary cmentarz i do kościelnego sadu. Sam sad był przysłonięty dużym budynkiem z czerwonej cegły, stojącym w pewnym oddaleniu, po drugiej stronie ulicy, za małą rzeczką. Znów poczuł niepokój.

Wreszcie wrócił Mariusz z kluczami w rękę, klnąc pod nosem.

– Przepraszam, ale nie mogłem znaleźć – wytłumaczył swoją długą nieobecność. – Zawsze leżą na wierzchu, a dzisiaj diabeł nakrył je ogonem.

„Widziałem, jak diabeł chodzi tam na palcach”.

Niespodziewane wspomnienie sprawiło, że Marcin wzdrygnął się mimowolnie.

– Coś się stało? – zaniepokoił się Dąbrowski.

– Nie, wszystko w porządku – odpowiedział szybko. – Myślę, że niedługo oddam ci te klucze.

– Nie ma pośpiechu. Będę się grzebał z tym gratem do

wieczora. – Mariusz wskazał starego golfa bez kół stojącego na podnośniku hydraulicznym.

– To dziękuję.

– Nie ma sprawy.

Gospodarz wrócił do pracy, a Marcin wolnym krokiem ruszył w kierunku domu Bogdańskiego.

Większy klucz pasował do kłódki zabezpieczającej bramę. Otworzył ją, a następnie z trudem rozplątał zardzewiały łańcuch, który zostawił mu na rękach rude zabrudzenia. Powiesił go na ogrodzeniu, otrzepał dłonie, po czym pchnął bramę. Nie ustąpiła, tylko góra ugięła się do środka i wróciła na swoje miejsce. Wyrosnięta ponad miarę trawa blokowała ją na dole. Trzeba było unieść w górę całe skrzydło bramy i pchnąć mocniej. Dopiero wtedy zrobiła się szczelina, przez którą Marcin wszedł na podwórze. Klucze schował do kieszeni kurtki i wolno poszedł w kierunku domu.

Pamiętał, że kiedyś podwórze i prowadząca do niego droga były utwardzone, ale niezarośnięte. Z roku na rok trawa coraz śmieiej wypełzała w kierunku środka, aż w końcu wszystko zakrył zielony dywan, po którym teraz stąpał. Z prawej strony miał zniszczony zawilgotniały mur porośnięty z rzadka mchem i pokryty łuszczącą się białą farbą, z lewej wysokie ogrodzenie, skryte w bluszczach, a za nim nowy dom wybudowany na sąsiedniej działce. Marcin nie był zdziwiony tym, że sąsiad chce się jak najskuteczniej odgrodzić od tego królestwa ruin i zgliszcz. Widok z okna na zrujnowany dom pewnie nie był przyjemny.

Doszedł do załamania muru, w którym znajdował się budynek gospodarczy z czerwonej cegły. Kiedyś można tu było trzymać świnie i kury, teraz nie miał drzwi ani okien, w środku leżała w nieładzie sterta zniszczonych narzędzi i gruzu. Wreszcie Marcin stanął naprzeciw domu Bogdańskiego, obok studni przykrytej betonowym kręgiem i zardzewiałej pompy.

Sam budynek nadawał się już tylko do rozbiórki. Na wielkich

powierzchniach ze ścian odpadł tynk, odsłaniając cegły. Ściany w środku na pewno były zaatakowane przez wilgoć i grzyb, dach na środku tworzył niebezpieczny łuk ku dołowi i w każdej chwili groził zawaleniem. Szyby w oknach były powybijane, w miejsca ubytków ktoś powsadzał płyty pilśniowe i przybił gwoździami do futryn. Z drzwi wejściowych łuszczyła się brązowa farba olejna, brakowało klamki, zamknięte były na rygiel zabezpieczony łańcuchem i kłódką.

Najpierw Marcin obszedł dom wokoło, zaglądając do okien. Do środka nie wpadało zbyt dużo światła i niewiele widział, prócz szarych kształtów mebli i pożółkłych zasłon. Na tyłach domu był spory ogród, który ciągnął się aż do drogi biegnącej ponad rzeczką stanowiącą granicę parku. Na całej długości ogrodzenie jeszcze stało nienaruszone przez czas ani niezniszczone przez wandali. Widać było, że ogrodu nikt nie kosił od wielu lat. Pokrywało go morze uschniętej trawy, ponad które strzelały wysokie i jeszcze zielone tegoroczne odrosty. Wzdłuż ogrodzenia, po lewej stronie, stały powykręcane kikuty obumarłych drzew owocowych i krzaków czarnej porzeczki. Marcin wrócił na podwórze z drugiej strony domu.

Zanim jednak otworzył kłódkę na drzwiach, wrócił do samochodu po latarkę, którą zawsze woził w skrzynce na narzędzia. Dawno nie sprawdzał baterii, na szczęście latarka świeciła mocnym i jasnym światłem.

Otworzył kłódkę mniejszym kluczem, rozplątał łańcuch, zdjął rygle i pchnął lekko drzwi. Otworzyły się z jękiem, ale nadspodziewanie łatwo. Ze środka uderzył go w nozdrza gryzący w gardło i oczy zapach wilgoci, stęchlizny i kurzu. Zaklął pod nosem, znalazł w kieszeni kurtki chusteczkę i wszedł do środka z latarką w jednej ręce, drugą przyciskając do nosa chusteczkę.

Krótką sień prowadziła prosto do kuchni, po lewej stronie znajdował się pokój, a po prawej schody prowadzące na górę. Omiótł snopem światła zakamarki sieni. Wszystko pokrywała

gruba warstwa kurzu, z sufitu zwisały girlandy starych pajęczyn. Na pewno nikt tu nie zaglądał od wielu lat. Zainteresowały go buty stojące obok drzwi wejściowych oraz dwa palta na wieszaku wbitym w ścianę przy drzwiach. Nikt nie spakował rzeczy starego Bogdańskiego, zabierając go do domu opieki? Może miał to zrobić później, ale spory o spadek skutecznie go do tego zniechęciły?

Wszedł do pogrążonego w półmroku pokoju. Naprzeciw stał kredens z przeszkloną górną częścią, wewnątrz było szkło, przy ścianie po prawej stronie szafa na ubrania, na środku stół, cztery krzesła, w rogu wysoki piec kaflowy, a pod oknem rozłożona wersalka i brudna pościel w nieładzie. Na podłodze leżał dywan, ale osiadły na nim kurz skutecznie zatarł wszelkie wzory na jego powierzchni, a ewentualne kolory zamienił w szarość. Po kilku sekundach szarpania się z zamkniętymi drzwiami wszedł do kuchni. To pomieszczenie również wyglądało tak, jakby właściciel wyszedł tylko do kiosku po papierosy i zaraz miał wrócić. Na stole były kubki i talerze, na kuchennym blacie cukierniczka wypełniona do połowy zbrylonym cukrem, obok butelka po wódce Żytniej, z kłosami na nalepce, które Marcin doskonale pamiętał z lat młodości. Przy piecu nadal leżały szczapy drewna na rozpałkę i kubeł z węglem. Przyjrzał się talerzom. Ktoś pozostawił je brudne, ponieważ widać na nich było wyschniętą pleśń.

Po chwili przyzwyczał się do zapachu stęchlizny i mógł schować chusteczkę do kieszeni. Wrócił do sieni. Pod schodami odkrył spiżarkę. Zajrzał do środka. Na półkach, pośród pajęczyn, stały narzędzia, stare buty, puste butelki, baniak na wino. W kąciu zapas węgla. Nic szczególnego.

Marcina coraz bardziej niepokoiła pewna myśl. Dlaczego mieszkanie wygląda, jakby właściciel nie planował się nigdzie wyprowadzać? Zajrzał do szaf, do szuflad, rozejrzał się po kątach. Miał wrażenie, jakby niczego tu nie brakowało. Nikt nie

spakował staremu nawet walizki z bielizną i najpotrzebniejszymi rzeczami? Dziwne, chociaż... Może rodzina kupiła mu nowe ubrania? Może choroba przyszła nagle i nie było już na nic czasu?

Chodził po małym mieszkanku coraz bardziej rozczarowany. Nie wiedział dokładnie, czego szuka, nie miał sprecyzowanych oczekiwań co do tej wizyty, jednak czuł się zawiedziony. Kolejny fałszywy trop?

Wspiął się po skrzypiących schodach na piętro. Tu było jeszcze gorzej. Jeden wielki nieład, skład rupieci, porzrzucanych gdzie popadnie, nikomu niepotrzebnych, zatopionych w kurzu, za zasłoną z brudnych pajęczyn. Poczul obrzydzenie i nie szedł dalej. Gospodarz od wojny mieszkał sam. Jak każdy mężczyzna z tego pokolenia, nie był pewnie stworzony do utrzymywania przesadnego porządku.

Marcin z ulgą wyszedł na zewnątrz, zaciągając się świeżym powietrzem. Było wpół do drugiej po południu, słońce rozpoczęło wędrówkę w dół, ale podwórko było jeszcze jasno oświetlone. Przysiadł na zimnym betonowym kręgu studni i grzał się w jego promieniach. W środku było zimno, jakby dom pamiętał jeszcze mrozy z poprzedniej zimy. Miał wrażenie, że cały przesiąkł zapachem stęchlizny. Wyciągnął więc papierosa i zapalił, uciszając wyrzuty sumienia. Takie popalanie było prostą drogą do powrotu do nałogu, który pokonał wiele lat temu. „Tylko jedna paczka” – powiedział sobie w duchu.

Tak czy inaczej, musiał dokładnie sprawdzić, czym zajmował się Bogdański, dotrzeć do jego rodziny, rozpytać o niego dawnych sąsiadów, kolegów, może pojechać do ośrodka opiekuńczego, w którym spędził swoje ostatnie dni, jeśli oczywiście placówka przetrwała huragan zmian związanych z przejściem od gospodarki centralnie planowanej do wolnego rynku. Właśnie wyciągał telefon, żeby zadzwonić do Pauliny, kiedy nagle zdał sobie sprawę, że mieszkanie Bogdańskiego było za małe jak na

dom. Tylko pokój z kuchnią? Kiedy obchodził budynek dookoła, widział więcej okien z zewnątrz niż od środka. Czyżby przegapił pokój przylegający z lewej strony do kuchni? Musiał taki być. Widział od strony ogrodu okno zasłonięte czarną zasłoną. Nie zauważył drzwi?

Wyrzucił niedopałek na trawę i wrócił szybko do domu. Jeszcze raz rozejrzał się dokładnie po kuchni i pokoju. Żadnych drzwi! Podrapał się po głowie skonsternowany. W kuchni natknął się na jednolitą, gładką ścianę, a w pokoju, w miejscu, gdzie teoretycznie powinny być drzwi, stała szafa z ubraniami. Zbliżył się do niej i poświecił latarką w szczelinę pomiędzy szafą a ścianą. Potem włożył tam dłoń, lecz nic nie wymacał, tylko ubrudził sobie palce. Odruchowo wytarł je w spodnie, zostawiając na nich białe smugi. Nawet tego nie zauważył. Podekscytowany myślał intensywnie. Szafa musiała zasłaniać wejście do brakującego pomieszczenia. Odsunął się o dwa kroki i przyjrzał meblowi krytycznie. Nie był pewny, czy da radę w pojedynkę odsunąć taki solidny, drewniany mebel. Pomyślał, że spróbuje, a jeśli się nie uda, poprosi o pomoc Mariusza Dąbrowskiego. Zaparł się ramieniem, ale tak jak przypuszczał, mimo jego starań szafa drgnęła może o milimetr. Już miał zrezygnować, kiedy nagle usłyszał głośny trzask i szafa zaczęła pochylać się do przodu. Zaskoczony Marcin najpierw odskoczył, potem wykonał taki ruch, jakby chciał ją przytrzymać. Na szczęście tego nie zrobił. Szafa przekrzywiła się coraz szybciej i wreszcie runęła z łoskotem na podłogę, wzniesając chmurę kurzu. Upadając, zahaczyła o stół i zgmiotła krzesło, którego odłamki rozbiły szybę w kredensie. Katastrofa była bardzo efektowna. Marcin wybiegł na zewnątrz i czekał, aż kurz opadnie. Nawet nie zdążył zobaczyć, czy za szafą jest ślad po drzwiach. Domyślił się też przyczyn niespodziewanego upadku. Mebel stał na wysokich nogach, które przez lata spróchniały i teraz nie wytrzymały ciężaru.

Wrócił do domu Bogdańskiego po kilku minutach nerwowego oczekiwania. Kurz jeszcze nie osiadł, ale można już było wejść do środka i oddychać bez zakrywania ust chusteczką. Trop był dobry. Szafa zasłaniała wejście do jeszcze jednego pomieszczenia. Drzwi niestarannie zamurowano przypadkowo ułożonymi pustakami i ceglami różnej wielkości. Marcin zaciekawiony podszedł bliżej i obmacał to miejsce dokładnie. Nerwy miał napięte do granic wytrzymałości. Zaprawa zawierała więcej piasku niż cementu i kruszyła się pod palcami. Na wysokości twarzy cegły były wyjątkowo źle dopasowane i zaprawa wykruszyła się samoistnie, tworząc szeroką szparę. Zajrzał do środka, ale widział tylko ciemność. Przypomniał sobie, że od strony ogrodu okno jest zasłonięte czarną zasłoną. W nozdrza uderzył go odór stęchlizny i wilgoci, ale inny niż w pozostałych częściach domu, pomieszany z jakimś ostrym, nieprzyjemnym zapachem, który był mu znajomy, jednak nie potrafił go teraz zidentyfikować.

Bez wahania wrócił do spiżarki pod schodami, gdzie wcześniej widział narzędzia na półkach. Szukał dużego młota. Znalazł tylko niewielki, ręczny młotek i ważył go w dłoni sceptycznie, wodząc wzrokiem po półkach w poszukiwaniu czegoś cięższego. Zobaczył siekiere i sięgnął po nią pewnym ruchem. Była ciężka i już pierwsze uderzenie obuchem w cegły spowodowało, że dwie wpadły z łoskotem do ukrytego pokoju. Gorączkowo rozwałął mur, wyciągając cegły na zewnątrz. Zahaczał je ostrzem i ciągnął do siebie. Nie minęło pięć minut i wejście stało przed nim otworem. Otarł pot z czoła, wyciągnął z kieszeni latarkę i poświecił.

Snop światła padł na dyktę zasłaniającą okno. Zakrzewski ostrożnie wszedł i zerwał ją jednym ruchem. Do pomieszczenia, przez brudne szyby, wpadły promienie słoneczne. W ich smugach widział tańczące wesoło drobinki kurzu. Marcin zamrugał i zaczął rozglądać się ciekawie, oświetlając latarką

miejsca, gdzie nie dochodziło światło dnia. Serce głośno dudniło mu w piersiach. Po co zamurowałaś ten pokój? Co takiego trzeba było ukryć przed światem?

Nagle zastygł w bezruchu, zacisnął mocno szczęki i poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Po lewej stronie od wejścia, oparty o ścianę, na sparciałych oponach, zardzewiały i zakurzony, stał rower marki Wigry 3. Marcin doskonale znał ten rower. Wielokrotnie na nim jeździł i nie mógł go nie poznać, nawet po trzydziestu latach. Sam naklejał nalepki na przedniej ramie i sam zniszczył lampę z przodu, zahaczając nią o grubą gałąź w lesie nad wodospadem, nieopodal ostatnich zabudowań zachodniej strony Szczepanowa. Pobił się o to z bratem i musiał skleić połamane części lampy szarą taśmą klejącą. Strzępy tej taśmy widział teraz zwisające z przodu roweru. Nie miał cienia wątpliwości. To był rower jego brata Ryśka. To właśnie na nim jechał do domu przed porwaniem, to ten rower zniknął razem z nim.

Marcin opuścił latarkę i zagryzł wargi do krwi, żeby uspokoić oddech. Nie spodziewał się takiego odkrycia w domu Bogdańskiego. Sam nie wiedział, co właściwie teraz czuje. Przerazenie zmieszane z wściekłością, rozczarowanie połączone ze strachem, ból i bezsilność. Teraz dopiero zrozumiał: przez cały czas, przez te wszystkie lata miał nadzieję, że jego starszy o jedenaście minut brat jednak żyje.

Opanował się i znowu zaczął myśleć rozsądnie. Nic nie było przesądzone. Rower mógł się tutaj znaleźć zupełnie przypadkowo, jego obecność nie musiała świadczyć o śmierci brata. Nie miał jednak wielkich nadziei.

Stał w jednym miejscu i bał się ruszyć, żeby nie zatrzeć ważnych śladów. Świecił latarką wokoło, dokładnie lustrując pomieszczenie. Po lewej stronie, na tej samej ścianie, na której znajdowały się zamurowane drzwi, stał regał zбитy z kilku niepasujących do siebie desek. Na półkach leżały różnej

wielkości zaśnieżone rzeźnicze noże, cała kolekcja nożyczek od małych do takich do cięcia blachy włącznie, a na samym dole trzy siekiery różnej wielkości. Na widok takiego arsenału Marcinowi zrobiło się słabo. Dalsze oględziny pomieszczenia jeszcze spotęgowały to uczucie. Przy ścianie po lewej, za rowerem, stał w kącie masywny metalowy stół z czarnymi zaciekami na brzegach i nogach. Obok duży pniak, jakich jeszcze do dziś używa się do rąbania drewna na opał. Wierzch pniaka również był poczerniały, zaś jego boki wyglądały jak zachlapane olejną farbą.

Marcin poczuł gęsią skórę na całym ciele i natychmiast żołądek skurczył mu się bez ostrzeżenia, wywołując falę mdłości. Ślina napłynęła do ust. Przełknął ją z trudem. Światło latarki zaczęło delikatnie drgać na ścianach. Wyobraźnia podsunęła mu, do czego mogły być wykorzystywane narzędzia zgromadzone na półkach i czym są zacieki na stole i pieńku. To krew.

Snop światła z latarki zatrzymał na środku pomieszczenia. Zobaczył kwadratową metalową klapę o wymiarach metr na metr, z okrągłym uchwytem na środku. Na jednym z boków widać było pozostałości po zardzewiałym skoblu, na którym można było zawiesić kłódkę, uniemożliwiając w ten sposób dźwignięcie klapy. Marcin schylił się i przesunął ją na tyle, żeby zobaczyć, co jest poniżej. W czarną szczelinę poleciała lawina kurzu i szurze odchody. Poświecił w dół. Znowu zrobiło mu się niedobrze.

Poniżej dojrzał coś na kształt ziemianki, pomieszczenie wysokości dorosłego mężczyzny, niewiele szersze niż klapa w podłodze. Ściany umocnione były spróchniałymi deskami. Na dnie leżała brudna szmata. Czy tu Bogdański więził porwanych chłopców? Czy w tej ponurej ziemiance jego śmiertelnie przerażony brat, podobnie jak ośmiu innych chłopców wcześniej, spędził ostatnie chwile życia? Pod wpływem tej myśli zadrżał. Narastały w nim wściekłość, nienawiść, żądza zemsty i... zwykła,

ludzka bezsilność, odbierająca całą chęć do działania. Już za późno na zemstę, sprawiedliwość, napiętnowanie, karę. Bogdański nie żył od ponad dwudziestu lat.

Jeszcze raz omiótł latarką wewnątrz ziemianki. Na jednej z desek zobaczył wydrapany dziecięcym pismem koślawy napis: „mamo”. Zerwał się gwałtownie na nogi. Musiał uciec chociaż na chwilę z tego straszego miejsca kaźni. Wybiegł na podwórko, zgasił latarkę i położył ją na betonowej pokrywie pompy. Spojrzał na swoje dłonie uwalane rudą rdzą i kurzem i cały poczuł się brudny. Marzył o tym, by opłukać dłonie. Sprawdzał, czy pompa działa, ale rękojeść poruszyła się zbyt łatwo. Widać skórzana uszczelka tłoka już dawno uległa zniszczeniu. Wylał ręce w spodnie i nagle zamarł w bezruchu. Nie o brud fizyczny tu chodziło. To było zbrukanie psychiczne, podobnie czuł się w swoim mieszkaniu na Kossak-Szczuckiej, tylko teraz uczucie było nieporównywalnie silniejsze. Nic nie zostało jeszcze udowodnione, ale ten straszliwy, zimny i bezwzględny nastrój ukrytego pokoju w domu Bogdańskiego sprawił, że Marcin właściwie miał pewność. To tam na przestrzeni dziesiątek lat rozgrywały się dramaty dzieci. Przypomniawszy sobie rozmowę z księdzem w sadzie przy starym cmentarzu. Miejsca pamiętają ból, cierpienie, strach i śmierć. Potem bez słów opowiadają o tym wszystkim, którzy znajdują się w ich obrębie, siejąc w duszach niepokój i przerażenie.

Drżącymi rękami wyciągnął papierosa, zapalił i zaciągnął się gwałtownie. Musiał się uspokoić i tam wrócić. Nie skończył jeszcze oględzin pomieszczenia. Było to jednak trudne. Zapalił jeszcze jednego papierosa i chodził po podwórku to w jedną, to w drugą stronę. Przypomniawszy sobie, że wielokrotnie widział Bogdańskiego jeżdżącego po wiosce rowerem. Raz nawet spotkał go na leśnej drodze niedaleko leśnego przysiółka Lisiny, kiedy wybrał się z rodzicami na grzyby w piękną jesienną niedzielę. Czy to właśnie rowerem przywoził tu porwanych chłopców?

Prawdopodobieństwo było duże.

Wreszcie trochę się uspokoił. Zaczęły znowu dochodzić do niego odgłosy normalnego życia wsi. Ulicą wolno przejechał samochód – przez chwilę wydawało mu się, że to srebrny focus – za murem, w pewnej odległości, ktoś używał piły łańcuchowej do cięcia drewna, u sąsiadów za wysokim płotem dzieci grały w piłkę, robiąc przy tym dużo hałasu. Dookoła toczyło się normalne życie, tymczasem na posesji Bogdańskiego czas się zatrzymał, ukrywając przed światem tajemnice tego domu i jego gospodarza. Marcin nie mógł zrozumieć, jak to możliwe, że nikt nie zainteresował się tym domem od 1988 roku. Dlaczego nikt nie szukał spadkobierców wtedy, kiedy energetyka odcinała go od prądu? Urzędnicza indolencja? Pewnie nikomu nie chciało się tym zająć.

Wreszcie wziął latarkę i wrócił do ukrytego pokoju. Tym razem zaczął oględziny od prawej strony. Ściana była gładka, gipsowana. Niespodziewanie dostrzegł na niej jakieś napisy. Zbliżył się i starł zabrudzenia. Znowu poczuł narastającą w duszy wściekłość. Ktoś – Bogdański? – ostrym przedmiotem wyrył datę: *30 IX 1961*. Tego dnia znad stawu w Brodnie porwany został Stefan Rudnicki. W innych miejscach zobaczył inne daty. Dwie różniły się od oficjalnych dat porwań o jeden dzień. Tak było w przypadku Zenona Rutkowskiego – *28 IX 1949*, i Franka Kuriaty – *26 IX 1969*. O ile w pierwszym przypadku zgłoszenie o porwaniu nastąpiło dwa dni później, ta druga data musiała być pomyłką porywacza.

Na ścianie przy drzwiach – podobnie jak po przeciwnej stronie – stał regał, a na nim zwoje drutów, lin, sznurek do snopowiązałki, porwane i poplamione szmaty. Na najwyższej półce stały weki z klamrami na wierzchu. W pierwszej chwili Marcin pomyślał, że są w nich przetwory, prawie wszyscy we wsi robili kiedyś takie na zimę. Dopiero po dłuższym zastanowieniu zrozumiał, że myśl jest nonsensowna. Samotny mężczyzna miał

sobie robić kompoty na zimę? Jeśli nawet, raczej nie trzymałby ich w takim miejscu, tylko w spiżarni pod schodami albo w piwnicy, jeśli dom jest podpiwniczony. Sięgnął po jeden ze słoików, poświecił na niego latarką. Słoik był zabrudzony, ale dokładnie widać było jego zawartość.

Krzyknął głośno i odskoczył dwa kroki do tyłu, klnąc paskudnie. Słoik wyslizgnął mu się z ręki i rozbił o kamienną podłogę. Po pomieszczeniu rozeszła się ostra, drażniąca woń, którą wcześniej już tutaj czuł. Teraz była nieporównywalnie bardziej intensywna i Marcin natychmiast ją poznał. To był zapach formaliny. Przed oczami przeleciało mu wspomnienie wielkiej szafy w sali biologii, w nieistniejącym już starym budynku dawnej szkoły podstawowej, gdzie w zalakowanych naczyniach, w formalinie, przechowywane były zakonserwowane pomoce naukowe. Rośliny, żaby, jaszczurki, inne płazy i ich narządy wewnętrzne. Pamiętał ten zapach, kiedy przy porządkowaniu szafy ktoś stłukł jedno z naczyń z ropuchą.

Bogdański przechowywał w słoikach zakonserwowane w formalinie dziecięce dłonie.

XXV

Zakrzewski stał z zaciśniętymi mocno powiekami. Nie chciał tego widzieć. Która z tych dłoni należała do jego brata Ryśka? Może ta leżąca na kamiennej podłodze, pośród kawałków szkła z potłuczonego słoika? A może ta poczerniała i uschnięta, w nieszczelnym słoiku, z którego wyparowała cała formalina?

Ogarnął go dziwny chłód, ale zaczynał już panować nad nerwami. Oddech uspokajał się, mięśnie rozluźniały, mózg odzyskiwał zdolność do myślenia i wyciągania racjonalnych wniosków. Musiał kogoś zawiadomić o swoim odkryciu.

Wyszedł na podwórze, usiadł na pompie w tym samym miejscu, co poprzednio, i zapalił jeszcze jednego papierosa. Kaśka zapytała go kiedyś, czy jest gotowy poznać prawdę o porwaniu i przypuszczalnej śmierci swojego brata. Wtedy pytanie wydało mu się nonsensowne, oczywiście, że był gotów. Teraz nie miał już tej pewności. Wtedy zabrakło mu wyobraźni. Nie zastanawiał się, w jakich okolicznościach mógł umrzeć jego brat. Porwanie jednoznacznie kojarzyło mu się z natychmiastową śmiercią. Prawda była jednak inna, bardziej przerażająca. Bogdański przetrzymywał chłopców w zamurowanym pokoju i dokonywał na nich bestialskich eksperymentów. Mogły o tym świadczyć zatarte przez czas ślady przypominające krew i przede wszystkim obcięte dłonie. Czy także ich gwałcił? Ścisnął pięściami skronie, jakby próbował zgnieść w zarodku obrazy podsuwane mu bezlitośnie przez wyobraźnię. Nie pomogło. Czy dłonie obcinał chłopcom już po ich śmierci? Zrobiło mu się nagle przeraźliwie zimno. Zaciągnął

zamek błyskawiczny w kurtce pod samą szyję, ręce wcisnął głęboko do kieszeni. Wtedy ocknął się z pierwszego szoku. Wyciągnął telefon i odruchowo wybrał pierwszy numer, który przyszedł mu do głowy.

Do Pauliny.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedział do słuchawki i sam nie poznał swojego głosu.

Słyszał, jak wciągnęła gwałtownie powietrze.

– Co się stało? – zapytała nerwowo.

Zająknął się.

– Chyba... znalazłem mordercę ze Szczepanowa. Musisz mi pomóc, bo na razie jestem trochę rozbity.

– Wiesz, gdzie są ciała? – zapytała przytomnie.

– Jeszcze nie, ale jesteśmy chyba bardzo blisko.

Opowiedział jej krótko o swoim makabrycznym odkryciu. W miarę, jak mówił, wracał mu normalny ton głosu i był coraz spokojniejszy.

– Zadzwoń do Andrzeja Szmidta, niech jego ludzie znajdą wszystko, co się da, na temat niejakiego Bogdańskiego, zamieszkałego w Szczepanowie przy ulicy Długiej. Nie znam jego imienia ani żadnych innych szczegółów – ciągnął. – Z tego, co zdążyłem się dowiedzieć, w roku 1988 trafił do jednego z podwrocławskich domów starców. Zmarł niedługo potem. Ma syna. To jest teraz absolutny priorytet w sprawie. Trzeba go znaleźć i dyskretnie obserwować.

– Myślisz, że syn jest jego sukcesorem?

– Nie wiem – odpowiedział zgodnie z prawdą. – Na razie to pierwsza osoba na liście podejrzanych. Nie wykluczam, że jest niewinny i nawet nie wiedział o praktykach ojca.

– Rozumiem. Zaraz powiadomię Andrzeja.

– Zorganizuj ekipę. Niech tu natychmiast przyjeżdżają. Chyba będziemy mieli dużo pracy.

– Jasne – powiedziała szybko. – Wszystkim się zajmę. Nic się

nie martw. Czekaj na miejscu.

– Nie mam zamiaru się nigdzie ruszać.

– Dobrze.

– Paulina...

– Co?

– Porozmawiaj ze Sroką. Niech sam podejmie decyzję, ale ja uważam, że większość ludzi powinniśmy skierować do poszukiwań syna Bogdańskiego i skupić się na wątku ze Szczepanowa. Teraz nie ma najmniejszej wątpliwości, że wszystkie sprawy w jakiś sposób się łączą. Zresztą, niech on sam zdecyduje.

Zrozumiała, że jest w nie najlepszym stanie.

– Dobrze, porozmawiam z nim. Trzymaj się. Będę jak najszybciej.

Rozłączyli się.

Marcin wyszedł na ulicę i stanął oparty o maskę swojego auta. Nie chciał wracać na podwórze. Stał, właściwie o niczym nie myśląc, z rękami wciśniętymi w kieszenie kurtki. Marzył o kubku gorącej kawy albo najlepiej o dużej whisky z lodem. Zastanawiał się, co powie rodzicom, kiedy już uda mu się odnaleźć ciało brata i wyjaśnić okoliczności jego śmierci. Na pewno nie zdradzi im wszystkich szczegółów. Nie robi tego mamie.

Nawet nie zauważył, kiedy upłynęły dwa kwadranse. Z zamyślenia wyrwało go policyjne auto, które zaparkowało na poboczu drogi, kilka metrów przed bramą. Ze środka wysiadło trzech mundurowych policjantów. Paulina zdążyła postawić na nogi posterunek w Środzie Śląskiej. Funkcjonariusze przyjechali zabezpieczyć dom i podwórze Bogdańskiego przed ciekawskimi, którzy na pewno zjawią się tutaj tłumie, kiedy tylko zjedzie się więcej aut i na podwórku zacznie się ruch. Nie minęło kilka minut i czarno-żółte taśmy z napisem „Policja” zagradszały wjazd na podwórko. Po krótkiej naradzie policjanci postanowili rozpiąć też taśmę na płocie ogrodu od strony parku.

Zadzwoił telefon.

– Technicy już jadą do ciebie na sygnale – powiedziała Paulina.

– Ja jadę trochę z tyłu. Jestem w Leśnicy.

– Rozmawiałaś ze Stefanem? – zapytał.

– Tak. Uważa, że masz rację. To na razie jedyny punkt zaczepienia w tej sprawie. W tym momencie są z Rucińskim w Wiszni Małej i raczej już do Szczepanowa nie dojadą. Na pewno będą jutro.

– OK. Dzisiaj przejdziemy się trochę po wiosce i wypytamy o Bogdańskiego i jego syna.

– Mam poprawiony portret pamięciowy podejrzanego. Kasjerka z samu obok twojego bloku okazała się bardzo pomocna. Zwróciła na gościa uwagę i bardzo dobrze go zapamiętała.

– Super. Pokażemy podobiznę kilku osobom, może rozpoznają na niej syna Bogdańskiego.

– Andrzej Szmidt z ekipą już pracują nad tym Bogdańskim.

– Przyjeżdżaj.

– Jadę, jadę.

Marcin schował aparat do kieszeni. Przeciągnął się, rozprostowując kości, i pochuchał w skostniałe dłonie. Słońce było już nisko i z każdą minutą robiło się coraz chłodniej. Przynajmniej Marcin odnosił takie wrażenie.

Około szesnastej podjechał volkswagen transporter ekipy technicznej. Mundurowy policjant zdjął taśmę. Długo szarpał się z bramą, zanim udało się otworzyć oba skrzydła na tyle, żeby przejechał duży samochód, po czym znowu napiął taśmę i zamknął bramę. Marcin poszedł na podwórko za jadącym tam samochodem. Robert Rajcza zatrzymał się przy pompie. Jacek Adamski wysiadł i przywitał się z Marcinem.

– Nie oszczędzasz nas ostatnio – powiedział.

– Może dzięki mnie nie przejdziecie na wcześniejszą emeryturę w związku z redukcją etatów w policji – odgryzł się

Marcin.

Robert Rajcza też już ścisnął mu dłoń.

– O ile wcześniej nie rzucimy tej cholernej roboty i nie przejdziemy do lepiej płatnej prywatnej konkurencji – rzucił.

– Jako emeryci w sile wieku?

– Swoje lata pracy już mamy.

– Rozrzutny to kraj! – zawołał Marcin.

– Nikt ci nie broni pracować w kryminalnej do sześćdziesiątki.

– Jacek wzruszył ramionami. – Ciekawe, jak będziesz w tym wieku ganiał za przestępcami.

– Spróbuję rowerem.

W międzyczasie wyciągnęli z tyłu auta dwie mocne latarki i weszli do domu Bogdańskiego. Marcin pokazał im ukryte pomieszczenie. Dokładnie wszystko obejrzeli, stojąc na progu, na leżących tam ceglach.

– Pierdolony zwyrodnialec! – zaklął Rajcza, oświetlając słoiki na półce.

– Jeden stłukłem – przyznał się Marcin. – Uważajcie, jak będziecie chodzić.

– Widzę. – Adamski oświetlił leżącą na podłodze dłoń.

Marcin nie chciał patrzeć w tamtym kierunku.

– To ja was na razie zostawię – powiedział.

Wyszedł z domu w chwili, kiedy od strony bramy nadeszła Paulina. Spojrzała mu w oczy.

– W porządku?

Uśmiechnął się słabo.

– Już tak.

– Pójdę zobaczyć, co znalazłeś.

– Będę przy aucie.

Wróciła po pięciu minutach. Na twarzy miała grymas, którego nie potrafił zinterpretować.

– Znałeś tego Bogdańskiego? – zapytała.

– Tak. Pamiętam go z dzieciństwa jako zgorzkniałego, wiecznie

niezadowolonego i groźnego starca. Chyba się go nawet bałem.

– Urządził sobie tutaj małą salę tortur...

– Wszyscy wspominają, że w 1988 roku zabrał go syn. Musimy go koniecznie znaleźć.

– Grupa śledcza już nad tym pracuje. Andrzej powinien zaraz tu być.

Nachyliła się do niego i pociągnęła nosem.

– Ale się napaliłeś – powiedziała i wyciągnęła mu paczkę Im-ów z kieszeni.

Odpaliła dwa i po chwili oboje zaciągali się dymem.

– Jak na to wpadłeś? – odezwała się.

– Nagłe olśnienie – odpowiedział. – Kolega powiedział mi dzisiaj, że Bogdański kosił trawę w tym sadzie u księdza.

Podniosła na niego spojrzenie.

– Znowu sad u księdza?

– Taka moja obsesja. – Wzruszył ramionami, nie zamierzając kontynuować tematu.

– W 1965 roku to on widział uciekającego porywacza.

– O tym samym pomyślałem. – Pokiwał głową. – Nie potrafiliśmy spojrzeć na tamten wieczór z perspektywy sprawcy.

– To znaczy?

– Co można było zrobić, żeby odwrócić uwagę ludzi, którzy szukali małego Gracjana?

– Zmylić pogoń?

– Właśnie! Bogdański tak zrobił. W ten sposób zyskał na czasie i zabrał z krzaków związanego chłopca. Jego szczęście polegało na tym, że nikt nie wymienił jego nazwiska w żadnym zeznaniu. Dopiero dzięki dziadkowi Władysławowi dowiedzieliśmy się, jak było naprawdę.

– Los się po latach odwrócił. – Uśmiechnęła się krzywo. – Teraz my mamy szczęście.

– Oby tak rzeczywiście było.

– A ten syn Bogdańskiego?

– Zdaje się, że nikt tego syna wcześniej nie znał ani o nim nie słyszał – powiedział Marcin. – Poza tym wewnątrz domu wygląda, jakby właściciel wyszedł na chwilę na podwórze i już nie wrócił. Nie podoba mi się to.

– Mógł mieć syna, z którym nie utrzymywał kontaktów – odezwała się Paulina. – Tylko dlaczego w takim razie dom od tylu lat popada w ruinę? No i przede wszystkim, kto morduje po śmierci starego Bogdańskiego? Ten syn? Jeśliby tak było, musiałyby wiedzieć o praktykach ojca, a jeśli wiedział, dlaczego nie uprzątnął śladów jego działalności? Przecież w każdej chwili ktoś mógł to wszystko znaleźć.

– Ktoś przez tyle lat płacił sąsiadowi za koszenie i opiekę nad nieruchomością.

– Musimy porozmawiać z mieszkańcami.

Zamieszanie przed bramą wjazdową do starego domu zainteresowało przechodniów. Przejeżdżające samochody zwalniały, a ich kierowcy ciekawie patrzyli na policjantów. Po drugiej stronie ulicy zebrała się grupka gapiów, głośno komentujących zdarzenie. Coraz więcej dzieci przyjeżdżało rowerami i podchodziło do taśmy zagradzającej wejście, mimo ostrzeżeń stojącego tu mundurowego funkcjonariusza.

Marcin patrzył na zbiegowisko i powiedział do Pauliny:

– Zaraz będziemy mieli pół wsi na karku. Takiej sensacji nie będą chcieli przegapić.

– Myślisz, że ciała ukryte są gdzieś na posesji? – zapytała.

– Za domem jest spory ogród.

– Na jutro rano ściągniemy więcej ludzi i archeologa ze sprzętem. – Spojrzała na niego z ukosa. – Widziałeś, ile jest tych słoików z pamiątkami w formalinie?

– Nie – odpowiedział.

– Osiem.

Zacisnął mocno szczęki. Ryszard Zakrzewski był dziewiątym porwanym dzieckiem. Jeśli dłoni było osiem, to mogło znaczyć,

że żadna z nich nie należała do niego. Mogło, ale nie musiało. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, nadjechały kolejne dwa policyjne samochody: fiat ducato oraz nieoznakowany fiat brava. Z większego wysiadło czterech mundurowych policjantów do zabezpieczenia terenu, a z osobowego Andrzej Szmidt z podkomisarzem Krystianem Dreckim, włączonym do śledztwa z komisariatu na Jaworowej.

We czwórkę weszli na podwórko, Marcin opowiedział o swoim odkryciu, obeszlą całą posesję, po czym stanęli przy studni, żeby się naradzić. Rajcza i Adamski wyładowywali sprzęt z transportera. Mieli lampy do oświetlenia miejsca zbrodni, ale problemem okazał się brak prądu. Na szczęście sąsiad zaoferował podłączenie się do jego instalacji i teraz razem z nim przerzucali przez płot kable przedłużaczy. Były trochę za krótkie, dlatego musieli otworzyć jedno z okien. Dopiero wtedy przewody udało się podłączyć do gniazdka. Natychmiast rozpoczęli zabezpieczanie śladów i robienie zdjęć.

Narada była krótka. Podzielili się na dwie pary – Marcin z Pauliną i Andrzej z Krystianem, a następnie poszli porozmawiać z sąsiadami. Marcin z Pauliną ruszyli do sąsiada za płot, a druga para zaczęła od gapiów stojących po drugiej stronie ulicy.

Sąsiad był drobnym, chudym mężczyzną z czarnymi kręconymi włosami. Zaprosił ich do domu, ale nie chcieli tracić czasu, więc rozmawiali na ganku. Nazywał się Jan Nowak i nie miał więcej niż trzydzieści lat. Kiedy pokazali mu odznaki i powiedzieli, że są z wydziału zabójstw, głośno przełknął ślinę i patrzył na nich niepewnie. Zazwyczaj ludzie tak właśnie reagowali.

Ciężar rozmowy Paulina wzięła na siebie.

– Mógłby nam pan powiedzieć coś na temat sąsiadującej z pana domem posesji? – zapytała. – Czy ktoś się tam w ostatnich latach lub miesiącach kręcił? Czy widział pan tam kogoś, coś pan

słyszał?

– Mieszkam tu dopiero pięć lat – odpowiedział Nowak. – Nie pochodzę ze Szczepanowa, tylko z Legnicy. Moja żona jest stąd. Odkąd pamiętam, ten dom jest ruiną. Nikt się tam chyba nie kręcił. Chyba...

– Tak? – zainteresowała się Paulina.

– Raz przegoniłem stamtąd dzieciaki, które chciały kamieniami wybijać okna, a raz... Tylko nie jestem pewien, czy dobrze pamiętam.

– Proszę nam opowiedzieć. Każdy szczegół może być ważny.

– A mogę wiedzieć, co się tam stało?

Paulina zerknęła na Marcina.

– Znaleźliśmy tam zwłoki sprzed wielu lat – odpowiedział.

Nowak pobladł jeszcze bardziej.

– To było latem, koło 15 lipca – zaczął opowiadać. – Data jest raczej pewna, ponieważ moja żona ma wtedy urodziny. Przyjechali moi rodzice, szwagier z żoną i dziećmi. Było ciepło, więc do późna siedzieliśmy przy grillu. Popiliśmy trochę. Potem, już w domu, jak wszyscy poszli spać, wypiliśmy ze szwagrem jeszcze butelkę. Pokoi jest kilka, ale akurat było dużo gości i wszystkie były zajęte. Wie pani, żona nie lubi ze mną spać, jak jestem wypity, więc położyłem się na poddaszu. Tam mam taki korytarzyk z oknem na podwórko i ten zrujnowany dom. Było bardzo późno, kiedy położyłem się spać. Zerknąłem jeszcze przez okno i na podwórku, przy tej studni, zobaczyłem mężczyznę...

– Zdziwiło to pana? – zapytała Paulina.

– Tak, bardzo. Nikogo nigdy przy tym domu nie widziałem. Nawet dzieci się tam bardzo rzadko zapuszczały. Tymczasem w nocy był tam człowiek.

– Jak wyglądał?

– Dokładnie nie widziałem – zastrzegł Nowak. – Noc była gwiazdzista i księżycowa, tylko dzięki temu w ogóle go dojrzałem. Wysoki, postawny, myślę, że w średnim wieku,

ubrany w dżinsową kurtkę i ciemne spodnie.

– Co robił?

– Właściwie... nic. Najpierw stał nieruchomo, patrząc na dom. Długo tak stał i palił papierosa. To przez tego papierosa zobaczyłem, że tam jest. Wydawało mi się, że widziałem ognik, kiedy już kładłem się spać.

Poprowadził ich do narożnika domu i wskazał na okno przy samym dachu.

– To jest to okno – wyjaśnił. – Jedyne, z którego dokładnie widać podwórze obok.

– Dobrze – powiedziała Paulina. – Co jeszcze robił ten mężczyzna?

– Nic takiego. Najpierw się przestraszyłem, że to jakiś włóczęga i podpalacz. Długo go obserwowałem, ale on po prostu siedział na betonowym kręgu studni, więc położyłem się spać.

– Następnego dnia nic podejrzanego pan nie widział?

– Po przebudzeniu nic nie pamiętałem. – Mężczyzna rozłożył ręce z przepaszającym uśmiechem. – Przypomniałem sobie o tym facecie dopiero po kilku dniach, ale ani żona, ani teść nie chcieli mojej opowieści dać wiary. Powiedzieli, że byłem pijany.

– Rozumiem.

– Ale tamtej nocy to jeszcze nie był koniec.

Paulina znowu zerknęła na milczącego Marcina.

– Tak? – zapytała.

– Obudziłem się z półtorej godziny później. Musiałem iść za potrzebą do toalety. Kładąc się spać, ponownie popatrzyłem w okno i on wciąż tam był. Co prawda na początku go nie zauważyłem, ponieważ chodził po podwórku, ale później widziałem go dokładnie.

– Jak chodził?

– Normalnie. Jakby oglądał podwórko. Potem wskoczył na studnię i tak stał w bezruchu, patrząc w gwiazdy.

– Dziwne – mruknęła Paulina. – Chce pan powiedzieć, że

spędził pod domem Bogdańskiego ponad godzinę?

– Albo i więcej. Poszedłem spać i nie wiem, kiedy sobie poszedł.

– Jak patrzył na gwiazdy, widział pan, jakie miał włosy? – zapytał Marcin.

Nowak spojrział na niego niepewnie.

– Nie pamiętam, wydaje mi się, że takie jak pan, proste i jasne.

Paulina wyciągnęła z wewnętrznej kieszeni kurtki dwa portrety pamięciowe. Na jednym poszukiwany był w czapce z daszkiem, na drugim bez.

– Czy to mógł być ten mężczyzna? – zapytała.

Nowak długo się zastanawiał.

– Nie widziałem dokładnie twarzy – powiedział wreszcie. – Ale myślę, że tak.

Podziękowali mu i wyszli na ulicę, gdzie gromadził się coraz większy tłumek gapiów i dzieci z okolicy. Już dwóch policjantów pilnowało bramy. Szmidt cały czas rozmawiał z ludźmi.

– Co myślisz o opowieści sąsiada? – odezwała się.

– Syn przyjechał odwiedzić dom ojca? – odpowiedział pytaniem.

– Dlaczego nocą?

– Nie chciał wzbudzać sensacji ani rzucać się w oczy. Może nie chciał budzić podejrzeń, żeby jak najdłużej ukryć to, co jest w środku?

Poprawiła nerwowo kosmyk włosów, który jak zwykle opadał jej na oczy.

– Kręcąc się tu w nocy, wzbudzał jeszcze większe podejrzania. Cały czas nie daje mi spokoju jedno pytanie: dlaczego nie posprzątał po ojcu?

– Może mu na tym nie zależało? – Marcin wzruszył ramionami.

– Każdy seryjny morderca chce, żeby go ktoś w końcu złapał. Oni podświadomie sami pomagają policji, stając się coraz mniej ostrożni i pozornie bardziej pewni siebie. Przecież dopiero po

złapaniu świat może dowiedzieć się o tym, co zrobili i dlaczego.

– Może podniecała go myśl, że nikt nie odkrył tajemnicy jego ojca?

– Może to wcale nie był jego syn?

– W takim razie kto?

Nabrał powietrza do płuc, ale nie powiedział ani słowa. Westchnął głośno. Nie był w stanie przyznać, że hipoteza Pauliny staje się i dla niego bardzo prawdopodobna. Ona w lot zrozumiała jego wątpliwości.

– Marcin, słoików z dłońmi było tylko osiem – powtórzyła.

– Rysiek nie żyje – powiedział twardo. – Ja to wiem.

– Nie masz pewności.

– To nierealne.

– Ale nie niemożliwe.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Paulina, nie wiem, czy znajdziemy ciała chłopców – odezwał się pierwszy. – Jeżeli będzie ich tylko osiem, wtedy poważnie zastanowię się nad tym, czy mordercą jest mój brat.

Zorientowała się, że takie oświadczenie dużo go kosztowało, dlatego zmieniła temat i zapytała:

– Kogo odwiedzimy teraz?

Poszli jeszcze raz do Mariusza Dąbrowskiego. Mariusz widział już kolejne policyjne samochody podjeżdżające pod bramę Bogdańskiego, dlatego nie był zdziwiony ponowną wizytą Marcina. Był raczej ciekawy, co się stało. Jemu również Marcin powiedział, że znalazł zwłoki i policja podejrzewa morderstwo, ale nie wie jeszcze, kim jest ofiara. Dlatego wypytują mieszkańców o Bogdańskiego. Mariusz skierował ich do sąsiadki mieszkającej dwa domy dalej, Heleny Makowskiej, popularnie zwanej przez wszystkich babcią Helenką. Tak naprawdę nie była babcią, ponieważ nie miała wnuków. Została wdową w 1979 roku, dwie córki umarły na zapalenie płuc jeszcze w latach pięćdziesiątych. Babcia Helenka od śmierci męża mieszkała

sama. Hodowała kury i kaczki, a przed domem miała rabatkę z kwiatami, które były jej największą miłością. Miała osiemdziesiąt osiem lat, codziennie rano chodziła na mszę na godzinę szóstą i należała do kółka różańcowego przy tutejszej parafii. Słuchała też namiętnie Radia Maryja.

Marcina i Paulinę przyjęła bardzo życzliwie, zaprosiła ich do kuchni i poczęstowała herbatą. Nie słuchała protestów. Zaparzyła im herbatę liściastą, gdyż – jak to podkreśliła z całą stanowczością – jest najzdrowsza. Nie to, co te wymysły w torebkach. Nie wiadomo, co tam nasypali. Marcin wolałby kawę, nie miał jednak śmiałości poprosić. Zupełnie jej nie pamiętał, chociaż mieszkała w tym samym miejscu od wojny. Dom i kwiaty pamiętał. Babci Helenki ani w ząb. Za to ona pamiętała go bardzo dobrze.

Paulina świetnie się bawiła, widząc jego zakłopotanie.

– Wyrósł z ciebie chłop na schwał, Marcinku – mówiła starsza pani, klepiąc go po ramieniu.

Była od niego sporo niższa i musiała przy tym podnieść rękę wysoko.

– Pamiętasz, jak dostawałeś ode mnie jabłka i brzoskwinie, kiedy szedłeś rano do szkoły i przechodziłeś obok mojego domu?

Nie pamiętał ani jabłek, ani brzoskwiń.

– Szkoda twojego brata. Rysiek miał na imię, tak? – Nie czekając na potwierdzenie, mówiła dalej: – Strasznie szkoda mi było waszej mamy. To poczciwa i dobra kobieta, nie zasłużyła na takie nieszczęście. Widać pan Bóg miał wobec niej inne plany.

Mówiłaby dalej, gdyby Paulina delikatnie jej nie przerwała.

– Pamięta pani może sąsiada? – wtrąciła. – Tego Bogdańskiego.

– Mów mi babciu, dziecko. Wszyscy mnie tak nazywają.

– Pamięta babcia Bogdańskiego?

– Pewnie, że pamiętam. Jakże miałabym nie pamiętać?

– Jak on miał na imię?

– Ignacy, ale nazywali go Sasza.

– Dlaczego Sasza? To po rosyjsku.

– Podobno był w partyzantce w czasie wojny i tak kazał się nazywać.

– Podobno?

Babka Helenka podrapała się w siwą głowę.

– Ludzie tak opowiadali – odpowiedziała.

– A jaki był ten Bogdański? – zapytała Paulina, wyławiając ze szklanki herbaciane liście i łądygi.

Babka machnęła energicznie ręką.

– To był pijanica i zły człowiek! – wykrzyknęła.

– Pił?

– A jakże! Jeszcze jak zaraz po wojnie gospodarstwo miał i ziemię uprawiał, to niewiele pił. Nie więcej niż wszyscy. Ale potem umiaru nie miał żadnego. Szczególnie jak ziemię zdał i emeryturę od państwa dostawał. Wtedy zdarzało się, że przez wiele dni nie trzeźwiał. Złym był człowiekiem, ale nie można go do końca potępiać, bo krzywdy w życiu zaznał okrutnej.

– Jak to?

– Ludzie gadali, że przed wojną mieszkał we Lwowie. Tam na targu poznał piękną dziewczynę, wyjechał za nią do Ludwipola i się ożenił. Mieli ponoć dwójkę dzieci. Niestety, przyszła wojna i ją razem z dziećmi zamordowali banderowcy. Bogdańskiego wtedy w domu nie było. Jak się o tym dowiedział, wpadł w szal, przysięgał diabłu duszę, żeby tylko móc się zemścić. Wstąpił do partyzantki i był straszny w swoim postępowaniu. W Świętym mieszkał jeden taki, co był z nim w jednym oddziale. Nazywał się Niżyński, ale nie żyje od czterdziestu lat, świeć Panie nad jego duszą. On właśnie opowiadał, że Bogdański szukał śmierci i był w ich oddziale od wykonywania wyroków. Partyzanci to byli twardzi ludzie, ale nie wszyscy mieli sumienie strzelić do bezbronnego jeńca. A Sasza Bogdański strzelał. Z uśmiechem na ustach wykonywał wszystkie wyroki. I zawsze szedł pierwszy w największy ogień, jakby szukał kuli dla siebie przeznaczonej.

Ale nie znalazł jej. Doszedł z Armią Czerwoną do samego Berlina.

Babka zamilkła na chwilę. W kuchni jej domu zrobiło się szaro, na zewnątrz słońce już prawie całe schowało się za horyzont. Paulina i Marcin milczeli poruszeni jej opowieścią.

– Straszne – odezwała się wreszcie Paulina.

– I dlatego Bogdański już nigdy sobie życia nie mógł ułożyć – ciągnęła opowieść gospodyni. – Z takim brzemieniem ciężko żyć i pewnie dlatego zaglądał coraz częściej do butelki. Kochał ponoć tę swoją piękną żonę i dzieci. Po wojnie przyjechał tutaj, żeby szukać spokoju w duszy i chyba nie znalazł. Ot i cała historia, jakich wiele w czasie wojny.

– Zaraz – zreflektował się Marcin. – Ale po wojnie miał jakąś rodzinę?

– Nie miał żadnej – odpowiedziała zdecydowanie babka Helenka. – Sam żył w tym domu, co się teraz w ruinę obraca.

– A z jakimiś kobietami miał związki? – zapytała Paulina.

– Może i miał – mruknęła niechętnie staruszka. – Ale nie chce mi się wierzyć, żeby jakaś chciała się z nim zadawać. Żle był nastwiony do świata. Tylko nienawiścią żył, rozpamiętywał, że wszyscy mają lepiej od niego.

Marcin popatrzył na Paulinę znacząco.

– A ten syn, co go do domu starców zabrał? – zapytał.

– On nie miał syna.

– Ale wszyscy mówią, że syn go zabrał – ciągnął Marcin. – No to skąd by się wziął?

– Na pewno nie miał syna – powtórzyła babka z przekonaniem.

– To kto go zabrał, jak się rozchorował?

– A skąd mnie wiedzieć kto? – Wzruszyła ramionami. – Może jakaś rodzina się znalazła, jeszcze ze Lwowa? Ale co to za rodzina, co się domem nie zainteresowała?

– Podobno syn do dzisiaj płaci Dąbrowskiemu, żeby się domem opiekował – wtrąciła Paulina.

– Może to i prawda. Kto tam wie? Chcecie jeszcze herbaty?

Odmówili, starając się, żeby zabrzmiało to taktownie. Herbata była paskudna. Marcin podejrzewał, że babka Helenka przechowuje zapasy z czasów stanu wojennego.

Paulina pokazała jej podobizny poszukiwanego.

– A poznaje babka tego człowieka? – zapytała.

Gospodyni wpatrywała się w podobizny, mrużąc oczy. Mimo wieku nie nosiła okularów. Wreszcie pokręciła przecząco głową.

– Nigdy ich nie widziałam.

Pożegnali się więc i na odchodne musieli obiecać, że jak będą w Szczepanowie latem, wstąpią do niej na jabłecznik, podobno sławny na całą okolicę. Babka Helenka poszła za nimi aż na drogę i dopiero tutaj stanęła z rękami założonymi na biodra i patrzyła, jak odchodzą.

– Chciałabym w jej wieku mieć jeszcze tyle energii i chęci do życia – odezwała się Paulina, zerkając do tyłu.

– Tamto pokolenie jest z innego materiału, zahartowane w ekstremalnych warunkach – odpowiedział Marcin. – My nie mamy szans dożyć ich wieku.

– Nie sądzisz, że ona traktowała nas jak parę?

– Trochę miała rację... – Uśmiechnął się, patrząc na nią z góry. Nie odzywając się, ścisnęła jego dłoń.

– Co sądzisz o tym synu Bogdańskiego? – rzucił.

– Coraz bardziej wątpię w jego istnienie.

– Więc kto to był?

– Nasz morderca?

– Co miał wspólnego z Bogdańskim?

– Nie wiem. Może go podziwia, a może...

– Nienawidzi? – wpadł jej w słowo.

– Jeśli właśnie on przyjeżdża tu nocą i siedzi na tej cholerniej studni, to nic z tego nie rozumiem.

Po chwili weszli na podwórko domu Bogdańskiego. Przy busie techników stał prokurator Dariusz Wysocki i rozmawiał z Rajcą.

Na ich widok uśmiechnął się, skończył rozmowę i wyszedł im naprzeciw.

– Gratuluję, Marcin! – wykrzyknął. – Dzięki tobie mamy przełom w śledztwie.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Gdzie Grabski? – zainteresował się Marcin.

– Dzisiaj nie mógł przyjechać.

Wysocki nie miał jeszcze czterdziestu lat, był szczupły, wysportowany, energiczny. Był zupełnym przeciwieństwem większości prokuratorów, z którymi Marcin współpracował. Zawsze potrafili się dogadać.

– Wolałbym nie być w centrum tego zamieszania – powiedział.

– Słyszałem, słyszałem – zgodził się Wysocki, ale już właściwie nie zwracał na niego uwagi. Uśmiechał się od ucha do ucha, patrząc Paulinie w oczy i wyciągając do niej dłoń. – Cześć, Paulina – powiedział zupełnie innym tonem, niż mówił do Marcina. – Dawno się nie widzieliśmy.

Marcin zauważył, że Paulina sztywnieje i unika patrzenia mu w oczy. Wysocki przytrzymał jej dłoń dłużej, niż wymagały tego konwenanse.

– Nie składało się – odpowiedziała drewnianym głosem i schowała dłonie za plecy.

Marcin popatrzył na nich zaskoczony i natychmiast zrozumiał. Zerknął na Paulinę. Wyglądała na spiętą i cofnęła się pół kroku, jakby chciała się schować za Zakrzewskim.

– Może wyskoczymy kiedyś na kawę po pracy? – zapytał prokurator, nie krępując się zupełnie obecnością Marcina.

– Mamy ostatnio bardzo dużo roboty – odpowiedziała szybko Paulina.

– W takim razie, jak znajdziesz chwilę...

– Co powiedział Rajcza? – zapytał Marcin, uniemożliwiając ewentualne dalsze propozycje.

Wysocki spojrzał na niego przelotnie i odpowiedział:

– Wstępnie zabezpieczyli ślady i dowody. Robi się ciemno, więc na dzisiaj kończą. Zaplombują wejście do domu, policjanci ze Środy Śląskiej przez całą noc będą zabezpieczać teren. Jutro od rana rozpoczniemy dalsze prace. Rozmawiałem już z Mirkiem Jareckim, to archeolog antropolog, często współpracujemy. Będzie tu jutro ze sprzętem do wykrywania zakopanych w ziemi zwłok. Zamówiłem też dwudziestu kadetów ze szkoły policyjnej. Od rana będziemy przeszukiwać ogród i posesję w poszukiwaniu zwłok zamordowanych chłopców.

– Też podejrzewam, że ofiary zakopywał gdzieś tutaj – mruknął Marcin.

– Będzie wystarczająca liczba ludzi i sprzętu, żeby wszystko sprawdzić. Dla was też mam zadania, ale najpierw zapraszam do komendy wojewódzkiej na odprawę zespołu śledczych. Przejąłem śledztwo w sprawie Rzeźnika z Marszowic od prokuratora Plicha i połączę je z porwaniami chłopców. Dzisiaj chyba nic tu po was. Jutro oczekuję konstruktywnych propozycji.

– Dobrze, będziemy jutro – powiedział Marcin, a Paulina nadal się nie odzywała i błędziła gdzieś myślami, zaciskając usta. – W takim razie wracamy do Wrocławia. Co o tym myślisz, Paulina?

– Tak. Cześć! – Odwróciła się na pięcie i ruszyła szybkim krokiem w kierunku bramy i zaparkowanego nieopodal samochodu.

Marcin z trudem za nią nadążał. Nie przeszli jednak dziesięciu kroków, kiedy Wysocki ją zawołał. Niechętnie się zatrzymała i zawróciła. Marcin doszedł do furtki i obejrzał się. Paulina stała z rękami wciśniętymi w kieszenie kurtki i coś mówiła do Wysockiego, z tej odległości nie słyszał co. On próbował jej przerywać, ale nie dała mu dojść do słowa.

Marcin odwrócił się, wyciągnął telefon i wybrał numer Stefana Sroki. W kilku słowach opowiedział mu o mężczyźnie, którego Nowak widział w nocy na podwórku Bogdańskiego. Rozmowa

trwała nie więcej niż trzy minuty. Pożegnali się i Marcin znowu obserwował, co dzieje się na podwórzu przy busie.

Paulina skończyła akurat mówić, odwróciła się plecami do Wysockiego i odeszła. Prokurator chyba chciał coś jeszcze powiedzieć, ale nie skończył zdania, podniósł rękę, jakby próbował ją zatrzymać, i zrezygnowany patrzył na jej plecy. Nawet z daleka widać było grymas złości na jego twarzy.

– Jedziemy! – rzuciła, mijając Marcina, i nawet na niego nie spojrziała.

– Co ci się tak zaczęło spieszyć? – Dogonił ją, kiedy otwierała drzwi toyoty, i chwycił za rękę. Auto Pauliny stało zasłonięte murem i nie było ich widać z podwórka. – Co cię ugryzło? – zapytał.

– Nie twoja sprawa! – odwarknęła.

– Zaraz, zaraz. – Nie puszczał jej. – Teraz trochę moja. Było coś między wami?

Mierzyli się chwilę wzrokiem, wreszcie Paulina westchnęła zrezygnowana.

– A czy to ma jakieś znaczenie?

– Jeśli to przeszłość, to nie ma żadnego znaczenia – odpowiedział. – Tylko chciałbym wiedzieć...

Popatrzyła za jego plecy na kilka osób, które nadal stały, obserwując zamieszanie na posesji Bogdańskiego.

– Nie tutaj – powiedziała. – Chodźmy dalej.

Odeszli na taką odległość, że nikt nie mógł ich usłyszeć. Paulina znowu wyciągnęła mu papierosy z kieszeni i zapaliła jednego.

– Tak, jakiś czas temu mieliśmy romans – przyznała. – Zadowolony?

Westchnął i położył jej po przyjacielsku dłoń na ramieniu.

– Paulina, to nie jest dla mnie problem – zaczął. – Cholera, mamy przecież po czterdzieści dwa lata i każde z nas miało jakieś życie do tej pory. Nie ma o czym gadać.

Popatrzyła na niego i uśmiechnęła się nieznacznie.

– Nie spodziewałam się go tutaj – odezwała się. – Dlatego zareagowałam tak nerwowo. Rok temu, po jakimś wyjściu z kolegami z pracy do knajpy, pozwoliłam się odwieźć taksówką do domu. Darek wydawał się miły, sympatyczny, świetnie nam się rozmawiało. Alkohol zrobił swoje i wylądowaliśmy w łóżku. Trwało to jakiś czas, aż wreszcie spotkałam go przypadkowo w Magnolii. Wychodziłam akurat ze sklepu fotograficznego i wpadłam na niego, gdy szedł z żoną i dwoma córkami do Smyka.

– Rozumiem. – Marcin pokiwał głową.

– Nie rozumiesz – powiedziała z westchnieniem.

– Nie rozumiem – przyznał zaraz.

– Nawet nie chodzi o to, że był z rodziną. On mnie cały czas oszukiwał. Opowiadał, jaką ma fatalną żonę, jaki jest nieszczęśliwy, jak bardzo ona go nie rozumie, właściwie to się już nie kochają, o seksie w małżeństwie już dawno zapomniał, myśli o rozwodzie, ale powstrzymują go sprawy majątkowe, i inne takie opowieści drzewa sandałowego. Jak ich wtedy spotkałam, wszystko wyglądało inaczej. Przecież to widać na pierwszy rzut oka, jak między mężem i żoną coś nie gra. Oni wyglądali na idealne małżeństwo. Poczulałam się jak idiotka. Jak kurwa, która płaci seksem za parę godzin, w czasie których nie czuje się samotna.

Marcin milczał, nadal trzymając dłoń na jej ramieniu.

– Zerwałam z nim – ciągnęła. – Później dowiedziałam się, że Wysocki to babiarz i że nie byłam pierwsza. Głupia pinda, która dała się nabrać na jego uwodzicielskie spojrzenia. Od tamtego czasu nie daje za wygraną i próbuje dalej mnie czarować.

– Widzę, że nie był ci obojętny.

– Czy ja wiem? Może masz rację. Pamiętasz, jak mówiłam ci, że dwa razy cierpiałam po rozstaniu z facetami? On był drugi.

Rzuciła papierosa do przydrożnego rowu, a Marcin objął ją

ramieniem i pocałował w czoło.

– Mówiłaś, że jak dotąd potrafiłaś oddzielać pracę od życia prywatnego – zakpił.

Też się uśmiechnęła, jakby jej trochę ulżyło.

– Teraz widzisz, jak świetnie mi idzie.

Roześmiał się w taki sposób, że zaraz tym śmiechem zaraził Paulinę. Potem objął ją i pocałował, nie zważając na nic. Zresztą zapadał coraz większy zmrok, a oni stali w ciemnościach, z dala od najbliższej ulicznej latarni.

– Jedziemy do domu – powiedział.

Pierwsza odjechała Paulina. Marcin ruszył niecałą minutę po niej, ale do samego Wrocławia jej nie dogonił, mimo że jechał bardzo szybko. Wolał nie myśleć, jaką prędkość musiała mieć na liczniku.

Kiedy zajechał pod swój blok, zobaczył jej auto zaparkowane na trawniku. Czekala na niego na schodach.

– Co się stało? – zaniepokoił się.

– Nic – odpowiedziała. – Ale to nie jest dobry pomysł, żebyśmy dzisiejszy wieczór spędzili osobno.

Wyciągnął tylko rękę, a ona już była w jego ramionach.

– Paulina...

– Co? – Popatrzyła mu w oczy.

Zaskakiwała go. Kiedy spotkali się w jej biurze kilka dni temu, nie przypuszczał, że w ogóle istnieje taka Paulina, a już na pewno nie spodziewał się, że wzbudzi w nim huragan pozytywnych uczuć.

– Nic. – Uśmiechnął się. – Chodźmy na chwilę na górę, muszę się spakować.

Dwadzieścia minut później byli już u niej. Zrobili tosty i zjedli je w milczeniu przy kuchennym stole. Potem, po jego usilnych prośbach, Paulina wyciągnęła z szafy wielkie albumy i pokazała mu swoje zdjęcia. Szczególnie długo oglądał fotografie aktów w czarnej pościeli, płaczących wierzb przy błotnistej drodze

i księżycy w różnych fazach. Zdjęcia miały klimat, który bardzo mu się podobał, choć nie potrafił go dokładnie zdefiniować. Tęsknota? Pragnienie? Smutek?

Jeszcze kiedy pochylał się nad kolejnymi fotografiami, pobiegła na górę i wróciła z profesjonalnym aparatem marki Nikon z długim obiektywem.

– Uśmiechnij się! – krzyknęła.

Próbował zasłaniać się dłonią.

– Nie rób mi zdjęć – zaprotestował. – Źle wychodzę!

– Bzdury gadasz. Każdy dobrze wychodzi na zdjęciach. Wszystko zależy od fotografa.

Przestał protestować i dalej przeglądał albumy, a ona krążyła dookoła, fotografując go i wydając krótkie polecenia: spójrz w bok, w górę, uśmiechnij się, podrap po policzku i inne. Wreszcie odłożyła aparat i usiadła naprzeciw niego.

– Nie pokażesz mi? – zdziwił się.

– Nie. Dopiero, jak wybiorę najlepsze – odpowiedziała.

Jeszcze później leżeli w ciemnościach, każde pogrążone we własnych myślach. Nie mieli ochoty na seks. Paulina zasnęła w jego ramionach, a Marcin długo jeszcze nie mógł zmrużyć oka.

Sen przyszedł nieoczekiwanie i zabrał go do sadu za starym cmentarzem.

XXVI

„Nie zamykaj furtki” – mówi Rysiek, oglądając się na niego. Oczy ma nieruchome i czarniejsze niż zwykle. Świecą w ciemności jak diamenty.

„Dlaczego?” – pyta Marcin.

„W razie czego łatwiej będzie zwiać”.

Potem zbierają gruszki w wysokiej trawie. Marcin bliżej cmentarza, a jego brat trochę dalej, od strony parku. Cały sad spowija jakaś dziwna, niesamowita poświata, dzięki której mimo mroku doskonale wszystko widać. Wiatr pędzi białe tumany mgły.

Czarna postać pojawia się jak zawsze. Wypełza z parku, jest ogromna, jej postrzępione szaty falują na wietrze. Zbliża się do Ryśka, wyciągając do niego sękatę dłoń.

Marcin czuje nieopisane przerażenie i rzuca się do ucieczki, ale jego nogi grzęzną w wysokiej trawie, ogrodzenie starego cmentarza z każdym krokiem oddala się, zamiast zbliżać. Wreszcie Marcin przewraca się i spogląda do tyłu. Ciemna postać stoi obok drzewa, a Rysiek płąsa dookoła niej. Wreszcie podbiega do brata i mówi chrapliwie: „Widziałem, jak diabeł chodzi tu na palcach”.

Odbiega kilka kroków, znowu płąsa i kręci piruety z rozłożonymi szeroko ramionami. Tyle, że teraz jest ich... dwóch! Dwóch Ryśków o szklistych, czarnych oczach, po obu stronach ciemnej postaci diabła.

Drugi Rysiek również podbiega do niego i prawie krzyczy Marcinowi w twarz: „Ja też widziałem, jak diabeł chodzi tu na

palcach!!!”.

Jego głos jest inny. Niewyobrażalnie ochrypli, jakby wydobywał się z samych czeluści piekielnych. Twarz drugiego Ryśka też nie jest normalna. Marcinowi przez tę krótką chwilę wydaje się, że patrzy w twarz bezdennie złej bestii, która w każdej chwili może zmienić się w postać z najgorszego sennego koszmaru. Nawet widzi zamiast twarzy wykrzywione nieludzką nienawiścią oblicze, z zakrwawionymi, ostrymi jak szpikulce zębami, płaskim nosem z nieproporcjonalnie wielkimi, ciemnymi otworami, przekrwione oczy i szpiczaste uszy.

Twarz Bestii.

Niespodziewanie odważnie mówi: „Diabeł stoi w miejscu, to ty chodzisz na palcach”.

*

Obudził się, gwałtownie łapiąc oddech i opierając na łokciach. Dopiero po kilkunastu sekundach przypomniał sobie, gdzie jest. Opadł z ulgą na poduszkę.

Była środa, 4 października, siódma rano, zadzwonił właśnie budzik Pauliny.

Podniosła głowę i spojrzała na niego zaspanym wzrokiem.

– Co się stało? – mruknęła.

– Miałem koszmarne sen – odpowiedział.

Przysunęła się i objęła go ramionami.

– Śnił mi się sad u księdza i mój brat.

Otworzyła oczy, spoglądając na niego ciekawie. W sekundzie minęła jej senność.

– Ten sad to jakaś twoja obsesja? – zapytała.

– Można tak powiedzieć.

– Czy ty mi czasem o nim nie wspominałeś, zanim znalazłeś rysunki w zeszytach brata?

– Możliwe – przyznał. – Mówiłem ci o tym powracającym śnie?

– Tak. To był ten koszmar?

– Do tego sto razy gorszy.

Pocałowała go delikatnie i na jej twarzy pojawił się ten lekko kpiący uśmieszek. W oczach miała ogniki.

– Lepiej? – zapytała.

Oddał jej pocałunek.

– O wiele lepiej – powiedział. – Wiesz, co w tym wszystkim jest najdziwniejsze?

– Nie.

– Widziałem tego diabła na własne oczy. To na pewno nie był sen.

Opowiedział jej o wyprawie na gruszki pod koniec wakacji w 1981 roku i o swojej panicznej ucieczce przed wyłaniającą się z parku ciemną postacią.

Patrzyła na niego poważnie.

– Nie wiem, co o tobie myśleć – westchnęła wreszcie.

– Tylko nie mów, że jestem nienormalny. Sam sobie tak mówię od trzydziestu lat.

– Strach ma wielkie oczy. Ktoś was nakrył, a tobie się wydawało, że widzisz demona z piekła.

– Może masz rację – przyznał. – Tylko że kilka dni później Rysiek powiedział mi o tym diable chodzącym na palcach.

Nadal patrzyła na niego nieruchomym wzrokiem.

– To jest popierdolone – rzuciła. – Im dłużej ta sprawa się ciągnie, tym bardziej jestem przekonana, że szukamy twojego brata. W innym przypadku brednie o diable chodzącym na palcach są twoim wymysłem, a ty nadajesz się do zakładu dla obłąkanych.

– Naprawdę tak uważasz? – zapytał.

Uśmiechnęła się.

– Nie – odpowiedziała i zaraz dodała: – Zaprzeczenie nie dotyczy tej części mojej wypowiedzi, która dotyczyła ciebie

i zakładu psychiatrycznego.

– Królowa złościwości. Co ja mówię, królowa. Caryca!

Uniosła się na ramieniu, kiwając głową, z krzywym uśmiechem na ustach.

– Wiesz co? Weź sobie zimny prysznic na ten swój rozpalony łeb, a ja w tym czasie nastawię kawę w ekspresie.

Próbowała przez niego przejść, ale nie pozwolił jej, obejmując ją ramionami.

– Jak cię wypuszczę – powiedział.

– Nie masz wyj...

Zamknął jej usta pocałunkiem. Na początku się wyrywała, wreszcie skapitulowała i szepnęła mu do ucha.

– Proszę...

– Teraz lepiej.

Śniadanie jedli przy kuchennym blacie, jak zwykle popijając kawę z kubków z wizerunkiem zomowca z pałką i napisem „zadzwońcie na milicję”, każde pogrążone w swoich myślach. Paulina po raz kolejny przeglądała rysunki z zeszytów Ryśka, a Marcin uporczywie wpatrywał się w podobiznę poszukiwanego mężczyzny.

– Jakies ciekawe spostrzeżenia? – zapytał, widząc, że odkłada zeszyty na bok.

– Powiem ci później – odparła. – Muszę jeszcze chwilę pomyśleć.

Dopił kawę i odstawił kubek. Postukał palcem w kartkę z wydrukowaną podobizną.

– Może to głupie, ale im dłużej się facetowi przyglądam, tym bardziej wydaje mi się znajomy – mruknął, drapiąc się po policzku. – Kogoś mi przypomina, tylko nie mogę skojarzyć kogo. Znajomego sprzed lat? Przynajmniej mam takie wrażenie...

– Pomyśl, to ważne. – Popatrzyła na niego ciekawie.

Odwrócił ze złością kartkę.

– Zaczynam wariować – stwierdził.

Po śniadaniu zatelefonował do rodziców. Odebrała mama, rozmawiali chwilę. Pani Zofia zapewniła go, że u nich nic się nie dzieje, są zdrowi, kłócą się z ojcem jak zwykle i nawet przyzwyczaiła się do widoku policjantów. Marcin roześmiał się, kiedy mu powiedziała, że już dwa razy poprosiła ich o przyniesienie porannej gazety.

Zakończył rozmowę i jeszcze jakiś czas siedział, wpatrując się w aparat telefoniczny. Zastanawiał się, czy nie zatelefonować do Kaśki Morawskiej, ale w końcu się nie zdecydował. Zdał sobie sprawę, że nie ma jej nic do powiedzenia. Poza tym świadomość, że pewnie jest u Tymona i nie będą mogli swobodnie porozmawiać, ostatecznie odwiodła go od tego pomysłu. Paulina obserwowała go z boku, nie powiedziała jednak ani słowa, tylko wstała, pozbierała naczynia po śniadaniu i powoli wkładała je do zmywarki.

Było po dziewiątej i zaczęli zbierać się do wyjścia. W korytarzyku Paulina dała mu kluczyki do toyoty, a sama uklękła, żeby włożyć buty.

– Poprowadzisz? – zapytała. – Mnie od rana boli głowa.

– Nie boisz się dać mi auta? – zakpił.

– Spadek po moim eksie. Nie mam w stosunku do tego samochodu wielkich sentymentów.

– Jak uważasz.

Przed samym wyjściem Marcin włożył rękę pod jej kurtkę z lewej strony i zapytał:

– Wzięłaś broń?

– Nie lubię chodzić z pistoletem. – Skrzywiła się.

– Nie ma nie lubię. Tu chodzi o twoje bezpieczeństwo.

Niechętnie wróciła do kuchni, wyciągnęła z szuflady kaburę, zapięła szelki i włożyła do kabury swojego walthera p99. Szła w kierunku drzwi, wkładając kurtkę.

– Konie chodzą w takich szelkach... – mruknęła, ale nie zwrócił na te słowa uwagi.

Pod budynkiem komendy okazało się, że media wreszcie zainteresowały się sprawą Rzeźnika z Marszowic. Jak dotąd policja miała względny spokój. Dopiero kiedy wyszło na jaw, że sąd wznowi sprawę brutalnego morderstwa kobiety z Wiszni Małej sprzed czterech lat – swego czasu szeroko komentowaną nawet w mediach ogólnokrajowych – reporterzy z lokalnej prasy uruchomili swoich informatorów w strukturach policji i szybko dowiedzieli się o drugim takim samym morderstwie. Ciągłe nie było jasne, czy dowiedzieli się już o zataczającym coraz szersze kręgi śledztwie w sprawie porwań chłopców z lat 1991–2003 i takich samych porwaniach sprzed lat w Szczepanowie. Przed komendą stanęły wozy transmisyjne lokalnej telewizji oraz Polsatu News nadające relację na żywo, można więc było założyć, że dziennikarze wiedzą dużo i są coraz bardziej zainteresowani.

Kiedy tylko Paulina z Marcinem pojawili się w komendzie, dowiedzieli się, że prokurator Dariusz Wysocki, za pośrednictwem rzecznika prasowego komendy wojewódzkiej, zapowiedział krótką konferencję prasową na godzinę dziesiątą. Na tę samą godzinę zwołał dzień wcześniej śledczych na odprawę, więc szybko pojawiły się złośliwe żarty, co okaże się dla Wysockiego ważniejsze: odprawa czy media. Zwyciężyły media, ale oświadczenie prokuratora było krótkie i bardzo zgrabne. Wynikało z niego, że policja działa prężnie, jest na tropie, dla dobra śledztwa nie może zdradzić szczegółów, ale weryfikowanych jest kilka hipotez i lada dzień sprawca zostanie ujęty. Odpowiedzi na bardziej szczegółowe pytania scedował na rzecznika prasowego, a sam poszedł na odprawę. W sali z wielkim ekranem na ścianie i wyświetlaczem podłączonym do laptopa zgromadziło się kilkanaście osób. Marcin widział, że Paulina unika Wysockiego, więc usiadł z nią w jednym z ostatnich rzędów, z dala od stolika prokuratora i Stefana Sroki, który został głównodowodzącym.

– Dlaczego nie ma Grabskiego? – mruknęła pod nosem Paulina.

Na początku wyświetlone zostały dwie wersje podobizny poszukiwanego mężczyzny. Sroka streścił szybko dotychczasowe wyniki śledztwa, potem poszukał wzrokiem Marcina i powiedział jakby do niego:

– Mamy już pierwsze ustalenia dotyczące Ignacego Bogdańskiego, w którego domu wczoraj zostały znalezione ślady porwanych chłopców z lat 1949–1981. Bogdański pozostaje głównym podejrzanym w tej sprawie. Do Szczepanowa przyjechał wraz z jedną z ostatnich grup repatriantów ze wschodu, we wrześniu 1949 roku. Na razie wiemy tylko tyle, że przed wojną mieszkał we Lwowie, jego najbliższa rodzina zginęła zamordowana przez bandy UPA na Kresach, a on sam służył później w polskiej partyzantce i miał pseudonim Sasza. Tak nazywano go jeszcze długo po wojnie. Mamy jego zdjęcie z dawnego wydziału obywatelskiego. To fotka z dowodu osobistego z końca lat pięćdziesiątych.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie mężczyzny o czarnych włosach, zaczesanych staromodnie do tyłu. Miał poważny, wręcz ponury wyraz twarzy.

– Już na tych terenach Bogdański uprawiał ziemię, miał kilkuhektarowe gospodarstwo. Zlikwidował je jednak w połowie lat pięćdziesiątych. Prawdopodobnie nie radził sobie sam. Potem przez wiele lat pracował w melioracji gruntów. Praktycznie aż do końca lat siedemdziesiątych, kiedy przeszedł na emeryturę. To bardzo istotny szczegół, ponieważ mając taką pracę, przemieszczał się rowerem po terenie całej gminy Środa Śląska i doskonale poznał wszystkie drogi i polne ścieżki. Pewnie później przydawało mu się to w transporcie lub ukrywaniu zwłok. Z tego, co na razie wiemy, po wojnie miał dwa romanse z kobietami. Jedna mieszkała w Szczepanowie, druga w Świętym. Niestety, obie nie żyją. Nadużywał alkoholu i wtedy był brutalny. Obie kobiety złożyły obszernie zeznania na ten temat na milicji i mamy te akta. Jedna nawet poddała się obdukcji w szpitalu

w Środzie Śląskiej i Bogdański miał mieć sprawę o pobicie, lecz nie wiemy, dlaczego sprawa została umorzona. Z biegiem lat coraz bardziej pogrążał się w nałogu. Podobno w roku 1988 został zabrany przez rzekomego syna do domu spokojnej starości, gdzie zmarł. Jest to informacja niepotwierdzona. Nie wiemy jeszcze, do jakiego domu starców mógł trafić i gdzie jest pochowany. Nie znaleźliśmy też jego aktu zgonu w ewidencji ludności.

Sroka zawiesił na chwilę głos i rozejrzał się uważnie po sali.

– Tutaj dochodzimy do sedna zagadnienia. Proszę państwa, jest już potwierdzone, że Ignacy „Sasza” Bogdański nie miał syna. Co więcej, nie miał żadnej rodziny ani krewnych. Nikt nie przyjechał z nim na ziemie zachodnie po drugiej wojnie światowej. Prawdopodobnie wszyscy jego bliscy zginęli. Nie wiemy więc, przez kogo został zabrany w 1988 roku. Tego mężczyzny aktualnie pilnie poszukujemy.

Teraz na ekranie wyświetlacza ponownie pojawiła się podobizna poszukiwanego.

– Może to być ten człowiek. Poszukiwany przez nas w związku z morderstwem na Marszowicach, zabójstwem kobiety w Wiszni Małej przed czterema laty oraz włamaniem do domu naszego kolegi, Marcina Zakrzewskiego. Oczywiście, nie mamy pewności, że to on, ale tę podobiznę rozpoznano w Wiszni Małej i na Marszowicach.

Przez salkę przeszedł krótki szmer.

– Wygląda na nie więcej niż czterdzieści pięć lat – odezwała się jedna z policjantek. – W 1988 roku miał ze dwadzieścia lat. Na pewno mamy do czynienia z tą samą osobą? Jak w takim razie został naśladowcą Bogdańskiego?

– Proszę państwa, w tej sprawie jest jeszcze wiele niewiadomych – odpowiedział Wysocki, patrząc na Paulinę, która uparcie nie podnosiła na niego wzroku. – Ignacy Bogdański jest podejrzanym od wczoraj, dzięki skutecznym działaniom

operacyjnym Pauliny Czerny i Marcina Zakrzewskiego, którzy odnaleźli ślady w jego domu w Szczepanowie.

Nie wiadomo, czy świadomie rozminął się z faktami, czy tylko nie był dobrze poinformowany. Marcin uśmiechnął się pod nosem, Paulina zacisnęła mocniej szczękę.

– Sprawa jest bardzo rozwojowa i rozważamy w tej chwili każdą hipotezę.

Znów głos zabrał Sroka.

– Dzięki Paulinie i Marcinowi wiemy też, że w nocy, około 15 lipca, na podwórzu przed domem Bogdańskiego widziany był mężczyzna, który może pasować do portretu poszukiwanego.

Sroka nakreślił zadania na najbliższe dni dla poszczególnych grup śledczych. Pierwsza grupa skierowana została do wyjaśnienia, do jakiego domu opieki trafił Bogdański i jakie były jego dalsze losy. Miała też odnaleźć akt zgonu i miejsce pochówku. Druga grupa zajęła się wznowionym śledztwem w Wiszni Małej, trzecia, w której znajdował się sam Sroka oraz między innymi Ruciński, miała badać nowe wątki i hipotezy, jakie zrodziły się w sprawie morderstwa na Marszowicach. Ostatnia grupa została skierowana do Szczepanowa i Środy Śląskiej. W gminnym archiwum miała odnaleźć wszystkie informacje o Bogdańskim i jego ewentualnych krewnych oraz zebrać dokładniejsze informacje o nim od mieszkańców Szczepanowa.

Odprawa zakończyła się około jedenastej trzydzieści. Paulina wyciągnęła Marcina na korytarz i na schody do wyjścia, żeby znaleźć się jak najdalej od Wysockiego. Marcin chciał jeszcze porozmawiać ze Sroką na osobności, ale widząc jej minę, zrezygnował i bez słowa poszedł za nią na parking do auta.

Niebo było bezchmurne, słońce mocno przygrzewało i aura była raczej letnia niż jesienna. Marcin ściągnął kurtkę, rzucił ją na tylne siedzenie i został tylko w koszuli. Po kilkuset metrach Paulina włączyła klimatyzację, bo samochód stał w słońcu

i nagrzał się w środku.

– Co tak uciekałaś? – zapytał, kiedy stali na światłach do skrętu w Legnicką z Podwala.

– Nie chciałam się spotkać z tym palantem – odpowiedziała krótko.

– Kiedyś i tak się z nim spotkasz – zauważył. – Taka praca.

– Chcesz mnie teraz pocieszyć czy zdenerwować?

– Ani jedno, ani drugie.

– Powiedziałam mu wczoraj dobitnie, żeby się ode mnie odpierdolił.

– Widziałem. Był wściekły.

Po jej minie widział, że jest zła.

– Możemy zmienić temat?

– Jasne. – Wzruszył ramionami. – Możemy nawet pomilczeć.

Spojrzała na niego z ukosa.

– Coś cię ugryzło? – zapytała zaczepnie.

– Tak. Uważam, że nie powinnaś go unikać. Jeśli za pierwszym razem nie zrozumiał, że z twojej strony to koniec, musisz powtarzać mu tak długo, aż zrozumie.

– Widzę, że ci to przeszkadza – powiedziała ostrożnie.

– Powiedzmy, że nie czuję się komfortowo – mruknął po chwili, nie patrząc na nią, tylko skupiając się na prowadzeniu auta. – Jesteśmy ze sobą raptem kilka dni. Przede mną miałaś jakieś swoje życie, w którym pewnie nie brakowało facetów, i nie powinno mnie ono interesować. Widzę jednak po twoim zachowaniu, że Wysocki ciągle nie jest ci obojętny. I to mi przeszkadza.

– Darek to przeszłość – zapewniła.

– Będzie przeszłością, jak przestaniesz się przed nim ukrywać i w końcu zrozumie, że między wami definitywnie skończone.

– Przyznaję, byłam nim zauroczona, potem cierpiałam i pewnie dlatego teraz zachowuję się jak idiotka, ale ta przygoda już się dla mnie zakończyła.

Spojrzał na nią z krzywym uśmiechem na ustach.

– Ja też kiepsko się czuję w roli taniej imitacji – powiedział.

– Kurwa, teraz ty gadasz jak potłuczony! W porównaniu z tobą Wysocki przegrywa na wszystkich płaszczyznach. To egoista i babiloniarz, a ty masz bardzo zdrowe podejście do życia. Nie myślisz tylko o zapewnieniu sobie maksimum przyjemności przy minimum odpowiedzialności.

– W wydziale jest pewnie kilka osób, które widzą, że coś między wami było. Zresztą sam wczoraj zauważyłem, Wysocki wcale za mocno nie ukrywa, że jesteś dla niego kimś więcej niż koleżanką z pracy.

– Może tak być – przyznała. – O rany! Zachowujesz się jak każdy facet. Skoro tamtego już nie ma, a ty jesteś, sam wyciągnij odpowiednie wnioski. Pracujesz przecież w policji! Nie trzeba do tego wielkiej inteligencji!

– Nie byłem przygotowany na taką sytuację.

Milczała. Dopiero kiedy ruszyli ze świateł koło domu towarowego Astra na Kosmonautów, odezwała się:

– W związku z tym zapytam jeszcze raz. Czy to, że miałam romans z Darkiem, coś dla ciebie zmienia? Gdybyś wiedział, trzymałbyś się ode mnie z daleka?

Pokręcił głową.

– Paulina, masz wielki dar wyciągania zbyt daleko idących wniosków – powiedział. – Czy ja ci coś takiego zasugerowałem?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami i zmniejszyła trochę nawiew, ponieważ zrobiło się chłodno – Może to wynika z moich negatywnych doświadczeń w innych związkach? Trzeba o wszystko głośno i wyraźnie pytać.

– Paulina – powtórzył – Może to znowu głupio zabrzmie w perspektywie długości naszej przygody, ale zależy mi na tobie i w dupie mam przeszłość. Byleby tylko zbyt mocno nie ingerowała w teraźniejszość.

Popatrzyła przed siebie i powiedziała cicho:

– Zupełnie inaczej zapamiętałam cię z dawnych czasów.

Nie skomentował, tylko spojrział na nią. Na dnie jej brązowych oczu skakały te iskierki, które tak go pociągały.

– Zawsze się ciebie trochę bałem – odezwał się po chwili.

Roześmiała się głośno.

– Jak to się bałeś?! – wykrzyknęła.

– Twojego mocnego charakteru i bezczelnego uśmiechu.

– Teraz już się nie boisz? – zapytała kpiąco.

– Już nie – odpowiedział poważnie. – Udało mi się zobaczyć, jaka jesteś naprawdę.

Spowaźniała i zmieniła trochę temat.

– Mylisz, że warto próbować? – zapytała. – A jeśli wszystko znowu skończy się wielką katastrofą?

– Niemożliwe. – Pokręcił głową. – W naszym wieku rozsądek zaczyna brać górę, dlatego jesteśmy w stanie pójść na kompromis i mamy realne szanse na sukces.

Przez najbliższe minuty w milczeniu ciągnęli się w sznurze samochodów stojących w korku, żeby przejechać przez Leśnicę.

XXVII

Jechali wolno przez centrum Środy Śląskiej. Paulina ciekawie spojrzała w prawo, w ulicę Kolejową, gdzie kiedyś mieszkała. Marcin zerkał w tylne lusterko. Srebrny ford focus podążał za nimi w pewnej odległości. Na jakiś czas zapomniał o ochronie, jaką zorganizował mu Grabski, i dopiero gdy skręcali z obwodnicy miasta, przypomniał sobie, widząc znajome auto. Nie powiedział nic Paulinie.

– Jak myślisz? – zaczęła. – Kto w nocy chodził po podwórku Bogdańskiego?

– Nikt przypadkowy – odpowiedział. – Ludzie na wsi znają się choćby z widzenia. Nowak go nie poznał. To musiał być ktoś obcy.

– Jeśli to był nasz morderca, po co wracał? Ta myśl nie daje mi spokoju.

– Jeśli masz jakieś przemyślenia, to mów.

Skręcili w Malczycką i Marcin zerknął w boczne lusterko, sprawdzając, czy ford też skręcił. Kiedy już myślał, że nie, auto pojawiło się, jadąc wolno za starym mercedesem.

– A gdyby historia o rzekomym zabraniu Bogdańskiego do domu starców była nieprawdziwa? – podsunęła. – Może ludzie sami ją wymyślili albo ktoś podpowiedział im takie zgrabne wytłumaczenie zniknięcia sąsiada? Płacenie Dąbrowskiemu za utrzymanie posesji miało ją bardziej uprawdopodobnić.

Spojrzał na nią szybko.

– Do czego zmierzasz?

– Masz rację, wewnątrz domu Bogdańskiego wcale nie wygląda,

jakby szykował się do wyjazdu.

– Sama mówiłaś, że mógł się nagle rozchorować.

– Mogło tak być, nie przeczę – przyznała nieprzekonana. – Ale Bogdański nie miał syna, to pewne. Kim więc był mężczyzna, który go zabrał? Na ten moment jest naszym głównym podejrzanym. Jeśli on dalej porywał i mordował chłopców dokładnie w taki sam sposób, w jaki robił to Bogdański, rodzi się kolejne pytanie: skąd znał metody działania Bogdańskiego?

Wiedział już, do czego zmierza Paulina, ale nic nie powiedział.

– A jeśli wtedy, w 1988 roku, nigdzie Bogdańskiego nie zabrał, tylko go zamordował, a ciało ukrył gdzieś na posesji? – ciągnęła.

– Dlaczego miałyby go mordować? – zapytał Marcin.

– Nie powiesz mi chyba, że Bogdański nie miał nic na sumieniu. Powodów mogło być sto. Najbardziej prawdopodobna wydaje się zemsta. Albo ktoś z krewnych pokrzywdzonych w przeszłości chłopców odkrył prawdę i sam wymierzył sprawiedliwość, albo mamy do czynienia z zemstą niedoszłej ofiary po wielu latach.

– Cały czas uważasz, że to mój brat.

– Rozmawialiśmy już o tym. To ostatnie nazwisko na liście Bogdańskiego, do tego w bardzo tajemniczy sposób powiązane z niedawnymi morderstwami.

– No dobrze – powiedział Marcin. – Motyw zemsty jestem w stanie zrozumieć i twoją hipotezę uważam za bardzo prawdopodobną. Jedno nie trzyma się kupy. Dlaczego nasz mściciel zaczął działać tak jak Bogdański? Co chce w ten sposób przekazać światu? Jeżeli zabił swojego oprawcę, dlaczego kontynuuje jego dzieło?

– Może mamy do czynienia z dziwnym sprzężeniem zwrotnym pomiędzy katem a ofiarą? – podpowiedziała. – Ofiara została nowym katem, kiedy zabrakło starego. Może w ten sposób mści się za swoje krzywdy?

– Nie przekonałaś mnie. – Pokręcił głową.

– W takim razie w jakim celu przez ponad dwadzieścia lat płaci za utrzymanie domu? Dlaczego potajemnie odwiedza ten dom nocą?

– No właśnie. Dlaczego?

– Traktuje go jak fetysz, świątynię, w której działał mistrz. Albo przyjeżdża, żeby jeszcze bardziej pogłębić Bogdańskiego. Taka dodatkowa forma poniżenia. Siedzi na tej studni na podwórku i mówi do niego: „Popatrz, znowu tu jestem, nikt nie wie o moim istnieniu, nikt jeszcze nie znalazł twojego ciała, które gdzieś tutaj zakopałem. Jestem od ciebie lepszy i sprytniejszy. Przerosłem cię”.

Przerzucając się argumentami, wjechali do Szczepanowa, przejechali przez krzyżówkę przy kościele i znaleźli się na Długiej. Marcin zaparkował na poboczu, dalej od innych policyjnych aut. Dzisiaj było ich więcej niż wczoraj. Oprócz dwóch osobówek i fiata ducato w barwach policji stały tu jeszcze dwa busy, którymi rano przyjechało dwudziestu kadetów ze szkoły policyjnej, żeby wspomóc poszukiwania w ogrodzie, i cztery inne, nieoznakowane samochody. Po drugiej stronie ulicy znowu stało kilku gapiów. Przyjechała też telewizja z ośrodka we Wrocławiu i redaktor z kamerzystą zagadywali teraz mieszkańców wsi.

Paulina z Marcinem ruszyli pod dom Bogdańskiego. Volkswagen transporter Rajczy i Adamskiego stał w tym samym miejscu co dzień wcześniej, jakby w ogóle się stąd nie ruszał. Najwięcej działa się w ogrodzie za domem. Pod kierunkiem Mirosława Jareckiego, współpracującego z sądem i policją archeologa-antropologa, trwały prace poszukiwawcze. Najpierw trzeba było skosić i uprzętnąć trawę. Policja dysponowała kosami spalinowymi, ale niekoszona przez lata trawa była zbyt twarda i gęsta. Na szczęście zgłosiło się dwóch sąsiadów ze zwykłymi kosami. Dopiero wtedy prace porządkowe ruszyły pełną parą. Kosy spalinowe używane były tylko tam, gdzie nie

sięgała tradycyjna kosa. Kiedy przejechali Marcin i Paulina, połowa ogródka była już skoszona. Ubrani w mundury moro kadeci nosili trawę w jeden z kątów ogrodu. Inni kadeci, pod kierownictwem Jareckiego, dzielili ziemię na regularne kwadraty o bokach około stu dwudziestu centymetrów za pomocą sznurka rozciąganego wzdłuż i w poprzek ogrodzenia. W tak podzielonej ziemi ostatnia grupa kadetów kopała szpadlami głębokie na pół metra jamy, poszukując szczątków ofiar. Praca szła szybko i sprawnie, wyglądało na to, że przed nocą zdążą sprawdzić cały ogródek.

Przywitali się z Mirkiem Jareckim.

Na co dzień Jarecki pracował ze studentami na uniwersytecie, ale był też biegłym sądowym i widać było, że lubi swoją pracę. Marcin współpracował z nim już w sprawie morderstwa w jednej z willi we Wrocławiu na Krzykach. Mąż zamordował żonę i kochanka żony, oba ciała zakopał na trawniku za domem. Dopiero po kilku miesiącach, kiedy do śledztwa włączył się zespół Sroki, podejrzenia padły na męża. Nie przyznawał się do winy, nie mieli ciała, nie można mu więc było postawić zarzutów. Wtedy do akcji wkroczył Jarecki i bardzo szybko wytypował właściwe miejsce. Tym razem zlokalizowanie miejsca ukrycia ciała nie było takie proste. Trzeba było przekopać wielką połąć terenu w sposób metodyczny i zorganizowany.

– Widzę, że idzie dosyć sprawnie – powiedział Marcin.

– Zwłoki mogą być wszędzie – odparł Jarecki i zaraz podbiegł do jednego z kopiących. – Trochę głębiej! I nie wbijajcie tak energicznie szpadli, żeby niczego niepotrzebnie nie uszkodzić!

Wrócił do Marcina.

– Może do wieczora zdążymy. Pracujemy bez przerwy od ósmej.

– Nie przeszkadzam – odpowiedział Marcin. – Pójdziemy zobaczyć do środka.

Pociągnął za sobą Paulinę i wrócili przed dom. Przechodzący

obok Rajcza machnął do nich ręką i wszedł do środka. W tym samym czasie Adamski wyszedł na papierosa.

– Prawie skończyliśmy – powiedział, kiedy się przywitani. – Kurz w środku jest straszny. Czuję, jakbym cały przesiąkł stęchlizną tej rudery.

– Macie coś ciekawego? – zapytała Paulina.

– Poza tym zamurowanym pokojem w innych częściach domu nie ma żadnych śladów. Facet musiał być bardzo ostrożny.

– Dlaczego zamurował drzwi?

– Właśnie ze względów bezpieczeństwa. Raz na cztery lata, jak miał kolejną ofiarę, odsuwał szafę, rozbierał cegły ze ściany i był w swoim królestwie. Potem znowu zamurowywał drzwi i nie wchodził tam przez kolejne cztery lata.

– Zwyrrodnialec – wycedziła przez zęby.

– Żebyś wiedziała. – Adamski pokiwał głową. – Tam na wszystkim są ślady krwi, jak w rzeźni. – Rzucił niedopałek i wrócił do pracy. Marcin rozejrzał się po podwórzu.

– To gdzie można było ukryć zwłoki Bogdańskiego? – zapytał bez przekonania.

Wzruszyła ramionami.

– To zależy od tego, ile czasu miał nasz mściciel – mruknęła. – Jeśli przyjechał tu z gotowym planem, mógł się nad starym jeszcze znęcać, tak jak on na swoich ofiarach.

– Raczej mało prawdopodobne – odpowiedział Marcin. – Mariusz Dąbrowski mówił, że facet przyjechał polonezem w dzień. Czyli musiał zaparkować auto przed bramą albo gdzieś tu, przed domem. Bogdański był samotny. Każdy obcy gość na jego podwórku wywoływał u sąsiadów ciekawość. Szczególnie taki, który przyjechał autem. Nie miał dużo czasu.

– W takim razie zostaje tylko piwnica albo...

Zawahała się, bo spojrzeli na siebie, myśląc o tym samym.

– Studnia!

– Wtedy w nocy stał na tym betonowym kręgu – przypomniał

Marcin.

Podeszli do studni i chwycili za metalowe zardzewiałe uchwyty.

– Otwieramy? – zapytała.

Szarpnął za uchwyt i pokręcił głową.

– Cholernie ciężki – powiedział. – Nie dasz rady.

Paulina poprosiła o pomoc przechodzącego obok rosłego kadeta i wreszcie z trudem udało im się odsunąć krąg. Zazgrzytał o beton i głucho uderzył o ziemię. Zajrzeli ciekawie do środka.

– Kurwa! – wyrwało się kadetowi.

Studnia była głęboka na trzy metry i wyłożona betonowymi pierścieniami. Woda zaczynała się dwa i pół metra niżej. Przez jej krystalicznie czystą toń dokładnie widać było leżący na dnie ludzki szkielet ubrany w czarną marynarkę, w spodniach roboczych i gumowcach na nogach. Czaszka z resztkami włosów na czubku szczyrzyła do nich zębami w upiornym uśmiechu.

– Zawołaj doktora – rzuciła Paulina, szturchając kadeta w bok.

Był tak zaskoczony widokiem, że zareagował dopiero po chwili.

– Tak – odpowiedział i pobiegł za budynek.

Marcin podszedł do otwartego okna domu i zawołał Rajcę i Adamskiego. Po chwili nachylali się nad studnią w piątkę. Dookoła, kilka kroków z tyłu, zgromadzili się zaciekawieni kadeci, robiąc sobie przy okazji przerwę na papierosa.

Mirek Jarecki gwizdnął przeciągle i ten dźwięk rozszedł się echem po studni. Cienka powierzchnia wody przykrywająca leżące na dnie zwłoki zafalowała delikatnie. Marcin odniósł wrażenie, jakby trup się poruszył. Zacisnął dłonie w pięści.

Jarecki i technicy patrzyli w dół bez większych emocji.

– Trzeba go wyciągnąć – odezwała się Paulina.

Marcin nie miał pojęcia, jak to szybko zrobić. Antropolog jednak myślał inaczej.

– Zejdę na dół i wyciągnę go po kawałku – stwierdził z takim

wyrazem twarzy, jakby właśnie dowiedział się, że dostał podwyżkę. – Robert, macie linę?

– Mamy – odrzekł Rajcza. – Nie jest głęboko. Przytrzymamy cię, jak będziesz schodził.

– Naprawdę masz zamiar tam wejść? – zapytał z niedowierzaniem Marcin.

Jarecki poklepał go po ramieniu, uśmiechając się od ucha do ucha.

– Nie będę ci opowiadał, skąd wyciągałem już ludzkie szczątki – powiedział.

Marcin wolał nie pytać.

– Jak długo tam leży? – zapytała Paulina.

– Sądząc po tym, co zostało, długo. Może nawet ćwierć wieku.

– Od 1988?

Jarecki skrzywił się.

– Data dobra, jak i wiele innych.

Potem przebrał się szybko w kombinezon i zabezpieczony liną trzymaną przez trzech kadetów, wszedł do studni, opierając się nogami i plecami o przeciwległe ściany. Na dnie stanął na ceglany występie i schylił się nad szkieletem.

– Może się cały nie rozpadnie – orzekł, a jego głos dobiegł do nich zwielokrotniony echem.

Potem bardzo długo owijał szkielet drugą liną, starając się zrobić to w taki sposób, żeby można było wyciągnąć go w jednym kawałku. Wreszcie dał znak i Rajcza z Adamskim ostrożnie pociągnęli linę w górę. Szkielet drgnął, a później powoli wynurzył się z wody. Zanim jej strumienie z szumem skapnęły w dół, Jarecki wyszedł ze studni. Czaszka z pustymi oczodołami i wyszczerzonymi zębami odchyliła się groteskowo do tyłu i kiedy była już prawie na górze, uderzyła o rurę pompy, oderwała się i z pluskiem spadła znowu na dno studni.

– Szlag by to trafił! – krzyknął Jarecki.

Musiał jeszcze raz zejść na dół i przynieść czaszkę w rękę.

Trzy kwadransy później szkielet leżał obok studni w czarnym plastikowym worku. Rajcza trzymał w dłoniach, chronionych gumowymi rękawiczkami, szczątki dowodu osobistego, który znalazł w wewnętrznej kieszeni marynarki denata. Delikatnie otworzył dokument pęsetą i spojrzął na Marcina.

– Woda rozmyła napisy zrobione piórem, ale fotografia przetrwała – powiedział.

Marcin rzucił tylko okiem, nie miał wątpliwości.

– Bogdański – potwierdził.

Paulina spojrzała przez ramię Roberta na fotografię mężczyzny w sile wieku, z zaczesanymi do góry włosami.

– Jak na ironię tę samą fotografię pokazywał dzisiaj Sroka na odprawie – rzuciła.

Doktor Jarecki zdjął już mokry kombinezon. Klęczał przy zwłokach i od dłuższego czasu oglądał czaszkę. Wreszcie wstał, przykrył dokładnie zwłoki folią i otrzepał odruchowo kolana.

– Na razie nie jestem w stanie stwierdzić, jaka była przyczyna zgonu – powiedział. – Co prawda z tyłu czaszki widać liczne pęknięcia i jeden spory ubytek, jak po uderzeniu tępym narzędziem, ale równie dobrze takie obrażenia mogły powstać od uderzenia o dno studni. Może dowiem się więcej po obdukcji w klinice.

Wstał i zajrzał jeszcze raz do studni, potem zerknął na Rajcę.

– Nie macie pompy? Trzeba wypompować wodę, może na dole znajdzie się jeszcze coś ciekawego.

– Nie mamy. – Rajcza pokręcił głową.

– Zadzwoń do chłopaków, żeby załatwili straż pożarną – powiedział Adamski i już wykręcał numer na swoim telefonie komórkowym.

Kadeci nadal stali półkolem, wpatrując się w milczeniu w czarny worek. Niektórzy mieli niewyraźne miny. Jarecki popatrzył po nich z uśmiechem i klasnął w dłonie, jakby był nauczycielem w szkole podstawowej.

– Do pracy, panowie! – zawołał. – Koniec przerwy. Wiecie już, jak wygląda ludzki szkielet. Znajdźcie mi jeszcze takich dziewięć w ogródku.

Kadeci niechętnie wrócili do pracy. Romek Rajcza i Jacek Adamski pakowali sprzęt do swojego volkswagena. Przy zwłokach zostali tylko Marcin i Paulina. Słuchając Jareckiego, Marcin uświadomił sobie, że za chwilę ktoś może odkryć zwłoki jego brata i zrobiło mu się niedobrze. Dotąd nie dopuszczał do siebie tej myśli. Dopiero słowa sądowego antropologa pobudziły wyobraźnię. Zacisnął dłonie w pięści, starając się ukryć ich drżenie. Miał ochotę na papierosa, ale rano Paulina wyrzuciła całą paczkę do śmieci, zarządzając koniec palenia. Chciał coś powiedzieć, lecz tylko westchnął.

– Sprawa nam się trochę komplikuje – odezwała się Paulina, widząc bladość na jego twarzy. – Ten krąg zakrywający studnię jest cholernie ciężki.

– O czym mówisz? – Zmarszczył brwi.

– W jaki sposób morderca sam odsunął krąg, wrzucił tam ciało i ponownie go zasunął? Krąg jest ciężki. Nieźle się z tym kadetem namęczyliście, a on przecież wygląda, jakby codziennie chodził na siłownię.

Marcin dopiero teraz pojął logikę jej rozumowania i poczuł gęsią skórę w okolicach karku.

– To znaczy... – zaczął, ale Paulina skończyła za niego.

– ...że może być ich dwóch.

XXVIII

Odnalezienie ludzkich szczątków w studni zmieniło cały wcześniejszy plan śledztwa, a hipoteza o dwóch sprawcach wywróciła tok myślenia śledczych. Pojawiły się nowe tropy w sprawie Rzeźnika z Marszowic oraz zabójstwa w Wiszni Małej. W komendzie Sroka zarządził szybką naradę dla policjantów działających we Wrocławiu. Zrezygnowano z poszukiwań śladów pobytu Bogdańskiego w domach opieki społecznej; jasny stał się fakt, że akt zgonu nie istnieje. Policjanci jeszcze raz pojechali porozmawiać z sąsiadami Janusów, żeby wypytać o dwóch nieznanymych mężczyzn, którzy mogli pojawić się na osiedlu przed morderstwem. Świadkowie, którzy jako ostatni widzieli zamordowaną kobietę w Wiszni Małej, też musieli zostać przesłuchani jeszcze raz. Andrzej Szmidt natychmiast przystąpił do ponownego przeglądania akt porwań dzieci z lat 1991–2003.

Paulina stała obok Marcina i słuchała, jak ten szczegółowo relacjonuje Stefanowi Sroce odkrycie zwłok Bogdańskiego, kiedy zza domu dobiegł okrzyk jednego z kadetów, sugerujący jakieś znalezisko. Pobiegła tam, Marcin ruszył za nią po chwili. Pod jednym z uschniętych drzew owocowych kadet odkopał kości. Mirek Jarecki już tam był i ostrożnie odgarniał łopatą ziemię dookoła. Wszystkie osoby pracujące w ogrodzie stały w napięciu, oczekując, co powie. Antropolog odrzucił narzędzie i dalej odgarniał ziemię rękami. Potem wstał, otrzepał kolana jak ostatnio i popatrzył kpiąco na stojącego przy nim kadeta.

– Nie potrafisz odróżnić czaszki ludzkiej od psiej? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, poklepał go po ramieniu i wrócił do

swoich zajęć.

Napięcie gwałtownie opadło. Na twarzach pojawiły się uśmiechy. Doktor Jarecki klasnął w dłonie, jakby uciszał studentów na sali.

– Koniec przerwy na papierosa, panowie – powiedział. – Jeszcze kawał ogródka do skopania.

Paulina szturchnęła Marcina w ramię.

– Trochę zbladłeś – szepnęła.

– Jestem kłębkim nerwów.

– Właśnie widzę. Co się dzieje? Nawet po włamaniu do swojego mieszkania wyglądałeś lepiej.

– Paulina, gdzieś tu może być zakopany mój brat.

Wrócili do leżącego obok studni czarnego worka.

– Co teraz? – westchnęła.

– Pójdziemy jeszcze raz do Mariusza Dąbrowskiego, a później do sąsiada, tego Nowaka.

Ruszyli wolno w kierunku drogi.

– Marcin – odezwała się Paulina – Bogdański wcale nie musiał zostać zamordowany w zemście za porwania i morderstwa na chłopcach. Może ma na sumieniu inne przestępstwa, o których jeszcze nie wiemy.

– Cholera, mam wrażenie, jakbyśmy wiedzieli coraz mniej.

Dąbrowski, podobnie jak poprzedniego dnia, pracował w warsztacie. Na ich widok wytarł ręce w szmatę. Marcin przedstawił Paulinę. Wyciągnęła odznakę, ale Mariusz nie zwrócił na to uwagi.

– Dobrze, że jeszcze raz przyszedłeś – powiedział, zanim zdążyli o cokolwiek zapytać. – Sam miałem cię szukać.

– Co się stało? – zainteresował się Marcin.

– Ostatnio mówiłem ci, że ten syn Bogdańskiego kilka lat temu przysłał nam list, w którym poinformował, że będzie płacił w okresach półrocznych.

– Pamiętam.

– Żona znalazła ten list w szufladzie, gdzie trzymamy rachunki. Wiesz, zatrzymaliśmy go na dowód, gdyby jacyś inni spadkobiercy Bogdańskiego mieli do nas jakieś pretensje.

– Możemy zobaczyć ten list? – odezwała się Paulina.

– Jasne – odpowiedział Mariusz. – Teraz to nawet go wam dam.

Zniknął w domu i po chwili wrócił z foliową koszulką na dokumenty. W środku była kartka formatu A4, trochę pogięta i lekko pożółkła. Marcin rzucił okiem na krótki tekst i oddał list Paulinie. Ona również przeczytała go szybko i spojrzała na niego zawiedziona.

– Pisane na maszynie – mruknęła.

– Nie zachowaliście koperty? – zwrócił się Marcin do Mariusza.

– Niestety nie. Niewiele pomogłem?

– Z treści nie wynika nic niezwykłego – odpowiedział Marcin. – Nie ma nawet podpisu nadawcy, ewentualnie mogą być jakieś odciski palców.

– U nas w rodzinie przeszedł pewnie przez wiele dłoni. Sam rozumiesz...

– Ale na pewno włączymy go do akt śledztwa – wtrąciła Paulina.

Pożegnali Dąbrowskiego i poszli jeszcze raz do Nowaka, ale nie zastali nikogo w domu. Potem przez kolejne dwie godziny obeszl wszystkich najbliższych sąsiadów Bogdańskiego, jeszcze raz pytając, czy w ostatnich latach nie rzuciło im się w oczy nic dziwnego. Ludzie powtarzali tylko to, co policja już wiedziała. Zamierzali też odwiedzić Romka Adamca, ale tu również nikogo nie zastali – albo Romek nie był w stanie im otworzyć, bo i taka myśl przyszła Marcinowi do głowy.

Wrócili na podwórko Bogdańskiego, kiedy słońce zaszło już za horyzont i zaczęło robić się szaro. Szczątki w czarnym worku zostały zabrane do Wrocławia do laboratorium kryminalistycznego, strażacy wypompowali wodę ze studni, lecz na dnie nie było już nic ciekawego, prócz beretu z „antenką”,

który prawdopodobnie należał do Bogdańskiego. Największym rozczarowaniem zakończyły się prace w ogrodzie. Znaleziono zostały jeszcze kości drugiego psa i dwóch kotów, ale żadnych szczątków ludzkich. Kadeci wsiedli do samochodów i odjechali, doktor Jarecki rozmawiał jeszcze z Rajczą i Adamskim. Wszyscy trzej również szykowali się do odjazdu.

Marcin poszedł na tyły domu i patrzył ponuro na rozkopany ogród. Nie zapytał nawet, czy prace następnego dnia mają być kontynuowane, ale wszystko wskazywało na to, że raczej nie. Sznurki dzielące ogród na strefy poszukiwań zostały zdjęte, a na całej długości ogrodu ziemia nosiła ślady po szpadlach. Po chwili rozległy się odgłosy odjeżdżających samochodów. Robiło się coraz ciemniej i chłodniej. Zapiął kurtkę i wsadził ręce głęboko do kieszeni.

Usłyszał kroki. Paulina stanęła obok niego i wzięła go pod ramię.

– Rozczarowany? – zapytała.

Spojrzał na nią z góry.

– Nie wiem, co mam myśleć – odpowiedział. – Raczej czuję ulgę.

– Jeśli nie tu, to gdzie są ciała?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Pojechali już?

– Tak. Założyli plomby na drzwi i okna, mundurowi jeszcze raz zagrodzili wszystko taśmami i też zaraz będą jechać.

– Nikt nie zostaje na noc?

– Nie, ale patrole pewnie podjadą tu kilka razy.

Objął ją mocno ramieniem.

– Chyba nic tu po nas – powiedział.

– Jestem głodna. Zajedziemy na pizzę do Środy. Ja stawiam.

– Marzę o gorącej kawie z ekspresu.

– O tej porze? – Uśmiechnęła się do niego.

Zajechali do pizzerii w przyziemiu domu towarowego przy ulicy Legnickiej. Marcinowi udało się znaleźć miejsce

parkingowe niedaleko. W lokalu zwolnił się akurat stolik przy ścianie na dwie osoby. Zdecydowali się na dużą pizzę z salami, Marcin zamówił sobie dużą latte, ale była ledwo ciepła i miała dziwny posmak. Paulina wzięła piwo. Pizza okazała się średnia, byli jednak głodni i jedli w milczeniu. Dopiero kiedy Paulina zjadła drugi kawałek i popiła piwem, na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Widziałaś, co zostało z Turystycznej? – zapytał Marcin.

Na Legnickiej, naprzeciw dworca PKS, od niepamiętnych czasów stała restauracja o niezbyt wyszukanej nazwie. Jakiś czas temu przestała istnieć, teren, na którym stał budynek, został sprzedany, a nowy właściciel postanowił wyburzyć Turystyczną. Budynek rozebrany był do połowy okien na parterze. Marcinowi kojarzył się teraz z ruinami kieszonkowego zamku.

Paulina nagle odłożyła kawałek pizzy i odsunęła szklanę z piwem.

– Co się stało? – zaniepokoił się.

– A jeśli to nie są znaki plus, tylko krzyże? – zapytała nieoczekiwanie. – Jeśli twój brat narysował sad u księdza i krzyżykami zaznaczył miejsca ukrycia ciał porwanych chłopców? – dodała, patrząc na niego uważnie. – Podpisał go jako „martwy”... Wcale nie dlatego, że drzewa są stare i na wpół wyschnięte. Martwy, bo leżą w nim ciała chłopców.

Marcin zacisnął dłonie w pięści. Posmak kawy z dużą ilością mleka stał się nagle nieznośnie mdły. Z trudem przełknął ślinę.

– Skąd mógł wiedzieć? – zapytał cicho.

– Nie mam pojęcia. – Wzruszyła ramionami. – W tej sprawie jest wiele pytań, na które nie mamy logicznej odpowiedzi.

– Na jego rysunkach jest dziewięć drzew i osiem krzyżyków.

– To jasne. Rysiek był dziewiątą ofiarą. Kiedy powstawały rysunki, mógł wiedzieć tylko o ośmiu. Przecież się nie domyślał, że będzie następną ofiarą.

Widząc jego minę, straciła pewność siebie.

– Mógł wiedzieć? – zapytała drewnianym głosem.

Marcin gwałtownie potrząsnął głową.

– Bzdura! Nie mógł wiedzieć. Przecież powiedziałaby rodzicom, że grozi mu niebezpieczeństwo. W wieku dwunastu lat dzieci mają już świadomość, co to jest śmierć i...

– Na pewno? – przerwała mu. – Może nie powiedział właśnie dlatego, że się bał? Ktoś go nastraszył.

– Bogdański?

– Prawdopodobnie.

– Nie – zaprzeczył stanowczo. – Zaczynamy puszczać wodze fantazji. Nie wyobrażam sobie, żeby Rysiek miał świadomość, że może być następną ofiarą, i nikomu tego nie zasygnalizował.

– Zauważyłeś, że kiedy mówisz o swoim nieżyjącym bracie, twoje wypowiedzi są bardzo stanowcze i sprecyzowane?

– A jakie to ma znaczenie?

– Moim zdaniem ma. Bardzo duże. Jeszcze niedawno powtarzałeś, że go ledwo pamiętasz, nie byłeś pewien, jaki był naprawdę, dopiero zaczynałeś sobie na nowo przypominać wasze wspólne dzieciństwo. Nagle okazuje się, że jest zupełnie inaczej.

– Nie wiem, do czego zmierzasz...

– Tak naprawdę nie pamiętasz, jaki był Rysiek, nic o nim nie wiesz, bo nie możesz wiedzieć. Miałeś tylko dwanaście lat. Ten Rysiek, którego masz teraz w głowie, jest twoim wymysłem. Wyobrażeniem, ideałem, doskonałym bratem. Dlatego właśnie uważam, że nie powinienes się tak kategorycznie wypowiadać o swoim bracie.

Zastanowił się. Na początku wezbrała w nim fala złości na Paulinę, lecz szybko opadła. W jej słowach było sporo racji.

– Może – przyznał. – Ale trochę się zagalopowaliśmy. Nie wiemy, czy Rysiek wiedział, że grozi mu niebezpieczeństwo. Pewnie nigdy tego już jednoznacznie nie rozstrzygniemy. Zastanówmy się nad prawdopodobieństwem twojej hipotezy.

– O ciałach ukrytych w sadzie?

– Tak. Skąd mógł wiedzieć?

– Tylko jedna osoba mogła mu powiedzieć.

– Znowu Bogdański?

– Tak. Opowiadałeś mi, jak twój brat wrócił kiedyś do domu i mówił, że widział diabła chodzącego w sadzie na palcach.

Marcin natychmiast zobaczył sceny sprzed wielu lat. Ryśka leżącego na wznak z otwartymi oczami pamiętał, jakby to było wczoraj. I jego niewidzące spojrzenie, skierowane na wychylonego za poręcz łóżka Marcina.

„Widziałem, jak diabeł chodzi tam na palcach”.

„Gdzie?”

„U księdza, w sadzie”.

Nie wyglądał na przerażonego, raczej na... zafascynowanego.

– On nie wyglądał na przestraszonego – powiedział. – Był podekscytowany.

– Tajemnicą, którą ktoś mu zdradził?

– Chyba tak.

– Nie miał pojęcia, że zdradzając mu taką tajemnicę, Bogdański wybrał go pewnie na następną ofiarę.

Marcin poczuł dreszcz na plecach.

– Kurwa, jak to możliwe, że nikt się nim nie zainteresował przez tyle lat!? – Nieświadomie podniósł głos.

Dziewczyna z obsługi spojrzała na niego z dezaprobatą. Nie zwrócił na nią uwagi.

– Na początku porwania mogły być spowodowane impulsem – mówiła Paulina. – Z biegiem czasu czuł się już na tyle pewnie, że pozwalał sobie na takie przerażające zabawy. Miał swoje lata, pewnie palił i, jak opowiadała ta babka, jego sąsiadka, pił. Nie był tak sprawny jak dawniej, więc wabił do siebie potencjalne ofiary.

– Dlaczego zawsze na koniec września, co cztery lata? Jakoś ostatnio nikt tego nie analizuje.

– Ja cały czas o tym pamiętam. Obawiam się tylko, że możemy

nigdy nie dowiedzieć się dlaczego.

– Dowiemy się – powiedział z przekonaniem.

– Jak złapiemy tego skurwysyna, który morduje współcześnie?

– Właśnie wtedy.

Zamilkli na moment. Nie mieli już ochoty na pizzę, na kawę ani piwo.

– I co teraz? – Spojrzała na niego z dziwnym wyrazem twarzy.

– Musimy sprawdzić, czy w sadzie są ciała – odpowiedział. – Jutro zawiadomisz prokuratora Wysockiego i użyjesz swoich wpływów, żeby wydał nakaz poszukiwań na terenach należących do miejscowej parafii. Może uda się zacząć kopać przed końcem tygodnia.

Dalej patrzyła na niego w ten specyficzny sposób. Nagle zaczął rozumieć, do czego zmierza. Jak przed laty, kiedy siedzieli przed mieszkaniem, w którym były ukryte zrabowane przedmioty.

– Nie lubię tak długo czekać – powiedziała, patrząc mu w oczy.

– Marcin, pomyśl. Zanim prokurator wyda zgodę na poszukiwania w sadzie, minie co najmniej kilka dni. Nie sądzę, żeby Wysocki palił się do sprawdzania każdej hipotezy i kopania w ogrodach należących do kościoła. Nawet gdyby wiedział, że to mój pomysł. Jeżeli się w końcu zgodzi, ponowne zorganizowanie armii kadetów i doktora Jareckiego pewnie nie będzie proste.

– Grabski nam to szybko załatwi.

– Prokurator Grabski w najbliższych dniach będzie siedział w sądzie na rozprawach.

– Do czego zmierzasz?

– Jeżeliby się okazało, że tam nic nie ma, oberwiemy po uszach. Najlepiej by było samemu po cichu sprawdzić i ewentualnie postawić wszystkich przed faktem dokonanym.

Marcin nie był przekonany.

– Musielibyśmy pojechać tam z jakimś sprzętem – powiedział.

– No i nie wiem, co by powiedział ksiądz na nasze wykopaliska.

– Nie będę czekać do jutra.

Otworzył usta i zaraz je zamknął.

– Nie chcesz chyba... – zaczął, ale mu przerwała.

– Tak, chcę pojechać tam teraz!

– Jest ciemno – zaprotestował jeszcze, ale jej pomysł podobał mu się coraz bardziej.

– Mam dobrą latarkę w aucie.

Popatrzył jej w oczy.

– Mówiłem ci już, że lubię cię taką? – zapytał z uśmiechem na ustach.

– To znaczy jaką?

– Zdecydowaną. Zjedziemy do mojego dziadka. On ma na pewno narzędzia i jakąś dodatkową latarkę.

W jednej chwili podnieśli się z krzeseł. Paulina pobiegła do kasy i zapłaciła rachunek kartą. Marcin czekał na nią w półotwartych drzwiach.

XXIX

Było parę minut przed dwudziestą, kiedy zapukali do domu w Szczepanowie przy ulicy Lipnickiej. Władysław Radecki trochę się zdziwił niespodziewaną wizytą. Jeszcze bardziej zaskoczyła go nieoczekiwana prośba wnuka. Był jednak człowiekiem opanowanym i wyważonym, dlatego nie zadając zbędnych pytań, zaprowadził Marcina do drewnutni, gdzie kilka dni temu razem układali drewno na zimę, i wydobył z niej nowy szpadel i łopatę. Tak obładowani wrócili do toyoty, w której już czekała Paulina.

Na podwórze wyszła też zaciekawiona babcia Krystyna, sprawdzić, kto ich odwiedza o tej porze, i zaczęła usilnie namawiać Marcina i Paulinę, żeby weszli chociaż na herbatę. Dopiero po długiej chwili udało im się wykręcić, przy wsparciu dziadka Władysława. Dziadek dał mu jeszcze lampę ledową w kształcie lampy naftowej. Dawała sporo światła i można ją było postawić albo zawiesić. Bateria była naładowana i zgodnie z instrukcją, lampa mogła świecić przez trzy godziny.

Marcin podziękował bardzo ucieszony, obiecał, że odda narzędzia najpóźniej następnego dnia, wsiadł do auta i wyjechał na skrzyżowanie z ulicą Leśną, gdzie zawrócił i ruszył w kierunku centrum wsi, później ulicą Długą obok domu Bogdańskiego, do kościoła Świętego Szczepana. Nie wjechał jednak na trawnik obok ścieżki prowadzącej na stary cmentarzyk, tylko pojechał dalej i zatrzymał się z drugiej strony kościelnego muru, przed bramą prowadzącą na podwórko i do budynku plebanii.

– Co ty robisz? – zapytała zdziwiona Paulina.

– Najpierw chciałbym pomówić z księdzem – odpowiedział.

– Po co? A jak się nie zgodzi?

– Rozmawiałem z nim, kiedy byłem poprzednim razem w Szczepanowie. Wydawał się bardzo rozsądnym człowiekiem. Mam nadzieję, że jak odpowiednio uzasadnimy nasz zamiar, wyrazi zgodę.

– A jeśli nie? – Popatrzyła na niego niepewnie.

– Przecież nie będziemy kopać samowolnie. Ktoś zobaczy światła, doniesie księdzu i dopiero zrobi się awantura.

– Masz rację – przyznała niechętnie.

– Nie widzę świateł w oknach plebanii. Może księdza nie ma?

– A gdzie niby miałyby być?

– Mnie nie pytaj.

Wyciągnęli z bagażnika narzędzia i latarki i ruszyli w kierunku wejścia. Drewniana furka obok wysokiej dwuskrzydłowej bramy otworzyła się z nieprzyjemnym zgrzytem. Podwórze po drugiej stronie, odcięte od ulicznych latarni, pogrążone było w ciemności, pośród których z trudem można było dostrzec oddalony od nich o dwadzieścia kroków ganek, prowadzący do drzwi wejściowych na plebanię. Marcin szedł pierwszy, wypatrując uważnie ścieżki pod nogami. Na szczęście na ganku zamontowana była lampa z czujnikiem ruchu i kiedy tylko zbliżyli się na odpowiednią odległość, zapaliła się, rozpraszając mrok jasnym światłem.

Marcin nacisnął dzwonek przy drzwiach. Ze środka długo nie dochodziły żadne odgłosy, więc zadzwonił drugi raz. Sekundę później usłyszeli kroki na schodach i przytłumiony okrzyk:

– Zaraz, zaraz! Już idę!

Po chwili poruszyła się zasłona okna przy drzwiach. To ksiądz sprawdzał, kto przyszedł do niego w odwiedziny. Wreszcie zazgrzytała zasława i na progu stanął proboszcz, patrząc na nich zdziwiony.

– Niech będzie pochwalony – powiedział Marcin.

– Na wieki wieków!

– Nie wiem, czy mnie ksiądz pamięta. Jestem Marcin Zakrzewski, wnuk Radeckich. Parę dni temu spotkaliśmy się w sadzie i rozmawialiśmy kilka minut. A to jest moja koleżanka z pracy, Paulina Czerny.

– Bardzo mi miło panią poznać. – Proboszcz się uśmiechnął. – Oczywiście, że pana poznaję, panie Marcinie. Przyszedł pan dokończyć naszą rozmowę o diable?

– Raczej poszukać namacalnych dowodów na jego istnienie.

Ksiądz popatrzył na nich, potem na narzędzia.

– Tu, na terenie kościelnym? – zapytał zdziwiony.

– W sadzie, w którym się ostatnio spotkaliśmy.

– Ale jak to?

– Pewnie ksiądz wie, że dzisiaj przez cały czas prawie dwudziestu policjantów przekopywało ogródek tego starego domu nieopodal?

– Hmm, oczywiście, że słyszałem – odpowiedział proboszcz. – Cała wioska aż huczy od plotek, więc i do mnie dotarło to i owo.

– Szukaliśmy tam ciał chłopców porwanych przed laty przez psychopatycznego seryjnego mordercę grasującego w Szczepanowie i okolicach – wyjaśnił Marcin, starając się, żeby jego słowa wywarły na rozmówcy wrażenie.

Udało mu się. Ksiądz otworzył usta, potem je zamknął, aby wreszcie wykrzyknąć:

– Mój Boże! Czy to aby prawda?

– Najprawdziwsza prawda – odezwała się Paulina.

– Tam niczego nie znaleźliśmy i ekipa poszukiwawcza wróciła do Wrocławia – ciągnął Marcin. – Zanim my stąd odjechaliśmy, Paulina dokonała pewnego odkrycia sugerującego, że ciała mogą być zakopane pod gruszami w sadzie.

– Jakież to odkrycie?

– Ksiądz wybaczy, ale nie mogę zdradzić tajemnic śledztwa. –

Marcin pokręcił głową. – I tak zdradziłem księdzu bardzo wiele. Proszę tym samym o potraktowanie moich słów jako poufnych. Przynajmniej do czasu zakończenia śledztwa.

Ksiądz był poruszony. Zrozumiał, po co im narzędzia i lampy.

– Chcecie szukać... teraz? – zapytał. – Przecież już ciemno!

– Nie możemy czekać – odezwała się znowu Paulina. – Każda chwila jest ważna. Ścigamy teraz niebezpiecznego mordercę. Odkrycie mogłoby nam znacznie pomóc.

– Nie można chociaż poczekać do jutra?

– Proszę księdza, bardzo nam zależy, żeby ksiądz pozwolił nam na poszukiwania w sadzie teraz – powiedziała stanowczo Paulina. – Dzisiaj zrobimy to po cichu i bez zwracania na siebie uwagi. Jest wielce prawdopodobne, że nic nie znajdziemy i wtedy nie będzie zamieszania. Jeśli ksiądz się nie zgodzi i tak, za kilka dni, przyjedziemy tu na poszukiwania z nakazem prokuratorskim i robi się wokół kościoła niepotrzebne zamieszanie.

Ksiądz patrzył na nią i kiwał głową.

– Ma pani rację – przyznał. – Zatem, nie pozostaje mi nic innego, tylko dołączyć do poszukiwań. Proszę chwilę zaczekać.

Włączył oświetlenie na podwórzu. Światło padało na łąkę i prawie sięgało rosnących niedaleko starych grusz. Ksiądz wszedł na moment do korytarzyka i wrócił z dużą, mocną latarką w rękę, z biretem na głowie i z krzyżem na srebrnym łańcuchu na piersiach.

– Każde światło się przyda – powiedział.

– Dziękujemy. – Paulina obdarzyła go szczerym uśmiechem.

– Jak już mówiłem pani koledze, z diabłem należy walczyć na wszelkie możliwe sposoby – wyjaśnił jej proboszcz.

Poszli do furtki w ogrodzeniu prowadzącej na łąkę i do sadu. Niebo było bezchmurne, ale księżyc jeszcze nie wszedł. Robiło się coraz zimniej, przy każdym oddechu z ust ulatywały im białe obłoczki. Na butach i nogawkach spodni osiadała rosa.

Zatrzymali się przy pierwszej gruszy.

– Gdzie spróbujemy? – zapytała Paulina. – Pod ostatnią?

Marcin podrapał się nerwowo po policzku. Dłonie miał tak zimne, że aż go bolały.

Grusze posadzone były w kwadracie. Trzy rzędy, w każdym po trzy. Ta, pod którą w zeszycie Ryśka nie było krzyżyka, znajdowała się w tym rzędzie, przy którym stali, rosła ostatnia po prawej stronie.

– Nie – odpowiedział cicho. – Od pierwszej.

Przesunęli się do rzędu najbliższej parku. Marcinowi znowu przez chwilę wydawało się, że widzi ciemną postać na tle drzew, ale zaraz zobaczył, że to krzak leszczyny rosnący przy granicy zniszczonego ogrodzenia. Odetchnął głęboko.

Na gałęzi powiesili lampę od dziadka Władysława. Pośród zupełnych ciemności blade ledowe oświetlenie nie sprawdziło się na rozległym terenie. Dlatego Paulina z księdzem użyli jeszcze swoich latarek, żeby oświetlić trawę pod drzewem.

– Gdzie zacząć? – zapytał Marcin niepewnie.

– Od naszej strony pnia – podpowiedziała Paulina. – Tak było na szkicu. Spróbuj dwa kroki od pnia.

Marcin odmierzył odległość zgodnie z jej słowami i wbił szpadel w trawę. Zaczął od pierwszej gruszy, ponieważ bał się, że znajdzie ciało brata. Jeśli naprawdę leżało w sadzie, wołał, żeby odkopał je ktoś inny. Wołał pamiętać Ryśka żywego.

Kopanie okazało się niełatwe. Traw nikt od dawna nie kosił i, podobnie jak w ogrodzie Bogdańskiego, na ziemi zalegało kilka grubych, wyschniętych już warstw. Nawet wbicie szpadla w taki dywan było trudne i wymagało wysiłku. Ostrze przecinało czasem tylko wierzchnią warstwę i Marcin musiał próbować kilkakrotnie, zanim dotarło do ziemi.

Najpierw wyciął kontury kwadratu o boku około jednego metra kwadratowego i zaczął dzielić go na mniejsze kwadraty. Teraz zrobiło mu się gorąco, a na czoło wystąpiły krople potu.

Zdjął kurtkę i podał ją Paulinie. Przez długie minuty żadne z nich się nie odzywało, chociaż Marcinowi wydawało się, że ksiądz odmawia pod nosem jakąś modlitwę, której słów nie rozpoznawał. Słysząc było tylko jego przyspieszony oddech, odgłosy szpadla uderzającego o ziemię i szum drzew w parku.

Po kilkunastu minutach oparł się na szpadlu i odpoczywał, dysząc ciężko.

– To nie będzie takie proste – wysapał. – Trawa jest bardzo twarda.

– Może ja spróbuję – zaproponowała Paulina.

– Daj spokój. – Nie zgodził się. – Ledwo można wbić ten cholerny szpadel.

– Niewiele już zostało – wtrącił niespokojnie ksiądz. Chyba udzieliło mu się napięcie związane z poszukiwaniami. – Zaraz będzie można podważyć trawę łopata i odsłonić ziemię.

Marcin zabrał się znowu energicznie do pracy. Dodatkową motywacją był widok słabnącego światła w latarce Pauliny. Mieli bardzo mało czasu.

Po chwili spróbował zastosować się do rady księdza. Łopata podwahał wycięte kwadraty trawy na ich bokach i w ten sposób udawało mu się czasem wyrywać całe jej płyty. Niekiedy jednak natrafiał na bardzo twarde i sięgające głęboko korzenie, wtedy znowu musiał używać szpadla. Paulina oddała księdzu swoją latarkę i zaczęła pomagać Marcinowi. Podwahała łopata warstwy trawy, a Zakrzewski, klęcząc, wydierał ją rękami i odrzucał na bok. Wreszcie udało się oczyścić kwadrat.

Wtedy Marcin znów przejął łopata i stopniowo ściągał kilkucentymetrowe warstwy ziemi. Nie chciał używać szpadla, żeby niczego nie uszkodzić. W ten sposób pogłębił wykop o jakieś trzydzieści centymetrów. Nie natrafił przy tym na nic ciekawego. W pewnej chwili zgasła latarka Pauliny, latarka księdza też zaczęła zółknąć. Tylko ledowa lampa dziadka Władysława cały czas świeciła bladym, zimnym światłem o jednakowym

natężeniu.

Marcin musiał odpocząć. Dla oszczędności wyłączyli światła i stali nad wykopem w ciemnościach. Po chwili oczy oswoiły się z mrokiem i okazało się, że w poświecie rzucanej przez światła z podwórka plebanii też dużo widać.

– Za płytko – ocenił ksiądz. – Musi pan jednak spróbować bardziej stanowczo i głębiej, panie Marcinie.

– Boję się, żeby czegoś nie uszkodzić – wyjaśnił.

Paulina pieśczośliwie poklepała go po ramieniu.

– Nie mamy wiele czasu, ksiądz ma rację – powiedziała.

Jej gest, a później ton głosu sprawił, że ksiądz spojrział na nich zupełnie inaczej niż dotąd. Przez jego twarz przemknęło chyba nawet coś na kształt półuśmiechu.

– Dobrze, spróbuję. Zapalcie światła.

Tym razem Marcin zaczął od środka, śmieiej wbijając łopatę w ziemię. Po chwili wykop znacznie się pogłębił. Paulina zaczynała tracić nadzieję.

– Może nie mamy racji?

– Ciągle za płytko – stwierdził ksiądz. – Żeby dzikie zwierzęta albo bezpańskie psy nie wygrzebały zwłok, musiały być zakopane głębiej.

Marcin również powoli zaczynał wątpić, że uda im się cokolwiek znaleźć. Postanowił jednak wybrać jeszcze jedną warstwę ziemi, większą niż dotąd. Wykop miał już prawie osiemdziesiąt centymetrów głębokości. Marcin wyszedł z niego, chciał otrzepać spodnie z ziemi, ale ręce miał jeszcze brudniejsze, więc zrezygnował.

– I co dalej? – zapytał.

– Chyba nic z tego nie będzie. – Paulina z rezygnacją wzruszyła ramionami.

– Może zaczęliśmy w niewłaściwym miejscu.

– Chyba i tak będziemy musieli sprawdzić dookoła całego pnia.

– Może trochę dalej. Ale już nie dzisiaj. Jest coraz później i za

chwilę zgasną nam latarki.

Książd tymczasem zbliżył się do wykopu, przykucnął i poświecił w sam środek.

– Coś tu jest – powiedział.

Paulina nachyliła się zaraz, stając koło niego. Marcin wskoczył do wykopu i chwycił palcami kawałek szmaty wystający z ziemi. Pociągnął go lekko, ale to musiało być coś dużego, bo nie dało się wyciągnąć. Serce biło mu jak szalone. Klęcząc, odgarniał gorączkowo ziemię gołymi rękami. Szybko odkrywał coraz większe fragmenty jakiejś tkaniny, która przez lata straciła zupełnie kolor i strukturę. Wstał i wyciągnął rękę do Pauliny.

– Daj mi jeszcze łopatę – poprosił.

Ostrożnie wybierał ziemię wokoło znaleziska, aż wreszcie łopata o coś stuknęła. Odrzucił ją i rękami odgarnął ziemię, potem kilkoma ruchami miotły odsłonił znalezisko i aż usiadł na brzegu wykopu.

Ziemia odsłoniła swoją największą tajemnicę, skrywaną przed światem przez długie lata.

W coraz słabszym świetle latarek widzieli dokładnie brązową czaszkę, pustymi oczodołami wpatrującą się w niebo. Właściwie jej fragment, gdyż dolna część była poważnie uszkodzona poniżej otworu nosowego, brakowało górnych zębów i żuchwy. Czaszka była o wiele za mała, żeby mogła należeć do dorosłego. Ciało ułożone było głową bliżej pnia gruszy i nogami w kierunku kościoła i cmentarza, chociaż nogi nie zostały jeszcze odkopane spod prawie metrowej warstwy ziemi.

Nikt się nie odezwał.

Marcin siedział jak skamieniały, czując słabość w nogach i chłód powoli pełznący mu po plecach w kierunku karku. Odruchowo spojrział na drzewo, pod którym prawdopodobnie od trzydziestu lat spoczywało ciało jego brata. Zrobił taki ruch, jakby chciał podrapać się po policzku, ale w ostatniej chwili uświadomił sobie, że dłonie uwalane ma czarną, wilgotną

ziemią. Palce drżały mu nieprzyjemnie. Paulina stała blada, z rękami splecionymi na piersiach i z zaciśniętymi ustami. Ksiądz też długo patrzył na szczątki dziecka na dnie dołu, wreszcie sięgnął po krzyż na piersiach, przeżegnał się i zaczął półgłosem odmawiać modlitwę za zmarłych.

– Może to pomyłka – odezwała się Paulina, kiedy skończył. – Może szczątki pochodzą jeszcze z czasów drugiej wojny światowej.

Minę miała jednak taką, jakby nie wierzyła w swoje słowa.

– Niemożliwe – odpowiedział Marcin ochryple. – Wiele wskazuje na to, że odkryliśmy miejsca ukrycia zwłok. Takie zbiegi okoliczności się nie zdarzają.

– I co teraz? – zapytał ksiądz.

Marcin wyszedł z wykopu i sięgnął po łopatę.

– O tej porze nie ma sensu dalej kopać – powiedział. – Zasypujemy zwłoki i przykryjemy na wszelki wypadek trawą. Na jutro pewnie da się zorganizować ekipę do dalszych poszukiwań.

– Rozkopiemy księdzu sad – dodała Paulina, biorąc do ręki szpadel.

Wspólnie zasypywali dół, zgarniając do niego wybraną wcześniej ziemię.

– Dobry Boże! – wykrzyknął ksiądz. – Nie o sad tu przecież chodzi! Zawsze uważałem, że to miejsce kryje w sobie pamięć o jakiejś strasznej krzywdzie. Nigdy jednak nie przypuszczałem, że prawda jest aż tak przerażająca.

W milczeniu szli w kierunku plebanii. Ksiądz zapraszał ich jeszcze na gorącą herbatę lub kieliszek nalewki wiśniowej na rozgrzewkę, ale dochodziła dwudziesta druga trzydzieści, chcieli wracać. Marcin umył tylko ręce w łazience, a potem pożegnali się z księdzem.

W samochodzie Paulina spojrzała na niego pytająco.

– Co robimy? – odezwała się zmęczonym głosem. – Późno już.

– Zatelefonuję do Stefana Sroki – odpowiedział, wyciągając

telefon. – On na pewno na jutro zorganizuje znowu ludzi do poszukiwań.

Sroka odebrał od razu i Marcin przez kilka minut relacjonował mu zdarzenia z wieczora, nie pomijając żadnych szczegółów. Dalsze działania Sroka wziął na siebie i na dziesiątą następnego dnia zarządził spotkanie u siebie w gabinecie.

Do Wrocławia wrócili przed północą.

XXX

Tajemnicą Stefana Sroki pozostało, jak zdołał w krótkim czasie zorganizować wszystko tak, żeby prace poszukiwawcze w sadzie zaczęły się już od godziny dziesiątej rano. Udało mu się załatwić tę samą grupę kadetów ze szkoły policyjnej, którzy mieli pracować pod kierownictwem Mirka Jareckiego.

Marcin znowu nocował u Pauliny, do swojego domu nawet nie zaglądał. Nie chciało mu się tam wracać. Ciągłe jeszcze mieszkanie, które dotąd wydawało mu się azylem spokoju i bezpiecznym łodem, gdzie wracał, żeby uciec przed światem, było dla niego obce i nieprzyjazne. Poza tym potrzebował Pauliny. Nie zdawał sobie sprawy, że będzie tak bardzo przeżywał odnalezienie zwłok ofiar Bogdańskiego, w tym pewnie i swojego brata. Pomimo zmęczenia w nocy długo nie mógł zasnąć, a kiedy wreszcie zapadł w nerwowy letarg, śnił mu się ciąg koszmarów, w których głównym elementem były poczerwiałe szkielety. Jeden z nich był jego bratem i on musiał znaleźć go pośród innych.

Był czwartek, 5 października.

Obudził się bardzo wcześnie i leżał, wsłuchując się w spokojny, miarowy oddech śpiącej obok Pauliny. Około siódmej wstał i poszedł do łazienki, a później siedział w kuchni, pijąc kawę i rozmyślając.

Nic mu się w tej sprawie nie składało w logiczną całość. Najpierw mordował Bogdański, i to chyba było faktem. Ale kto w ten sam sposób porywał chłopców później i dlaczego zginął Bogdański? Czy zabiła go ta sama osoba, która mordowała

chłopców? Z zemsty? Czy ktoś może chcieć zemścić się na swoim oprawcy, a później go naśladować? Nigdy nie słyszał o takim przypadku. Morderca musiał znać Marcina – i pewnie Ryśka też. Musiał też wiedzieć o ich przygodzie w sadzie i o postaci, którą wzięli za diabła. Kto to mógł być? Na pewno ktoś z czasów ich dzieciństwa. Ktoś ze Szczepanowa. Może naprawdę to były dwie osoby? W pierwszej chwili chodziło im tylko o zemstę na Bogdańskim. Jeden nie musiał nawet wiedzieć, że drugi kontynuuje dzieło Bogdańskiego. Co miał z tym wspólnego Marcin? W jakim celu morderca go obserwował i za co chciał go ukarać, planując zabójstwo jego najlepszej przyjaciółki? Czy mordercą naprawdę jest jego brat, jak cały czas myśli Paulina?

Zanim skończył pierwszą tego poranka kawę, był już niemal pewien, że klucz do rozwiązania tej sprawy tkwi gdzieś w jego dzieciństwie. Musiał się skupić nad bardzo dokładnym zbadaniem tego wątku.

Paulina obudziła się przed ósmą. Zjedli szybko śniadanie, odwiozła go na Kossak-Szczuckiej, a potem osobno pojechali na spotkanie zarządzane przez Srokę. Już w jego trakcie docierały do nich informacje o coraz to nowych szczątkach odkopywanych w sadzie.

Marcin nie czekał do końca spotkania. Na pierwszej krótkiej przerwie na papierosa porozmawiał ze Sroką o swoich przemyśleniach dotyczących dzieciństwa i pojechał do Szczepanowa. Paulina została w komendzie, żeby załatwić wszystkie zaległe sprawy papierkowe i pomóc Andrzejowi Szmidtowi. Przepakowali tylko na parkingu narzędzia dziadka Władysława z toyoty do skody.

Marcin zjawił się w Szczepanowie około południa. Podobnie jak wszystkie policyjne auta zaparkował na podwórzu plebanii i poszedł zobaczyć, jak postępują prace. Pogoda była taka sama jak w poprzednich dniach: słońce rozproszyło już poranne mgły i nagrzało powietrze do niemal wiosennych temperatur.

Wjazdu na przykościelny cmentarz i na plebanie pilnowali mundurowi funkcjonariusze ze Środy Śląskiej, rozstawieni przy taśmach. Poruszenie we wsi było większe niż poprzedniego dnia, pewnie dlatego, że poszukiwania przeniosły się na tereny należące do kościoła. Kilkanaście osób stało na chodniku wzdłuż drogi, próbując zgadnąć, co tym razem odkryła policja. Sadu nie było widać od strony głównej drogi. Zasłaniały go kościelny mur i sama bryła kościoła Świętego Szczepana. Lepszy widok był z prawej strony, z drogi prowadzącej wzdłuż rzeczki, obok tylnego ogrodzenia ogrodu Bogdańskiego, do zabudowań dawnego pegeeru. Odległość do sadu była spora, ale tu również stali ludzie. Trzech wyrostków miało przy sobie lornetkę, którą przekazywali sobie z rąk do rąk, komentując gorączkowo swoje spostrzeżenia. Wprawdzie każdy wykop był osłonięty parawanem, można było jednak dostrzec powiększający się rząd czarnych worków między gruszami a ogrodzeniem cmentarza.

Policjant wpuścił Marcina na podwórze plebanii, podnosząc taśmę. Marcin zaparkował koło samochodu doktora Jareckiego. Wysiadł i poszedł wolno w kierunku furtki prowadzącej do sadu. Tu spotkał proboszcza. Ksiądz stał zamyślony, ściskając w dłoniach ten sam krzyż, który miał na szyi poprzedniego wieczoru. Wyglądał jakby się modlił, dlatego Marcin stanął cicho z boku, nie chcąc przeszkadzać. Wtedy ksiądz otworzył oczy i spojrzał na niego zaczerwienionymi oczami. Wyglądał, jakby nie spał całą noc.

– Niech będzie pochwalony – odezwał się Marcin.

– Na wieki wieków!

Uścisnęli sobie dłonie.

– Oj! Narobił pan zamieszania.

Zakrzewski wzruszył ramionami.

– Z diabłem trzeba walczyć. Tak ksiądz sam powiedział kilka dni temu. Ja tylko staram się znaleźć ludzi zarażonych jego złem i eliminować ich ze społeczeństwa.

– Nie, nie! To nie miało zabrzmieć jak zarzut. Dzięki panu będzie można wyprawić tym biednym dzieciom katolicki pogrzeb, jeśli tylko uda się je zidentyfikować. Ciarki mnie przechodzą, kiedy myślę, że przez tyle lat leżały w ziemi tak blisko od cmentarza i kościoła. Zło należy teraz dobrem naprawić.

Patrzyli w milczeniu na pracujących kadetów i Mirka Jareckiego, który z dwoma asystentami przenosił do czarnych worków kolejne szczątki.

– Miałem już telefon z kurii z pytaniem, co się tu u mnie dzieje – powiedział ksiądz.

Marcin uśmiechnął się pod nosem.

– Wieści rozchodzą się szybciej niż dźwięk.

– Szczególnie te złe – powiedział z westchnieniem proboszcz.

– Przy okazji dowiedział się ksiądz, że w parafii są też donosiciele.

– Jak to w życiu. Zdaję sobie sprawę, że nie wszystkim podoba się moja osoba. Pewnie moi najwięksi wrogowie siedzą w pierwszych ławkach i najgorliwiej się modlą.

Marcin ciekawie spojrział na starego księdza. Nie spodziewał się u niego tak trafnych ocen.

– To też knucie diabła? – zapytał.

– A jakże! – wykrzyknął ksiądz. – Jest sprytny i przebiegły. Zawsze stara się znaleźć jak najbliżej potencjalnej ofiary, więc udaje przyjaciela, uśmiecha się, obiecuje, udaje piękne i wzniosłe uczucia. Ale cały czas knuje, podjudza jednego człowieka na drugiego, rozsiewa plotki, zatruwa dusze, poczynając od tych najsłabszych i najbardziej podatnych, żeby na końcu ukąsić boleśnie i niespodziewanie. Działa tak od tysiącleci.

Marcin poczuł dziwny dreszcz niepokoju. Słowa księdza były niezwykle sugestywne i doskonale obrazowały jego poranne przemyślenia. A jeśli sprawca rzeczywiście był bardzo blisko niego? Udawał przyjaciela, a w duchu drwił z jego nieudolności

i planował kolejne podstępne ciosy? Gdzie był teraz?

Niepokój przerodził się w strach.

– Czy to prawda, że tam mogą być szczątki pańskiego brata? – zapytał nieoczekiwanie ksiądz.

Nie odpowiedział od razu. Popatrzył na ostatnie drzewo w sadzie. Pracowało przy nim dwóch kadetów, wybierając łopatami czarną ziemię z dołu zasłoniętego parawanem.

– Tak. Był ostatnią, dziewiątą ofiarą mordercy działającego w latach 1949–1981 – wyjaśnił.

– Czy mordercą był ten Bogdański, którego gospodarstwo popada w ruinę za rzeczką? – Ksiądz wskazał głową widoczny w oddali zapadnięty dach domu.

– Prawdopodobnie tak – odpowiedział Marcin. – Przez lata kosił w tym sadzie trawę.

– Przerazające. Jest pan gotowy na spotkanie z bratem?

– Jeszcze niedawno myślałem, że tak. Teraz nie jestem już taki pewien.

Ksiądz położył mu rękę na ramieniu.

– Trzeba ufać Bogu i z niego czerpać wiarę. Teraz, kiedy ofiary Bogdańskiego zostaną pochowane na poświęconej ziemi, w katolickim obrzędzie, czas zatoczy koło, zmacony porządek wróci. Tak samo spokój zagości w znękanych duszach i sumieniach. Może zniknie też zła sława tego miejsca.

– Oby ksiądz miał rację.

– Mieszkańcy Szczepanowa są przerażeni – ciągnął proboszcz. – Już dwa razy wychodziłem do nich na ulicę rozmawiać. Z wolna przypominają sobie zaginięcia dzieci sprzed lat. Zapowiedziałem, że w niedzielę będziemy modlić się za ich dusze.

– Bardzo dobrze.

– Może przyjedzie pan ze swoją koleżanką? Serdecznie zapraszam.

– Postaram się być. Powiem też rodzicom, oni na pewno

przyjadą.

– Będę zaszczycony.

Musieli zakończyć rozmowę, ponieważ Mirek Jarecki zobaczył Marcina i przywołał go gestem. Stanęli naprzeciw siebie, odgradzeni sześcioma czarnymi workami leżącymi na zdeptanej przez ludzi trawie. Antropolog miał na rękach umazane ziemią rękawice, więc nie podali sobie dłoni, tylko skinęli głowami.

– Gratuluję – powiedział. – Słyszałem, że to ty domyśliłeś się, gdzie są ukryte ciała.

– Prawdę mówiąc, to zasługa Pauliny Czerny.

– Tak czy inaczej, świetna robota. Po wczorajszym dniu myślałem, że nic już z tego nie będzie.

Marcin wskazał wzrokiem leżące pod ich nogami worki.

– Jak oceniasz zwłoki? – zapytał.

Jarecki schylił się i rozsunął najbliższy worek. Marcin zobaczył brązową czaszkę patrzącą na niego pustymi oczodołami, z których ktoś już starannie wybrał ziemię, i szczerzące pożółkłe zęby. Widać było jeszcze pierś okrytą bardzo dobrze zachowanym swetrem robionym na drutach.

– To dzieci w wieku od dziesięciu do czternastu lat – powiedział. – Tylko tyle mogę teraz powiedzieć na pewno. U wszystkich brakuje prawych dłoni.

– Chyba nie chcę tego oglądać. – Marcin westchnął.

Jarecki, widząc, jak poblądł, zasłonił zwłoki i wstał.

– Musisz coś wiedzieć – powiedział.

Marcin poczuł ukłucie niepokoju.

– Tu jest tylko osiem ciał. Pod ostatnią gruszą nie ma nic. Kazałem już kopać głębiej, ale niczego tam nie ma. Nie ma też sensu dalej pogłębiać jamy. Przeszkadzają korzenie.

Marcin poczuł słabość w nogach i nic nie odpowiedział.

– Słoików z dłońmi w formalinie też było osiem – zakończył Jarecki.

– Mogę zobaczyć wykop? – zapytał Marcin nieswoim głosem.

– Jasne.

Na sztywnych nogach ruszył przed siebie. Stał przy parawanie. Akurat kopiący tu kadeci zrobili sobie przerwę na papierosa. Drzewo okopane było głęboko ze wszystkich stron, widać było korzenie. Antropolog miał rację. Nie dało się głębiej.

Marcin zacisnął dłonie i przymknął oczy. Znowu był chłopcem, po raz kolejny przypomniawszy sobie, jak z Ryśkiem przyjechali rowerami na gruszki do sadu. Przypomniawszy sobie szept mordercy, tak wyraźnie, jakby tamten znów szeptał mu do ucha.

„Widziałem, jak diabeł chodzi tam na palcach”.

Równocześnie wydawało mu się, że w nozdrza uderzył go słodkawy odór krwi, jak wtedy w lesie na Marszowicach. Odruchowo wytarł dłonie w spodnie. Znowu wspomniawszy słowa księdza. Diabeł jest bardzo blisko, czasem udaje przyjaciela i tylko czeka na odpowiedni moment, żeby ukąsić.

Nie wiadomo kiedy Mirek Jarecki stanął obok niego z paczką papierosów w dłoni. Marcin odruchowo poczęstował się i palili w milczeniu.

– Nigdy jeszcze nie miałem takich wykopalisk – przyznał się antropolog. – Jakbym odkopywał prasłowiańskie cmentarzysko.

– Możesz wskazać, w którym miejscu znajdowało się najstarsze ciało? – zapytał Marcin.

– To było to, które znaleźliście jako pierwsze. Później wiek nie jest taki prosty do określenia. Wydaje mi się jednak, że w tym rzędzie bliżej cmentarza są ciała zamordowanych stosunkowo niedawno. Zresztą tak wskazywałaby logika. Zostało jeszcze jedno miejsce na ukrycie zwłok. Na szczęście morderca już widać nie zdążył...

– Było dziewięć ofiar – zauważył Marcin.

– Jedną musiał ukryć w innym miejscu. Może coś mu przeszkodziło?

– Mogło tak być – powiedział Marcin bez przekonania.

Jarecki wrócił do pracy. Marcin odszedł kilka kroków do tyłu

i stał samotnie, rozmyślając. Około pierwszej po południu zadzwoniła Paulina.

- Cześć! – powiedział.
- Cześć! Jak tam u ciebie?
- Nie wygląda ciekawie.
- Domyślam się. Marcin?
- Słucham.
- Ciało jest osiem.

Zacisnął szczęki i nic nie odpowiedział. Paulina mówiła dalej.

– Powiedziałeś, że jak znajdziemy osiem ciał, poważnie zastanowisz się nad tym, czy nie powinniśmy zacząć szukać twojego brata.

Wezbrała w nim fala złości, ale udało mu się opanować.

– Tak powiedziałem, ale dalej nie jestem przekonany – wycedził.

– Rozmawiałam właśnie ze Stefanem Sroką – ciągnęła. – Od tej chwili to jest jedna z oficjalnych hipotez w śledztwie.

Jednak nie wytrzymał i wybuchnął.

– Kurwa, Paulina! To jest strata czasu! Jak wy sobie, do jasnej cholery, wyobrażacie, że on przez tyle lat nie dawał znaku życia? To jest utopia!

– Otrząśnij się trochę i spójrz prawdzie w oczy! – Paulina również podniosła głos. – Oszukujesz się od samego początku i wciąż powtarzasz: niemożliwe, niemożliwe! A ja od początku mówię ci, że może istnieć sto racjonalnych wytłumaczeń. Na razie, nie mamy żadnego poważnego tropu. Ten przynajmniej najlepiej wszystko tłumaczy.

– I stawia kolejne pytania!

– Nie ma sensu, żebyś się dalej na mnie wściekał. – Jej głos się trochę zmienił. – Decyzja została już podjęta i powstał trzyosobowy zespół do zbadania tej hipotezy.

Nie odezwał się.

– I jeszcze jedno – powiedziała trochę chłodniej. – Zostałeś

oficjalnie odsunięty od tego wątku śledztwa.

Zacisnął szczęki z wściekłości i nie odzywał się przez kilka sekund. Paulina czekała.

– Kto podjął taką decyzję? – odezwał się wreszcie.

– Sprawy się mocno skomplikowały. – Zawiesiła na moment głos. – Po twoim wyjeździe natknęłam się na korytarzu na prokuratora Wysockiego. Zaczepił mnie, więc powiedziałam mu, żeby dał mi nareszcie święty spokój, bo jestem z tobą.

– I co on na to? – zapytał prawie kpiąco Marcin.

– Spławiłam go tym. Podobno potem na spotkaniu roboczym wystąpił z wnioskiem, żeby wysłać cię na urlop na czas śledztwa. Nie było mnie tam, ale ponoć twierdził, że możesz być nieobiektywny.

– Kawał skurwysyna! – wycedził przez zęby Marcin. – Odegrał się.

– Nie do końca. Grabski i Sroka wstawili się za tobą i z tego, co później opowiadał mi Andrzej Szmidt, była niezła jatka. Stało na tym, że dalej jesteś w śledztwie, ale nie badasz wątku związanego z twoim bratem.

Marcin milczał.

– Kwadrans temu spotkałam Wysockiego na korytarzu i zrobiłam mu awanturę przy świadkach. Gdyby mnie Andrzej nie powstrzymał, dałabym mu w mordę. Powiedziałam, że jeśli zrobi coś, żeby zaszkodzić tobie albo mnie, o naszym romansie ze wszystkimi szczegółami dowie się jego żona.

– Naprawdę tak powiedziałaś? – Poczul, jak złość z niego schodzi, i prawie się uśmiechnął.

– Tak. Jest niezła chryja w komendzie i nie wiem, jak to się skończy – przyznała i wydawało mu się, że Paulina też się uśmiechnęła. – Możliwe, że będziemy musieli znaleźć sobie jakąś nową pracę.

Teraz roześmieli się oboje.

– Zajmiesz się fotografią i zostaniesz sławna – powiedział. –

Wiem, co mówię, masz talent!

– A ty?

– Założę agencję detektywistyczną, Justyna Kordas załatwi mi kontrakt z TVN i będę sławniejszy niż detektyw Rutkowski.

– Z Justyną może daj sobie spokój, dobrze?

– Co to za dziwną nutę usłyszałem w twoim głosie?

– Wydawało ci się!

– Paulina?... Jestem z ciebie dumny.

– Za co?

– Za Wysockiego. Chociaż... kiedyś naprawdę powinienem dać mu w mordę.

Roześmiała się głośno.

– Marcin? Może urwiemy się wcześniej z pracy? Tej sprawy dzisiaj nie da się rozwiązać, a w końcu mamy piątek.

– Czwartek – poprawił ją.

– Czwartek? – zapytała zawiedziona. – No to czwartek!

– O siedemnastej u ciebie? – zapytał.

– Zrobię coś dobrego do jedzenia.

– Kupię wino.

Marcin z uśmiechem na ustach schował telefon. Ktoś stanął za jego plecami.

– Komisarz Zakrzewski? – usłyszał pytanie.

XXXI

Odwrócił się gwałtowne, trochę zaskoczony. Przed nim stał młody policjant.

– Jakiś mężczyzna prosi pana na plebanię – wyjaśnił. – Mówi, że to bardzo pilna sprawa.

Marcin ruszył za nim szybkim krokiem. Obok wejścia na teren parafii stał Romek Adamiec i nerwowo poprawiał włosy. W milczeniu uścisnęli sobie dłonie. Marcin pociągnął nosem i zapytał zdziwiony:

– Jesteś trzeźwy?

– Od twojej wizyty nie piję – odpowiedział Roman.

Wyglądał trochę lepiej niż podczas ich ostatniego spotkania. Opuchlizna z twarzy jeszcze mu nie zeszła, oczy ciągle miał mętne i zaczerwienione, ale umył włosy i włożył starannie wyprasowaną koszulę, na którą narzucił jesienny czarny płaszcz. Nie zapiął guzików i wyglądał na zmarzniętego.

– Gratuluję. – Marcin się uśmiechnął, ale widząc jego minę, zaraz spowaźniał. – A Justyna?

– Po twoim wyjściu spakowała walizki i pojechała do mamy – przyznał niechętnie. – Od tamtego dnia z nią nie rozmawiałem. Nie chce ze mną gadać. Odkłada słuchawkę.

– Może potrzebuje czasu. Musisz jej coś udowodnić, nie uważasz?

– Wiem. Przede wszystkim jednak muszę ratować siebie.

– Cieszę się, że mówisz to na trzeźwo – powiedział Marcin. – Jest ciężko?

– Nawet sobie nie wyobrażasz. Ale nie chcę o tym rozmawiać.

Mam coś innego.

– Co?

– Ostatnio pytałeś mnie o sad.

Marcin nadstawił uszu.

– Odgrzebałem przedwojenne numery niemieckiego „Schlesigezeitung”, które kiedyś kupiłem na targu staroci na Dworcu Świebodzkim we Wrocławiu. Jest tam cykl artykułów o historii Śląska. Dwa teksty dotyczą historii Szczepanowa. Chodź na kawę, to wszystko ci opowiem.

Przeszli na drugą stronę ulicy i ruszyli do domu Romka. Po drodze Marcin skorzystał z okazji i zapytał o dawnych kolegów z podstawówki.

– Z tego, co pamiętam, coś ci ostatnio opowiadałem – powiedział niepewnie Romek.

– Mówiłeś, że Alek Kuriata przyjechał z Kanady, wspominałeś Piotrka Madosza, Gustawa Kalendę, Marka Doczumińskiego, chociaż nie mówiłeś, co robi teraz.

– Marek? Ma firmę budowlaną w Trzebnicy. Był parę lat w Niemczech, zarobił trochę euro i wrócił. Tutaj okazało się, że żona ma jakiegoś faceta na boku, więc wprowadził się na chwilę do rodziców. Potem poznał dziewczynę z Wiszni Małej i razem mieszkają teraz w Trzebnicy.

Marcin drgnął.

– Z Wiszni Małej, powiedziałaś? – upewnił się.

– Tak.

– Kiedy to było?

– Gdzieś w roku dwutysięcznym.

Romek zatrzymał się, wyciągnął papierosa i zapalił. Marcin w tym czasie patrzył w kierunku basenu przeciwpożarowego. Przypomniało mu się, jak z Ryśkiem przychodzili tu w zimie i grali z kolegami w hokeja kijami wyciętymi z gałęzi. Już nie pamiętał, kto miał oryginalny krążek z napisem NHL. W tamtych czasach to był prawdziwy skarb.

- Widujesz go jeszcze? – zapytał Marcin.
- Jasne. Odwiedza mnie, jak tylko jest w Szczepanowie u rodziców. Z tą nową kobietą ma dwójkę dzieci.
- A co robi Krzysiek Bekieszczuk?
- Nic, mieszka w Szczepanowie w domu rodziców. Nie ma żony i z tego, co wiem, popija... – Romek zawiesił głos.
- Tak jak ty? – zapytał Marcin.
- Więcej.
- Rozumiem. To chyba wszyscy faceci z naszej klasy?
- No co ty! Jeszcze Paweł Sobolewski!
- A tak, zapomniałem o nim.
- Doszły mnie słuchy, że próbował zrobić karierę jako kolarz. Marcin pokiwał głową.
- Już w ósmej klasie był mistrzem Dolnego Śląska w juniorach młodszych. Ja też próbowałem zostać kolarzem, ale wtedy ciężko było o sprzęt. Pamiętam, że na drugim treningu scentrowałem sobie tylne koło i nic się już z tym nie dało zrobić. Tak zakończyła się moja kariera.
- Romek się zaśmiał.
- Ja też próbowałem wtedy jeździć – powiedział. – Trafiłem na ten rower po tobie!
- Śmiali się chwilę.
- I co z Pawłem? – zapytał Marcin.
- Gdy miał zacząć jeździć bardziej profesjonalnie, zrobili mu badania i okazało się, że ma bardzo małą przepustowość tętnic w udach. Nie mógł być wyczynowym sportowcem. Tak przynajmniej słyszałem. Nie został więc nim. Na studia wyjechał do Krakowa i słuch po nim zaginął.
- Naprawdę nic o nim więcej nie słyszałeś?
- Ani słowa.
- Dotarli do domu Romka i od razu przeszli prosto do kuchni. Marcin usiadł na tym samym miejscu, na którym siedział przed kilkoma dniami, a gospodarz postawił wodę na kawę. Po chwili

orzeźwiający zapach rozszedł się po całej kuchni. Marcin nie pijał kawy parzonej, ale Romek nie miał innej. Nie chcąc robić mu przykrości, powiedział, że z chęcią się napije i teraz grzebał łyżką w kubku, sprawdzając, czy wszystkie drobinki kawy opadają na dno.

Romek przyniósł starą, pożółkłą gazetę i rozłożył ją na kuchennym stole, odsuwając kubki na bok.

– Na szóstej stronie znalazłem historię ze Szczepanowa. Właściwie to bardziej historia kościoła pod wezwaniem Świętego Szczepana, ale są dwie wzmianki o miejscu, w którym teraz jest sad. – Nagle zaciął się, popatrzył poważnie na Marcina i zapytał. – Czy tam są zwłoki Ryśka?

Marcin wytrzymał jego spojrzenie i odpowiedział:

– Prawdopodobnie tak.

– Kurwa mać! Nie mieści mi się to w głowie! – Romek przez chwilę milczał, ale wrócił do tematu. Wskazał artykuł na całą szpaltę na szóstej stronie przedwojennej gazety.

– Nie przetłumaczyłem jeszcze tego na polski, ale przeczytałem go dwa razy. Autor bardzo rzetelnie i ciekawie przedstawił historię powstania starego kościoła, duchownych, znanych z historii postaci i ciekawych zdarzeń.

Marcin słuchał słów kolegi, ale tak naprawdę myślał o dawnych przyjaciółkach z dzieciństwa i młodości. Z trudem koncentrował się na słowach Romka.

– Pierwszy raz pole za plebanią wspomniane jest przy okazji pewnego zdarzenia z 1581 roku. Wtedy jeszcze Szczepanów nie był jedną miejscowością. Na jego terenie znajdowało się siedem przysiółków o różnych nazwach. Było tu też czterech kowali. Wczesną jesienią 1581 roku jeden z nich postradał zmysły. Autor artykułu, powołując się na zapiski z ksiąg parafialnych z tamtych lat, odtworzył przebieg zdarzeń. Kowal nazywał się Herman Jeschke. Pewnego dnia zwariował i zabił siekierą swoją żonę oraz czwórkę dzieci. Kiedy sąsiedzi, zaniepokojeni krzykami

mordowanych, przybiegli na miejsce zdarzenia, kowal zdążył sobie odrąbać prawą dłoń.

Marcin nadstawił uszu.

– Co zrobił? – przerwał. – Możesz powtórzyć?

– Odrąbał sobie prawą dłoń. Potem zaatakował sąsiadów, krzycząc coś o diable, który w niego wstąpił. Ranił jeszcze kilka osób i uciekł. Podobno był roslym mężczyzną. Jak to kowal. Proboszcz, który opisał to zdarzenie, szybko zorganizował pogoń, ale nie znaleziono szalonego Jeschkego. Dopiero wieczorem ktoś wypatrzył go pod wierzbą, która, o ile dobrze zrozumiałem, rosła w tamtym czasie gdzieś w rejonie dzisiejszego sadu. Szaleniec był już martwy. Wykrwawił się.

Marcin napił się kawy, nie zważając już na fusy pływające wciąż po wierzchu.

– Nie ma dokładnej daty tego zdarzenia? – zapytał.

– Koniec września 1581.

Spojrzał na rozłożoną na stole gazetę i poczuł się zupełnie nierealnie, jakby otaczająca go rzeczywistość była ciągle częścią jego snu, a on jeszcze się nie obudził. Czuł gdzieś na karku zimne macki narastającego niepokoju. Zaraz jednak otrząsnął się. Zbieg okoliczności był zaskakujący, ale musiał być tylko zbiegiem okoliczności.

– A drugie zdarzenie? – zainteresował się.

– Ponad dwieście lat później na gałęzi tego samego drzewa powiesiła się dziewczyna podejrzewana o uprawianie czarnej magii. Nikt nie wiedział, dlaczego to zrobiła. Podejrzewano nawet, że ktoś jej pomógł. Wielu ludziom zaszła za skórę złośliwymi psikusami, ale niczego nikomu nie udowodniono. Od tego czasu miejsce uważano za nawiedzone. Widywano tam ciemną, potężną postać, którą brano za kowala Jeschkego, słyszano głosy, późno w nocy płonęły tam jakieś ogniki i światła. Było to dość blisko kościoła, dlatego ówczesny proboszcz, Bernard Voight, odprawił pod wierzbą egzorcyzmy. Samo

drzewo zostało ścięte, korzenie wyrwane i spalone. Autor artykułu pisze, że nic to nie dało i jeszcze przed drugą wojną ludziom zdarzały się tam różne nieprzyjemne przygody.

Marcin nie odzywał się, myślał. Czuł coraz większy niepokój. Cały czas miał w uszach słowa księdza o tym, że złe uczynki ludzi są skutkiem diabelskich podszeptów. Wspomnienie było tak natrętne, że nie był w stanie się od niego uwolnić. Zacisnął dłonie pod stołem.

– To bardzo ciekawe zjawisko – mówił dalej Romek. – Po wojnie Niemcy zostali stąd wywiezieni na zachód, a tutaj zamieszkali ludzie zupełnie niezwiązani z tymi terenami. Wydawałoby się, że pamięć historyczna została zupełnie zerwana. Nowi mieszkańcy nie mieli prawa wiedzieć o zdarzeniach sprzed wielu lat. A jednak. Zobacz, jeszcze za czasów naszej młodości mówiło się, że sad jest złym miejscem. Ten i ów snuł przedziwne opowieści o światłach lub tajemniczych postaciach w sadzie. Przecież sam słyszałem legendy o tym diable, co... Nie pamiętam...

– Chodził tam na palcach – odpowiedział Marcin drewnianym głosem.

W Romku górę wzięła jego pasja historyczna.

– Właśnie! Natura ludzka zawsze jest taka sama. Nieważne, czy ludzie przyjechali z Kresów, czy żyli na zachodzie, w zupełnie innych warunkach kulturowych i materialnych. Diabeł pozostaje ten sam! – Wyciągnął paczkę papierosów i zapalił.

Marcin odsunął od siebie szklanę z niedopitą kawą. Miał mętlik w głowie.

– Istnieje bardzo proste wytłumaczenie – powiedział.

– Nie rozumiem. – Romek spojrział na niego pytająco.

– A jeśli diabeł naprawdę pokazywał się w sadzie?

Wypowiadając te słowa, przed oczami miał czarną postać, sunącą od strony parku w kierunku jego brata, zbierającego

gruszki. Płynnie i majestatycznie, jakby nie dotykała stopami ziemi.

Romek przyjrzał mu się i pokręcił głową.

– Po co diabeł miałby się komukolwiek objawiać? – zapytał i nieświadomie powtórzył słowa księdza. – Więcej zła można uczynić z ukrycia.

Marcin myślami był już gdzie indziej.

– Masz jakieś nasze fotografie z dzieciństwa? – zapytał.

– Jasne! Chcesz pooglądać? Zaraz coś znajdę.

Wyszedł na chwilę do pokoju i wrócił stamtąd z pudełkiem po bombonierce, wypełnionym czarno-białymi fotografiami, niektóre były poźółkłe i marnej jakości. Usiedli obok siebie i oglądali, komentując co ciekawsze.

Pierwsza przedstawiała ich ósmą klasę z wychowawczynią i wielkim psem rasy bernardyn, należącym do fotografa robiącego zdjęcie. Klasa stała na tle pałacu w Leżajsku. Przy psie klęczeli Romek i Marek Doczumiński i trzymali dłonie na jego łbie. Marcin stał obok Renaty Kudrys – wtedy jego pierwszej w życiu sympatii. Trzymał na piersiach zwiniętą wiatrówkę. Na wspomnienie tej wycieczki uśmiechnął się.

– W tej kurtce miałem schowane trzy butelki piwa – powiedział.

– Pamiętam. – Romek się zaśmiał. – Marki Leżajsk. Wypiliśmy te piwa z Markiem na tarasie tego schroniska młodzieżowego na Oleandrach w Krakowie.

Kolejne fotografie również pochodziły z czasów szkoły podstawowej. Nie zawsze pamiętali, gdzie zostały zrobione i w jakich okolicznościach. Przewijały się przez nie różne twarze. Nie tylko chłopcy i dziewczyny z ich klasy. Zatrzymali się na pierwszych kolorowych fotografiach z harcerskiego obozu wędrownego Myślenice – Kraków, w wakacje pomiędzy siódmą i ósmą klasą. Wspomnieli kilka przygód i oglądali zdjęcia dalej. Potem był już okres szkoły średniej. Marcina szczególnie

zainteresowało zdjęcie, na którym grupa nastoletnich chłopców piła piwo przy ognisku w parku. Sam siedział na pniu drzewa w podartej dżinsowej katanie i z długimi włosami, obok byli Romek i Gustaw Kalenda. Obaj uśmiechali się od ucha do ucha. Romek miał sińca pod okiem.

Teraz pokiwał głową z krzywym uśmiechem.

– Tak, to kilka dni po tym, jak dałeś mi wycisk – przyznał. – O co my się wtedy pobiliśmy?

– O dziewczynę.

– Naiwni, nie wiedzieliśmy jeszcze, co nas czeka.

Roześmieli się i sięgnęli po kolejne zdjęcia.

Marcin cały czas czuł wewnętrzny niepokój. Czy gdzieś na tych zdjęciach był jego obecny prześladowca i bezwzględny seryjny morderca? Która z tych roześmianych dziecięcych twarzy kryła w sobie straszliwą tajemnicę? Powoli dochodzili do ostatnich zdjęć. Marcin zdał sobie sprawę, że nie wierzy w swoją teorię. Niemożliwe, żeby ktoś ze znajomych ze szkoły, z boiska, z sobotnich nocnych wypraw na dyskoteki w okolicznych wioskach, był mordercą. Niemożliwe! Przecież bardzo dobrze wszystkich znał, przyjaźnili się i w większości wypadków nadal utrzymywali ze sobą kontakty. Napięcie powoli opadało. Odetchnął głęboko i opadł na oparcie krzesła.

– To były czasy – powiedział.

– Fajnie jest powspominać – przyznał Romek.

Rozmowę przerwał im sygnał telefonu Marcina.

XXXII

Wyciągnął aparat i zobaczył numer Tymona. Zaniepokoił się trochę, wyszedł na podwórko przed dom i odebrał.

– Cześć, Tymon – powiedział ostrożnie.

– Musimy pilnie porozmawiać na osobności. – W tonie głosu Tymona było coś niepokojącego.

– Nie ma mnie teraz we Wrocławiu. Może jutro?

– Chciałbym się koniecznie z tobą zobaczyć jeszcze dzisiaj.

Marcin zawahał się.

– No dobrze – rzucił. – Myślę, że około szesnastej będę w domu, ale później...

– Może być o szesnastej – przerwał mu Tymon. – Przyjadę do ciebie.

– Ale... no dobrze – zgodził się Marcin. – To o szesnastej.

Tymon się rozłączył.

Marcin stał, wpatrując się w telefon. Wrócił niepokój. W głosie Tymona pobrzmiwała nieznana mu dotąd nuta. Zastanowił się, co to mogło być. Zdecydowanie, złość, rozdrażnienie – a może coś jeszcze innego?

Zamyślił się. Nie telefonował do Kaśki od dnia, w którym byli u Tymona z Pauliną. Ona też nie dawała znaku życia. Może wypadało zatelefonować, lecz zaangażowany w śledztwo i równocześnie – kto wie, czy nie bardziej – w romans z Pauliną, zupełnie o tym nie myślał. Z raportów policjantów obserwujących mieszkanie Tymona wiedział, że nic złego się nie dzieje. Na Tymonie można było polegać, Kaśka była z nim bezpieczna.

Wrócił do mieszkania Romka, lecz rozmowa przestała się kleić. Marcin, zapatrzony w starą gazetę rozłożoną na stole, czuł coraz większy niepokój, który powoli przeradzał się w strach. Nie potrafił usiedzieć na miejscu. Nie mógł wyrzucić z głowy obrazów kowala Jeschkego leżącego pod drzewem z odrąbaną prawą dłonią, czarownicy wiszącej na tym samym drzewie i słoików z dziecięcymi dłońmi w formalinie, stojących rzędem na półce w domu Bogdańskiego. Pożegnał się z Romkiem i prawie pobiegł na plebanię, gdzie zostawił swoją skodę. Chciał koniecznie być już we Wrocławiu.

Nie pojechał przez Środę Śląską, tylko przez Święte i Komorniki. Pustą, wąską drogą przez pola jechał z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Za Świętym zwolnił, lawirując między dziurami w asfalcie, ale kiedy wyjechał już na główną drogę do Wrocławia, prędkościomierz znowu na długo zatrzymał się w okolicy cyfry 130. Zwalniał tylko w terenie zabudowanym. Jadąc przez Las Leśnicki, ochłonął trochę i zdjął nogę z gazu. Bardzo dobrze, że umówił się dzisiaj z Pauliną. Minęło raptem kilka dni, a on już nie wyobrażał sobie, że mogłoby jej nie być. Bezwiednie uśmiechnął się do swoich myśli.

Pojechał przez Pilczyce, skręcił w Metalowców do stacji Kuźniki i ruszył Rogowską przez Nowy Dwór. Na rondzie Pileckiego stał chwilę w korku, ale i tak w chwili, kiedy parkował naprzeciwko bramy numer jeden na Kossak-Szczuckiej, była dopiero piętnasta trzydzieści.

Wyłączył silnik i siedział, zastanawiając się, o co może chodzić Tymonowi. Przed nosem jego auta przejechał srebrny ford focus i zaparkował tyłem na ostatnim wolnym miejscu dwadzieścia metrów dalej, pod jedynym blokiem po lewej stronie. Kierowca nawet na niego nie spojrzał. Pełen profesjonalizm – pomyślał Marcin z uznaniem. Facet miał na głowie czapkę, tak jak wtedy, kiedy widział go pierwszy raz. Zniknęły tylko gdzieś te kretyńskie okulary w stylu Leona Zawodowca.

Marcin wysiadł z auta, przeszedł przez ulicę i był już na pierwszym stopniu schodów, gdy usłyszał wołanie:

– Marcin!

Odwrócił się zaskoczony. Tymon szedł w jego kierunku z zaciśniętymi pięściami i z dziwnym wyrazem twarzy. Marcinowi się to nie spodobało. Co jest aż tak pilne, że przyjechał pół godziny przed czasem?

– Cześć! – powiedział. – Co tak szybko?

– Kaśka powiedziała mi, że była u ciebie tamtej nocy – zaczął Tymon bez jakichkolwiek wstępów.

Marcin zastygł zaskoczony. Nie spodziewał się takiej informacji. Paulina się nie myliła, kiedy mówiła, że takie tajemnice prędzej czy później wychodzą na jaw. Do tego w najmniej odpowiednim momencie. Wtedy ją zbył, ale teraz przyznał jej w duchu rację. Zrobił zapraszający ruch ręką.

– Chodź na górę, pogadamy – zaproponował.

Tymon pokręcił głową.

– Nie będę wchodził. Tu pogadamy.

Marcin popatrzył na niego i zrozumiał, że nie ma sensu ponawiać zaproszenia. Westchnął i nagle uszło z niego całe napięcie. Było mu wszystko jedno. Stali na schodach dwa kroki od siebie i mierzyli się wzrokiem.

– I co ci powiedziała? – zapytał.

– Wszystko. Powiedziała, że jesteście przyjaciółmi i do niczego między wami nie doszło.

– Nie uwierzyłeś jej – stwierdził raczej, niż zapytał Marcin.

– Nie wiem – odpowiedział twardo Tymon. – Chciałem ci spojrzeć w oczy.

– Spojrzałeś i co?

Tymon nie wyglądał, jakby przyjechał tu tylko patrzeć mu w oczy.

– Odczep się od niej! – rzucił, a w jego głosie zabrzmiały groźne nuty. – Zniknij z jej i mojego życia.

Marcin poczuł, jak wzbiera w nim gwałtowna fala złości. Słowa Tymona były kroplą, która przelała czarę. Stresy i napięcia ostatnich dni próbowały się wydostać gwałtownie na zewnątrz.

– Może niech Kaśka zdecyduje – zaproponował, starając się mówić spokojnie. – Dlaczego podejmujesz za nią decyzję?

Tymon patrzył na niego twardo i zaczepnie.

– Nie wiem, co było w przeszłości pomiędzy tobą i Kaśką. Może mieliście romans. Nie wiem, czy chcę wiedzieć, nie interesuje mnie to, nie znałem jej jeszcze wtedy. Nie pozwolę jednak, żebyś zniszczył to, co z takim trudem przez ostatnie dwa lata zbudowałem.

– Nie mam zamiaru niczego burzyć.

– W takim razie odczep się od niej! Nie wiem, jakie nienormalne układy są między wami. Wiem jedno – nadal nie jesteś Kaśce obojętny, dlatego odpieprz się od niej i nie mieszaj jej w głowie!

– Nie mieszam jej w głowie... – zaczął Marcin, ale Tymon mu przerwał.

– Powtarzam jeszcze raz! Odwal się od nas! Nie rozumiesz, co do ciebie mówię!?

Tymon był dobrze zbudowany i prawie o głowę wyższy od niego. Złapał Marcina za ramię.

– Próbujesz mnie nastraszyć?! – warknął Zakrzewski, strząsając jego rękę ze złością. – No i co mi zrobisz? Przejedziesz mnie samochodem na pasach? Nie tacy już mnie straszili!

– Ostrzegam cię tylko, żebyś się nie wpierdalał z butami w nasze życie!

Znowu chwycił Marcina za ramię. Ten odsunął się jeszcze bardziej gwałtownie i krzyknął:

– Zabieraj łapę!

Sprzeczka dwóch dorosłych mężczyzn na schodach przy Kossak-Szczuckiej wywołała spore poruszenie na ulicy. Kilka przechodzących osób przystało i przypatrywało się

z ciekawością dalszemu rozwojowi wypadków. Nawet sprzedawczyni z pobliskiej kwiaciarni wyszła przed drzwi z miotłą, pod pretekstem sprzątania schodów, i teraz stała nieruchomo, patrząc zaniepokojona w ich stronę.

Niestety, Tymona również poniosły nagle nerwy. Zaatakował Marcina, wyprowadzając niespodziewany cios pięścią. Marcin w ostatniej chwili zrobił unik i uderzenie trafiło go w prawe ucho. Zanim zdążył zareagować, Tymon uderzył go w podbródek. Stracił równowagę i klęknął, opierając się rękami o schody. Krew uderzyła mu do głowy. Zerwał się i zaatakował Tymona, nie bacząc na krzyki stojących obok dwóch starszych pań. Zamarkował kopnięcie i kiedy Tymon schylił się, odruchowo opuszczając ręce, uderzył go prosto w nos. Stał przy tym tak nieszczęśliwie, że noga ześlizgnęła się ze schodka, stracił równowagę i siłą bezwładności poleciał na Tymona. Obaj stoczyli się ze schodów i leżeli obok siebie na chodniku. Widok musiał być groteskowy, a równocześnie groźny. Dwóch dorosłych facetów leżących pod schodami. Jeden nie mógł złapać tchu po uderzeniu żebrami o schody, a drugi siedział, usiłując zatamować krew płynącą z rozbitego nosa.

To był koniec bijatyki. Tymon sam się podniósł i otrzymaną od kogoś chusteczką higieniczną ścierał krew z twarzy, ktoś inny pomógł Marcinowi wstać na nogi. Ból stłuczonych żeber sprawił, że zeszła z niego cała złość. Zaraz też przyszło otrzeźwienie. Ich bójka musiała wyglądać kretyńsko. Gdzieś za jego plecami jedna z kobiet krzyczała, że trzeba wezwać policję, albo najlepiej karetkę pogotowia. Tymon też musiał usłyszeć te nawoływania, bo kręcił przecząco głową i nie miał ochoty na dalszą bójkę.

Marcin pociągnął go po schodach do bramy. W milczeniu weszli na drugie piętro do mieszkania Zakrzewskiego. Nic nie mówiąc, umyli w łazience ręce, otrzepali brudne spodnie, Tymon zatamował sobie krew leącą z nosa. Dopiero, kiedy siedli na fotelach, Marcin wykrzyknął:

– Chyba ci rozum odebrało!

– Przepraszam, Marcin. Poniosło mnie.

Gospodarz wstał i zaczął nerwowo chodzić po pokoju.

– Wyjaśnijmy sobie tę sprawę do końca.

Tymon milczał.

– Lepiej słuchaj mnie uważnie. Powtórzę to jeszcze tylko raz, bo ostatnio tłumaczę się wszystkim wokoło, jakbym był winny. Tak, Kaśka nocowała u mnie dwa tygodnie temu! Ale nic między nami nie było. Jesteśmy przyjaciółmi. Tylko! Rozumiesz?

– Ale kiedyś między wami coś było?

– Zapytaj o to Kaśkę. Ręczę ci, że wszystko, co powie na nasz temat, będzie szczerą prawdą. Zresztą, czy to teraz ma jakiegokolwiek znaczenie?

– Nie ma.

– Cieszę się, że tak mówisz. No i powiem ci jeszcze, że jestem teraz w związku z koleżanką z pracy. Mam nadzieję, że już tak zostanie.

– Wygłupiłem się – powiedział Tymon po chwili.

– Lekko mówiąc.

– Mogę mieć do ciebie prośbę?

Marcin przestał chodzić po pokoju.

– Mam nie mówić Kaśce – domyślił się.

– Właśnie.

– Nie powiem, ale musisz o nią dbać. Ma być z tobą szczęśliwa. Inaczej wpieprzę ci jeszcze mocniej niż przed chwilą na schodach.

– Myślałem, że to ja ciebie pobitem.

Mierzyli się wzrokiem i nagle, jak na komendę, obaj wybuchnęli śmiechem. Marcin opadł na fotel i śmiał się tak, że łzy napłynęły mu do oczu. Musiał przytrzymywać sobie stłuczoną szczękę, gdzie robił się powoli siniak. Tymon pękał ze śmiechu i wycierał chusteczką krew, która znowu zaczęła płynąć mu z nosa.

– A co powiesz Kaśce, jak zobaczy twój rozbity nos? – zapytał Marcin, z trudem łapiąc oddech.

– Powiem, że przewróciłem się na schodach...

Wreszcie Marcin otarł łzy z oczu i nagle znieruchomiał. Tymon popatrzył na niego zdziwiony.

– Co ci się stało? – zapytał.

Marcin wstał z fotela i myślał intensywnie, drapiąc się nerwowo po policzku. Nagła myśl, która przypadkowo wpadła mu do głowy, sprawiła, że wróciło irracjonalne poczucie zagrożenia i napięcie. Nie wiedział jeszcze, czego ta myśl dotyczyła i jakie niosła ze sobą konsekwencje. Musiał się chwilę zastanowić. Spojrzał szybko na Tymona.

– Gdzie teraz jest Kaśka? – zapytał.

– U swoich rodziców – odpowiedział trochę zaniepokojony. – Pod bramą stoją policjanci.

– Dobrze.

Marcin już wiedział, choć w pierwszej chwili myśl wydawała się niedorzeczna.

XXXIII

Podszedł do kuchennego okna i spojrzął na ulicę, wychylając się tak, żeby nie zostać zauważonym z dołu. Srebrny focus stał w tym samym miejscu. Kierowca czytał gazetę albo rozwiązywał krzyżówkę.

Marcin w sekundę opracował plan. Wrócił do pokoju, wyciągnął telefon i gestem pokazał Tymonowi, żeby nic nie mówił. Wybrał numer do Marka Grabskiego. Prokurator zgłosił się po kilku sygnałach.

– Cześć, Marku – powiedział Marcin, starając się nadać głosowi naturalne brzmienie. – Mam do ciebie wielką prośbę.

– Wal śmiało.

– Nie wiem, czy możesz to dla mnie szybko zrobić... Pilnie potrzebuję dane tego człowieka, który za mną od tygodnia jeździ. Paulina mówiła, że ty go załatwiłeś, ponoć pracuje w agencji ochrony twojego kolegi.

Marek milczał przez chwilę.

– Myślałem, że o nim nie wiesz. Paulina nic mi nie mówiła.

– Zauważyłem go już pierwszego dnia – wyjaśnił Marcin, uśmiechając się mimo woli. – Ale nie przejmuj się, jest dobry. Na ogół go nie widzę.

– Więc po co ci jego dane?

– Mam wrażenie, że go znam, tylko nie wiem skąd – powiedział Marcin, co częściowo było prawdą. – Nie daje mi to spokoju.

Grabski chyba nie uwierzył w to wytłumaczenie.

– Dobrze – odrzekł. – Spróbuję załatwić ci zaraz jego nazwisko,

adres i numer telefonu.

– Dziękuję ci bardzo! Czekam z niecierpliwością.

Marcin odłożył słuchawkę i zaprowadził Tymona do kuchennego okna. Znowu wyjrzeli tak, żeby nie można ich było dostrzec z dołu. Pokazał mu srebrnego forda.

– Widzisz tego faceta w środku? O niego mi chodziło – wyjaśnił.

– Dalej nie bardzo rozumiem – odpowiedział Tymon.

Widać było, że udzieliła mu się nerwowość gospodarza.

– Nie podoba mi się ten facet – powiedział Marcin. – Muszę go sprawdzić.

– Co to za gość?

– Jeździ za mną od paru dni.

– Z tego, co słyszałem, miał cię chronić.

– Może tak jest.

– Tym bardziej nie rozumiem.

Wrócili do pokoju. Marcin wyciągnął z portfela banknot stużłotowy i wręczył go coraz bardziej zdziwionemu koledze.

– Kiedyś ci wyjaśnię – powiedział. – Teraz musisz mi pomóc. To bardzo ważne.

– Jasne, mów!

– Pójdiesz teraz do sklepu obok. Kupisz whisky Johnny Walker i butelkę coca-coli. Bardzo ważne, żeby to był Johnny Walker, tylko taką whisky piję. Najlepiej by było, jakbyś idąc do sklepu, zwrócił na siebie uwagę tego faceta w samochodzie. Kaszlnij głośno, potknij się, nie wiem... zrób cokolwiek, żeby dokładnie zobaczył, gdzie idziesz i z czym wracasz ze sklepu. Nie pakuj butelki, tylko trzymaj ją w dłoni. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem. – Tymon skinął głową. – Chociaż wydaje mi się to trochę bez sensu.

– Facet widział naszą bijatykę pod blokiem, więc pomyśli, że kupiłeś flaszkę na przeprosiny i będziemy ją teraz pić. W związku z tym będzie pewien, że ja ciągle jestem w domu.

– Masz zamiar wyjść? – zapytał bystro Tymon. – Którędy?

– Przez balkon – wyjaśnił Marcin. – To tylko drugie piętro. Muszę coś szybko załatwić. Ty będziesz obserwował, czy on nadal tam stoi. Zatelefonujesz do mnie, gdy tylko coś się zmieni.

– To znaczy, jeśli odjedzie?

– Tak.

– Dobrze.

– Zadzwoń do ciebie i odwołam całą akcję, kiedy uda mi się coś wyjaśnić.

– Zrozumiałem.

Tymon wyszedł. Marcin stał z boku przy kuchennym oknie i patrzył na ulicę. Minęło kilkanaście sekund i zobaczył go. Kolega zatrzymał się nagle na chodniku naprzeciw forda, wyciągnął telefon i dzwonił do kogoś, albo po prostu udawał. Gestykulował przy tym wyraźnie i chodził tam i z powrotem. Raz nawet zszedł z chodnika i przedefilował przed maską zaparkowanego po drugiej stronie ulicy auta. Widać było, że mężczyzna w środku patrzy na niego uważnie, śledząc każdy ruch. Tymon schował aparat i wszedł do samy. Wyszedł stamtąd po dwóch minutach z butelką czerwonego Johnny Walkera i dwulitrową colą.

– Bardzo dobrze – szepnął Marcin.

Teraz był pewien, że inscenizacja była dokładnie zarejestrowana. Nie czekając, aż wróci Tymon, zatelefonował do Pauliny.

– No czekam na ciebie – powiedziała. – Gdzie jesteś?

– Jeszcze w domu – odpowiedział.

Zawsze potrafiła wyczuć inną nutę w jego głosie. Tak było i tym razem.

– Co się stało? – zapytała szybko.

– Na razie nie mam czasu, żeby długo tłumaczyć. – Paulina nie cierpiała, kiedy się ją zbywało takimi frazesami, ale tym razem nic nie powiedziała. – Musisz do mnie szybko przyjechać.

Najlepiej za trzy minuty.

– Zaraz będę!

– Tylko nie zajeżdżaj pod moją bramę. Skręć z Tyrmanda wcześniej i czekaj na tej ulicy, gdzie jest żabka i piekarnia.

– Dobrze.

– Zabierz broń.

Zawahała się.

– Wezmę.

– Paulina?

– Co?

– Masz jeszcze ten komplet wytrychów?

– Mam.

– Też weź je ze sobą – poprosił i przerwał połączenie.

Tymon już stał w progu pokoju i patrzył na niego pytająco. Zanim jednak zdążył się odezwać, rozległ się sygnał telefonu Marcina. Telefonował Grabski.

– Wysłałem ci wizytówkę z numerem telefonu do mojego kolegi, który jest szefem tej agencji ochrony – powiedział bez wstępów. – Właśnie z nim rozmawiałem. Czekaj na twój telefon. Odpowie na wszystkie pytania.

– Dziękuję, Marku.

– Powiesz mi, co się dzieje?

– Tak, kiedy zdobędę konkretne informacje. Na razie strzelam na ślepo. Takie przeczucie.

Marcin rozłączył się i spojrzał na Tymona.

– Wiesz, co masz zrobić? – zapytał.

– Jasne – odrzekł kolega. – Postawię sobie krzesło w kuchni i nie spuszczę z gościa oka. Gdy się ściemni, zapalę światło.

– Najlepiej zapal, jak tylko słońce zajdzie za bloki. Będzie ładniej widać z dołu.

– Dobrze.

Marcin odczytał esemesa od Grabskiego: Kamil Bober – 608213519. Bez zastanowienia wybrał ten numer. Facet zgłosił

się od razu. Miał głos spikera telewizyjnego – spokojny i kojący nerwy.

– Komisarz Zakrzewski z tej strony – rzucił Marcin.

– Właśnie czekałem na pana telefon – odpowiedział Bober. – Marek Grabski mówił, że ma pan jakąś pilną sprawę.

– Zgadza się. Od kilku dni jeden z ludzi z pana agencji, na prośbę Grabskiego, ochrania mnie. Bardzo mi zależy, żeby podał mi pan jego imię i nazwisko oraz adres zamieszkania.

Właściciel agencji ochrony przez chwilę milczał.

– Czy mój pracownik popełnił jakieś przestępstwo? – zapytał wreszcie zaniepokojony.

– Jeszcze nie wiem – odpowiedział szczerze Marcin.

– Nazywa się Jan Dobrzaniecki, mieszka na Kruczej dwadzieścia osiem, mieszkania sześć.

– Może pan coś jeszcze powiedzieć na jego temat?

– Pracuje u mnie od sześciu lat. To sumienny pracownik, nigdy mnie nie zawiódł. Kiedyś przez chwilę pracował w policji.

– Czy ma rodzinę?

– Nie. Jest kawalerem.

– Mieszka z kimś?

– Tego nie wiem na pewno...

– Dziękuję panu za informację.

– Mam nadzieję, że pomogłem.

Marcin schował telefon i zajrzał do kuchni. Tymon zajął już miejsce w kącie, skąd najlepiej widać było stojące na parkingu auto.

– Idę – powiedział.

– Jak zamierzasz wyjść? – zapytał ponownie kolega.

– Przez balkon – powtórzył.

– To drugie piętro!

– Poradzę sobie. Bądź ostrożny.

– Możesz mi zaufać. Idź już.

Marcin wyszedł na balkon i spojrzał w dół. Pomyślał, żeby tędy

wyść, był dobry, tylko trochę trudny w realizacji. W jego zasięgu nie było niczego, czego mógłby się chwycić. Nie zastanawiając się jednak długo, przełożył nogi przez poręcz i stanął tyłem. Następnie zawisł na barierce na rękach i zaczął się opuszczać po metalowych żerdziach balustrady coraz niżej. Nie miał pod nogami żadnego oparcia, balustrada wpijała mu się boleśnie w dłonie. Zacisnął szczęki i przesunął ręce. Kiedy złapał się za betonową podłogę balkonu, był w stanie dosięgnąć nogami balustrady piętro niżej. W ten sposób szybko dostał się na balkon sąsiadów. Potem powtórzył manewr i wreszcie znalazł się na parterze, skąd bez trudu zeskoczył na trawnik za blokiem. Pobiegnął wewnętrznym podwórzem między budynkami do miejsca, gdzie umówił się z Pauliną.

Czekała już na niego w swojej toyocie. Zaparkowała przed zabką i nie zgasiła silnika. Wskoczył na siedzenie pasażera i powiedział:

– Jedziemy na Kruczą.

Bez słowa zawróciła i skręciła w Tyrmanda.

– Należy mi się chyba parę zdań wyjaśnienia, nieprawdaż? – zapytała, kiedy dojeżdżali do skrzyżowania z Mińską.

Popatrzył na nią i jego wargi ułożyły się w uśmiech, chociaż jego oczy wcale się nie śmiały.

– Przepraszam cię, myślałem.

– No więc?

– Kaśka powiedziała Tymonowi, że spała u mnie tamtej nocy z piątku na sobotę – powiedział.

Paulina popatrzyła na niego, krzywiąc się.

– Kurwa mać! Tylko dlatego wyrywasz mnie z domu i każesz gdzieś jechać?! – wykrzyknęła.

– Nie, nie! – Pokręcił gwałtownie głową. – Muszę zacząć od początku, żebyś zrozumiała mój tok myślenia.

Opowiedział jej o spotkaniu z Tymonem, a później o krótkiej walce na pięści na schodach przed bramą. Zerknęła na niego

z podniesionymi ze zdziwienia brwiami. Co chwilę poprawiała grzywkę opadającą na oczy.

– Mówiłam, że nic dobrego z tego nie wyniknie – powiedziała, z trudem hamując uśmiech. – Trochę mi przykro, nikt się nigdy o mnie nie bił. Kaśka jest szczęściarą.

– Nie kpij, dobrze? – poprosił, masując stłuczoną szczękę.

– Trzeba było przyłożyć lód.

– Nie miałem czasu.

– To gdzie w końcu jedziemy?

– Jak nie będziesz mi złośliwie przerywać, może opowiem do końca.

– Już milczę.

Przy wiadukcie nad Strzegomską wjechali na obwodnicą śródmiejską. Ruch był spory. Przed nimi wiele aut stało w korku do świateł.

– Pamiętasz tego ochroniarza, który za mną jeździ? – zapytał.

– Tego od Grabskiego?

– Tak. Wyobraź sobie, że on spokojnie patrzył na moją bijatykę z Tymonem i nie zareagował. Miał mnie chronić, prawda? Tak sobie nagle pomyślałem, że przecież nie mógł znać Tymona i wiedzieć, że jest moim kolegą. Jeśli ktoś mnie zaatakował, powinien coś zrobić, a on nie zareagował, rozumiesz?

Spojrzała na niego szybko. Była już poważna i skoncentrowana.

– Do czego zmierzasz?

– Przeleciało mi przez głowę pytanie: dlaczego nie zareagował i nawet nie był zaniepokojony zajściem? Wiedział, że nic mi nie grozi ze strony Tymona. Skąd miał tę pewność, skoro go nie znał? Odpowiedź wydaje się prosta: ponieważ on wie, kto jest poszukiwanym przez nas mordercą.

– Kurwa, to brzmi nieprawdopodobnie!

– Zna go? – kontynuował Marcin. – Wątpliwe. Więc może...

– ...sam nim jest? – dokończyła Paulina.

Jechali wolno, wspinając się na wiadukt przed skrzyżowaniem z Grabiszyńską.

– Ostatnio długo się zastanawiałem, dlaczego morderca akurat mnie wciągnął w swoją grę.

– Chce się za coś zemścić – odpowiedziała. – Andrzej Szmidt wyselekcjonował kilka osób, które w przeszłości wysłałeś do więzienia i mogą mieć do ciebie żal. Do tego dołożył najbliższą rodzinę przestępców odsiadujących teraz długoletnie wyroki. Potencjalnie jest wiele osób, które mogą cię nie lubić.

– Tylko skąd ktoś taki wiedziałby o diable w sadzie? Nie. Wcale nie chodzi o moją pracę w policji. To musi być człowiek, którego znam od dawna.

– Twój brat?

Skrzywił się.

– Ty dalej swoje. No może. Dzisiaj w Szczepanowie spotkałem się z kolegą i przeglądałem stare fotografie, próbując przypomnieć sobie przyjaciół i kolegów sprzed lat. Nikt nie pasuje mi do roli bezwzględnego mordercy.

– To do kogo jedziemy?

– Mam imię i nazwisko oraz adres tego faceta z agencji, który mnie pilnuje. Zajrzemy do jego mieszkania. Na razie mamy czas. Tymon obserwuje tego gościa na parkingu i da mi znać, kiedy stamtąd odjedzie. Ja wyszedłem przez balkon, żeby mnie nie zauważył.

– Przez balkon? Z drugiego piętra?

– Jakoś się udało.

– Po to miałam wziąć wytrychy? Żeby się włamać do jego mieszkania? A jeśli gość nie mieszka sam? Ma rodzinę?

Marcin pokręcił głową.

– Podobno nie ma – powiedział. – Może z kimś mieszkać, ale wtedy zapytamy, czy zastaliśmy Jolkę i się ulotnimy – dodał, nawiązując do sceny z kultowej komedii.

– Jak się nazywa?

– Jan Dobrzaniecki. Nic mi to nie mówi, ale nazwisko można przecież zmienić.

– Ja też nikogo takiego nie kojarzę.

– Paulina, im dłużej się nad tym zastanawiam, tym mam większą pewność, że go znam. Na pewno gdzieś go widziałem. Nie mogę tylko sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach.

– Od czasów dzieciństwa minęło wiele lat. Ludzie się zmieniają.

– No właśnie.

Przejechali skrzyżowanie z Grabiszyńską. Paulina wcisnęła mocniej pedał gazu i wyprzedzała jadące przed nimi auta, co chwilę zmieniając pasy ruchu. Na światłach do skrętu w Inżynierską uruchomiła GPS i znalazła Kruczą 28. Pięć minut później byli na miejscu.

Czteropiętrowy blok stał przodem do ulicy, ale bramy znajdowały się od podwórza. Paulina wjechała tam i zaparkowała na pierwszym wolnym miejscu, pod znakiem z napisem: „Parking tylko dla mieszkańców”. Wysiedli i rozejrzeli się. Numer 28 znajdował się trochę dalej, jako trzeci w kolejności. W milczeniu poszli tam. Paulina nacisnęła guzik domofonu. W napięciu czekali na odpowiedź, ale nikt się nie zgłaszał. Na wszelki wypadek zadzwoniła jeszcze raz, potem znowu.

– Co robimy? – zapytała, patrząc na niego pytająco.

Marcin zadzwonił pod numer 12, jeden z ostatnich na tablicy. Po chwili ktoś się odezwał. Po głosie wnioskowali, że musi to być starsza kobieta.

– Słucham?

– Dzień dobry – powiedział Marcin. – Poczta Polska!

– Przecież był już dzisiaj listonosz.

Marcin nie dał się zbić z tropu.

– Gdzieś mi się zapodziało jedno awizo.

– A, rozumiem! Proszę wejść!

Rozległ się sygnał zwalniający blokadę zamka, weszli do

środku. Na każdym piętrze były po trzy mieszkania. Numer sześć był ostatnim mieszkaniem na pierwszym piętrze. Stanęli przed białymi drzwiami bez wizjera, tylko z naklejką, która kiedyś była cyfrą sześć. Ktoś zdarł jej część i jedynie po jaśniejszym konturze, który został na drzwiach, można było się domyślić, o jaki numer chodzi. Paulina zadzwoniła. Wyraźnie słyszeli ostry dzwonek, lecz w mieszkaniu było cicho.

– Nie ma nikogo – szepnęła Paulina.

– Poradzisz sobie z zamkami? – zapytał.

Spojrzała na niego z wyrzutem.

– Wątpisz?

Nie odpowiedział. Odszedł dwa kroki w kierunku schodów i stanął na czatach. Minęły może dwie minuty, kiedy usłyszał, że Paulina naciska klamkę i drzwi otwierają się z lekkim skrzypnięciem. Marcin wyciągnął pistolet, wszedł pierwszy i stanął jak wryty na progu. Mieszkanie było od dawna niewietrzone, w nozdrza uderzyła go przykra woń stęchlizny pomieszana z czymś o wiele gorszym. Doskonale znał ten słodkawy, mdlący odór. Paulina też go znała. Wyprzedziła Marcina, zajrzała do pokoju na wprost drzwi.

– O kurwa! – zaklęła, zatykając sobie nos.

W mieszkaniu unosił się smród martwego ciała, leżącego od wielu dni na dywanie w pokoju.

XXXIV

Marcin wszedł do pokoju pierwszy, obszedł trupa dookoła i otworzył na całą szerokość drzwi balkonowe. Świeże powietrze przeredziło trochę zaduch pomieszczenia.

Paulina wyciągnęła z kieszeni chusteczkę, zatkała sobie nos i ukłękła przy zwłokach, próbując zajrzeć im w twarz. Mężczyzna w średnim wieku, ubrany w piżamę w prążki, leżał z twarzą wtuloną w dywan, z nienaturalnie rozrzuconymi rękami, jakby ktoś przyciągnął go tutaj i tak zostawił. Ciało było stężałe, fioletowe plamy opadowe bardzo dokładnie widoczne. Skóra żółkła i zaczynała robić się sina.

– Kurwa mać! – powtórzyła Paulina. – Kto to jest?

– Jan Dobrzaniecki, pracownik agencji ochrony? – zapytał cicho Marcin, czując narastające napięcie.

Patrzyli na siebie i myśleli o tym samym.

– W takim razie kim jest ten facet, który jeździ za tobą od tygodnia?

– Mordercą?

Paulina podniosła się z podłogi i już telefonowała do Andrzeja Szmidta.

– Andrzej, znaleźliśmy ciało w mieszkaniu na Kruczej 28 przez 6. Prawdopodobnie jest to właściciel, niejaki Jan Dobrzaniecki, pracownik agencji ochrony...

Marcin przestał jej słuchać i myślał gorączkowo, co dalej.

I wtedy odezwał się sygnał jego telefonu. Po głosie Tymona w słuchawce poznał, że jest zdenerwowany.

– Marcin, ten facet z parkingu wszedł do bramy – mówił

Tymon.

– Do której? – Marcin nie rozumiał.

– Do twojej... – przerwał.

Marcin słyszał wyraźnie, jak rozległ się sygnał przy drzwiach do jego mieszkania. Tymon musiał spojrzeć przez wizjer, ponieważ powiedział ściszym, pełnym napięcia głosem:

– To on. Co mam robić?

Marcin wyraźnie słyszał drugi sygnał. Poczował, jak nogi uginają się pod nim ze zdenerwowania. Nagle w słuchawce usłyszał jakiś huk, potem drugi i zaraz kolejne.

– Chryste, co on robi?! – rozległ się krzyk Tymona.

Marcin zrozumiał, że właśnie słyszy odgłosy wyważania drzwi. Widział kątem oka, że Paulina skończyła rozmowę i teraz patrzy na niego szeroko otwartymi oczami.

– Uciekaj, Tymon! – krzyknął. – Natychmiast uciekaj! Tak jak ja, przez balkon!!

– Ja pierdo... – usłyszał jeszcze okrzyk kolegi i połączenie zostało zerwane.

– Co się stało? – zapytała Paulina.

– Facet próbuje dostać się do mojego mieszkania! – wykrzyknął. – Wracamy!

Wybiegł na korytarz i już zbiegał po schodach. Paulina zatrzasnęła drzwi i dogoniła go.auta dopadli prawie jednocześnie. Ruszyli, sypiąc spod kół gejerami suchego piasku. Sprawnie włączyli się do ruchu i gnali najszybciej, jak się dało. Paulina używała klaksonu i wyprzedzała, gdzie to było tylko możliwe. W prywatnym samochodzie nie miała koguta. Na rondzie na Inżynierskiej pojechała prosto, wjechała na trawnik, przejechała przez chodnik i drogę dla rowerów i włączyła się do ruchu na Hallera, przy samych światłach na skrzyżowaniu z Grabiszyńską.

Marcin tymczasem telefonował do centrali.

– Mówi komisarz Marcin Zakrzewski. Podejrzewany

o wielokrotne morderstwo mężczyzna porusza się srebrnym fordem focusem typu hatchback, numer rejestracyjny DW 2365J. Ostatnio widziany na ulicy Tyrmanda na Muchoborze Wielkim. Może być niebezpieczny, proszę zachować szczególną ostrożność. Powtarzam...

W jednej chwili wszystkie jednostki policji zostały postawione na nogi. Radiowozy na mieście ruszyły w stronę Muchoboru, kamery miejskiego monitoringu zaczęły zwracać szczególną uwagę na srebrne fordy.

Na Klecińskiej Paulina znowu wjechała na chodnik i ścieżkę dla rowerów i jechała tak przez całą długość ulicy, omijając korek. Za skrzyżowaniem z Francuską skręciła w prawo, żeby później na samym końcu ulicy po raz kolejny złamać przepisy drogowe i zamiast zgodnie ze znakiem zakazu skręcić w Strzegomską w prawo, skręciła w lewo. Przejechała kolejny trawnik, a potem pojechała pasem dla autobusów. Dzięki jej szaleńczej jeździe bardzo szybko wrócili pod dom Marcina. Po drodze minęły ich dwa radiowozy na sygnale zmierzające w tę samą stronę. Równocześnie rozdzwoniły się telefony Marcina i Pauliny, ale żadne z nich nawet nie spojrzało na aparaty. Paulina prowadziła auto, a Marcin wieszał sobie na piersiach policyjną odznakę. Bał się nawet pomyśleć, że Tymonowi mogło się coś stać. Zatrzymali się z piskiem opon na Tyrmanda, przed skretem w Kossak-Szczuckiej. Drogę dalej zagradały już policyjne auta, mrugając włączonymi kogutami. Marcin wyskoczył z toyoty i pobiegł, nie oglądając się na Paulinę.

Przed bramą zobaczył utykającego Tymona, prowadzonego pod rękę przez dwóch policjantów w mundurach. Podbiegł do nich, pokazując odznakę i zapytał Tymona:

– Coś ci się stało?

Ten w odpowiedzi uśmiechnął się słabo.

– Skręciłem nogę, skacząc z balkonu na trawnik. Facet rozwalił ci drzwi...

– Dzięki Bogu nic ci nie zrobił! Jak ja bym się pokazał Kaśce na oczy? Gdzie on teraz jest?

– Nie wiem. – Tymon pokręcił głową. – Chyba odjechał...

Marcin bez słowa odwrócił się na pięcie i biegiem wrócił do auta Pauliny. Po drodze odebrał telefon od Sroki.

– Powiedz coś więcej – rozkazał Stefan.

– Facet od kilku dni jeździł za mną jako ochrona z prywatnej firmy ochroniarskiej – wyjaśnił Zakrzewski. – Okazało się jednak, że podszywa się pod prawdziwego ochroniarza, Jana Dobrzanieckiego. Dobrzaniecki prawdopodobnie od wielu dni leży martwy w swoim mieszkaniu. Znaleźliśmy go z Pauliną kilkanaście minut temu.

– Kurwa! Organizujemy obławę – rzucił Sroka. – Tylko wygląda na to, że na razie nam zniknął.

– Może przesiadł się do innego auta. To należy pewnie do denata.

– Wtedy szukaj wiatru w polu.

Rozłączyli się. Paulina też właśnie kończyła rozmowę.

– Nic Tymonowi nie zrobił – odpowiedział na jej pytające spojrzenie.

– Gdzie jest teraz?

– Diabli wiedzą!

Wsiedli do toyoty i wtedy ponownie odezwał się sygnał jej telefonu. Odebrała, słuchała chwilę i rozłączyła się bez słowa.

– Na Gubińskiej znaleźli porzuconego forda – powiedziała.

– Na to już go nie złapiemy! – wycedził i ze złości walnął pięścią w otwartą dłoń. – Niech to szlag jasny trafi!

Paulina popatrzyła na niego w zamyśleniu.

– Coś mi się w tej historii nie trzyma kupy – zaczęła. – Jeśli to Dobrzaniecki, po jaką cholere morderca go zabijał?!

– Żeby zająć jego miejsce. Jeździć za mną bez żadnych podejrzeń i śledzić każdy mój krok.

– Ale skąd znał Dobrzanieckiego?

– Nie mam pojęcia!

– I skąd wiedział, że Marek Grabski załatwił ci ochronę z agencji, której właścicielem jest jego przyjaciel?

Marcin już miał jej odpowiedzieć, lecz nagła myśl sprawiła, że z jego ust nie wydobyła się nawet sylaba. Podrapał się po policzku.

– Ja już go gdzieś widziałem – powiedział jakby do siebie i nagle sobie przypomniał.

Spojrzał na Paulinę takim wzrokiem, że zamarła. Wyciągnął telefon i ponownie wybrał numer do właściciela agencji ochrony Kamila Bobera.

– Witam, jeszcze raz komisarz Zakrzewski z tej strony – przywitał się.

– Poznaję, słucham pana?

– Mógłby mi pan odpowiedzieć jeszcze na jedno pytanie?

– Tak, oczywiście.

– Czy pracuje u pana może... – Marcin zająknął się. – Gustaw Kalenda?

Kątem oka widział stężalą twarz Pauliny. Odpowiedź padła szybko i pewnie.

– Tak.

– Może mi pan podać jego adres?

– W tej chwili nie pamiętam, ale zaraz zajrzę do komputera. Proszę chwilę poczekać na linii, znajdę.

– Czekam – powiedział Marcin, próbując opanować nagłą nerwową galopadę serca. – Proszę mi powiedzieć, czy Kalenda zna Jana Dobrzanieckiego?

– Oczywiście – odpowiedział Bober trochę zdziwiony. – Z tego co wiem, przyjaźnili się nawet. Od miesiąca Gustaw Kalenda przebywa na urlopie bezpłatnym. Tak się z nim umówiłem. Stwierdził, że musi trochę odpocząć. Nie ukrywam, że taki układ jest mi na rękę. Ostatnio coraz trudniej o dobre zlecenia i mam nadmiar pracowników. Nie chcę nikogo zwalniać, bo to dobrzy

i sprawdzeni ludzie, więc taki urlop był mi na rękę.

– Na jak długo wypisał podanie?

– Trzy miesiące. O, mam jego adres! Grabiszyńska 238 mieszkania 11.

– Dziękuję!

Marcin rozłączył się i od razu wybierał numer do Sroki. Paulina złapała go za rękę.

– Poczekaj! – powiedziała stanowczo. – Powiedz mi, o czym rozmawiałeś, zanim będziesz dzwonił dalej. Co to za Gustaw?

Westchnął przeciągle i zeszło z niego trochę napięcie. Był coraz bardziej podekscytowany. Czuł się jak pies, który nagle złapał trop i wie, że już go nie zgubi.

– Gustaw Kalenda chodził ze mną i Ryśkiem do jednej klasy w szkole podstawowej. Zawsze kręcił się koło nas. W ostatnie wakacje przed wrześniem 1981 roku był najlepszym kolegą mojego brata. Po śmierci Ryśka, gdzieś tak do końca szkoły średniej, kolegowałem się z nim. Nie była to wielka przyjaźń, na początku za nim nie przepadałem, ale później nawet go polubiłem. Straciliśmy ze sobą kontakt, kiedy przeprowadziłem się z rodzicami do Wrocławia.

– Jesteś pewien, że to on?

– Na pewno jego widziałem tamtego dnia w Środzie Śląskiej, kiedy telefonowałem do ciebie, mówiąc, że ktoś za mną jedzie. Na pewno. Bardzo się zmienił i początkowo go nie poznałem, ale teraz mam pewność. Te portrety pamięciowe były bardzo dobre. Uchwyciły jakieś podobieństwo, dlatego tak mnie intrygowały i niepokoily.

Patrzyła na niego poważnie. Nie widział jeszcze u niej takiej miny.

– Czy miał jakiś powód, żeby się na tobie mścić? – zapytała.

– Nie wiem. Nic mi nie przychodzi do głowy. Chyba nigdy nie zrobiłem mu krzywdy – odpowiedział niepewnie i spojrzał jej w oczy. – Gustaw jest jedyną osobą, która mogła znać słowa

o diable chodzącym na palcach.

– Jak to? – Uniosła pytająco brwi.

– Opowiadałem ci o tym wieczorze, kiedy Rysiek powiedział mi o diable?

– Tak, pamiętam. – Pokiwała głową.

– On wtedy był na starym cmentarzu właśnie z Gustawem. Pamiętam dokładnie, po obiedzie pojechali gdzieś rowerami.

Wszystkie niepowiązane dotąd fakty i domysły składały się niespodziewanie w jeden logiczny ciąg. Brakowało tylko najważniejszego – motywu.

– Dzwon do Sroki – zdecydowała Paulina.

Marcin ponownie wybrał numer inspektora Sroki, a później kilka minut opowiadał mu o Gustawie i uzasadniał, dlaczego sądzi, że to właśnie on ma coś wspólnego z morderstwami. Sroka słuchał, wreszcie odezwał się zdecydowanym głosem:

– Masz jego adres? Uruchamiam grupę interwencyjną. Wejdziemy do mieszkania Kalendy. Równocześnie organizujemy obławę. W ciągu kilku minut wszystkie jednostki policji na terenie Dolnego Śląska dostaną jego fotografię. Mam nadzieję, że się nie pomyliłeś.

– Nigdy nie byłem bardziej przekonany.

– Może być uzbrojony?

– Obawiam się, że tak.

– Za kwadrans oddział specjalny będzie pod jego bramą. Tam się spotkamy.

– Na razie.

Rozłączyli się i Marcin popatrzył na Paulinę.

– Poczekaj na mnie chwilę, zobaczę, co z drzwiami do mojego mieszkania – powiedział.

– Tylko szybko.

Pobiegł do bramy i ruszył na drugie piętro. Po drodze minął zaniepokojonych sąsiadów, którzy tłumnie wyszli na schody. Powtarzał na każdym piętrze taki sam tekst: włamywacz

próbował wyważyć drzwi.

Zamienił kilka słów z policjantem pilnującym mieszkania. Drzwi faktycznie były w opłakanym stanie, ale trzymały się na zawiasach. Tylko zamki były wyłamane. Po śladach na futrynach domyślił się, że Kalenda musiał użyć łomu. Znowu przez głowę przeleciała mu myśl, że naraził Tymona na straszne niebezpieczeństwo. Na szczęście wszystko skończyło się dobrze. Nie bardzo rozumiał, dlaczego Gustaw Kalenda w ogóle próbował włamać się do jego mieszkania, skoro wiedział, że obaj z Tymonem tam są. Jego działanie było pozbawione elementarnej logiki. Przez kilka dni obserwował Marcina jako oficjalna ochrona. Jeśli chciał go zabić, miał ku temu sto różnych okazji. Dlaczego zaczął działać nagle, zupełnie bez powodu, w tak dziwny sposób? Tylko jedno wyjaśnienie przychodziło mu do głowy – musiał się zorientować, że Zakrzewski i Paulina pojechali do mieszkania Dobrzanieckiego. Tylko skąd się o tym dowiedział? Od swojego szefa, Bobera? Trzeba było to koniecznie sprawdzić.

Wrócił do Pauliny. Kończyła akurat rozmowę telefoniczną.

– Cholera, rozładował mi się aparat! – powiedziała.

– Co nowego? – zapytał.

– Niewiele. Ford należał do Dobrzanieckiego. Z tego, co zdążyli sprawdzić, na Kalendę zarejestrowane są dwa auta: stare audi i opel vectra. Nasi ludzie już próbują je namierzyć. Blok na Grabiszyńskiej i cały teren jest obstawiony przez policję. Grupa interwencyjna będzie tam za kilka minut.

Marcin pokręcił głową.

– Tam go nie ma.

– Po co wyłamywał drzwi do twojego mieszkania?

– Domyślił się, że mnie tam nie ma.

– Jak?

– Nie wiem.

Otworzył drzwi i wysiadł z toyoty.

– Pojadę swoim – stwierdził. – Musimy mieć niezależny transport.

Paulina ruszyła z piskiem opon i pojechała w kierunku Trawowej, żeby później przez Krzemieniecką dostać się na Grabiszyńską. Tak było najszybciej. Marcin swoją skodą też zaryzykował jazdę przez ulicę pełną dziur. Szczęśliwie udało mu się dojechać do końca, nie urywając zawieszenia.

Dziesięć minut później stał już z Pauliną i inspektorem Sroką na rogu bloku mieszkalnego przy Grabiszyńskiej, naprzeciw hotelu Vega, obserwując, jak sześciu ubranych w kombinezony szturmowe policjantów z oddziału specjalnego wchodzi do środka. Po chwili ruszyli za nimi. Byli na parterze, gdy dwa piętra wyżej, strzałem w zamek wyważono drzwi. Później słychać było tylko krzyki wbiegających do mieszkania, uzbrojonych po zęby ludzi. Zanim weszli na górę, na korytarz wyszedł już dowódca oddziału.

– Pusto – powiedział krótko, wyraźnie zawiedziony.

– Dziękuję – odpowiedział Sroka. – Proszę zabrać swoich ludzi na dół i zabezpieczyć wejście do czasu, aż przyjedzie ekipa dochodzeniowa.

– Jasne!

Uzbrojeni policjanci opuścili mieszkanie. Marcin wszedł pierwszy. W gardle czuł kulę lodu. Paulina szła krok za nim, trzymając go delikatnie za łokieć, jakby chciała go w ten sposób uspokoić.

Gustaw Kalenda! Marcin dopiero teraz uświadomił sobie, że chodzi o tego samego Gustawa, z którym przez osiem lat chodził do jednej klasy w szkole podstawowej. Kolegowali się też w czasach szkoły średniej, chociaż on chodził do liceum, a Gustaw do zasadniczej szkoły zawodowej o specjalności obróbka skrawaniem. Marcin zdziwił się, że pamięta takie szczegóły. Po chwili w głowie eksplodowało ich jeszcze więcej. Widział Gustawa w wieku około dziesięciu lat, w starej kurtce

ortalionowej, z podartym rękawem, w zimie, na sankach. Twarz miał roześmianą, policzki zaróżowione mrozem, niebieskie śmiejące się oczy, na głowie czapkę pamiętającą niejedną zimę. Później przypomniał sobie Gustawa ze szkolnej zabawy na zakończenie ósmej klasy, w szerokich, o wiele za krótkich spodniach, który za punkt honoru postawił sobie obtańczyć wszystkie dziewczyny. Inni chłopcy podpierali ściany i naśmiewali się z niego, on nic sobie z tych żartów nie robił. Wiedział, że mu zazdroszczą? Potem zobaczył jeszcze swoją mamę, Zofię Zakrzewską, jak nalewa Gustawowi czerwonego barszczu do talerza podczas jednego z obiadów, na które go zapraszała. Marcin nie lubił tych wizyt. Wiele innych obrazów wyłaniało się z mroków pamięci. Gustaw Kalenda!

W głowie huczało mu jedno pytanie. Dlaczego?

Po dwóch krokach stanął.

Paulina spojrzała na niego z troską.

– W porządku? – zapytała.

– Tak, tak – odpowiedział i aż się zdziwił, że jego głos jest tak spokojny.

Sroka został na progu i zapalił papierosa. Ekipy z Rajczą na czele jeszcze nie było. Mieli kilka minut.

Mieszkanie składało się z dwóch pokoi, kuchni i łazienki. Z korytarzyka, w którym pod wieszakiem z dwiema koszulami stały dwie pary butów i schodzone kapcie, wchodziło się do dużego pokoju, skąd jedne drzwi prowadziły w prawo do kuchni, drugie w lewo do sypialni. W korytarzyku, po lewej stronie, znajdowało się wejście do małej łazienki z WC. Marcin zajrzał najpierw do kuchni, Paulina ruszyła do sypialni. Zanim zdążył dobrze się rozejrzeć, usłyszał jej wołanie:

– Marcin!

Pobiegł szybko do sypialni i na progu stanął jak wryty. Poczul, że serce mu zamiera. Musiał głęboko odetchnąć.

– O kurwa! – wyrwało mu się. Na wprost drzwi znajdowało się

okno, z prawej strony niezaścielone łóżko i szafka nocna, w kącie szafa na ubrania – nic szczególnego. Uwagę przyciągała jednak ściana z lewej strony. Była gładka, pomalowana białą farbą, ale już bardzo dawno, ponieważ farba zdążyła trochę zżółknąć i w niektórych miejscach, szczególnie przy suficie, łuszczyła się. Nie to jednak było najistotniejsze. Cała ściana pokryta była starannymi rysunkami i napisami. Były to małe dzieła sztuki.

– Jak tatuaż – powiedziała niespodziewanie Paulina, doskonale oddając ich charakter.

Marcin przelatywał wzrokiem dziesiątki napisów i rysunków, próbując wyłowić z nich jakiś sens.

Paulina zbliżyła twarz do ściany, pokręciła głową z niedowierzaniem, po czym odwróciła się i spojrzała na łóżko.

– Widział to każdego dnia, kiedy kładł się spać i każdego ranka, kiedy otwierał oczy – powiedziała. – Samonakręcający się mechanizm nienawiści. Trzeba przyznać, że ma talent do rysowania.

Nawet nie słyszeli, kiedy za ich plecami stanął Sroka i podobnie jak wcześniej Marcin przeklął szpetnie.

– To na pewno on – orzekł stanowczo.

– Jak na ścianie w domu Bogdańskiego – szepnęła Paulina. – Naśladował go.

Marcin nie był w stanie odpowiedzieć. Patrzył akurat na największy i chyba najważniejszy rysunek na ścianie. Znajdował się w centralnym punkcie i wydawało się, że powstał pierwszy. Kolejne rysunki i napisy musiały być dodawane później, na przestrzeni lat. Rysunek przedstawiał głowę kozła z rogami, stylizowaną na diabła, z pyskiem wykrzywionym przerażającym uśmiechem. Napis pod nim rozwiewał wszelkie wątpliwości:

DIABEŁ CHODZI TAM NA PALCACH.

Kolejne grafiki umieszczone w różnych miejscach

przedstawiały dziecięce twarze z ustami wykrzywionymi cierpieniem. Podpisy pod nimi wyglądały jak dokumentacja upadku duchowego rysującego.

światłość wiekuista

bezdenny smutek

powitanie ciemności

wieczne cierpienie

Były też inne, mniejsze rysunki i setki pojedynczych słów, zwrotów i przemyśleń autora. Chyba tylko on mógł wytłumaczyć ich znaczenie.

krew jest słodka

obumieranie

zgnilizna

śmierć – sposób na życie

inicjacja

cudownie było trzymać jej uciekającą duszę w ramionach...

kto daje życie, skazuje na śmierć

pan śmierci nie boi się cierpienia

insekty w mózgu

widziałem diabła...

I jeszcze wiele innych, niezrozumiałych słów i daty: 1991, 1995, 1997 i 2003, ale już bez nazwisk, jak na ścianie w domu Bogdańskiego. Marcin zatrzymał jeszcze na dłużej wzrok na rysunku cegieł nad podłogą i na cytacie z Pink Floyd: *is there anybody out there?*

Znowu poczuł dreszcz niepokoju.

– Co to, kurwa, jest?! – Paulina nie wytrzymała. – Filozofia pierdolniętego psychopaty?!

– Raczej jego pamiętnik – odpowiedział Marcin nadzwyczaj spokojnym głosem.

Paulina umilkła i jeszcze raz obejrzała rysunki i napisy. Marcin czuł narastającą wściekłość. Co działo się w głowie Gustawa Kalendy? Najwidoczniej coś przerażającego, czego nikt normalny nie jest w stanie pojąć. Co jeszcze groziło im z jego strony?

– Chodźcie na dół – powiedział przytomnie Sroka. – Nie możemy zdeptać śladów.

Na schodach minęli Roberta Rajcę i Jacka Adamskiego, idących do góry z torbami. Może policjanci z oddziału specjalnego coś im już wspomnieli, a może po prostu sprawiły to miny Marcina, Pauliny i Stefana, dość, że o nic nie pytali, tylko skinęli głowami.

Hałas wydawany przez samochody i tramwaje, przejeżdżające oddaloną o kilka metrów od nich Grabiszyńską, przywrócił Marcina do rzeczywistości. Stanęli parę kroków od bramy, trochę dalej od innych, żeby nikt nie mógł ich podsłuchać. Sroka poczęstował ich papierosem. Ani Paulina, ani Marcin nie odmówili i teraz palili w milczeniu, jakby ta czynność miała przynieść uspokojenie. Sroka odszedł kilka kroków, żeby porozmawiać przez telefon, po czym wrócił i powiedział:

– Nie ma wątpliwości, że to mieszkanie poszukiwanego przez

nas mordercy. Nic tu po nas, niech technicy zabezpieczą ślady. – Spojrzał na zegarek. – Jest kwadrans po osiemnastej. Za pół godziny zebranie grupy śledczej w firmie – Organizujemy obławę, na drogach całego Dolnego Śląska ustawione zostały blokady. Złapiemy sukinsyna.

Paulina z wyraźnym niesmakiem wyrzuciła na wpół wypalonego papierosa i spojrzała na Marcina.

– Za co Kalenda się na tobie odgrywa? – zapytała ponownie.

– Nie mam pojęcia! – Wzruszył ramionami. – Znam go kupę lat. Zawsze był dziwny, ale nawet go lubiłem... Nie wiem, mam mętlik w głowie. Najchętniej wypiłbym parę drinków i poszedł spać.

– Nic z tego – wtrącił się Sroka. – Jedziemy na Podwale.

Odwrócił się na pięcie i poszedł w kierunku auta zaparkowanego z drugiej strony budynku, od podwórza. Paulina uścisnęła dłoń Marcinowi.

– Trzymasz się? – zapytała z troską.

Uśmiechnął się do niej słabo.

– Chciałbym spojrzeć mu w twarz i dowiedzieć się, o co mu chodzi.

– Złapiemy go.

– Zazdroszczę ci tej pewności.

– Zajadę jeszcze do domu – zmieniła temat. – Mam tam laptopa z dokumentacją naszego śledztwa. Przy okazji wezmę ładowarkę do telefonu. Spotkamy się na komendzie.

– OK.

Musnęła ustami jego wargi, poszła do samochodu i odjechała.

Marcin został sam. Stał z rękami wciśniętymi w kieszenie kurtki i patrzył na ludzi stojących na przystanku tramwajowym. Przed oczami przemykały mu jednak zupełnie inne obrazy. Wciąż widział napisy ze ściany mieszkania na drugim piętrze. Szczególnie utkwiły mu w głowie te, które mogły odnosić się do jego osoby. Przynajmniej miał takie wrażenie.

jestem jak jadowity wąż...

jestem Twoim cieniem

zawsze będę tam, gdzie się mnie nie spodziewasz

zadaję cierpienie

Nagle poczuł falę niepokoju.

Paulina!

Wyciągnął telefon i wtedy przypomniał sobie, że Paulina ma rozładowany aparat. Po chwili wahania pobiegł do swojej skody, wyłożył na dach niebieskiego koguta i na sygnale wyjechał przez trawnik na ulicę.

XXXV

Jechał, lawirując pomiędzy autami stojącymi na światłach na skrzyżowaniu Grabiszyńskiej i Hallera. Zastanawiał się, ile czasu minęło, odkąd Paulina odjechała. Minuta? Może pięć? Nie bardzo potrafił określić, jak długo stał w bezruchu, analizując zapamiętane obrazy, jakby świadomość nie miała nad nim władzy. Zatracił poczucie czasu.

Z piskiem opon skręcił w Ostrowskiego i pędził setką tą wąską uliczką, modląc się, by żadne auto nie wyjechało mu niespodziewanie z boku. Miał nadzieję, że przechodnie usłyszą sygnał i rozejrzą się, zanim zdecydują się wejść na pasy. Pół kilometra dalej skręcił w Krzemieniecką, przejechał przez most na Ślęzie i na pełnym gazie przejechał przez tory kolejowe. Na szczęście nic nie jechało. Którędy pojechała Paulina? Droga przez Krzemieniecką była najkrótsza, na pewno ją wybrała, pewnie już dawno była na Rakietowej. Mocniej nacisnął gaz, gnany przez dziwny niepokój. Inni uczestnicy ruchu zjeżdżali mu z drogi na chodnik albo zatrzymywali się, ułatwiając manewr wyprzedzania, a on pędził, ile tylko mógł w tych warunkach. Kiedy był kilka metrów od kolejnego przejazdu kolejowego przy końcu Krzemienieckiej, kątem oka zobaczył, że zaczynają mrugać ostrzegawcze światła, sygnalizujące zamykanie się automatycznych rogatek. Nie zwrócił na nie uwagi, jeszcze przyspieszył i zdążył, zanim zaczęły opadać. Potem skręcił w prawo i włączył się do ruchu na Stanisławowskiej. Został już niecały kilometr. Ściął rondo przy kościele pod wezwaniem Świętego Michała Archanioła i chwilę później był już na

Rakietowej.

Zahamował gwałtownie i zaparkował na chodniku, kilkanaście metrów przed bramą, w której mieszkała Paulina. Dostrzegł czarną toyotę rav4 i w pierwszej chwili pomyślał, że Paulina jest już w mieszkaniu. Wsiadł z auta i wtedy w toyocie otworzyły się drzwi od strony kierowcy i Paulina wyskoczyła na jezdnię. Zamknęła auto pilotem i już miała wejść do budynku, kiedy nagle go zobaczyła i przystanęła zdziwiona.

Marcin poczuł nagle wielką ulgę. Pędził tutaj tak szybko, że złapał ją, zanim jeszcze zdążyła wysiąść z samochodu. Wypuścił powietrze z płuc, rozładowując w ten sposób wewnętrzne napięcie. Prawie był na siebie zły za to, że tak się o nią przestraszył. Był przewrażliwiony.

Paulina skinęła mu ręką i ruszyła w jego stronę.

Nagle, nie wiadomo skąd, wyrósł za nią mężczyzna. Wszedł zza zaparkowanej na chodniku czarnej toyoty. Wystarczyły dwa kroki, by dogonił idącą kobietę. Marcin nie zdążył nawet zareagować.

Obserwował wszystko jak na zwolnionym filmie.

Mężczyzna stanął za plecami Pauliny i unieruchomił ją w stalowym uchwycie, lewą ręką przyciskając plecami do swojej piersi. Prawą sięgnął jej pod kurtkę, gdzie miała kaburę z bronią. Była tak zaskoczona, że nie zdążyła zareagować.

Marcin poczuł, jak cierpnie na nim skóra.

To był Gustaw Kalenda.

Wyszarpnął swojego walthera p99, lecz zanim zdążył wykonać jakikolwiek ruch, padł strzał.

Paulina drgnęła jak rażona prądem i nagle zaczęła osuwać się na asfalt niczym szmaciana lalka. Kalenda ją puścił i nogi się pod nią ugięły. Przechyliła się nieznacznie do przodu, ale upadła na plecy, uderzając głową o ziemię.

Marcin jak przez sen usłyszał swój krzyk:

– Nie!!!

Gustaw Kalenda dopiero wtedy go zobaczył. Przez jego twarz przemknęło coś na kształt uśmiechu, odwrócił się na pięcie i zaczął uciekać. Marcin strzelił za nim dwa razy, ale nie udało mu się trafić. Rzucił się w pogoń, lecz już po pięciu krokach spojrzał na leżącą Paulinę i zatrzymał się jak wryty. Leżała w powiększającej się kałuży, całą koszulkę i kurtkę na prawym boku miała we krwi. Dopiero wtedy Marcin zrozumiał, co tak naprawdę się zdarzyło.

Kalenda wyszarpnął broń z kabury i strzelił jej z bliskiej odległości w prawy bok, gdzieś przy linii żeber. Marcin nie ścigał go dalej. Padł na kolana i znieruchomiał przerażony, nie wiedząc, co robić.

– Paulina!

Nie słyszała go. Nie poruszyła się. Leżała na wznak z przymkniętymi oczami, na ustach miała krew. Nie potrafił ocenić, czy żyje. Wyciągnął telefon, połączył się z centralą i zarządził alarm. Na hasło, że policjant jest ciężko ranny, natychmiast wysłano karetkę.

Marcin usiadł na asfalcie za Pauliną, podniósł trochę jej głowę i oparł sobie na piersiach. Objął ją jedną ręką, a drugą przyłożył do rany, próbując zatamować w ten sposób obfite krwawienie. Nie było otworu wylotowego. Pocisk został w środku. Siedział, czekając na pomoc i nie widząc tego, co dzieje się dookoła. Nie widział zgromadzonego obok tłumu ludzi, nie słyszał okrzyków przerażenia ani rad. Był w szoku, nie potrafił zebrać myśli. Wydawało mu się, że upływające sekundy zamieniają się w minuty, a minuty w godziny. Miał wrażenie, że siedzą tak już długie godziny, a pomoc ciągle nie nadchodzi.

W rzeczywistości karetka pogotowia ratunkowego przyjechała na Rakietową po niecałych siedmiu minutach. Ratownicy medyczni odsunęli go od Pauliny, błyskawicznie ocenili, że jest w bardzo ciężkim stanie, położyli ją na noszach i przykryli folią, żeby powstrzymać postępujący szybko wraz z upływem krwi

proces wychłodzenia organizmu. Zanieśli ją do karetki i wtedy Marcin trochę oprzytomniał. Wsiadł do karetki.

– Nie możesz z nami jechać! – krzyknął jeden z sanitariuszy.

– Muszę! – odkrzyknął mu w twarz. – Ona jest moim partnerem!

Sanitariusz zmierzył go wzrokiem i na widok pistoletu w zakrwawionej dłoni machnął ręką. Marcin usiadł przy drzwiach, karetka ruszyła i popędziła na sygnale ulicami. W środku trwała akcja ratunkowa. Paulina dostała tlen, kroplówkę, sanitariusz rozciął nożycami ubranie na piersiach, drugi tamponami próbował zatamować krwawienie, została podłączona do monitora pracy serca. Marcin obserwował te gorączkowe działania z przerażeniem, ale też z nadzieją. Żył. Widział na ekranie monitora słaby wykres pracy jej serca. Głosy sanitariuszy dochodziły go jakby z oddali. Nie wiedział, do jakiego szpitala jadą.

– Bardzo ciężki postrzał w klatkę piersiową!

– Jest obfite krwawienie!

– Kula została w środku, wszędzie są kawałki żeber, przygotujcie szybko stół operacyjny. Każda chwila może być na wagę jej życia!

Teraz dopiero Marcin zdał sobie sprawę, że jeden z sanitariuszy rozmawia przez telefon z lekarzem, relacjonując mu stan Pauliny.

– Tętno cały czas słabnie, straciła dużo krwi!

I nagle kardiomonitor zaczął wydawać ciągły, alarmowy sygnał. Marcin zacisnął szczęki i pięści w rozpaczliwym geście.

– Mamy migotanie komór!

– Tracimy ją!

– Rozpoczynam masaż serca!

– Gotowy defibrylator!

Ciało Pauliny drgnęło przy kontakcie z elektrodami.

– Wentyluję płuca!

Czas włókł się niemiłosiernie. Kardiomonitor nadal wydawał ostrzegawcze sygnały.

– Ciągłe migotanie komór!

Kolejny impuls elektryczny szarpnął ciałem kobiety.

– Adrenalina!

– Ciągła wentylacja!

– Amiodaron!

– Jest!

– Cholera, ciągle mamy migotanie komór!

– Możemy nie zdążyć!

– Kontynuujemy masaż. Wentylacja!

– Już dojeżdżamy!

– Adrenalina!

Karetką pogotowia zatrzymała się gwałtownie, drzwi się otworzyły i do środka wskoczył młody lekarz w białym kitlu. Marcin wysiadł, żeby mu nie przeszkadzać. Po chwili nosze z Pauliną zniknęły w szklanych drzwiach do budynku.

Zakrzewski został na zewnątrz. Stał nieruchomo, nadal ściskając w dłoni pistolet, i nie wiedział, co robić. Ocknął się na widok nadchodzących sanitariuszy, zszedł im z drogi i kilka metrów dalej przysiadł na ławce pod drzewem. Zapadł już zmrok, ławka stała z dala od świateł. Siedział przez nikogo niezauważony, nadal zszokowany.

Zadzwoił telefon. Nie odebrał. Potem drugi raz i kolejny. Wreszcie wyciągnął z kieszeni aparat i wyłączył dzwonek. Ogarnął go przeraźliwy strach. W głowie kołatała mu tylko jedna myśl. Stracił ją! Stracił Paulinę!

Nie mógł znieść myśli, że już więcej nie zobaczy uśmiechu na jej ustach, ogników w oczach, nerwowego gestu, którym poprawiała grzywkę spadającą na oczy, nie usłyszy jej złośliwych docinków, przekleństw, śmiechu. Odtąd będzie znowu zasypiał sam. Zaczął cały drzeć z chłodu, jaki go nagle opanował. Byli ze sobą dopiero kilka dni, a jemu wydawało się, że minęły całe lata.

Kłócili się, często mieli odmienne poglądy, charaktery mieli zupełnie inne, ale czuli się ze sobą doskonale. To było tak naturalne jak oddychanie. Dopasowali się prawie od razu: on spokojny i zrównoważony, ona czasem szalona, porywcza, z milionem pomysłów na minutę, które natychmiast chciała realizować. Odniósł wrażenie, że miał na nią uspokajający wpływ. Przede wszystkim byli dla siebie cudownym lekiem na chorobę, która dręczyła ich nieprzerwanie od lat – samotność.

Z każdą upływającą sekundą coraz boleśniej uświadamiał sobie fakt, że to może być koniec tej cudownej bajki. Może już nastąpił koniec. Mógł to sprawdzić, ale paraliżował go strach. Wolał na razie nie wiedzieć. Chciało mu się krzyczeć, lecz z gardła nie wydobywał się nawet jeden dźwięk. Piekły go oczy, w ustach czuł suchość. Kiedy tylko przymykał oczy, widział tę sekwencję: Paulina macha do niego, Kalenda wyłania się nie wiadomo skąd, potem jej ciało wiotczeje w jego uścisku i pada bezwładnie na asfalt. Suchy trzask wystrzału ciągle drażnił uszy. Ta scena rozgrywała się pod jego zamkniętymi powiekami dziesiątki razy, nie mógł się jej pozbyć.

Gdyby przyjechał tam pół minuty wcześniej... Nie mógł sobie tego darować. To było tylko pół minuty! Nic by się nie stało. Kalenda zobaczyłby Marcina i pewnie nie zdecydowałby się ujawnić, pozostałby w ukryciu. Może gdyby jechał szybciej... Gdyby nie stał przy bramie domu Kalendy tak długo i nie rozmyślał... Nie powinien jej puszczać samej. To była głupota. Gdyby nie rozładował się jej telefon komórkowy. Może jedna rozmowa telefoniczna mniej i nie doszłoby do tragedii, Paulina by żyła i teraz jedliby kolację przy kuchennym blacie, a później poszli spać, przytuleni do siebie, fundując sobie spokój i poczucie bezpieczeństwa.

Zaczynał wariować.

Czasu nie da się cofnąć, przeszłych zdarzeń nie da się odwrócić. Spróbował wziąć się w garść. Zacisnął mocno powieki,

aby pozbyć się koszmarnego obrazu upadającej na ulicę Pauliny. Nie bardzo się udawało. W uszach suchy odgłos wystrzału. Wciąż i wciąż, do obłądu.

Wreszcie obraz się nieznacznie zmienił. Teraz widział twarz Gustawa Kalendy, który nagle zobaczył go, stojącego kilkanaście metrów dalej. Ta twarz! Ten dziwny grymas, kiedy zrozumiał, że Marcin widział atak na Paulinę. Co on mógł znaczyć? Teraz widział tylko jego twarz i usta. Grymas był jednoznaczny. Na ustach pojawił się uśmiech, a oczy błyszczały triumfalną radością. Jak w oczach maratończyka, który mija linię mety, zostawiając za plecami największych rywali. Kalenda pokazał mu swoją wyższość. Jego oczy mówiły: widzisz, jednak jestem górą, zabiłem twoją kobietę, skrzywdziłem cię, a ty nic nie możesz mi zrobić, to ja jestem zwycięzcą. To był też rodzaj groźby. Nie zatrzymasz mnie. Zrujnuję ci życie, mogę osiągnąć każdego, kto jest ci bliski. Będę zdawał ci ból, a na końcu zabiję.

Strach zaczynał zamieniać się we wściekłość. Jej fala nagle załazał Marcinowi umysł, zmiatając wszystkie inne emocje jak uderzające o ląd tsunami. Wraz z nienawiścią przyszło jeszcze jedno straszne uczucie – żądza zemsty. Ono sprawiło, że zaczął racjonalnie myśleć. Sprzed oczu zniknęły rozprasające go obrazy, a gdzieś w głowie, nieśmiało, fakty łączyły się w jedną logiczną całość. Dalej część prawdy była porozrzucana jak puzzle, ale wyłaniały się z nich większe elementy. Każdą układankę da się w końcu ułożyć.

Najpierw Gustaw myślał, że Marcin jest z Kaśką, i dlatego chciał ją zabić. Chciał uderzyć w najczulszy punkt Marcina, chciał zadać ból największy z możliwych. Kiedy zamiar się nie powiódł, nieoczekiwanie uśmiechnęło się do niego szczęście. Dowiedział się, że Marek Grabski załatwił Marcinowi ochronę w agencji, w której pracował Kalenda. Co więcej, ochroniarzem miał być jego kolega, Jan Dobrzaniecki. Wtedy zabił Dobrzanieckiego, żeby zająć jego miejsce. Takie działanie

wydawało się co prawda bezsensowne, ale nie wiadomo do końca, co dzieje się w umyśle seryjnego mordercy i jakie motywy pchają go do działania. Może między nim a Dobrzanieckim doszło do jakiegoś zatargu? Na razie nie można było wyjaśnić tego ostatecznie. Dość, że Kalenda zajął miejsce Dobrzanieckiego, oficjalnie jeździł za Marcinem i poznawał jego życie. W ten sposób dowiedział się o Paulinie. Pewnie dlatego stała się jego kolejną ofiarą. Chciał zadać Marcinowi ból. Tylko dlaczego? Marcin gubił się w domysłach. Nigdy nie zrobił nic złego Gustawowi Kalendzie. Więc dlaczego?

Pistolet wyslizgnął mu się ze zdrewniałej dłoni i stuknął o płyty chodnikowe. To go otrzeźwiło i wyrwało z letargu. Musiał działać. Żądza zemsty była silniejsza od zdrowego rozsądku.

Rozejrzał się przytomniejszym wzrokiem i długo nie mógł poznać, do którego szpitala karetka przywiozła Paulinę. Wreszcie rozpoznał schody przed głównym wejściem. To był szpital wojskowy na ulicy Weigla.

Bał się wejść do środka i zapytać o Paulinę. Chociaż w karetce, kiedy pędzili szaleńczo przez miasto, a ratownicy medyczni prowadzili reanimację, miał jeszcze nadzieję, że przeżyje, teraz z każdą chwilą nadzieja gasła. Aż wreszcie zmieniła się w pewność. Nie mogła przeżyć. Próby reanimacji w karetce nie przyniosły rezultatów. Ile trwała walka o jej życie? Nie był w stanie sobie odpowiedzieć. Pięć minut? Może dziesięć, może nawet kilka minut dłużej. Nie przyniosła rezultatów. To było tylko przedłużanie jej agonii. Jak długo jeszcze próbowali ją ratować w szpitalu? Przy strzale z tak bliskiej odległości w bok nie miała szans. Kula przeszła przez klatkę piersiową, siejąc spustoszenie. Pewnie przebiła wątrobę, otrzewną, przeszła płuca, mogła uszkodzić serce i zatrzymała się w strzaskanych żebrach po przeciwnej stronie. Straszliwe obrażenia.

Jego rozdygotany umysł wracał z wolna do równowagi, zaczynał myśleć coraz szybciej. Przez kilka minut wydawało mu

się nawet, że jego mózg nieoczekiwanie osiągnął stan, którego dotąd nie znał. Myślał zupełnie inaczej niż dotąd: abstrakcyjnie, zaskakująco dla samego siebie. Znowu przed oczami stanęła mu twarz Gustawa Kalendy. Wcześniej Zakrzewskiemu wydawało się, że sekundę po tym, jak Kalenda strzelił do Pauliny, uśmiech na jego ustach wyrażał triumf. Teraz zmienił zdanie. To było wyzwanie! Wzrok Kalendy był wyzwaniem na pojedynek. Nie było już nikogo między nimi, teraz rozpoczynała się rozgrywka jedynie między nimi dwoma. Tylko gdzie go szukać? Marcin zastanowił się, co zrobiłby na miejscu Gustawa Kalendy, gdyby był mordercą. Wcześniej taki eksperyment myślowy wydałby mu się szaleństwem, ale teraz, nieoczekiwanie dla samego siebie, odgadł właściwą odpowiedź. Według Kalendy czas musiał zatoczyć koło. Wszystko miało rozstrzygnąć się w miejscu, gdzie ponad pół wieku temu się zaczęło – w domu Bogdańskiego. Chory, socjopatyczny umysł mordercy ułożył sobie taki scenariusz na wielki finał. Z jednej strony banalny i pretensjonalny, z drugiej zaskakujący i trudny do przewidzenia. Marcin postanowił podjąć to wyzwanie. Stracił Paulinę, było mu już wszystko jedno. Nie czuł strachu ani zdenerwowania. Napędzały go nienawiść i prawie bolesna żądza zemsty.

Zgrabiłymi z zimna rękami podniósł upuszczony pistolet i dopiero teraz dostrzegł na dłoniach zaschniętą krew. Schował broń do kabury, wyciągnął telefon i spojrzął na ekran. Najpierw zobaczył, że ma jedenaście nieodebranych połączeń i kilka nieprzeczytanych esemesów. Nie zamierzał oddzwaniać. Spojrzął na zegarek. Była dwudziesta pierwsza jedenaście, zapadł mrok i pod bezchmurnym niebem robiło się coraz zimniej.

Próbował wytrzeć dłonie w chusteczkę, ale nic z tego nie wyszło. Musiał się umyć. Wstał i chwiejnym krokiem, jakby wypił kilka drinków, poszedł w kierunku jasno oświetlonego wejścia do budynku szpitala. Na schodach stało dwóch umundurowanych policjantów, ale udało mu się minąć ich bez

zwracania na siebie uwagi. Portier wpatrzony w ekran telewizora również go zlekceważył. Na końcu korytarza znalazł toaletę i dokładnie umył ręce i przepłukał rękawy skórzanej kurtki, na których także widniały czerwone plamy. Podniósł głowę, spojrzął sobie w oczy w lustrze i nie poznał swojego odbicia. Był blady jak воск, miał sine plamy pod oczami i napuchnięte powieki nad przekrwionymi, błyszczącymi nienaturalnie gałkami ocznymi.

Wyszedł tak samo jak wszedł, nie rzucając się nikomu w oczy, i ruszył w kierunku Ślężnej. Na rogu Weigla i Pułtuskiej złapał taksówkę. Zamówił kurs na Buczacką i usiadł z tyłu. Kierowca, jak większość taksówkarzy, był gadułą i próbował rozpocząć rozmowę na tematy polityczne, ale milczenie Marcina skutecznie go zniechęciło. Większość drogi przejechali w milczeniu.

Marcin kazał mu zatrzymać się na rondzie na Stanisławowskiej, przy kościele, i dalej poszedł pieszo. Kiedy za mostkiem na potoku Kasina skręcił w prawo, przystanął. W miejscu, gdzie Kalenda postrzelił Paulinę, nadal stały policyjne auta, ulica była zamknięta dla ruchu i przegrodzona policyjną taśmą. Przed nią stał wóz transmisyjny TVN24 i jakaś nieznana mu redaktorka opowiadała do kamery, co się w tym miejscu stało ponad dwie godziny temu. Skoda Marcina była zaparkowana na poboczu drogi, zaraz obok reporterki i stojącego przed nią kamerzysty. Wahał się tylko przez moment. Wolnym krokiem ruszył w kierunku auta. Rozglądał się uważnie we wszystkie strony, żeby nie wpaść na jakiegoś znajomego policjanta. Wieczór był jego sprzymierzeńcem. W świetle ulicznych latarni ulica wyglądała zupełnie inaczej, nierealnie. Do jego uszu dobiegł monolog redaktorki:

– Dwie godziny temu, to miejsce, które widzą państwo za mną, na ulicy Buczackiej na osiedlu Muchobór Wielki we Wrocławiu, było świadkiem dramatycznych zdarzeń. Z relacji świadków udało mi się ustalić, że poszukiwany za morderstwo mężczyzna

ciężko postrzelił policjantkę na służbie. Z tego, co dowiedzieliśmy się z nieoficjalnych źródeł w policji, trwała właśnie obława na czterdziestoletniego mężczyznę, mieszkańca naszego miasta, podejrzanego o co najmniej dwa zabójstwa. Policjantka uczestniczyła w tej obławie. Nie wiadomo dokładnie, w jakich okolicznościach doszło do tego tragicznego zdarzenia. Mieszkańcy ulicy Buczackiej, którzy widzieli zdarzenie, opowiadają, że pomiędzy policjantką a mężczyzną doszło do szamotaniny i wtedy padł starzał. Na miejscu był też drugi policjant, ale nie zdążył zareagować. Policjantka została postrzelona z własnej broni. Sprawca zbiegł z jej pistoletem. Z oficjalnych źródeł policyjnych wiadomo, że trwa zakrojona na szeroką skalę obława. Główne trasy wyjazdowe z Wrocławia zostały zablokowane przez policję i wojsko. Podobne posterunki pojawiły się na drogach całego Dolnego Śląska. Poszukiwany mężczyzna, którego tożsamości jeszcze nie poznaliśmy, jest uzbrojony i bardzo niebezpieczny. Z tego, co wiem, w komendzie wojewódzkiej policji lada chwila ma się odbyć krótka konferencja prasowa rzecznika policji oraz prokuratora prowadzącego śledztwo. Może dowiemy się czegoś więcej. Może dowiemy się też, w jakim stanie jest postrzelona policjantka. Na razie nie wiemy nawet, do jakiego szpitala została zabrana. W komendzie wojewódzkiej jest nasz specjalny wysłannik...

Marcin nie słuchał dłużej. Niezauważony przez nikogo wsiadał do samochodu, wycofał wolno na początek ulicy, zawrócił i przez rondo pojechał na Mińską, skąd przez Nowy Dwór dotarł do ulicy Pilczyckiej. Po drodze minęły go radiowozy na sygnale. Na nogi musiała zostać postawiona cała policja we Wrocławiu.

Zdawał sobie sprawę, że postępuje nieodpowiedzialnie, był jednak ogarnięty amokiem zemsty i nie interesowało go nic – chciał wyłącznie dopaść Gustawa Kalendę, zanim zrobi to ktoś inny.

Przed Leśnicą, mimo późnej pory, stanął w sporym korku. Nie

zastanawiając się długo, wyłożył na dach niebieskiego koguta, na szyi powiesił policyjną odznakę i ruszył na sygnale, lawirując między pojazdami, które starały się zrobić mu miejsce na wąskiej drodze. Policyjna blokada znajdowała się na skrzyżowaniu Średzkiej i Dolnośląskiej. Dwóch antyterrorystów w pełnym uzbrojeniu stało po dwóch stronach na chodniku, a dwóch innych mundurowych policjantów sprawdzało dokumenty kierowców i pasażerów oraz zaglądało do bagażników aut. Mieli już w rękach fotografie Kalendy. Jeden z policjantów poświecił Marcinowi latarką w twarz, po czym machnął, żeby jechał dalej. W Lesie Leśnickim Zakrzewski wyłączył sygnał i schował koguta. Na drodze było niemal pusto i mógł pędzić prawie sto trzydzieści kilometrów na godzinę. Minął jeszcze dwie policyjne blokady, we Wróblowicach i na obwodnicy Środy Śląskiej. Podobnie jak przy pierwszej nikt go o nic nie zapytał.

Do Szczepanowa wjechał o dwudziestej drugiej trzydzieści. Ulice, oświetlone z rzadka przez latarnie, były już puste, po drodze od Środy Śląskiej nie minął żadnego auta, tylko na murku na krzyżówce przed kościołem siedziała grupa nastolatków. Poza tym wieś wyglądała sennie i spokojnie. Zaparkował na placu w centrum, obok przystanku autobusowego. Zanim wysiadł z samochodu, wyciągnął walthera i dokładnie sprawdził magazynek. Miał jeszcze piętnaście naboí. Wetknął broń za pasek spodni na plecach i dopiero wtedy wysiadł, z bagażnika wyciągnął latarkę, włożył ją do kieszeni, zamknął auto i wolnym krokiem przeszedł przez ulicę. Szedł pod drzewami, wzdłuż kościelnego muru z czerwonej cegły, starając się uspokoić rozdygotane nerwy. Właściwie niepokoiła go tylko jedna sprawa. A jeśli Kalendy nie będzie w domu Bogdańskiego? Odrzucił szybko tę myśl i szedł dalej. Skręcił w lewo w Długą i chwilę później minął dom Romka Adamca, przeszedł na drugą stronę ulicy i stanął przed bramą na posesję należącą kiedyś do Bogdańskiego. Na zardzewiałej siatce wisiał jeszcze kawałek

żółtej policyjnej taśmy, falując lekko przy każdym podmuchu wiatru. Podwórze było pogrążone w mroku, rozświetlonym jedynie przez światła padające z okien sąsiadów i gwieździste niebo. Sam dom jawił się jako czarna niekształtna bryła w głębi podwórza.

Rozejrzał się czujnie i przeskoczył ogrodzenie. Wyciągnął zza paska pistolet i pewnym krokiem szedł przed siebie, rozglądając się uważnie. Czyżby Kalendy jeszcze nie było? Może jednak nie zamierzał tu przyjeżdżać? Nie. Musi tu być. Przecież tak ma wyglądać wielki finał, który sobie wymarzył i opracowywał w najdrobniejszych szczegółach przez lata. Miał na to dużo czasu, nie niepokojony przez nikogo.

Marcin doszedł do załomu muru. Stanął bokiem i ostrożnie wychylił się, patrząc w kierunku zrujnowanej komórki. Cisza i spokój. Zajrzał do niej na wszelki wypadek, po czym skierował się w kierunku domu. Plomba była nienaruszona. Zerwał ją jednym ruchem, kilkoma mocnymi kopnięciami wyrwał skobel przybity do drzwi, na którym wisiała kłódka, i zastygł w bezruchu. Upłynęła minuta, może dwie. Nikt nie zainteresował się hałasem, więc pchnął drzwi lufą pistoletu. Otworzyły się do środka ze zgrzytem. W nozdrza uderzył go zapach kurzu, pleśni i stęchlizny. Wszedł do ciemnego korytarzyka i zapalił latarkę. Baterie były już prawie doszczętnie zużyte, słabe, żółte światło ledwo rozświetlało mrok. Zrobił dwa kroki do przodu i niespodziewanie kątem oka zarejestrował jakiś ruch po prawej stronie. Zanim zrozumiał, że popełnił błąd, czaszka eksplodowała bólem i fajerwerkami światła za zamkniętymi powiekami. Nogi mu się ugięły i runął do przodu, na kamienną podłogę.

Uderzenie w głowę pozbawiło go na kilka chwil przytomności.

XXXVI

Ocknął się niedługo potem, pólleżąc w kuchni, oparty górną częścią pleców i głową o ścianę, za którą znajdowało się miejsce kaźni ofiar Bogdańskiego. Zmrużył oczy i z trudem wyostrzył wzrok. Głowa mu pękała, prawa strona piekła żywym ogniem. Czuł też stróżkę jakiejś cieczy, spływającej po policzku w kierunku brody. Jedna kropla trafiła do ust i poczuł słodki smak własnej krwi.

Kuchnia w domu Bogdańskiego oświetlona była przez dwie lampy naftowe, wiszące na wbitych w sufit hakach. Płomienie drgały niespokojnie, rzucając na ściany złowieszcze cienie. Okno przykrywała czarna zasłona, żeby światła nie było widać z zewnątrz. Na rogu stołu siedział Gustaw Kalenda i mierzył do Marcina z pistoletu Pauliny. Lampy wisały za jego plecami i Marcin widział tylko czarną sylwetkę.

– Nie próbuj żadnych sztuczek – usłyszał twardo brzmiący, pewny siebie głos. – Strzelę bez ostrzeżenia.

Zakrzewski był dziwnie spokojny. Myśli miał jasne i precyzyjne. Nie zważając na słowa Gustawa, podciągnął się na rękach i usiadł wygodniej, opierając się plecami o ścianę. Starł sobie krew z policzka.

– Nie wstawaj!

– Pierdol się!

Kalenda zaśmiał się z wyraźną nutą triumfu.

– Możesz obrzucać mnie obelgami – powiedział tonem dobrego wujka. – Mnie to nie rusza, a tobie i tak nie pomoże. Mam zamiar bardzo szybko zakończyć to spotkanie.

– Skąd wiesz, że nie zawiadomiłem kogo trzeba i nie będziesz miał zaraz na głowie oddziału antyterrorystycznego?

Wzruszył tylko ramionami.

– Zdążyłem cię już trochę poznać. Nikogo nie zawiadomiłeś. Jak zwykle chciałeś wszystko zrobić sam – wycedził. – Tym razem się nie uda.

Marcin milczał. Tymczasem Gustaw kontynuował:

– Nigdy zbyt mocno nie ceniłem twojej inteligencji i bystrości.

– Doprawdy? To ja cię zdemaskowałem.

– Muszę niestety oddać ci sprawiedliwość w tej jednej sprawie. Chociaż policja pewnie nigdy nie wpadłaby na mój trop, gdybym dalej trzymał się od ciebie z daleka. I tak zajęło ci bardzo dużo czasu, żeby powiązać fakty. Od Marszowic zostawiałem za sobą wyraźne ślady.

Marcin zastanowił się.

– Dlaczego? – zapytał wreszcie.

Gustaw zsunął się z rogu stołu, cofnął o dwa kroki i znalazł się w świetle naftowych lamp. Marcin po raz pierwszy mógł dokładnie przyjrzeć się jego twarzy. Był łysawy, włosy miał krótko ścięte, na twarzy zmarszczki, które dodawały mu co najmniej kilka lat. Od dzieciństwa bardzo się zmienił, Marcin pewnie nie poznałby go na ulicy.

– Taki kaprys – odpowiedział. – Uznałem, że dość już spokoju w twoim życiu i najwyższy czas to zmienić.

– Czego ty ode mnie chcesz?

Kalenda nie podjął tematu.

– Miło mnie rozczarowałeś, przyjeżdżając tutaj. Nie spodziewałem się takiej bystrości umysłu.

– Prędzej czy później i tak wpadniesz.

– Niemożliwe. – Pokręcił głową, uśmiechając się pod nosem. – Od dawna mam kilka wariantów planu ucieczki. Nigdy nie działałam bez planu.

– Co ja ci zrobiłem? – powtórzył pytanie Marcin. – Nie mogę

sobie przypomnieć...

Twarz Kalendy zmieniła się nagle w plastikową maskę. Zbliżył się do leżącego pod ścianą policjanta, podniósł pistolet i wycelował mu w głowę.

– To nie amerykański film. Nie mam zamiaru ci się spowiadać. Nie mam czasu, obiecałem sobie, że szybko z tobą skończę.

Jego palec drgnął na spuście i nagle znieruchomiał. Gustaw Kalenda skrzywił się zaskoczony, słysząc... głośny śmiech Marcina.

– Nie wierzę. Na pewno marzysz o tym, żeby mi o wszystkim ze szczegółami opowiedzieć – rzekł Zakrzewski. – Niemożliwe, żebyś odmówił sobie rozkoszy udowodnienia mi swojej wyższości. Pomyśl tylko, jeśli mnie teraz zabijesz i nic nie powiesz, nie będziesz się później mógł onanizować przed snem na wspomnienie mojej zaskoczonej i zszokowanej miny. Kurwa, przecież po to mnie tu zwabiłeś!

Gustaw milczał.

– Jeśli się mylę, zastrzel mnie i oszczędź mi już swojego widoku – kontynuował Marcin.

Gustaw cofnął się znowu o krok. Marcin nie widział jego twarzy, ale lufa pistoletu nie była już skierowana w jego głowę.

– Z czasów dzieciństwa pamiętam zupełnie innego człowieka. Wiesz, że ja cię trochę lubiłem? Ze strony mojej rodziny nigdy nie zaznałeś krzywdy. Moja mama zapraszała cię do nas na obiady, dostawałeś po nas ubrania – przypomniał.

Kalenda skrzywił się i powiedział jakby do siebie:

– Mój błąd. Powinienem postawić na Ryśka, a nie na ciebie.

– Co ty pierdolisz?

Gustaw nieoczekiwanie nachylił się nad nim i wbił mu boleśnie pod brodę lufę walthera. Jego twarz wykrzywiła się w grymasie dzikiej wściekłości. Przez mgnienie oka wyglądał jak obłąkany i Marcin wystraszył się, że pociągnie za spust.

– Wiesz, co to znaczy być sierotą?! – warknął mu w twarz

Kalenda, po czym znowu cofnął się szybko i stanął po drugiej stronie stołu, w świetle lamp.

Jego twarz znowu zmieniła się w kamienną maskę bez wyrazu.

– Oczywiście, że nie wiesz! Nie masz o tym pojęcia! Nie wiesz, jak się żyje na świecie samemu jak palec, nie mając nikogo, komu można zaufać i w kim znaleźć oparcie, a ludzie wokoło traktują cię jak kupę gówna.

– Mieszkałeś u wujostwa...

– Tylko mieszkałem. Czasami mnie karmili nędznymi ochłapami ze stołu. Głównie musiałem radzić sobie sam – wyrzucił z siebie. Kąciki ust nieznacznie mu drgnęły. – Ciotka mnie nienawidziła, bo szybko zorientowałem się, że ukrywa przed sąsiadami prawdę o swoim życiu. To, że jej mąż po pijanemu bije ją i gwałci. Ten skurwysyn, którego nazwałeś wujkiem, był nałogowym alkoholikiem, sadystą i zbrodniarzem. Miałem dziesięć lat, kiedy pierwszy raz zgwałcił mnie na oczach ciotki. Nie wiedziałem jeszcze nic na temat seksu, nic! Do dzisiaj śni mi się to po nocach. Ciągle czuję smród jego nasienia. Ciotka na wszystko patrzyła i nie zareagowała. Rozumiesz, nikomu nie powiedziała, nie przeszkodziła, nie zgłosiła na milicję! Bała się go śmiertelnie. Później zgwałcił mnie jeszcze raz i wtedy powiedziałem sobie, że ten raz będzie ostatnim. Odtąd cały czas miałem przy sobie nóż. Kiedy znowu spróbował, zraniłem go w rękę i udało mi się uciec. Przerażony kilka nocy spędziłem w szopie na sianie, ukrywając się przed nimi i wyjadając psu z miski. Zawsze, kiedy wpadał w pijackie ciągi, spałem poza domem w szopie, a zimą na poddaszu. Wyobrażasz sobie siebie w tym wieku, w takiej sytuacji? Jak byś zareagował?

Marcin nie odpowiedział. Próbował sobie przypomnieć Gustawa z tamtych czasów, ale niewiele pamiętał. Unikał go wtedy. Gustaw czasem był brudny i śmierdzący, poza tym był małomówny i zamknięty w sobie. Teraz przypomniawszy sobie, że raz czy dwa widział sińce na jego twarzy. To był koniec lat

siedemdziesiątych i nauczyciele nie zwracali na dzieci uwagi tak jak teraz, szczególnie ci na wsi.

– Wtedy się trochę przestraszył i dał mi spokój. Korzystał tylko z okazji i bił mnie, kiedy przypadkiem znalazłem się zbyt blisko. Kiedyś dopadł mnie pijany w chlewiku i zaczął kopać w brzuch. Na szczęście przewrócił się i ciotce udało się mnie stamtąd wyciągnąć. Wtedy jedyny raz zareagowała i w ten sposób uratowała mi życie. Jeszcze miesiąc później sikałem krwią. Ciotka nawet była ze mną u lekarza, ale dopiero kiedy zagoiły się sińce i obtarcia. Lekarce powiedziała, że przeziębilem pęcherz.

Marcin spojrział na niego badawczo, bo coś sobie przypomniał.

– Twój wujek zmarł, jak byłeś w zawodówce – powiedział.

Gustaw uśmiechnął się pod nosem.

– Zapił się na śmierć – odpowiedział.

– A jaka jest prawda?

– Wrócił pijany z pracy. Pracował w pegeerze, gdzie był traktorzystą. Poszedł spać. Wykorzystałem okazję i wlałem mu pół litra spirytusu do gardła. Nikt nie jest w stanie przeżyć takiej dawki. Żałowałem, że wcześniej na to nie wpadłem. Ciotkę pół roku później zżarł rak. Taka ponura ironia losu. Niedługo przeżyła swojego oprawcę. Może w ten sposób Bóg ukarał ją za grzech zaniechania?

– Nadal nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną – mruknął Marcin.

Głowa nadal pulsowała piekącym bólem, ale zdążył już trochę dojść do siebie. Rozejrzał się w międzyczasie i dostrzegł swój pistolet. Leżał na kuchennej szafce obok pieca. Za daleko, żeby po niego sięgnąć. Za każdym razem, kiedy przymykał oczy, widział Paulinę padającą na asfalt.

– Miałem jedno marzenie – odezwał się Kalenda nieco ciszej. – Chciałem mieć rodzinę i brata. Marzenia trzymały mnie przy życiu. Wasza rodzina była dla mnie jak z bajki. Bracia bliźniacy, złączeni ze sobą najsilniejszymi więzami rodzinnymi, jakie są na

świecie. Do tego mieliście normalnych rodziców.

Gustaw przerwał, patrząc gdzieś w przestrzeń nad głową Marcina. Może wspominał obiady w domu Zakrzewskich, bo jego rysy na chwilę złagodniały. Zaraz jednak wrócił do rzeczywistości i na usta wpełzł mu niepokojący uśmiech.

Marcin domyślał się, co może za chwilę usłyszeć, i poczuł gęsią skórę na całym ciele. Miał nadzieję, że Gustaw nie potwierdzi tych przeczuć. Mylił się.

– Wasza matka była dla mnie aniołem. Traktowała mnie normalnie, nie byłem dla niej głupawym sierotą, brudasem, marginesem społecznym. Kiedyś po obiedzie mogłem przez kilka godzin bawić się w waszym pokoju. Pamiętam, że ty gdzieś poszedłeś i bawiłem się tylko z Ryśkiem. To jednak nie zmieniło moich marzeń. Chciałem, żebyś był moim bratem.

Marcin zacisnął mocno powieki. Właściwie nie chciał już słuchać, ale Gustaw nie przerywał.

– Nie chciałem Ryśka za brata. Nie lubiłem go. Zawsze w szkole robił mi jakieś przykrości. Ty byłeś inny, spokojny, dobrze wychowany, nigdy nie powiedziałeś mi złego słowa, chociaż wiem, że mnie nie lubiłeś i unikałeś jak tylko było można. Nie przeszkadzało mi to. Byłem cierpliwy. Chciałem, żebyś ty był moim bratem – powtórzył.

– O czym ty mówisz, do jasnej cholery?! – wykrzyknął Marcin.

Gustaw patrzył mu w oczy i kontynuował, jakby napawał się jego strachem.

– Byłem cierpliwy. Pomyślałem, że jeśli zaprzyjaźnię się z Ryśkiem, zbliżę się do ciebie i w końcu mnie zaakceptujesz i polubisz. Nienawidziłem twojego brata. Ciągle miałem sny, że Rysiek umiera, a ja zajmuję jego miejsce.

Kalenda był obłąkany. Jego słowa brzmiały jak spowiedź szaleńca. Chwilami odpływał do własnego świata, żeby w następnej sekundzie wrócić do kuchni w domu Bogdańskiego. Zakrzewski zrozumiał, że będzie żył, dopóki Gustaw mówi. Gdy

Kalenda zamilknie, on zginie. Pistolet leżał za daleko. Ale musiał coś zrobić.

W oczach Kalendy znowu zagościła bezkresna nienawiść i jakieś trudne do zdefiniowania szaleństwo.

– Ale ty nigdy nie zwróciłeś na mnie uwagi – mówił dalej, krążąc niespokojnie po pomieszczeniu. – Nawet już potem, jak Rysiek nie żył. Teraz myślę, że nie byłbyś dobrym bratem. Bo wiesz, teraz mam już brata i świetnie się ze sobą dogadujemy. Rozumiemy się bez słów. Nie jesteś mi już potrzebny. Musisz umrzeć, tak będzie lepiej dla wszystkich.

– Jesteś obłąkany!

– Mów tak sobie, mów. Nie jesteście w stanie mnie zrozumieć!
– Nieświadomie podniósł głos. – Nikt z was nie jest w stanie mnie zrozumieć. Nie dorastacie mi intelektualnie i uczuciowo do pięt! Może przede wszystkim uczuciowo. Potrafię przeniknąć uczucia innych – wszystkie ich cierpienia i radości. Jesteście przy mnie niczym, nic nie znaczą, jestem panem waszego życia i śmierci. Mam nad wami władzę. Jeśli uznam, że ktoś nie jest godzien dalej żyć, nie pożyje ani chwili dłużej, jeśli uznam, że rokuje nadzieję, mogę dać mu jeszcze jedną szansę. Nikt z was mnie nie może powstrzymać. Jestem jak Bóg. Daję i odbieram życie i nikt nie ma na mnie wpływu. Potrafię zamienić życie w ruiny i zgliszcza. Zawsze byłem kimś gorszym od was – sierotą, śmierdzielem, jak mnie nazywaliście, miernotą, tumanem. A teraz co? Ja, Gustaw Kalenda, mam władzę! Czyż to nie piękne?

– Ty zabiłeś Bogdańskiego? – zapytał Marcin, przerywając jego szalony monolog.

Gustaw zamilkł zaskoczony nieoczekiwaną dla niego zmianą tematu. Dyszał, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. Pistolet cały czas skierowany był w siedzącego pod ścianą Marcina. Nie było sensu próbować oporu. Kula zdążyłaby go dosięgnąć, zanim podniósłby się na nogi.

– Ja – przyznał wreszcie Kalenda. – Nie był godzien żyć ani

minuty dłużej. Był starą zapijaczoną kupą łajna. I tak miał szczęście, że czekałem z tym tak długo.

– Wrzuciłeś go do studni?

– Był pijany. Wywlokłem go z tej kuchni i wrzuciłem głową w dół. Podejrzewam, że zginął na miejscu.

– Jak odsunąłeś betonowy krąg ze studni? Pomógł ci twój brat? Gustaw spojrzał na niego bystro.

– Nie usłyszysz ode mnie ani słowa na jego temat – powiedział.

– Skąd wziął się ten brat? – Marcin nie dawał za wygraną. – Odnalazłeś go po latach?

Kalenda milczał. Wreszcie Marcin zmienił temat, bojąc się, że wyprowadzi go z równowagi.

– Nic z tego nie rozumiem – odezwał się. – Skąd wiedziałeś, że Bogdański mordował dzieci?

– Dowiedziałem się kilka lat wcześniej. – Gustaw uśmiechnął się krzywo.

– Kilka lat wcześniej? Mogłeś mieć wtedy kilkanaście lat... – Marcin nagle zamilkł, czując nagły dreszcz przerażenia. – Co się stało z Ryśkiem?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– To pytanie zadaję sobie od trzydziestu lat.

Kalenda obszedł stół i stanął tak, że znowu nie widać było jego twarzy.

– Miałeś rację. To jest zajebiste uczucie. Zdradzam ci fakty, których nigdy sam byś się nie domyślił, ale wiem, że w pewnej chwili i tak cię zabiję.

Przez chwilę przyglądał się Marcinowi.

– Nienawidziłem twojego brata, ale przez niego chciałem zbliżyć się do ciebie – powiedział wreszcie. – I wiesz, co się stało? On mnie chyba zaakceptował i polubił, kilka razy przyjechał do mnie na rowerze. Pamiętam, że miał takiego pięknego nowego składaka Wigry 3, a ja stary zardzewiały rower, który sam sobie poskładałem z różnych części. Gdzieś zaraz po rozpoczęciu roku

szkolnego – tego roku, w którym umarł Rysiek – pojechaliśmy wieczorem do sadu do księdza na gruszki. Było jeszcze za wcześnie i zrywaliśmy z drzew zielone, twarde i cierpkie owoce. Nie przeszkadzało nam to jednak. Wtedy złapał nas Bogdański. Nawet nie wiedzieliśmy, kiedy nadszedł z kosą od strony cmentarza. Myśleliśmy, że zacznie na nas krzyczeć, zawoła księdza, ale on po prostu kosił trawę. Powiedział tylko, że owoce są jeszcze niedobre i nie powinniśmy tu przychodzić, bo to złe miejsce. Ja miałem takiego stracha, że chętnie bym stamtąd uciekł, ale Rysiek nabrał pewności siebie i zaczął wypytywać Bogdańskiego, dlaczego to jest złe miejsce. Bogdański powiedział, że zaraz po zmroku często do tego sadu przychodzi diabeł i chodzi tu na palcach, żeby go nikt nie usłyszał. Rysiek koniecznie chciał tego diabła zobaczyć i namawiał mnie, żebyśmy się na niego kiedyś zaczaili. Na początku miałem stracha, ale wreszcie dałem się namówić. Próbowaliśmy dwa razy i nic nie widzieliśmy. Wreszcie za trzecim razem wielka czarna postać wyszła z parku i chodziła między gruszami w sadzie. Nie wytrzymaliśmy długo, uciekliśmy.

Marcin przymknął oczy. To musiało być tego dnia, kiedy Rysiek długo nie mógł zasnąć. Ciągle pamiętał tamtą scenę, ze wszystkimi szczegółami.

Oczy jego brata bliźniaka patrzyły gdzieś w przestrzeń, na twarzy malowała się fascynacja.

„Widziałem, jak diabeł chodzi tam na palcach”.

„Gdzie?”

„U księdza. W sadzie”.

– Twój brat strasznie się nakręcił na tego diabła, cały czas o tym mówił. Kilka dni później jechaliśmy grać w piłkę na stare boisko. Bogdański stał przed domem oparty o bramę i palił papierosy, jak miał w zwyczaju. Wtedy Rysiek zatrzymał się i go zagadał o tego diabła. Bogdański nie chciał za bardzo mówić, ale potem nagle się rozkręcił i zaczął nam opowiadać różne rzeczy.

Teraz myślę, że większość jego opowieści była zmyślona i nastawiona tylko i wyłącznie na zbajerowanie takich dzieciaków, jak my. Wydaje mi się, że Bogdański już wtedy upatrzył sobie Ryśka na następną ofiarę. Do dnia, w którym miał znowu porwać jakieś dziecko, zostało przecież niewiele czasu.

– Spotykaliście się z nim jeszcze później?

– Kilka razy – potwierdził Kalenda. – Ale już nie na ulicy, tylko w sadzie, kiedy kosił trawę. Mogliśmy wtedy objadać się gruszkami bez strachu, że przegoni nas ksiądz. Wreszcie Bogdański powiedział, że kiedyś – bardzo dawno temu – diabeł porywał dzieci, zabierał ich dusze do piekła, a ciała grzebał pod tymi gruszkami. Teraz obaj wiemy, że mówił prawdę. Zresztą, wtedy też nie wątpiliśmy w ani jedno jego słowo. Bogdański powiedział, że pod każdą gruszą ukryte jest ciało, oprócz jednej. Rysiek był bardzo podjarany jego opowieściami. Dziwię się, że nic ci nigdy nie opowiadał. Bogdański groził, że jeśli puścimy farbę, diabeł przyjdzie i do nas. Rysiek chyba nie zdążył nikomu nic powiedzieć, a ja też przez lata milczałem. – Uśmiechnął się do siebie i zaraz dodał: – Tylko że zupełnie z innych powodów.

Marcin musiał coś zrobić. Czas kurczył mu się nieubłaganie. Podparł się i zaczął wstawać na nogi.

– Nie ruszaj się! – krzyknął ostrzegawczo Kalenda, podnosząc wyżej pistolet.

– Nie wytrzymam tak dłużej – powiedział Marcin, nic nie robiąc sobie z jego ostrzeżenia. – Z bólu pęknie mi czaszka.

Gustaw pchnął w jego kierunku jedno z krzeseł stojących wokół stołu.

– Siadaj i ręce za siebie! – rozkazał.

Marcin usiadł. Krzesło było spróchniałe i zjedzone przez korniki. Zaskrzypiało i zachybotało się niebezpiecznie, lecz utrzymało jego ciężar. Pistolet nadal leżał w tej samej odległości, ale teraz łatwiej mógł się rzucić w jego kierunku.

– Bogdański powiedział coś, na co Rysiek nie zwrócił uwagi.

W młodości Bogdański też widział diabła w sadzie. Zrozumiałem, że jesteśmy w jakiś sposób wybrani, naznaczeni, lepsi niż cała reszta. Wówczas rozpoczęła się moja wewnętrzna przemiana. Oczywiście nie wiedziałem wtedy, że to pewnie Bogdański jest tym diabłem i to nie bezimienny czart zabija dzieci, tylko on. O tym dowiedziałem się później.

Na widok jego miny Marcin zaczął rozumieć, co jeszcze usłyszy. Poruszył rękami.

– A kiedy się dowiedziałeś? – zapytał.

Gustaw spojrział na niego i znowu jego twarz zmieniła się na chwilę w maskę szaleńca.

– Teraz i tak bym ci opowiedział. Choćbyś nie chciał. Tego wieczoru, kiedy zaginął Rysiek, ja byłem ostatnią osobą, która go widziała żywego – oświadczył niespodziewanie.

Marcin zacisnął szczęki w bezsilnej wściekłości.

– Dlaczego nikomu nie powiedziałeś?

– Nikt mnie nie zapytał. Nikt nie zwracał uwagi na sierotę. Wszyscy szukali jaśnie pana Ryszarda Zakrzewskiego i w dupie by mieli moje opowieści, nawet gdyby znalazł się ktoś, kto chciałby ich wysłuchać!

– Moja mama na pewno by cię wysłuchała. Przecież była dla ciebie dobra.

Gustaw znieruchomiał na moment, jakby się zawiesił. Wreszcie popatrzył na niego z ukosa.

– Wiesz co? – zapytał. – Ja już wtedy nie chciałem niczego opowiadać. Mówiłem ci, zaczęła się wielka przemiana. Zdałem sobie sprawę, że jestem inny, wcale nie gorszy od was, tylko lepszy. Wybrany.

– Co ty pierdolisz?

– Rysiek minął mnie rowerem przy placu w centrum wsi, gdzie stała kiedyś remiza strażacka. Wtedy spadł mi łańcuch w rowerze i nie mogłem go dogonić. Twój brat nie pojechał w kierunku czerwonego kościoła i później Długą, tylko skręcił

w lewo w kierunku cmentarza, a potem w Kopyczyńską.

Marcin domyślił się, że jego brat zamierzał jechać ścieżką przez pola i przez kładkę na rzeczce.

Słuchał Gustawa i jego opowieści o tym, jak jechał za Ryśkiem, który zniknął mu z pola widzenia.

– Widziałem dokładnie, jak Rysiek zjechał w dół. Uważnie obserwowałem drugi brzeg, ale się nie pojawił. Myślałem w pierwszej chwili, że czeka na mnie na tej kładce i jeszcze przyspieszyłem. Kiedy już byłem na polnej drodze i zostało mi jakieś pięćdziesiąt metrów do linii drzew, usłyszałem stłumiony krzyk i się wystraszyłem. Rzuciłem rower w trawę i dalej pobiegłem pieszo. Udało mi się dotrzeć do pierwszych krzaków leszczyny i zobaczyłem Bogdańskiego. Rysiek leżał w trawie z zakrwawioną twarzą. Bogdański musiał uderzyć go pięścią. Nie wiem, skąd się tam wziął. Może to był przypadek, a może wiedział, że Rysiek będzie jechał tamtędy do domu.

– Dlaczego nie wezwałeś pomocy? – zapytał Marcin.

– Początkowo chciałem tak zrobić. Ale zatrzymał mnie w miejscu jakiś wewnętrzny głos. W gruncie rzeczy nienawidziłem Ryśka. Ty miałeś być moim bratem. Czułem więc satysfakcję, widząc, jak leży w trawie i cierpi. Należało mu się. Był zły, arogancki, znęcał się nad słabszymi. Poza tym ogromnie zaciekało mnie, co Bogdański z nim robi. Byłem zafascynowany widokiem przemocy. Czekałem więc, co się będzie działo dalej.

Marcin nie odzywał się, tylko patrzył na niego zszokowany. Prawda była o wiele bardziej bolesna, niż mógł to sobie wyobrazić.

– Bogdański związał Ryśka jak prosiaka na rzeź – widziałem, jak to się robi. Sąsiad mojej ciotki hodował świnie na sprzedaż i pozwalał mi patrzeć, jak zabija i oprawia świnie. Najbardziej podobało mi się spuszczenie krwi z jeszcze żywej świni. Raz pozwolił mi nawet przytrzymać wiaderko, do którego lały się

strumienie krwi z rozciętej tętnicy. Wtedy pierwszy raz próbowałem smaku krwi. Ukradkiem oblizałem ubrudzone palce. Smakowała mi, miała w sobie słodczy przyjemniejszą niż czekolada... – Gustaw wyglądał, jakby znowu na moment odleciał, ale po chwili spojrzał na Marcina. – Bogdański zakneblował Ryśka i wsadził do takiego wielkiego worka po ziemniakach. Potem włożył sobie pod pachę i poszedł ścieżką wzdłuż rzeczki, przez zarośla, w kierunku swojego domu. Wcześniej schował jego rower w krzakach. Cały czas szedłem za nim, potem ukryłem się na jego podwórku, w komórce. Omal mnie wtedy nie nakrył. Wyszedł nagle z domu i ledwo zdążyłem się schować. Nie wiedziałem, dokąd poszedł. Wrócił, jak się ściemniało, z rowerem twojego brata, i też wprowadził go do domu. Czuję dziwne podniecenie. Musiałem koniecznie zobaczyć, co on robi w środku z Ryśkiem. Zastanawiałem się, czy już go zabił, czy dopiero będzie się do tego zabierał.

Marcinowi zrobiło się zimno. Gustaw tymczasem mówił dalej z lekkim uśmiechem na ustach, jakby wspominał niezwykle miłe zdarzenie.

– Wreszcie zajrzałem w okno. Przez szparę w zasłonach widziałem ten pokój obok i Bogdańskiego siedzącego przy stole z papierosem w ustach. Pił wódkę prosto z butelki. Pomyślałem, że jak się upije, to zaśnie. Tak się stało. Bogdański zasnął na stole, a ja postanowiłem wejść i poszukać Ryśka. Szczęśliwie znalazłem uchylony lufcik. – Wskazał kciukiem okno za swoimi plecami. – Byłem szczupły i zwinny, udało mi się dosięgnąć klamki i otworzyć okno. Tak wszedłem do środka. Bogdański nadal spał na stole upojony alkoholem, a ja zobaczyłem odsuniętą szafę, porozrzucane po podłodze cegły i wejście do drugiego pokoju.

– Już wtedy widziałeś to miejsce! – wykrzyknął Marcin.

– Tak. Miałem dużo czasu. Obejrzałem dokładnie narzędzia tortur, ślady krwi na blaszanym stole, pieńku i siekierze, widziałem dłonie w formalinie. W ogóle się nie bałem. Czuję

się, jakbym odkrył bursztynową komnatę. Ale na Bogdańskiego byłem wściekły. Pomyślałem, że diabeł wybrał go do tak zaszczytnej misji, a on chleje wódkę i kompletnie nie jest tego godzien. Już wtedy postanowiłem, że jak tylko dorosnę i poukładam sobie życie, zastąpię go. A jego samego ukarzę. I tak zrobiłem, pewnego dnia wrzuciłem pijaka do studni i zasunąłem wieko. Potem rozpuściłem plotkę, że jestem synem Bogdańskiego i zabieram go do domu starców. Umówiłem się z Dąbrowskim, że będę mu płacił za opiekę nad domem i podwórkiem.

– Nikt cię nie poznał? – zdziwił się Marcin.

– Nie robiłem tego osobiście. Nie jestem taki naiwny.

– Pomagał ci ten twój nowy brat?

Kalenda znowu zlekceważył pytanie o brata.

– Myślałem, że niedługo wszystko i tak się wyda – ciągnął. – Nie spodziewałem się, że legenda zacznie żyć własnym życiem i przez tyle lat nikt nie zainteresuje się nawet przez chwilę, co się stało z Bogdańskim. Potem kontynuowałem jego dzieło. Zapamiętałem dokładnie, jak wyglądało jego miejsce kaźni, i zrobiłem sobie identyczne. Dalej wypełniałem misję objawioną nam przez diabła chodzącego na palcach, postępując dokładnie tak samo. Zacząłem już w 1988 roku.

Marcin zacisnął szczęki z bezsilnej wściekłości. Słuchał Gustawa i gorączkowo myślał, jak się uwolnić. Ciągle zerkał na swojego walthera na kuchennej szafce. Za daleko.

– A Rysiek? – zapytał.

– A tak, Rysiek! – przypomniał sobie Kalenda. – Znalazłem go w tej skrytce pod podłogą. Wyglądał żałośnie. Na twarzy miał skrzep zaschniętej krwi i wielki krwihak pod okiem. Nie wiem, czy widział na to oko, ponieważ zniknęło pod wielką opuchlizną. Poza tym był przerażony i trząsał się jak galareta. Nie był w stanie wykrztusić słowa, nawet zawołać o pomoc! – Gustaw roześmiał się na to wspomnienie. – Płakał i smarkał jak niemowlę.

Marcin patrzył na niego nienawistnie, zgrzytając zębami

z wściekłości i bezsilności. Zaczynało mu być wszystko jedno. Czuł, że jeszcze chwila, a rzuci się na przeciwnika.

Kalenda wycelował mu w twarz i powiedział ostro:

– Ręce za plecy! Nawet nie próbuj się ruszyć!

Zakrzewski z trudem się opanował, ciężko oddychając.

– Wyciągnąłem go stamtąd. Ledwo mi się udało, bo Rysiek tak trząśł się z przerażenia, że nie miał siły chodzić. Bogdański nagle obudził się i coś mamrotał pod nosem. Gdybym twojemu bratu nie zatkał ust ręką, pewnie krzyczałby z przerażenia. Staliśmy przy półce, na której stały słoiki z obciętymi dłońmi poprzednich ofiar Bogdańskiego. Już wtedy zastanawiałem się, jak to możliwe, że taki zapijaczony obwieś morduje i jeszcze nie został schwytany przez milicję. Bogdański w tym czasie chodził po domu, tłukąc kuchennymi szafkami i najwidoczniej szukał wódki. Gdyby wszedł do swojej „rzeźni”, jak nazwałem ten pokój w myślach, na pewno by nas nakrył. Teraz myślę, że był tak pijany, że pewnie i tak zdołalibyśmy mu uciec. Już wtedy zastanawiałem się, czy nie użyć siekiery. Gdyby Rysiek był w lepszej formie, na pewno bym to zrobił.

– Wreszcie Bogdański znalazł gdzieś wódkę, napił się jeszcze i zasnął na podłodze. Wtedy uciekliśmy. Rysiek wybiegł na podwórze i gdybym go nie złapał i nie przewrócił, pewnie biegłby przed siebie na oślep i nie próbował się zatrzymać. Przyciskałem go do ziemi i mówiłem do ucha, żeby uciekał do czerwonego kościoła na skrzyżowaniu Długiej i Średzkiej. Tam w ruinach, obok kościoła, czekasz na niego ty. Musimy być ostrożni, żeby Bogdański nas nie znalazł. Od bramy Bogdańskiego do bramy w kościelnym murze nie było daleko. Latarnie nie świeciły, ulica była zupełnie pusta. Przebiegliśmy ten dystans bardzo szybko.

Nagle Marcin przypomniał sobie, co przed kilkoma dniami powiedziała mu matka. Wspominała mu, że tamtego wieczoru ktoś widział dwóch chłopców, którzy wbiegli na teren koło

kościół. A więc to była prawda! Gdyby tylko ktoś wcześniej sprawdził ten trop!

– Zatrzymaliśmy się na tych fundamentach zrujnowanej plebanii – czy czegoś, co tam stało przed wojną, obok kościoła. Było ciemno, wokoło rosły krzaki. Rysiek z wolna się uspokajał. Zapytał mnie nawet, gdzie jesteś. Powiedziałem mu, że pewnie gdzieś się tu kręcisz, trzeba poczekać. O nic więcej nie pytał. Wtedy w ciemnościach, kiedy wymienił twoje imię, zdałem sobie nagle sprawę, że niepotrzebnie go uratowałem. To był kolosalny błąd. Straciłem przecież niepowtarzalną szansę, żeby się go pozbyć. Żal wyzwolił we mnie wściekłość. To był pierwszy dzień, w którym zdałem sobie sprawę, że nie muszę być ofiarą losu. Wprost przeciwnie. Byłem lepszy od was wszystkich! Sięgnąłem po połówkę cegłówki i uderzyłem Ryśka z całej siły w głowę. Upadł jak rażony gromem, a ja usiadłem mu na piersiach i dalej waliłem cegłą w jego głowę. Przestałem na chwilę, kiedy poczułem, że jego ciałem wstrząsają pośmiertne drgawki. Wtedy jeszcze nie wiedziałem nic o pośmiertnych drgawkach, więc myślałem, że on ciągle żyje. Zszedłem z niego, znalazłem większą cegłę i uderzyłem jeszcze kilka razy. Dopiero wtedy zobaczyłem, że jego głowa zmieniła się w krwawą miazgę.

Marcin zacisnął powieki i szczęki tak mocno, że aż żyły wyszły mu na szyi. Kręciło mu się w głowie. Coraz wyraźniej rozumiał, że zaraz zginie. Czuł dreszcze na plecach, ale to nie był chłód, tylko nienawiść. Wreszcie otworzył oczy i spojrzał na Kalendę straszliwym wzrokiem. Wykonał ruch, jakby chciał się na niego rzucić, ale Gustaw wcześniej odgadł ten zamiar w jego oczach. Podskoczył i uderzył go ręką pistoletu w głowę. Marcin zwałił się ciężko na podłogę, oszołomiony bólem, który rozsadzał mu czaszkę.

– Nie próbuj żadnych sztuczek! – warknął jego przeciwnik.

Ból przyniósł otrzeźwienie. Wolno podnosił się z podłogi. Kalenda szarpnął go za ramię i znowu posadził na krześle. Był

bardzo silny.

– Ty... ty... – jękał się Zakrzewski, ale za każdym razem głos zamierał mu w gardle. Wreszcie jednak udało mu się opanować.

– Zabiłeś mojego brata... Zabiłeś go, skurwysynu!

– Wcale tego nie żałuję. Zrobiłbym to jeszcze raz.

– Miałeś wtedy dwanaście lat! Kim ty, kurwa, jesteś?!

– Wysłannikiem.

Marcin próbował wytrzeć sobie krew spływającą z czoła.

– Nie spodziewałeś się takiej prawdy? – Kalenda sprawiał wrażenie, jakby reakcja Marcina sprawiała mu niezmierną przyjemność.

– Nie mogę tego pojąć! Jak ty później, przez lata, mogłeś patrzeć mi w oczy, skurwielu?! Przecież graliśmy razem w piłkę, jeździliśmy na dyskoteki, piliśmy wino przy ognisku w parku. Nawet nie drgnęła ci powieka!

Gustaw uśmiechnął się krzywo.

– Na początku poczułem mdłości, widząc krew Ryśka na rękach, ale potem była już tylko satysfakcja. Uczucie, którego ani ty, ani tobie podobni, nigdy nie doświadczyście. Nareszcie byłem kimś, miałem szansę wyzwolić się z dotychczasowego życia! Zresztą miałem plany co do ciebie.

– Co ty znowu pieprzysz?!

– Jak dobrze policzyłeś, miałem dwanaście lat. Byłem dzieckiem. Rysiek zniknął i nic nie stało na przeszkodzie, żebyś nareszcie został moim bratem. Tak przynajmniej wtedy myślałem. Już wyobrażałem sobie, jak twoja mama nalewa nam zupę przy stole w kuchni, jak mieszkam z tobą w jednym pokoju, jak siedzimy w jednej ławce w szkole i jak mogę pochwalić się, że mam rodzinę. Słodko, prawda? Niestety, to były tylko dziecięce marzenia. Zresztą, już wtedy dostrzegłem inne konsekwencje swojego czynu. Zabijając twojego brata, myślałem, że o ten czyn zostanie oskarżony Bogdański. Nagle zdałem sobie sprawę, że jesteśmy z dala od jego domu i tak naprawdę nikt nie będzie go

podejrzewał. Przestraszyłem się. Piętno mordercy miałem wypisane na czole. Spanikowałem i uciekłem. Pobiegnę na Kopyczyńską po rower i wróciłem do domu. Umyłem się przy pompie i dygocząc z emocji i pewnie z zimna, poszedłem spać do szopy. Wujostwo było przyzwyczajone, że znikam na całe dni i noce, więc mnie nie szukali.

– Dlaczego nikt nie znalazł ciała? – zapytał Marcin.

– Zakopałem je. Na wierzch nanosiłem kamieni i gruzu, gałęzi. Nikt nie znalazł Ryśka do dzisiaj. Dobra robota, prawda? – odpowiedział Kalenda z uśmiechem. – Następnego dnia gruchnęła wieść, że Rysiek Zakrzewski zaginął. Cała wioska go szukała, ludzie pytali się nawzajem, czy ktoś go widział, dzieciaki w szkole też zastanawiały się, gdzie mógł pojechać. Pamiętam, jaki ty byłeś przestraszony, z nikim nie rozmawiałeś. Czekałem przerażony, kiedy ktoś znajdzie ciało lub powie, że mnie widział razem z Ryśkiem. A jednak nikt nas wtedy nie widział. Nikt mnie nawet o niego nie zapytał. Ludzie szukali w różnych miejscach, ale nikt przy czerwonym kościele. To pozwoliło mi nabrać pewności siebie.

– On cały czas tam leży!

– Nie powiem ci, w którym miejscu. – Gustaw zaniósł się śmiechem, jakby powiedział najzabawniejszy dowcip na świecie.

Marcin milczał. Marzył, żeby poczuć zimną rękonożę pistoletu w dłoni i cały magazynek wpakować w głowę Kalendy.

– Zawsze mnie interesowało, co zrobił Bogdański, kiedy wytrzeźwiał – ciągnął Gustaw. – Nie był w najlepszej sytuacji. Zobaczył, że ostatnia ofiara w tajemniczy sposób mu uciekła, a jednocześnie milicja nie zapukała zaraz do jego drzwi. Na pewno musiał się z tym liczyć. Musiał być pewien, że tym razem wpadł i nie uniknie kary. Tymczasem przez kilka dni nic się nie działo, za to dowiedział się, że Ryszard Zakrzewski zaginął bez wieści. Myślę, że był na tyle przerażony, że zamurował znowu pokój, zastawił szafą i postanowił zakończyć misję. Nie mógł

wiedzieć, że tak naprawdę jego dni też są policzone. I tak miał szczęście, że dałem mu pożyć jeszcze siedem lat. Żałuję tego do dzisiaj.

– Dlaczego zacząłeś go naśladować?

– Dla przyjemności, dla zabawy, żeby zabić ćwieka wam, policjantom... Było wiele powodów. Sprawiało mi to przyjemność. Poza tym wypełniałem misję. Tylko ja zostałem przy życiu z tych, którzy widzieli diabła chodzącego w sadzie na palcach. Bogdańskiego i Ryśka już zabiłem.

Marcin się nie odzywał.

– Ja mam jednak inną naturę niż Bogdański. Mnie nie wystarczało porwać kogoś raz na cztery lata. W międzyczasie realizowałem inne swoje pomysły. Długo by o nich opowiadać.

– Co zrobiłeś z tymi dziećmi? – zapytał Marcin.

– Z dziećmi? Myślisz, że w okolicy jest tylko jeden sad, gdzie rosną grusze? Znalazłem odpowiednie i godne miejsce. Ale wiesz co? Chłopcy mi się znudzili. Bardziej pociągały mnie kobiety i zabawy ostrym nożem. Pierwszą zabiłem tę w Wiszni Małej. Strasznie się uśmiełem, jak skazali tego głupka na dwadzieścia pięć lat. Jak mogliście być tak głupi i ślepi? Ale rozumiem, trzeba było szybko wykryć sprawcę. Czego nie robi się dla poklasku i splendoru – zakpił.

– Jednego dalej nie rozumiem. Czego ty właściwie chcesz ode mnie?

Kalenda popatrzył na niego zimno i beznamiętnie.

– Kiedyś, w dziecięcej naiwności, marzyłem o tym, żebyś został moim bratem. Niestety, życie szybko zweryfikowało te marzenia. Tak naprawdę nigdy nie zwracałeś na mnie uwagi. Owszem, piliśmy razem piwo, chodziliśmy na te same imprezy, graliśmy w piłkę, chodziliśmy na dziewczyny, ale to nie miało znaczenia. Byłem ci obojętny jak zeszłoroczny śnieg. Zgadza się?

– Tak było – przyznał Marcin. – Nie przepadałem za tobą. Potem się przyzwyczaiłem, ale na samym początku unikałem cię,

jak mogłem. Można powiedzieć... tolerowałem cię.

– Rozczarowałeś mnie. – Gustaw pokręcił głową. – Okazałeś się tylko trochę lepszy od swojego brata. Nie znęcałeś się nade mną fizycznie, ale miałeś mnie w dupie. Już wtedy postanowiłem, że kiedyś nadejdzie taki moment, że zapukam i do twoich drzwi wyrównać rachunki.

– Co takiego się stało, że w końcu się zdecydowałeś?

– W lipcu odwiedziłem Romka Adamca. Zrobiliśmy grilla, posiedzieliśmy do późna, było sympatycznie, tylko on szybko się zalał w trupa i poszedł spać. Justyna była na niego wściekła i dużo wcześniej się położyła. Zostałem więc przy grillu sam. Była piękna i ciepła lipcowa noc, po północy, cisza i spokój. Ruina domu Bogdańskiego zachęcająco blisko.

– Poszedłeś tam – stwierdził Zakrzewski. – Sąsiad zeznał, że widział, jak ktoś się tam kręcił.

– Już tyle o mnie wiesz? – zdziwił się Kalenda i na jego ustach pojawił się kpiący uśmiezek. – Gratuluję. Tak, to byłem ja. Przesiedziałem tam całą noc, wspominając stare czasy i rozmyślając. Wtedy przypomniałem sobie o tobie i uznałem, że czas wyrównać rachunki. Romek wcześniej dał mi twój numer telefonu i adres. Znalazłem cię i zacząłem obserwować. Nie miałem żadnego planu. Do końca września, raz na cztery lata – jak tradycja nakazywała – zostały jeszcze dwa miesiące. Najpierw pomyślałem o twojej mamie...

– Ty skurwielu!

Zaśmiał się.

– Nie musisz się obawiać. Dobrze wspominam panią Zofię, więc szybko zarzuciłem ten pomysł. Potem zauważyłem, że masz przyjaciółkę, tę Morawską, i nabrałem pewności, że jest dla ciebie bardzo ważna. Nie myłę się, prawda? – Zerknął na Marcina, ale nie czekając na odpowiedź, mówił dalej. – Trochę ją obserwowałem, nawet próbowałem parę razy zaczepić, ale nie zwracała na mnie uwagi. Bardzo się rozczarowałem, kiedy

tamtej nocy nie zastałem jej w domu. Chciałem nawet spróbować jeszcze raz i dalej ją obserwowałem. Zaraz jednak zrobił się zbyt wielki szum i zrezygnowałem. Wykonałem za to swój plan B na Marszowicach. Zawsze mam jakiś plan B. Albo i C, na wszelki wypadek.

– Po co tam na mnie czekałeś? Skąd wiedziałeś, że przyjadę?

– Nie wiedziałem. Zrządzenie losu, szczęście, przeznaczenie, nazwij to, jak chcesz. Dla mnie był to znak, że jeśli chodzi o ciebie, podjąłem dobrą decyzję. Na początku zostałem w tej komórce bez żadnego planu. Taki impuls. Chciałem zobaczyć z bliska, co robi policja. Ryzykowałem, ale w komórce z tyłu było okno, za nim tylko ogrodzenie i ciemny las. W sekundę mogłem uciec. To było nawet podniecające uczucie – zostać na miejscu zbrodni. I nagle zobaczyłem, że zmierzasz w kierunku tej komórki zupełnie sam. Improvizowałem.

– Po co wspomniałeś mi o tym diable?

– Nie trafiłem cię dobrze rurką. Skoro zacząłeś mnie gonić, postanowiłem dać ci motyw do zastanowienia. Chyba osiągnąłem swój cel, skoro domyśliłeś się, że to ja. Przeżyłeś jednak sporo rozterek emocjonalnych związanych z tym diabłem w sadzie, prawda?

Marcin zastanowił się, czy Kalenda wiedział o rysunkach w zeszytach Ryśka. Nie wspomniał jednak o nich ani słowem.

– Dalej nie bardzo rozumiem: po co zabiłeś Dobrzanieckiego, po co mieszkałeś u mnie przez dwa dni? – wycedził.

– Kolejny uśmiech losu. Zostałem wybrany – nie uważasz? Nawet moja wyobraźnia nie była w stanie przewidzieć tego, że o chronienie ciebie zostanie poproszony szef agencji, w której od lat pracuję. Bober wyznaczył Janka Dobrzanieckiego. Janek mnie chyba lubił i często do mnie telefonował, żeby pogadać. Jak pewnie wiesz, jestem na urlopie od jakiegoś czasu. Przez telefon wygadał się, że ma nowe zadanie. Odwiedziłem go, ale nie dał się przekonać, żeby się ze mną zamienić. Zdenerwował mnie

i musiałem zadziałać bardziej radykalnie.

– Nie bałeś się, że morderstwo szybko wyjdzie na jaw?

– Było takie niebezpieczeństwo. Na wszelki wypadek używałem jego samochodu, maila, telefonu, ubierałem się podobnie jak Dobrzaniecki, zdawałem codziennie relacje szefowi. Dzięki temu, że legalnie mogłem nie odstępować cię na krok, szybko zobaczyłem, że masz romansik z tą policjantką. Pamiętam ją, mieszkała kiedyś w Środzie Śląskiej, prawda? Kiedy pojechałeś do Szczepanowa i domyśliłem się, że tam zanocujesz, wpadłem na ten pomysł, żeby się do ciebie włamać. Potem zajechałeś do niej i dałeś mi jeszcze jedną noc gratis. Wiesz, to było doskonałe – mieszkać u ciebie. Jak spełnienie dziecięcych marzeń. Czuję się, jakbym znowu miał dwanaście lat. Wyobrażałem sobie, że jestem twoim bratem i przyjechałem w odwiedziny. Oglądałem telewizję, leżąc w twoim łóżku, ubierałem się w twoje ubrania, robiłem zakupy, słuchałem muzyki, piłem drinki, nawet posprzątałem... nie wiem, czy zauważyłeś.

– Wypiłeś mi whisky...

– Nie odkupię ci. Nie licz na to. – Zaśmiał się chrapliwie. – Wiesz, że zadzwoniłem nawet do twojej mamy i umówiłem się na niedzielny obiad? Miło było usłyszeć jej głos. Pewnie nie skorzystałeś?

– Jesteś zbyt pewny siebie. To cię kiedyś zgubi.

Mierzyli się spojrzeniem i o dziwo pierwszy odwrócił wzrok Kalenda.

– Na razie mi pomaga – odparł. – Ale wiesz, w czym utwierdziły mnie te dwie noce? Nie chciałbym mieć cię za brata. Wystarczy mi to, co mam w tej chwili.

Spojrzał na zegarek.

– Już po północy – stwierdził. – Czas się pożegnać.

Marcin poczuł, jak przechodzi go dreszcz. Musiał coś zrobić. Tyle, że miał gołe ręce przeciw wycelowanej w swoją głowę lufie

pistoletu.

– Na koniec ty też musisz mi coś zdradzić – powiedział jeszcze Kalenda. – Jak odgadłeś, że to ja? Gdzie popełniłem błąd?

– Nie zareagowałeś na moją bójkę z kolegą na schodach.

Gustaw się skrzywił i nic nie powiedział.

– Byłeś wynajęty, żeby mnie chronić, a nie zareagowałeś. Dlaczego? Wiedziałeś, że nic mi nie grozi, że jedynym zagrożeniem jesteś dla mnie ty. Zresztą już pierwszego dnia w Środzie Śląskiej wydałeś mi się znajomy. Kiedy znalazłem ciało Dobrzanieckiego, powiązałem wspomnienie z nazwiskiem. Twój szef Bober potwierdził, że u niego pracujesz. Wszystko ułożyło się w jedną całość.

– Gratuluję. – Kalenda pokiwał głową. – Nie spodziewałem się po tobie takiej błyskotliwości.

– Jedno mnie tylko ciekawi. Po co chciałeś włamać się ponownie do mojego mieszkania? Dowiedziałeś się, że zainteresowałem się Dobrzanieckim? Bober ci powiedział?

– Tak. Zadzwoił do mnie – myśląc, że to Janek – i zapytał, dlaczego policja się mną interesuje. Wtedy zrozumiałem, że ten cyrk z alkoholem i colą był dla odwrócenia uwagi. Wściekłem się i chciałem szybko zakończyć sprawę.

– Przestraszyłeś się?

– Ja się niczego nie boję.

– Próbowaleś zaatakować nas łomem, przeciw policyjnej broni? – zakpił Zakrzewski.

– Czasem ponoszą mnie nerwy. Na szczęście udało mi się zabić tę twoją panienkę, policjantkę. To był dobry pomysł, żeby poczekać u niej przed domem. Nikt mnie tam nie szukał. – Zmienił temat, a widząc nagłą zmianę na twarzy Marcina, mówił dalej, wolno i wyraźnie. – Ten strzał w bok jest moim patentem. Kula przebija wątrobę, płuca i serce. Przy odrobinie szczęścia uszkadza trzustkę. Nie ma szans na przeżycie. Twój krzyk, tam na ulicy, zapamiętam do końca życia. To było coś pięknego.

Kalenda cofnął się o krok i podniósł pistolet wyżej.

– Czas kończyć nasze przedstawienie – powiedział słodkim głosem. – Pora umierać!

Pociągnął za spust, lecz zamiast wystrzału rozległ się tylko suchy trzask iglicy trafiającej w pustkę.

Na twarzy Gustawa odmalowało się bezmierne zdumienie. Marcin w ułamku sekundy przypomniał sobie scenę sprzed kilku dni. Siedział z Pauliną przy kuchennym stole i próbował naładować jej pistolet, ale ona ze złością mu przerwała. Zdążył włożyć do magazynka... jeden pocisk.

Zerwał się na nogi, chwycił za oparcie krzesła, uniósł je w górę i z całej siły uderzył Kalendę w głowę. Spróchniałe krzesło rozpadło się na kawałki. Marcinowi w dłoni został jeden kawałek, którym udało mu się jeszcze dwa razy uderzyć przeciwnika w głowę i kark, zanim też rozpadł się na strzępy. Uderzenia nie były bardzo mocne, lecz Gustaw był na tyle zaskoczony, że wypuścił broń z dłoni i przyklęknął na prawe kolano po tym, jak ostatni cios zarysował mu krwawą szramę na czole.

Marcin rzucił się do szafki, na której leżał jego pistolet. Pod palcami czuł już chłód jego rękojeści. Niestety, Kalenda bardzo szybko ochłonął i skoczył mu na plecy. Pod jego ciężarem zdrętwiałe i osłabione nogi załamały się pod Marcinem i obaj runęli na podłogę. Pistolet przez sekundę zatańczył Zakrzewskiemu w dłoni, po czym poleciał w kąt kuchni. Gustaw przyciskał go z całej siły, szukając dłońmi jego szyi. Marcin instynktownie odchylił głowę do tyłu i trafił go podstawą czaszki w twarz. Kalenda zasyczał z bólu, potem jeszcze raz, po powtórnym, mocniejszym uderzeniu, i jego uchwyt osłabł. Marcin wyswobodził się i próbował wstać na nogi. Gustaw jednak chwycił go za klapy kurtki i szarpnął jak manekinem. Zakrzewski nie był ułomkiem, ale przeciwnik był nieprawdopodobnie silny. Stracił równowagę i upadł plecami na

stół, który złamał się z trzaskiem na pół. Runęli na podłogę, przysypały ich odłamki, w powietrze wzbił się tuman białego kurzu, lampy naftowe zakołysały się niespokojnie, a cienie zatańczyły radośnie na ścianach.

Gustaw znowu leżał na Marcinie i próbował założyć mu nogami kłamrę, żeby skutecznie go unieruchomić. Marcin miał na szkoleniach zajęcia z judo, lecz nigdy się do nich nie przykładał. Teraz przypomniał sobie podstawy obrony w parterze i uniemożliwił Gustawowi założenie kłamry. Słabł jednak z każdą chwilą. Ostatkiem sił szarpnął się, udało mu się uwolnić lewe kolano i uderzyć napastnika w bok. Ten, widząc, że w zapasach w parterze niewiele zdziała, szarpnął Marcina w górę i nagle uderzył pięścią w prawy bok. Potem jeszcze raz. Marcinowi wydawało się, że słyszy trzask pękających żeber, straszliwy, palący ból odebrał mu oddech, oczy zaszyły mgłą. Zdawał sobie sprawę, że jeśli pozwoli na kolejne uderzenia, przegra szybko i nieodwołalnie.

Gdzie upadł jego pistolet?

Zaatakował Gustawa prawym barkiem i pchnął z całej siły. Razem przelecieli kilka metrów bezwładnie i uderzyli w zamknięte drzwi. Szyba w drzwiach pękła, sypiąc wokoło ostrymi odłamkami, zamek puścił i upadli na twardą podłogę korytarza. Tym razem Marcin leżał na Gustawie. Wciąż nie mógł złapać oddechu, a prawą rękę miał sparaliżowaną bólem, ale udało mu się usiąść na leżącym i uderzyć go lewą pięścią w twarz. Wycelował jeszcze raz i powtórzył cios prawą ręką, choć o wiele słabiej.

Kalenda zrzucił go z siebie i próbował wstać, ale Zakrzewski kopnął go w bok i znowu sprowadził do parteru. Nie udało mu się kopnąć ponownie. Gustaw przetoczył się po podłodze i zaraz wstał na nogi. Obaj zdawali sobie sprawę, że stawką w tym pojedynku jest życie albo śmierć. Jak dwaj gladiatorzy na arenie, pozbawieni innej broni, walczyli na pięści.

Kalenda był silniejszy. Marcin miał wrażenie, że jego pięści odłupałyby tynk ze ściany, gdyby tylko chciał się z nią mierzyć. Próbował parować ciosy łokciami i przedramionami, ale to i tak było strasznie bolesne, a każde uderzenie odrzucało go dwa kroki w tył. Gustaw, świadomy przewagi, parł do przodu jak rozjuszony byk, próbując znowu trafić Zakrzewskiego w bok.

Marcin robił uniki całym ciałem i też próbował kontratakować. Nieskutecznie. Zyskał jednak chwilę, by rozejrzeć się po podłodze. W jednym z kątów błysnął mu pistolet. Bez namysłu rzucił się w tamtą stronę. Kalenda przewidział to i zdążył podciąć mu nogi, zanim zrobił drugi krok. Upadli na resztki stołu i krzesła. Tym razem Zakrzewski zastosował taktykę przeciwnika. Przetoczył się w bok i zerwał na nogi. Zanim się wyprostował, jego pięść prześlizgnęła się po uchu Kalendy, a zaraz potem dostał uderzenie w bok i kolejny cios w żebra, w to samo miejsce. Jęknął głośno i zwałił się na kolana. Gustaw był już przy nim. Marcin podciął go nogami. Kalenda upadł plecami, na jedno z niezniszczonych jeszcze krzesel. Wydał stłumiony jęk, kiedy krzesło się załamało i jego plecy uderzyły o podłogę.

Marcin, nie patrząc na niego, pełznął na czworakach w kierunku pistoletu.

Udało się!

Zacisnął na nim palce, z trudem podniósł się i zanim zdążył się odwrócić w kierunku Gustawa, znowu usłyszał suchy trzask iglicy walthera. Kalenda stał z wycelowanym w jego kierunku pistoletem Pauliny.

Chyba wcześniej nie miał do czynienia z tego typu bronią. Marcin po wadze ocenił, że jego ma pełny magazynek. Gdy Kalenda zrozumiał pomyłkę, przez jego twarz przebiegł grymas wściekłości. Ruszył w kierunku Marcina, ale Zakrzewski wycelował w niego swój pistolet i powiedział:

– Ten jest nabity.

Nie poznał swojego głosu. Brzmiała w nim ulga pomieszana

z wściekłością i nutami nienawiści. Niesamowita mieszanka.

Kalenda zatrzymał się i opuścił ręce wzdłuż ciała. Dyszał ciężko, nie mogąc uwierzyć w swoją pomyłkę. Znowu nie ten pistolet! Wargi miał rozbite, krew zabrudziła jego białe zęby, z rozcięcia na policzku płynęła jej stróżka.

Marcin znowu przypominał sobie, jak ładował pistolet Pauliny. Nie zwracał uwagi na palący ból złamanych żeber, rozbitego nosa i krwawiących ran na głowie. Czuł zimno na całym ciele.

Jeden pocisk!

Paulina nie naładowała pistoletu.

Jeden pocisk w magazynku...

Gdyby wtedy naładował jej cały magazynek, w tej chwili by już nie żył!

Gdyby nie próbował go naładować, Paulina wciąż by żyła!

A on załadował akurat tę jedną, feralną kulę, skazując ją nieświadomie na śmierć i ratując swoje życie. Celował w Kalendę i czuł, że lewa dłoń z pistoletem robi się coraz zimniejsza. Wiedział, że za chwilę straci w niej władzę.

– Jaki jest zatem twój plan B? – usłyszał swój głos, jakby dochodził z zaświatów.

Przez twarz Gustawa przeleciał jakiś nieodgadniony grymas i nagle wypogodziła się. Na spuchniętych ustach pojawił się nawet cień uśmiechu.

– Zawsze liczyłem się z tym, że mogę zostać złapany – powiedział. – Nie będzie źle. Sąd skarże mnie na dożywocie, w najlepszym razie zostanę uznany za niepoczytalnego i zamknięty w zakładzie. Ale najpierw stanę się sławny. Wszystkie media będą pisać i mówić tylko o mnie, zostanę legendą, będą powstawać o mnie filmy, książki, prace naukowe. Znowu ja będę na pierwszym miejscu, a moje ofiary będą wspomniane tylko przy okazji. Poczytaj historię innych seryjnych morderców. Może po latach wydam wspomnienia?

– Jesteś strasznie pewny siebie.

Gustaw uśmiechnął się szeroko.

– Tak będzie. Przecież mnie nie zabijesz.

Marcin nie odpowiedział. Z kamienną twarzą patrzył Kalendzie w oczy.

– Ja też widziałem, jak diabeł chodzi tam na palcach – powiedział wreszcie. – Kilka dni wcześniej, przed wami.

Kiedy Gustaw Kalenda w pełni zrozumiał sens tych słów, uśmiech powoli spęłzył z jego twarzy. Chwilę później w jego oczach pojawił się strach.

Wtedy Marcin pociągnął za spust.

Huk wystrzału przerwał ciszę nocy i rozniósł się dalekim echem po okolicy. Niektórzy sąsiedzi wyrwani ze snu wyglądali zaniepokojeni przez okna, ale nie dostrzegli niczego podejrzanego. Była późna, dość jasna noc, na niebie błado świeciły gwiazdy, z godziny na godzinę robiło się coraz zimniej. Jak to jesienią. Nikomu nie przyszło do głowy, żeby zadzwonić na policję.

Pocisk trafił Kalendę w lewy oczodół, trochę ponad gałką oczną, przeszedł przez mózg i przebił czaszkę z tyłu głowy, wrywając w kości spory otwór. Gustaw zachwiał się i runął na plecy. Wokół jego głowy powiększała się szybko kałuża krwi.

Marcin Zakrzewski opuścił broń, przymknął oczy i stał nieruchomo, czując wzbierającą w nim falę mdłości.

Gdzie jest granica, która oddziela obronę konieczną od morderstwa? Nie czuł wyrzutów sumienia.

Było mu zimno. Mdłości narastały.

Gustaw miał rację. Dostałby dożywocie, byłby pożywką dla dziennikarzy, a później spokojnie odsiadywałby wyrok na garnuszku społeczeństwa.

Czy tak wygląda sprawiedliwość?

Przez lata pracy w policji Marcin widział różne zbrodnie, a jednak wciąż opowiadał się przeciw karze śmierci. Uważał, że jest niehumanitarna i odbiera mordercy możliwość rehabilitacji.

Wierzył, że prędzej czy później sprawcę dopadają wyrzuty sumienia, a wyrzuty sumienia do końca życia były dla niego najsurowszą karą – gorszą niż śmierć. Słuchając Gustawa, zrozumiał, że Kalenda nigdy nie będzie miał wyrzutów sumienia. Zawsze, do końca życia, będzie chlubił się swoimi zbrodniami, podniecał się nimi i czerpał z nich satysfakcję. Dożywocie byłoby dla niego nagrodą, a obecność w mediach chwilą chwały.

Ale nie będzie.

Odsunął się od trupa leżącego z głową na progu, oparł o ścianę, osunął się i usiadł na podłodze.

Idź do piekła, sukinsynu!

Tam twoje miejsce, wybryku natury.

Za Ryśka.

Za Paulinę.

Za innych zamordowanych.

Żołądek skurczył mu się gwałtownie i klatka piersiowa eksplodowała bólem. Z trudem stłumił krzyk. Oddychał coraz ciężiej, w ustach czuł słodki smak swojej krwi.

Był mordercą, ale nie czuł wyrzutów sumienia. Raczej żał, że Gustaw Kalenda umarł tak szybko i nie cierpiał, jak jego ofiary. Strach malujący się w jego oczach na chwilę przed śmiercią był przepiękny.

Nie wiedział dokładnie, jak długo tak siedział. Chyba nawet zapadł w drzemkę, z której wyrwał go ból rozsadzający czaszkę i przeszkadzający w oddychaniu. Było mu przeraźliwie zimno. Cały dygotał. Musiał mieć gorączkę – nie wiadomo, jakie miał obrażenia wewnętrzne po bardzo silnych ciosach. Z trudem dźwignął się na nogi. Oparty o ścianę wyciągnął z kieszeni telefon i popatrzył na wyświetlacz. Błąd karty SIM. Musiała poruszyć się podczas walki. Z trudem otworzył obudowę aparatu, włożył jeszcze raz kartę i włączył telefon. Zaraz dostał informację o kolejnych jedenastu nieodebranych połączeniach i czterech esemesach. Nie popatrzył nawet, kto próbuje się z nim

skontaktować.

Była pierwsza piętnaście, piątek, szóstego października – pierwszy dzień nowego rozdziału w jego życiu. Znowu w samotności – z bagażem cudownych, ale tragicznych wspomnień.

Miał do załatwienia jeszcze jedną sprawę, niecierpiącą zwłoki.

Jedna lampa naftowa zdążyła się wypalić, drugą zgasił i wyszedł na podwórze. Temperatura musiała już spaść w okolice zera. Z ust, przy każdym bolesnym oddechu, unosiła się mgiełka pary wodnej. Chwiejnym krokiem dotarł do ogrodzenia. Z trudem zdołał się na nie wdrapać, lecz nie udało mu się zejść. Spadł z drugiej strony i leżał chwilę, gryząc wargi z bólu. Wreszcie podniósł się i poszedł do samochodu zaparkowanego pięćset metrów dalej. Z bagażnika wyciągnął latarkę ledową, pożyczoną od dziadka Władysława, i szpadel, którego też nie zdążył jeszcze oddać. Tak wyposażony poszedł w kierunku kościoła pod wezwaniem Najświętszego Serca Jezusa.

Znowu musiał przeskoczyć przez zamkniętą furtkę, ale teraz udało mu się bez zbyteń naruszania połamanych żeber. Ruszył wzdłuż budynku kościoła w miejsce, gdzie pośród traw widać było jeszcze pozostałości fundamentów po dawnym domu parafialnym. Zapalił latarkę i dokładnie rozglądając się po trawie, obszedł teren. Gdzieś tutaj Kalenda zakopał zwłoki Ryśka. Musiał je znaleźć. Musiał mieć pewność, że wszystko, co usłyszał z jego ust, jest prawdą.

Musiał znaleźć ciało swojego brata. Dla siebie i dla jego wiecznego spokoju.

Przez trzydzieści lat teren zmienił się nie do poznania. Kiedyś cała okolica porośnięta była wysoką trawą i krzakami – teraz trawa była skoszona, a krzewy wykarczowane. Jak to powiedział Kalenda? Tam, gdzie zakopał zwłoki, naniósł gruzu. Było takie miejsce, zaraz przy fundamentach w trawie leżało sporo cegieł i kamieni. Widać było, że leżą w tym miejscu od wielu lat.

Gorączkowo zaczął je odrzucać, a później kopać, nie zważając na ból w piersiach i w głowie. Kopał długo. Z jego obrażeniami nie było wcale łatwo wrywać z korzeniami rosnącą tu od niepamiętnych czasów trawę i wykopać dół.

Wstawał świt, kiedy ochłonął trochę z obłądnego amoku poszukiwań i usiadł oparty o pień rosnącego nieopodal modrzewia.

Nic nie znalazł.

Wtedy w jego duszę wkradły się wątpliwości. A jeśli Kalenda nie powiedział prawdy o jego bracie? Jeśli skłamał, żeby jak najbardziej upokorzyć Marcina przed śmiercią? Trudno było sobie wyobrazić, że dwunastolatek z zimną krwią zabija swojego rówieśnika ciosami kamienia w głowę, a później ukrywa zwłoki tak skutecznie, że przez następne dziesięciolecia nikt ich nie odnalazł.

Czy Kalenda był do tego zdolny? On tak. Nikt inny, tylko on.

– Rysiek, gdzie jesteś? – zapytał bezgłośnie sam siebie.

Może kopał w złym miejscu? Nie miał siły szukać dalej. Siedział trawiony gorączką, ubrudzony ziemią i zakrzepłą krwią. Ból przenikał wszystkie jego tkanki. W czasie kopania zrobiło mu się gorąco, a teraz poranny przymrozek znowu gwałtownie wychładzał ciało. Chciało mu się spać. Reszką sił zmusił się do sięgnięcia po aparat telefoniczny. Znowu nie patrzył na informacje o nieodebranych połączeniach, szybko znalazł w książce telefonicznej numer do prokuratora Grabskiego.

Marek odebrał po czterech sygnałach, jakby w ogóle nie spał.

– Do jasnej cholery, gdzie ty jesteś?! – wykrzyknął. – Dlaczego nie odbierasz?

Marcin ledwo mówił.

– Zastrzeliłem go – powiedział niewyraźnie.

Marek Grabski na chwilę wstrzymał oddech.

– O czym ty mówisz? – zapytał. – Wytłumacz.

– Zabiłem Gustawa Kalendę – powtórzył Zakrzewski prawie

szeptem. – Zastrzeliłem go z zimną krwią, w domu Bogdańskiego.

Miał wrażenie, że Grabski chwilę się zastanawia.

– Co ty gadasz, Marcin?! – wykrzyknął. – Zastrzeliłeś go w obronie własnej!

– Nie. Zabiłem go z premedytacją.

– Nic nie słyszałem z tego, co do mnie mówisz – powiedział twardo prokurator Marek Grabski. – Nie wiem, co tam się działo, ale wiem, że zastrzeliłeś go w obronie własnej. Zrozumiałeś?! W obronie własnej!

– Ale...

– Marcin, do jasnej cholery! Nie chcę żadnych kłopotów. To była obrona konieczna! Nie życzę sobie słyszeć niczego innego. Paulina cię teraz potrzebuje!

– Paulina nie żyje...

Grabski zmienił nagle ton głosu.

– Nieprawda – rzucił. – Żyje, tylko jest ciężko ranna. Od wielu godzin w szpitalu trwa operacja. Lekarze walczą. Mówią, że ma mocny organizm i jeśli przeżyje operację, rokowania na przyszłość są dobre. Ona cię teraz najbardziej potrzebuje!

Ulga. Nic więcej nie czuł. Ręka z telefonem opadła mu na kolano, słyszał słaby głos Grabskiego.

– Marcin, słyszysz mnie? Marcin, gdzie jesteś?

Z trudem podniósł aparat do ucha.

– W Szczepanowie, przy czerwonym kościele – odpowiedział.

– Gdzie jest Gustaw Kalenda?

– Leży martwy w domu Bogdańskiego.

– Jesteś ranny?

– Tak.

– Zaraz przysyłam karetkę i ekipę. Wytrzymasz?

– Tak.

– I pamiętaj...

Marcin mu przerwał.

– To była obrona konieczna – powiedział.

– Za kwadrans będzie karetka.

– Wytrzymam.

Połączenie zostało zerwane.

Marcin Zakrzewski odchylił głowę i oparł się o pień drzewa. Nie czuł już bólu ani zimna. Pomyślał, że jeszcze nie wszystko stracone.

Paulina żyje i tylko to się w tej chwili liczy.

Czas zatoczył krąg i pewna tragiczna historia zakończyła się tu i teraz.

Od jutra świat rozpocznie się na nowo. Przynajmniej miał taką nadzieję.

listopad 2011–kwiecień 2012



MIECZYSLAW GORZKA

urodził się w Środzie Śląskiej,
ale od trzydziestu lat mieszka we Wrocławiu.
Z wykształcenia ekonomista, prowadzi własną
firmę zajmującą się podatkami i księgowością.
Z zamiłowania piwowar i astronom amator,
interesuje się fizyką kwantową i kosmologią,
jak również średniowieczną historią Wrocławia
i Śląska. Jego największą pasją od zawsze
było i jest pisanie. Realizuje się w różnych
gatunkach, pisząc opowiadania
fantastyczno-naukowe, powieści fantasy,
sensacyjne i kryminalne oraz horrory.
Wkrótce ukaze się jego druga powieść z cyklu
CIENIE PRZESZŁOŚCI pt. *Iluzja*.

 @Mieczyslaw.Gorzka

MARTWY SAD

JAKIE TAJEMNICE KRYJE PRZYKOŚCIELNY SAD?

Komisarz Marcin Zakrzewski zostaje w środku nocy wezwany do brutalnego morderstwa na jednym z osiedli na obrzeżach Wrocławia. Podczas pościgu za zabójcą słyszy od niego tajemniczy przekaz: „Widziałem, jak diabeł chodzi tam na palcach”. Te same niepokojące słowa usłyszał trzydzieści lat wcześniej z ust brata bliźniaka, który zaginął w niewyjaśnionych okolicznościach.

Zakrzewski postanawia wrócić do sprawy z przeszłości. Szybko odkrywa, że spokojna podwrocławska wieś, z której pochodzi, od wojny jest milczącym świadkiem zaginięć także innych dzieci. Te tragiczne zdarzenia łączą się z kolei z morderstwami popełnionymi obecnie. Czy to możliwe, żeby ten sam sprawca działał nieprzerwanie od siedemdziesięciu lat?

Powrót do wspomnień z dzieciństwa okazuje się dla policjanta prawdziwym koszmarem, rozgrywającym się tu i teraz. Wkrótce musi walczyć o życie nie tylko swoje, ale i bliskich mu osób. Morderca staje się jego cieniem i zdaje się wiedzieć o nim wszystko...

„Niebanalna historia, która wciąga bez ostrzeżenia i ogłusza jak skryty morderca. Jest tu lęk tropiciela, który sam jest tropiony, jest zasadzka i zмова milczenia. Mroczna zagadka, którą się przeczuwa, ale aż do końca nie da się jej w pełni odgadnąć”. *Joanna Sędzikowska, autorka książek*

„Uwaga, tu jest niebezpieczna intryga! Chciałem tylko zerknąć, a wyzwoliłem się po dwóch nocach i jednym dniu. Nie wiedziałem, że lubię się bać. To tylko powieść, ale...” *Tomek Wołodźko, dziennikarz Radia ESKA*



Patronat medialny



Wyłączny
dystybutor

